

ŚWIĄTEŁ W CIEMNOŚCI
SPRAWIEDLIWI
WÓDÓD NARODÓW ŚWIĄTEŁ

LIGHTEN IN THE DARKNESS

GERECHTE

THIRD OF FOURTH

BERICHTE

LIGHTEN IN THE DARKNESS

THE RIGHTEOUS

AMONG THE NATIONS

TESTIMONIES

WÓDÓD NARODÓW ŚWIĄTEŁ

DECEMBER 2004

L U D L I

WSTĘP EINLEITUNG INTRODUCTION

Podczas II wojny światowej Zagłada Żydów z Lublina i małych miasteczek Lubelszczyzny na zawsze wycisnęła piętno na historii tej ziemi. Wystarczy wymienić nazwy kilku miejscowości: Majdanek, Sobibór, Bełżec... Mijają lata i kolejne pokolenia patrzą na tamte odległe wydarzenia z coraz większym dystansem. Jesteśmy coraz bliżej chwili, w której nie będzie już żadnego żyjącego świadka tamtych dramatycznych wydarzeń – pozostaną tylko dokumenty w archiwach i opracowania historyków.

Cheć ocalić Pamięć o tym strasznym czasie, ale pamięć utrwaloną w opowieści, zaczęliśmy w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” nagrywać wspomnienia świadków. W ich głosie, sposobie opowiadania można znaleźć coś więcej niż w książkach i podręcznikach. Wyjątkowe znaczenie wśród wspomnień z czasów Zagłady mają relacje osób odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. To właśnie Sprawiedliwi, ratując życie Żydów, z narażeniem własnego, potrafili przeciwstawić się wszechobecnemu złu. To, co robili, było jak światło w głębokiej ciemności. Dlatego projekt dokumentowania i opracowywania tych historii oraz przywracania o nich pamięci nazwalismy: „Światła w Ciemności. Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”.

Historie Sprawiedliwych są wciąż mało znane. Często są też traktowane przez samych Sprawiedliwych oraz ich rodziny nie jako powód do dumy, ale jako coś, o czym lepiej nie mówić. Budzi to w nas głęboki sprzeciw

– chcielibyśmy to zmienić i mamy nadzieję, że nasz projekt przyczyni się do tego. Wierzymy, że historie, które zostały zapisane w książce „Światła w Ciemności. Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”, powrócą tam, gdzie się wydarzyły, i że znajdą swoich „opiekunów” – tych, którzy nie pozwolą o nich zapomnieć.

DEUTSCH

Die während des Zweiten Weltkrieges stattgefunden Vernichtung der Juden aus Lublin und den kleineren Städten der Region, hat sich für immer in das Gedächtnis der Stadt und der Umgebung eingepägt. Es genügt, nur einige Namen zu nennen: Majdanek, Sobibór, Bełżec. Jedoch vergeht die Zeit und mit ihr vergrößert sich die Distanz, mit der die nächsten Generationen auf das Thema blicken. Der Moment, in dem es keine lebenden Zeugen dieser dramatischen Ereignisse mehr geben wird und in dem nur noch Dokumente aus Archiven und historische Bücher existieren, rückt immer näher.

Wir wollen die Erinnerung an diese schreckliche Zeit, die in den Erzählungen weiterlebt, bewahren. Deshalb haben wir im Zentrum „Brama Grodzka – Teatr NN“ begonnen, die Stimmen der Zeugen der Zeit und dieser Ereignisse aufzunehmen. In ihren Stimmen und der Weise ihres Erzählens kann man mehr entdecken als in Lehrbüchern.

Eine außergewöhnliche Stellung in der Sammlung von Kriegserinnerungen nehmen die Berichte der „Gerechten unter den Völkern“ ein. Die „Gerechten“ brachten ihr eigenes Leben in Gefahr, um Juden vor dem Holocaust zu retten. Durch ihr Handeln widersetzten sie sich der allgegenwärtigen Brutalität. Aus diesem Grund nannten wir unser Projekt, in dem wir die Geschichten und Erinnerungen dieser Menschen sammeln und dokumentieren, „Lichter in der Finsternis. Gerechte unter den Völkern“.

Die Geschichten der „Gerechten“ sind zu wenig bekannt. Oft wurden sie von den Menschen selbst und ihren Familien verdrängt und vergessen. Nach dem Krieg war es besser, nicht darüber zu sprechen. Diese Situation ist besorgniserregend. Wir wollen mit unserem Projekt zu einer Veränderung dieser Situation beitragen.

Wir wünschen uns, dass die in diesem Buch gesammelten Geschichten, an ihre Orte zurückkehren und dort PflegerInnen finden. Leute, die es nicht zulassen, dass die Geschichten in Vergessenheit geraten.

ENGLISH

The genocide of the Jews from Lublin and from the little towns surrounding it, has left a permanent scar in the history of this land. As evidence for this statement, it is enough to recall the names of several places: Majdanek, Sobibór,

Bełżec... As the years pass by, the new generations view those far-off times with more and more distance. We are getting closer to the moment when there will no longer be any living witnesses of those dramatic events, there will only remain documents in the archives and the writings of historians.

In an effort to preserve the memory of those terrible times, the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre has begun to record the testimonies of witnesses. One can find so much more in their voices and in the way they tell their stories, than what can be found in books.

The testimonies of those awarded the medal "The Righteous Among the Nations" have a special place amongst the recollections of the Holocaust. It was the Righteous who stood up against the all-prevailing evil by risking their own lives to save Jews. What they did was like lighting a lantern in the abysmal darkness. That is why we entered into the project of documenting and sorting out these stories as "Lights in the Darkness. The Righteous Among the Nations".

The histories of the Righteous are still little known. The Righteous themselves, or sometimes their families, often do not con-

sider their stories as something to be proud of, but rather as something that it is better not to talk about. We are deeply against this and we hope to change the situation through our project.

We believe that the stories published in the book, "Lights in the Darkness. The Righteous Among the Nations", will return us to those times and places, and that they will find their "keepers", those who will not let them be forgotten.

OD REDAKCJI ANMERKUNGEN DER REDAKTION NOTE FROM THE EDITOR

NA książkę złożyło się 61 relacji osób (świadków i uczestników wydarzeń), mówiących o pomocy udzielanej Żydom przez Polaków. Większość historii zdarzyła się na Lubelszczyźnie w granicach dystryktu lubelskiego. Zarejestrowane zostały w latach 2003–2008. Dołączono do nich sześć relacji, nagranych w latach dziewięćdziesiątych, uzyskanych z archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku.

Odrębną grupę stanowią historie z okolic Nowego Sącza, Przemyśla, Sokołowa Podlaskiego, okolic Stalowej Woli i z Włodzimierza Wołyńskiego. Każda z nich stanowi cenne źródło informacji na temat okupacji, a przede wszystkim poszerza nasze rozu-

mienie uwarunkowań tego okresu oraz motywacji, postaw, zachowań żyjących wtedy ludzi.

Na początku prac nad projektem uznaliśmy za konieczne rozszerzyć znaczenie terminu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, który odnosi się tylko i wyłącznie do tych, którzy otrzymali medal przyznawany przez Instytut Yad Vashem. Zatem zbieraliśmy również relacje tych, którzy medala nie otrzymali, ale ich działania w czasie wojny wpisują się w ogólnie rozumianą pomoc Żydom. Relacji tych jest 13. Brak medala czasem wynika z faktu, że po wojnie nie było nikogo, kto daną osobę, grupę osób, rodzinę mógł do tego odznaczenia zgłosić. Przykładem jest relacja Gabrieli Gorzandt z Biłgoraja. Uzna-

liśmy, że bez tej i podobnych jej historii nasza publikacja może okazać się niepełna.

W poszukiwaniach Sprawiedliwych i ich krewnych pomogły nam głównie informacje pochodzące z Instytutu Yad Vashem. W trakcie podróży do wskazanych osób odkrywaliśmy innych, którzy nie byli nigdzie uwzględnieni. Często rodzina informowała o dalszych krewnych, którzy też zostali odznaczeni medalem. W nagrywanych przez nas wywiadach podawali również nazwiska innych osób, które pomagały Żydom w tej samej lub sąsiedniej wiosce.

Dwie osoby zgłosiły się do Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.

54 relacje zebrane w tej publikacji pochodzą od bezpośrednich świadków wydarzeń.

Wśród nich jest pięć relacji złożonych przez uratowanych Żydów.

W 10 przypadkach te same historie opowiedziane są przez dwóch uczestników.

Wśród relacji znalazło się również dziewięć opowiedzianych przez dzieci Sprawiedliwych. W tych historiach ważny jest moment ujawnienia dzieciom, że w czasie wojny rodzina pomagała Żydom. Bardzo często pretekstem do tego było pojawienie się listów od Ocalonych. Zazwyczaj dzieci bardzo pozytywnie oceniają działania swoich rodziców. W kilku przypadkach pojawia się jednak żal, że Żydzi w żaden znaczący sposób nie odwziedczyli się za okazaną im pomoc. Większość jednak uznała przyznanie medalu za wystarczający gest.

Zaskoczyła nas doskonała pamięć wielu naszych rozmówców, którzy pomimo sędziwego wieku doskonale pamiętali najdrobniejsze szczegóły. Tylko kilka osób opowiadało swoje historie po raz pierwszy. Inni rozmawiali z dziennikarzami z prasy lokalnej lub pracownikami Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie (potem Instytut Pamięci Narodowej). Można jednak było odnieść wrażenie, że opowieści lub ich fragmenty nie były przeznaczone na użytek publiczny.

Podczas wstępnych rozmów telefonicznych czy na progach domów bardzo długo trzeba było wyjaśniać, że nie chcemy wykorzystać przekazanej nam historii przeciwko ludziom, którzy je nam ofiarowują. Niektórych nie udało się zresztą przekonać. Kilka osób, potomków Sprawiedliwych, ostatecznie odmówiło rozmowy. Dla wielu naszych rozmówców problemem była sprawa publikacji wywiadów z podaniem ich imienia

i nazwiska. Informowaliśmy o tym na początku każdej rozmowy. I choć z taką świadomością ludzie zaczynali opowiadać, podpisanie oświadczenia zezwalającego na publikację dla większości było bardzo trudną decyzją. Udało nam się jednak przełamać obawy i nieufność, pomimo faktu, że Sprawiedliwi o swoich zasługach opowiadają niechętnie, w naszym tomie nie ma relacji anonimowych. Podczas pracy nad projektem okazywało się, że osoby wykształcone niebędące mieszkańcami wsi czy miasteczek na opowieść o ukrywaniu Żydów decydowali się szybciej. Udzielenie pomocy motywowano zwykle religijnym nakazem pomocy bliźnim. W kilku przypadkach pojawia się wątek pieniędzy pobieranych od ukrywających się Żydów. Należy jednak zaznaczyć, że nie były one warunkiem udzielenia pomocy, a jedynie faktem braku funduszy na najpotrzebniejsze produkty dla siebie i ukrywanych osób. Osoby, z którymi się spotykaliśmy uważały, że jesteśmy zbyt młodzi, by opowiadać nam tak straszne rzeczy. W niektórych przypadkach szczególnie traumatyczne wydarzenie związane z ukrywaniem Żydów uporcezywie powracało, przysłaniając całą opowieść. I choć rozmowę prowadziliśmy według przygotowanego wcześniej kwestionariusza pytań, bardzo trudno było niekiedy skierować ją na interesujący nas temat.

Poza pytaniami o biografię świadka (data, miejsce urodzenia, imiona rodziców, miejsce zamieszkania przed i w czasie okupacji), pytaliśmy o kontakty z Żydami przed wojną, o imiona szkolnych koleżanek i kolegów (w tym również o dzieci żydowskie, ukraińskie), o wspomnienia dotyczące wybuchu wojny. Centralne zagadnienie stanowiły kwestie

związane z pomocą Żydom. Interesowały nas okoliczności ich pojawienia się i wszystkie szczegóły związane z podjęciem decyzji o udzieleniu pomocy i codziennymi warunkami ukrywania (kto z rodziny zdecydował o udzieleniu pomocy, kogo dopuszczono do tej informacji, kto brał w tym udział, jak wyglądała kryjówka, miejsce, gdzie Żydzi zostali ulokowani).

W kwestionariuszu pytań znalazły się również te dotyczące szeroko rozumianych sytuacji zagrożenia. Wśród obaw bardzo często oprócz Niemców pojawia się strach przed sąsiadami i polskimi partyzantami. Jedną z zagrażających sytuacji było również przejście frontu w 1944 roku. Pomimo wyzwolenia część rodzin przechowywała jeszcze Żydów przez jakiś czas, zazwyczaj w obawie przed partyzantami. Każdy fakt zamordowania rodziny za pomoc Żydom jest głęboko zakorzeniony w pamięci społeczności lokalnych.

Książka składa się z trzech części – relacji w języku polskim, abstraktów w językach angielskim i niemieckim oraz z bibliografii zbierającej najważniejsze publikacje – artykuły i książki – o Sprawiedliwych oraz indeksu osobowego.

Układ relacji odpowiada alfabetycznej liście miejscowości, w których się wydarzyły. Jeśli jakaś historia działa się w kilku miejscach, przy komponowaniu materiału brano pod uwagę miejsce głównych wydarzeń, najważniejszych dla tej historii. Dzięki temu czytelnik ma bezpośredni dostęp do innych relacji z tej samej miejscowości. Zabiegi redaktorskie zostały uproszczone. Zebrane relacje pierwotnie były opowieściami mówionymi. Urwane

zdania, równoważniki zdań, powtarzające się słowa, sformułowania, a nawet zaimki zostały zachowane bez zmian. Świadczą one o bardzo silnym nacechowaniu emocjonalnym opowiadanych zdarzeń. Teksty relacji w książce zostały zredagowane z zachowaniem wszelkich regionalizmów, błędów stylistycznych i fleksyjnych. Wszystko to ma na celu jak najwierniejsze oddanie charakteru relacji. Co ciekawe, w opowieściach dzieci Sprawiedliwych, które nie uczestniczyły w opowiadanych przez siebie wydarzeniach, pojawiają się te same słowa i towarzyszące im uczucia. Niektóre wywiady nagrywaliśmy kilkakrotnie, wówczas okazywało się, że zazwyczaj ludzie opowiadają historię, używając za każdym razem tych samych słów, zestawiając je w tak samo brzmiące zdania. Część wypowiedzi, niekiedy bardzo obszernych, została skrócona. Skróty objęły głównie wypowiedzi mało znaczące dla opowiadanej historii oraz powtórzenia. W książce nie zaznaczono miejsc, gdzie dokonano skrótów. Zrezygnowano z dolnych przypisów. Wszelkie uwagi i dopowiedzenia do tekstu, niezbędne do prawidłowego odczytania i zrozumienia opowiadanych zdarzeń, zostały zawarte w nawiasach kwadratowych tuż obok fragmentu, do którego się odnoszą. W tekstach relacji nie znalazły się przypisy tłumaczące podawane fakty historyczne. Nieścisłości i błędne daty pozostawiono bez zmian. We wstępie historycznym zawarto informacje pozwalające jednoznacznie rozwikłać wszelkie wątpliwości. Śródtytuły pochodzą od redakcji. Pełne transkrypcje rozmów zawierały pytania zadawane przez nagrywających. W publikacji zrezygnowano z nich, uznając, że naj-

ważniejszy jest głos samych świadków. Tym samym fragmenty pytań w formie odpowiedzi zostały wplecione w relację z zaznaczeniem (w nawiasach kwadratowych) słów, które nie pochodzą od osoby udzielającej wywiadu. Skróty angielski i niemiecki zawierają najważniejsze fakty z opowiedzianych relacji i są pisane z pozycji osoby trzeciej. Nie weryfikowano i nie uzupełniano informacji zawartych w abstraktach.

Warto zaznaczyć, że nie natrafiliśmy na relacje traktujące o pomocy świadczonej Romom. Kilkakrotnie spotkaliśmy się z historiami udzielania pomocy zbiegłym jeńcom sowieckim.

Publikowane przez nas materiały nie są ilustracją całokształtu stosunków polsko-żydowskich podczas okupacji, pokazują jedynie pewien wycinek rzeczywistości. Mamy świadomość, że nie wyczerpujemy tematu indywidualnej pomocy niesionej Żydom na terenie okupowanej Lubelszczyzny. Do wielu historii nie udało nam się dotrzeć. Trudno ocenić, ilu świadków nie żyje.

Postanowiono, z uwagi na objętość książki, by pełne tłumaczenie relacji znalazło się na stronie internetowej projektu.

D E U T S C H

Das Buch enthält 61 Berichte von Personen (Zeugen oder an den Ereignissen Beteiligte), die über von Polen geleistete Hilfe an Juden erzählen. Die Mehrheit der Geschichten trug sich im Gebiet Lublins, in den Grenzen des ehemaligen Distrikts Lublin, zu. Die Berichte wurden in den Jahren 2003–2008 aufge-

zeichnet. Zusätzlich gibt es sechs Berichte, die in den 90er aufgenommen wurden und die wir aus dem Archiv des Staatlichen Museums Majdanek erhielten.

Eine besondere Gruppe bilden die Geschichten aus der Umgebung von Nowy Sącz, Przemyśl, Sokołów Podlaski, Stalowa Wola und aus Włodzimierz Wołyński. Jede einzelne ist eine wertvolle Informationsquelle zur Besatzungszeit, vor allem aber erweitert jede unser Verständnis gegenüber den Umständen dieser Zeit sowie gegenüber der Motivation, der Haltung und des Verhaltens der damals lebenden Menschen.

Am Anfang unserer Projektarbeit erkannten wir es als notwendig, die Bedeutung des Terminus „Gerechter unter den Völkern“ zu erweitern. Der Begriff betrifft nur und ausschließlich Personen, die die vom Institut Yad Vashem verliehene Medaille erhalten haben. Folglich sammelten wir auch Berichte derer, die diese Medaille nicht erhalten haben, deren Handlungen während des Krieges aber allgemein als Hilfe an Juden verstanden werden. 13 solcher Berichte gibt es. Das Fehlen der Medaille rührt manchmal daher, dass es nach dem Krieg niemanden gab, der für die betreffende Person, Personengruppe oder Familie diese Auszeichnung beantragen konnte. Ein Beispiel dafür ist der Bericht von Gabriela Gorzandt aus Biłgoraj. Wir sind der Meinung, dass ohne diesen und ähnliche Berichte unsere Publikation nicht vollständig wäre.

Bei der Suche nach „Gerechten“ und ihren Verwandten halfen uns zumeist Informationen aus dem Institut Yad Vashem. Im Verlauf der Reisen zu den uns genannten Menschen fanden wir auch Personen, die nirgends je

berücksichtigt worden waren. Oft informierte die jeweilige Familie über weitere Verwandte, die auch mit der Medaille ausgezeichnet worden waren. Während der durch uns aufgezeichneten Interviews nannte man uns auch die Namen anderer Personen, die in demselben Dorf oder einem Nachbarort Juden geholfen hatten.

Zwei Personen wandten sich direkt an das Zentrum „Brama Grodzka – Teatr NN“.

54 der in dieser Publikation gesammelten Berichte stammen aus direkten Interviews mit Zeitzeugen. Darunter gibt es fünf Berichte, die von geretteten Juden beigesteuert wurden.

In zehn Fällen wird über die gleichen Ereignisse von zwei Beteiligten erzählt.

Unter den Berichten finden sich auch neun, die von den Kindern der „Gerechten“ erzählt werden. Bei diesen Geschichten ist besonders der Moment wichtig, als den Kindern enthüllt wurde, dass ihre Familie in der Kriegszeit Juden geholfen hatte. Ganz häufig ging einer solchen Enthüllung das Auftauchen von Briefen der Geretteten voraus. In der Regel bewerteten die Kinder die Handlungen ihrer Eltern als sehr positiv. In einigen Fällen wurde bedauert, dass sich die Juden in keiner besonderen Weise für die ihnen erwiesene Hilfe bedankt hatten. Die Mehrheit betrachtet allerdings die Verleihung der Medaille als ausreichende Geste.

Uns überraschte das hervorragende Gedächtnis vieler unserer Gesprächspartner, die sich trotz ihres hohen Alters noch an die kleinsten Details erinnern konnten. Nur einige wenige Menschen erzählten ihre Geschichte zum ersten Mal. Andere hatten bereits mit Journalisten der lokalen Presse oder mit Mitarbei-

tern der Lubliner Abteilung der Kommission für die Erforschung nationalsozialistischer Verbrechen (poln. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich; Vorläuferorganisation des Instituts für nationales Gedenken, poln. IPN – Instytut Pamięci Narodowej, A.d.Ü.) gesprochen. Man kann allerdings den Eindruck gewinnen, dass diese Erzählungen oder Auszüge daraus nicht für eine Veröffentlichung bestimmt waren.

Zu Beginn der einleitenden Telefongespräche oder an den Türschwellen mussten wir sehr lange erklären, dass wir die Geschichten, die die Menschen uns überlassen wollten, nicht gegen sie verwenden würden. Einige ließen sich bis zum Schluss nicht überzeugen. Einige Personen, Nachkommen der „Gerechten“, sagten Interviews unwiderruflich ab. Für viele unserer Interviewpartner stellte die Veröffentlichung der Interviews mit Angabe ihrer Vor- und Nachnamen ein Problem dar. Wir informierten immer zu Beginn jedes Interviews darüber. Sich dieser Sache bewusst, begannen sie dann doch zu erzählen. Für den Großteil war es eine sehr schwere Entscheidung, die Zustimmungserklärung zur Veröffentlichung zu unterschreiben. Es gelang uns jedoch, Angst und Argwohn zu überwinden. Es gibt daher in unserem Band keine anonymen Berichte, trotz der Tatsache, dass die „Gerechten“ nur ungern über ihre Verdienste berichteten.

Während unserer Arbeit an dem Projekt, stellten wir fest, dass sich gebildete Personen, die nicht Bewohner von Dörfern oder Städtchen waren, schneller dazu entschließen konnten, über das Verstecken von Juden zu erzählen. Oft war es das religiöse Motiv des Dienstes am Nächsten, das den Ausschlag für die Hil-

fe an Juden gab. In einigen Fällen tauchte das Thema des Geldes auf, das man von den versteckten Juden nahm. Man muss hier verdeutlichen, dass Geld nicht die Bedingung für die Erteilung von Hilfe war, sondern, dass es generell an Geldmitteln für die nötigsten Dinge für sich und die versteckten Personen fehlte.

Die Personen, mit denen wir zusammentrafen, meinten, dass wir zu jung seien, um uns solch schreckliche Geschichten zu erzählen. In einigen Fällen kehrten besonders traumatische Erlebnisse im Zusammenhang mit dem Verstecken von Juden beharrlich wieder und versperrten somit die ganze Erzählung. Obwohl wir das Interview anhand im Vorfeld ausgearbeiteter Fragenkataloge führten, war es mitunter schwer, die Richtung des Gesprächs auf uns interessierende Themen zu lenken.

Außer Fragen zur Biographie des Zeitzeugen (Geburtsdatum und –ort, Vornamen der Eltern, Wohnort vor und während der Besatzungszeit) stellten wir auch solche zu Kontakten zu Juden vor dem Krieg, zu Vornamen von Schulkameradinnen und –kameraden (darunter auch zu Vornamen von jüdischen und ukrainischen Kindern) und zu Erinnerungen an den Moment des Kriegsausbruchs. Das Hauptaugenmerk lag auf den Fragen zur Hilfe an Juden. Uns interessierten alle Details bzw. Lebensumstände, die zu der Entscheidung führten, Hilfe zu leisten sowie alle Folgen, die das Verstecken von Juden für den Alltag der Retter hatte (beispielsweise wer von der Familie darüber entschied, Hilfe zu leisten, wer davon wissen durfte, wer

alles daran beteiligt war, wie das Versteck aussah bzw. der Ort, wo die Juden untergebracht waren).

Im Fragenkatalog befanden sich auch Fragen zu Situationen der Bedrohung und Angst im weiteren Sinne. Als Form der Angst tauchte, außer der Furcht vor den Deutschen, ganz oft Furcht vor den Nachbarn und den polnischen Partisanen auf. Eine der bedrohlichen Situationen war auch der Durchzug der Front 1944. Trotz der Befreiung beherbergte ein Teil der Familien noch über einen gewissen Zeitraum hinaus Juden, gewöhnlich aus Angst vor Partisanen. Jedes Beispiel für die Ermordung einer Familie, die Juden geholfen hatte, ist tief verwurzelt im Gedächtnis der lokalen Bevölkerung.

Das Buch setzt sich aus drei Teilen zusammen – den Berichten in polnischer Sprache, den Zusammenfassungen in Deutsch und Englisch sowie aus dem Literaturverzeichnis mit den wichtigsten Publikationen, d.h. Artikel und Bücher über Gerechte, sowie ein Personenverzeichnis.

Die Anordnung der Berichte entspricht der alphabetisch geordneten Liste der Ortschaften, in denen sie sich zutrug. Spielte sich eine Geschichte in mehreren Orten ab, so wurden bei der Aufbereitung des Materials die Schauplätze der wichtigsten Geschehen, die für den jeweiligen Bericht am meisten von Bedeutung waren, berücksichtigt. Daher hat der Leser einen direkten Zugang zu anderen Berichten aus denselben Ortschaften. Die redaktionelle Bearbeitung wurde vereinfacht. Die gesammelten Berichte waren ursprünglich mündliche Erzählungen. Abgebrochene Sätze, Satzäquivalente, Wiederholungen von Wörtern und Formulierungen

und sogar Pronomen wurden unverändert beibehalten. Sie zeugen von dem stark emotionalen Charakter der Erzählungen. Die Texte der Berichte wurden so redigiert, dass alle Regionalismen, stilistischen und flexivischen Fehler erhalten blieben. All das dient der Glaubwürdigkeit der Berichte. Interessant war die Tatsache, dass in den Erzählungen von den Kindern der Gerechten, die ja nicht an den von ihnen berichteten Ereignissen beteiligt gewesen waren, dieselben Worte und dieselben damit verbundenen Emotionen vorkamen. Einige Interviews nahmen wir mehrmals auf. Es zeigte sich dabei, dass die Menschen zumeist Geschichten so erzählen, dass sie jedes Mal dieselben Worte verwenden und sie in gleich lautende Sätze einbauen.

Ein Teil der oftmals sehr weit ausholenden Äußerungen wurde gekürzt. Solchen Kürzungen unterlagen hauptsächlich Äußerungen und Wiederholungen, die für den gesamten Bericht von geringer Bedeutung waren. In dem Buch wurden an keiner Stelle Abkürzungen verwendet.

Es wurde auf Fußnoten verzichtet. Alle Anmerkungen und Ergänzungen zum Text, die zum richtigen Lesen und Verständnis der erzählten Ereignisse notwendig sind, wurden sofort im Anschluss an die betreffende Passage in eckigen Klammern angegeben. Die Berichte enthalten keinerlei Fußnoten zu historischen Daten. Ungenauigkeiten und falsche Daten wurden unverändert beibehalten. Die in der Einführung zur Geschichte enthaltenen Informationen können im Zweifelsfalle überprüft werden.

Die Zwischenüberschriften wurden von der Redaktion eingefügt.

Die von dem Interviewer gestellten Fragen sind in den vollständigen Transkriptionen der Gespräche enthalten. In der Publikation wurde auf deren Angabe verzichtet, da wir die Stimme der Zeitzeugen als das Wichtigste ansahen. Teile von Suggestivfragen wurden in die Berichte eingeflochten, allerdings wurden Worte, die von einer dritten am Interview nicht beteiligten Person stammen, in eckigen Klammern angegeben.

Die deutschen und englischen Abstracts enthalten die wichtigsten Fakten aus den erzählten Berichten und sind aus der Sicht eines Dritten geschrieben. Die in den Abstracts enthaltenen Informationen wurden nicht verifiziert oder ergänzt.

Wir möchten hervorheben, dass wir auf keinerlei Berichte über Hilfeleistungen an Roma gestoßen sind. Einige Male stießen wir auf Geschichten, in denen geflohenen sowjetischen Kriegsgefangenen Hilfe geleistet wurde. Die von uns veröffentlichten Materialien stellen nicht die Gesamtheit der polnisch-jüdischen Beziehungen während der Besatzungszeit dar, sondern zeigen lediglich einen bestimmten Ausschnitt der Wirklichkeit. Wir sind uns bewusst, dass wir das Thema der individuellen Hilfeleistung gegenüber Juden im Raum Lublin zur Besatzungszeit nicht gänzlich ausgeschöpft haben. Viele Geschichten sind uns entgangen. Es ist schwer zu sagen, wie viele Zeitzeugen schon nicht mehr leben.

Es wurde festgelegt, dass, im Hinblick auf den Umfang des Buches, die vollständigen Übersetzungen der Zeitzeugenberichte auf der Internetseite unseres Projektes veröffentlicht werden.

ENGLISH

This book consists of 61 testimonies (of eyewitnesses and participants) relating to aid given to Jews by Poles.

Most of these stories take place in the area of Lublin, within the Lublin district. They were recorded from 2003 to 2008. In addition, we added 6 additional testimonies recorded in the nineties, from the State Museum at Majdanek.

The stories from the towns of Nowy Sącz, Przemyśl, Sokołów Podlaski, Stalowa Wola, and Włodzimierz Wołyński can be placed in a separate group. Each one of these is a valuable source of information about the occupation, and most importantly, they broaden our understanding of the prevailing conditions of the time and the motivation, attitude, and behavior of the people.

At the start of the project, we decided to expand the definition of "The Righteous Among the Nations", which pertains only to those who received the medal from Yad Vashem. We therefore, also collected testimonies from those who did not receive the medal, but whose actions fall within the general understanding of providing assistance to the Jews. There are 13 such testimonies. The lack of medal sometimes is due to the fact that there was no one after the war that could have nominated the given person, group of people, or family. An example of this is the testimony of Gabriela Gorzandt from Biłgoraj. We came to the conclusion that our publication would be incomplete without it and others similar to it. In searching for the Righteous and their relatives, we mainly used information from the Yad Vashem Institute. During our trips to

interview the indicated persons, we uncovered others whose stories were never taken into account. Often, the families would tell us about further relatives who had also received this medal, and as we were recording these interviews, they provided names of other people who helped Jews in their, or in neighboring villages. Of those whose stories are recorded in our book:

Two people came to the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre to tell their stories.

54 of the collected testimonies come directly from eyewitnesses. Among them are five testimonies from rescued Jews;

In ten cases, the same story is told by 2 different participants.

In addition, 9 testimonies from the children of the Righteous, are in this collection.

In these testimonies, the moment when the children were informed that their family helped Jews is very important. Very often, the reason behind this would be a letter from a Survivor. The children usually are very positive about the actions of their parents. However, in several instances, there appears a certain sorrow that the Jews did not show their appreciation in some significant way. Still, most admit that the awarding of the medal is satisfactory acknowledgement.

We were surprised at the amount of detail provided by many of the interviewees, despite their old age. More so, several people revealed their stories for the first time. Others had previously spoken with local journalists or employees of the Regional Commission for Investigating Nazi Crimes in Lublin (later, the Institute of National Remembrance). Yet it is possible to presume

that their testimonies, or fragments thereof, were not intended for public knowledge.

During the preliminary interviews over the telephone or on the doorstep, we spent much time reassuring the interviewees that we would not use their testimony against them. We were not able to convince some. For many of them, the problem was that their names would be published along with the testimonies. We informed them about this at the beginning of each conversation, and, despite the fact that they were aware of the situation, it was still a difficult decision for them to sign a release form. Nevertheless, we were able to overcome the fear and mistrust, and, despite the fact that the Righteous speak reluctantly about their accomplishments, there are no anonymous testimonies in our publication.

During our completion of the project, we discovered that those who were educated and not living in villages or little towns were more likely to talk about saving Jews. This assistance was usually motivated by a religious or philosophical obligation to help their fellow man. The subject of money received from concealed Jews comes up in several instances. It is necessary to point out that more often than not, financial return was not a condition for providing help, but merely the need for funds to buy basic necessities for those helping and for those who were in hiding.

Those we met, told us that we were too young to understand about such terrible events. In some cases, a traumatic event related to the hiding of Jews would persistently come back

to overshadow the entire story. It was at times difficult to stay on the subject of interest to us despite the fact that we conducted the interview based on a set of pre-defined questions.

In addition to questions about the biography of the witness (date and place of birth, parents' names, place of residence before and during the occupation), we asked about relations with Jews before the war, the names of schoolmates (including Jewish and Ukrainian children), and about their recollections of the beginning of the war. The most important issues were those related to helping Jews. We were interested in how they met, all the details related to making the decision to provide help, and everyday realities (who in the family made the decision, who was told this information, who participated, what did the hiding place look like).

The subject of the associated wide-ranging dangers was also included in the questionnaire.

Among the concerns about the Germans, we may also find fear of neighbors and of some Polish partisan bands. One of the greater moments of danger related to us was the coming of the liberation armies in 1944. Despite the liberation, many people continued to hide Jews from their neighbors and from these partisans. Every situation where a family was killed for helping Jews is deeply rooted in the collective memory of the local citizenry.

The book consists of 3 parts: the testimonies in Polish, abstracts in English and German, a bibliography with the most important publications, articles and books about the Righteous.

The stories are arranged alphabetically according to the name of the place where they happened. If a story happened in more than one place, the place where the main events occurred was taken into account. Thanks to this, the reader has access to other stories happening in the same place.

Editing was kept to a minimum. The testimonies were originally in oral form. Broken sentences, repeated words, and other forms characteristic to spoken language were kept in tact. They are the result of the highly emotional state of the interviews. The testimonies were edited in keeping with all of the regional accents and local styles and meaning. All this was done for the purpose of conveying the stories as close to their original form as possible. It is interesting to note that the testimonies of the Children of the Righteous who were not actual participants in the events they describe, still use the same words and express the same feelings. Some interviews were recorded several times and it turned out that the storytellers used the same words each time and put together sentences which sounded the same.

Part of the larger testimonies was shortened. These omissions were mainly due to repetition or little significance to the story being told. These areas are not marked in the book.

We did not use footnotes. All required explanations and notes were placed in brackets next to the fragment they pertain to. The text does not contain historical information about the events described. Discrepancies and errors in dates were left unchanged. The historical introduction provides information which will illuminate all doubts.

Sub-headings were created by the editors.

The full transcriptions of the interviews included the questions asked by the interviewer. We need not use them in the publication because we felt that the voices of the witnesses were the most important. At the same time, some fragments of the questions were included in the stories and placed in brackets where the words were not said on the part of the interviewee. English and German summaries contain the most important facts from the testimonies are written from the position of a third person. The information found in the abstracts was not verified or altered.

It is worth mentioning that we did not come across any testimony about helping Roma people. Several times we came across cases where assistance was given to escaping Soviet prisoners of war. The materials published by us are by no means a complete illustration of Polish/Jewish relations during the occupation, and they show merely a fragment of that reality. We are aware that we have not exhausted the subject of assistance given to Jews in the occupied land of Lublin. We were not able to reach many of the histories. It is hard to estimate how many of the witnesses are no longer alive.

Because of the size of the book, we have decided to publish a full translation on the project website.

SPRAWIEDLIWI – JAKO WYZWANIE DIE GERECHTEN ALS HERAUSFORDERUNG THE RIGHTEOUS AS A CHALLENGE

Oddawany do rąk czytelnika tom relacji ukazuje się kilka miesięcy po dyskusji wokół polskiej edycji „Strachu” Jana T. Grossa. Punktem wyjścia autora, na co niewielu krytyków jego książki zwróciło uwagę, nie był ani antysemicki klimat panujący w pierwszych powojennych miesiącach, ani akty przemocy wobec garstki pozostałych przy życiu Żydów, lecz ambiwalencja otoczenia wobec Polaków zaangażowanych w ich ratowanie. Gross przywołał zdumienie Marii Hochberg-Mariańskiej, która w 1946 roku, we wstępie do zbioru relacji dzieci żydowskich, odnotowała znamieny fakt: „w wielu zeznaniach wymieniane są nazwiska ludzi, którzy dzieci żydowskie ratowali, w innych użyto tylko inicjałów. Dlaczego – jeśli nazwiska są znane?”. By ze smutkiem skonstatować: „Nie wiem, czy jakiś człowiek poza granicami Polski pojmie i zrozumie fakt, że uratowanie życia ściganemu przez zbrodniarza bezbronnemu dziecku – może okryć kogoś wstydem i hańbą, lub narazić na przykrość”¹. Nie był to głos odosobniony. Szymon Datner, pracownik Żydowskiej Komisji Historycznej w Białymstoku, wyrażając nadzieję, że ci, co spieszyli z pomocą Żydom, będą w przyszłości nagradzani specjalnym odznaczeniem – „Orderem Człowieczeństwa” – zastrzegając: „nazwiska tych ludzi, które wypisane będą kiedyś złotymi literami w dziejach narodu polskiego nie

nadają się na razie do publikowania. Są oni na równi z uratowanymi Żydami przedmiotem prześladowania (...). Kilku z nich zapłaciło życiem za swoją szlachetność”². W jednej z relacji, jakie trafiły do tomu redagowanego przez Hochberg-Mariańską, dotyczącej miejscowości w województwie białostockim czytamy: „Jeden chłop powiedział, że gdyby wiedział, kto schował żyda, to by tego człowieka od razu zamordował”³. O tym, że nie były to zapowiedzi bez pokrycia, świadczy los Antoniny Wyrzykowskiej, która uratowała siedmioro Żydów z Jedwabnego – zmuszonej do opuszczenia rodzinnej miejscowości pod presją mieszkańców lokalnej społeczności, którzy uczestniczyli w mordach na Żydach latem 1941 roku⁴. O tym, że nie był to tylko problem lokalny, przekonuje lektura złożonych po wojnie żydowskich relacji przechowywanych w archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. Przypadki agresji wobec osób ratujących Żydów znane są również w odniesieniu do Lubelszczyzny⁵. Niezrozumienie doświadczenia osób pomagających Żydom i obojętność wobec nich były skutkiem wojny jak i sytuacji tuż powojennej.

Wspominam o tym wszystkim nie bez przyczyny. W lutym 2006 roku, jeszcze przed wydaniem oryginalnej wersji książki Grossa („Fear”) powstał reportaż lubelskiego dziennikarza Pawła Reszki pt. *Lęk Sprawiedliwych*, z którego wynikało, że poczu-

cie zagrożenia u osób zaangażowanych w ratowanie Żydów istnieje nadal⁶. Okazało się bowiem, że rodziny kilku osób mających właśnie zostać uhonorowanymi medalem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”, w obawie przed negatywnymi reakcjami ze strony otoczenia, poprosiły ambasadę izraelską, koordynującą procedurę przyznawania odznaczeń, o niepodawanie ich nazwisk do wiadomości publicznej. Można by powtórzyć: czy sprawa ta mogłaby być zrozumiała gdzieś poza Polską na początku XXI wieku? Czy po blisko półwieczu wchodzimy do tej samej rzeki? A może nigdy tak naprawdę z niej nie wyszliśmy? O fatum ciążyącym nad zagadnieniem pomocy Żydom zdaje się świadczyć brak odzewu dla inicjatywy Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” nadania jednej ze szkół na Lubelszczyźnie patronatu „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. O tym, że sytuacja w ciągu ostatnich miesięcy uległa zmianie świadczy powodzenie równoległej inicjatywy Ośrodka – którym jest właśnie oddawane do rąk Czytelnika wydawnictwo zawierające relacje kilkudziesięciu Sprawiedliwych i ich krewnych. Wszyscy respondenci, pomimo początkowych oporów i wątpliwości, wyrazili zgodę na sygnowanie swoich relacji imieniem i nazwiskiem. Wielka w tym zasługa autorów i realizatorów tego projektu. Udało im się bowiem nie

tylko zebrać interesujący materiał źródłowy, ale również wytworzyć w rozsianych po naszym regionie Sprawiedliwych i ich potomkach poczucie dumy z własnego dziedzictwa oraz, co równie istotne, zbudować poczucie wspólnoty losów. Bo, pomimo zainteresowania publicystów i historyków tym tematem, sięgającego początku lat sześćdziesiątych, osoby ratujące Żydów i honorowane przez Instytut Yad Vashem, w przeciwieństwie do uczestników konspiracji antyniemieckiej (a po 1989 również innych grup i organizacji), nie tworzyły żadnej realnie istniejącej grupy kombatanckiej. Uprawnień kombatanckich ani w PRL, ani obecnie nie posiadają. W Polsce Ludowej sam fakt uhonorowania „obywateli PRL” przez Izrael, zwłaszcza po zerwaniu stosunków dyplomatycznych w czerwcu 1967, nie był dobrze widziany. Takie podejście nie klóciło się z instrumentalnym wykorzystywaniem kwestii polskiej pomocy Żydom. Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy powstało Polskie Towarzystwo Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Jego działalność nie ma jednak, jak się wydaje, większego wpływu na miejsce Sprawiedliwych w społecznościach lokalnych. Niejednokrotnie Sprawiedliwi mieszkający w tej samej okolicy nie mieli pojęcia o swoim istnieniu.

W ostatnich latach jesteśmy świadkami działań podejmowanych przez różne środowiska i instytucje, zmierzających do uhonorowania Polaków pomagających Żydom, wydobywania ich czynów z zapomnienia i wprowadzenia do polskiej pamięci zbiorowej. Niektóre z takich inicjatyw wyrastają z autentycznej potrzeby, choćby zadośćuczynienia za

wieloletnie zaniedbania. Inne z kolei mają charakter wybitnie koniunkturalny, będąc obliczone albo na uzyskanie doraźnych, albo długofalowych korzyści politycznych. Zgodnie z takim schematem interpretacyjnym pomoc Żydom i Polakom pochodzenia żydowskiego w okresie niemieckiej okupacji była zjawiskiem powszechnym, zaś „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata” są eksponentami postawy całego społeczeństwa.

Prezentowany tom nie powstał na zamówienie takiej czy innej „polityki historycznej”. Jego bohaterami są w znakomitej większości mieszkańcy lubelskiej prowincji. Ich relacje zostały sporządzone w oparciu o starannie opracowany kwestionariusz badawczy. Pomimo ogromnego dystansu czasowego od opisywanych wydarzeń, co często ma wpływ na wartość poznawczą takich przekazów, publikowane w tym tomie wypowiedzi mają niekwestionowany walor autentyczności. Pojawia się w nich całe spektrum tematów; autorzy relacji mówią o motywacjach swoich rodziców i krewnych, a niekiedy także własnych, które leżały u podstaw podjęcia decyzji o pomocy Żydom, okolicznościach, w jakich dochodziło do kontaktów z Żydami, warunkach ukrywania, czy wreszcie różnorodnych lękach, zagrożeniach i niebezpieczeństwach. Co nie mniej istotne, z tych przekazów dowiadujemy się też o klimacie panującym wokół ukrywania Żydów w czasie okupacji i po jej zakończeniu. A wreszcie o powojennych losach Sprawiedliwych, ich kontaktach z rozsianymi po świecie podopiecznymi.

Lektura tych relacji z pewnością nie pozostawi nikogo obojętnym.

¹ *Dzieci oskarżają*, Kraków-Lódź-Warszawa 1947, s. XXXII.

² Sz. Datner, *Walka i zagłada Białostockiego getta*, Łódź 1946, s. 14, 22, 48.

³ *Dzieci oskarżają*, s. 133.

⁴ Zob. A. Bikont, *My z Jedwabnego*, s. 253–254.

⁵ Niezwykle zasłużony mieszkaniec wsi Dubicze, gm. Konstantynów, pow. Biała Podlaska, Wacław Szpura, który zorganizował schronienie dla 30 osób, został zamordowany po wojnie przez „nieznanych sprawców”. Pozostawił żonę i pięcioro dzieci (Zob. AŻIH, 301/1092, Relacja Leiba Hoffmana). Stanisław Sobczak z Frampola w 1945 r. został obrabowany i pobity za przechowywanie Żydów. Jego córka czuła się zagrożona jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych (zob. ibidem, 301/6310). Sobczak został wyróżniony medalem „Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata” już w 1969 r.

⁶ P. Reszka, *Lęk sprawiedliwych*, „Gazeta Wyborcza” nr 39, dodatek „Duży Format” nr 7, 13 II 2006.

D E U T S C H

Der Band, der jetzt der Öffentlichkeit präsentiert wird, erscheint ein paar Monate nach der Debatte um die polnische Ausgabe des Buches „Strach“ von J.T. Gross (amerikanischer Originaltitel „Fear“, A.d.Ü.). Gross' Ausgangspunkt war weder das antisemitische Klima der ersten Nachkriegsmonate noch die Gewaltakte gegen eine Handvoll übrig gebliebener Juden, sondern die Ambivalenz, mit der das Umfeld den Polen begegnete, die an der Rettung von Juden beteiligt gewesen waren. Gross' Herangehensweise löste bei Maria Hochberg-Mariańska Verwunderung aus. Sie hatte 1946 in der Einführung zu einer Sammlung von Berichten jüdischer Kinder bezeichnend festgestellt: „In vielen Aussagen werden die Namen von den Menschen erwähnt, die jüdische Kinder retteten, in anderen werden nur die

Initialen angegeben. Warum, wenn doch die Namen bekannt sind?“. Um mit Bedauern zu konstatieren: „Ich weiß nicht, ob das jemand außerhalb Polens begreift und die Tatsache versteht, dass die Rettung eines von Verbrechen gejagten schutzlosen Kinderlebens Scham und Schande über jemanden bringen oder jemandem Unannehmlichkeiten bereiten kann“¹. Das war keine vereinzelte Stimme. Szymon Datner, ein Mitarbeiter der Jüdischen Historischen Kommission Białystok, (poln. Żydowska Komisja Historyczna; ein Organ des Zentralkomitees der Juden in Polen von 1944–1947; Vorläufer des Żydowski Instytut Historyczny (des Jüdischen Historischen Instituts; A.d.Ü.), nährte die Hoffnung, dass diejenigen, die bereit waren Juden zu helfen, in Zukunft eine besondere Auszeichnung, der „Orden der Menschlichkeit“ (poln. „Order Człowieczeństwa“) verliehen werden wird, warnte aber zugleich: „einst werden die Namen der Menschen mit goldenen Buchstaben in die Geschichte des polnischen Volkes eingehen, doch jetzt kann man sie noch nicht veröffentlichen. Diese Menschen sind genau wie die geretteten Juden Gegenstand der Verfolgung (...). Einige von ihnen bezahlten für ihr edles Tun mit ihrem Leben“². In einem der Berichte aus einer Ortschaft der Wojewodschaft Białystok, der in dem Band von Hochberg-Mariańska enthalten ist, lesen wir: „Ein Bauer sagte, dass, wenn er wüsste, wer Juden versteckte, er diesen Menschen sofort umbringen würde“³. Das Schicksal von Antonina Wyrzykowska zeugt davon, dass es sich hier nicht um leere Versprechen handelte. Wyrzykowska hatte sieben Juden aus Jedwabne gerettet und wurde unter dem Druck der örtlichen Bevölkerung, die an den Juden-

morden 1941 beteiligt gewesen war, zum Verlassen ihrer Heimat gezwungen⁴. Nach dem Krieg eingereichte Berichte, die im Archiv des Jüdischen Historischen Instituts (poln. Żydowski Instytut Historyczny) aufbewahrt werden, verdeutlichen, dass es sich hier nicht nur um ein lokales Problem handelte. Fälle von gewalttätigen Übergriffen auf Personen, die Juden gerettet hatten, sind auch aus der Lubliner Region bekannt⁵. Unverständnis gegenüber den Erlebnissen und Erfahrungen der Retter sowie Gleichgültigkeit ihnen gegenüber waren Folgen des Krieges wie auch der unmittelbaren Nachkriegssituation. Ich erinnere an all das nicht ohne Grund. Im Februar 2006, noch vor der Ausgabe der Originalversion von Gross' „Fear“, entstand die Reportage „Łęk Sprawiedliwych“ (deutsch: „Die Furcht der Gerechten“, A.d.Ü.) des Lubliner Journalisten Paweł P. Reszka, aus der hervorgeht, dass das Gefühl der Bedrohung bei Personen, die an der Rettung von Juden beteiligt waren, weiterhin besteht⁶. Es zeigte sich nämlich, dass einige Familien der Personen, die mit der Medaille „Gerechter unter den Völkern“ ausgezeichnet werden sollten, die israelische Botschaft, die die Prozedur zur Verleihung der Auszeichnungen koordiniert, darum gebeten hatten, ihre Namen nicht an die Öffentlichkeit zu geben. Man kann nur wiederholen: Wie könnte man eine solche Sache außerhalb Polens zu Beginn des 21. Jahrhunderts überhaupt verstehen? Schlagen wir fast ein halbes Jahrhundert später wieder dieselben Wege ein? Oder sind wir überhaupt jemals von ihnen abgewichen? Von dem Fluch, der auf der Tatsache der Judenrettung zu liegen scheint, zeugt, dass eine Reaktion seitens einer Schule aus

der Region Lublin, der das Zentrum „Brama Grodzka – Teatr NN“ angetragen hatte, den Titel „Gerechte unter den Völkern“ zu führen, ausblieb. Davon dass sich die Situation in den vergangenen Monaten geändert hat, zeugt der Erfolg der Parallelinitiative des Zentrums – eben dieser Veröffentlichung von über 50 Berichten von „Gerechten“ und ihren Nachkommen. Alle Gesprächspartner haben sich trotz anfänglichen Widerstandes und anfänglicher Zweifel bereit erklärt, ihre Berichte mit Vor- und Nachnamen zu unterzeichnen. Vieles ist dabei den Autoren und Durchführenden dieses Projektes zu verdanken. Es gelang ihnen nämlich nicht nur interessantes Quellenmaterial zusammenzutragen, sondern auch das Gefühl von Stolz auf das eigene Handeln sowie, was genau so wichtig ist, das Gefühl einer Schicksalsgemeinschaft unter den in unserer Region verstreuten „Gerechten“ und ihren Nachfahren hervorzurufen. Obwohl sich Publizisten und Historiker für dieses Thema seit Anfang der 60er Jahre interessiert hatten, bildeten die Judenretter und Personen, die von Yad Vashem ausgezeichnet worden waren, im Gegensatz zu Mitgliedern der Untergrundbewegung gegen die Deutschen (und nach 1989 auch anderer Gruppen und Organisationen), nie eine eigene real existierende Gruppe von Kombattanten. Sie besaßen weder zur Zeit der Volksrepublik noch jetzt Veteranenstatus. Im kommunistischen Polen war schon die Ehrung eines „Bürgers der Volksrepublik“ durch Israel, besonders nach Abbruch der diplomatischen Beziehungen im Juni 1967, nicht gern gesehen. Eine solche Einstellung har-

monierte nicht mit der instrumentalisierten Nutzung der Frage zur polnischen Hilfe an Juden. Die Situation änderte sich erst gegen Ende der 80er Jahre, als die „Polnische Gesellschaft der Gerechten unter den Völkern“ (poln. Polskie Towarzystwo Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata) entstand. Ihre Tätigkeit hat aber, so scheint es, keine große Auswirkung auf den Wohnort der Gerechten und den näheren Umkreis. Mehrmals wussten Gerechte aus derselben Gegend nichts von ihrer gegenseitigen Existenz.

In den letzten Jahren werden wir Zeuge von Aktionen verschiedener Organisationen und Institutionen, die polnischen Juden Helfern zu einer Ehrung verhelfen, ihre Namen vor dem Vergessen bewahren und in das kollektive Gedächtnis der Polen einschreiben wollen. Einige dieser Initiativen entstehen aus echter Notwendigkeit, sei es auch eine Wiedergutmachung für langjährige Versäumnisse. Andere Aktionen dieser Art haben ausgesprochen konjunkturellen Charakter, die nach ihrem kurz- oder längerfristigem politischen Nutzen bewertet werden. Mit einem solchen Interpretationsmuster war die Hilfe an Juden und an Polen jüdischer Herkunft während der deutschen Besatzung ein allgemeines Phänomen, wogegen die „Gerechten unter den Völkern“ Aushängeschilder für die gesamte Bevölkerung sind.

Der vorliegende Band entstand nicht auf Bestellung einer solchen oder anderen „Geschichtspolitik“. Die Hauptpersonen des Bandes sind mit großer Mehrheit Einwohner aus der Provinz der Region Lublin. Die enthaltenen Berichte wurden mit Hilfe eines sorgfältig ausgearbeiteten wissenschaftlichen Fragenkatalogs erstellt. Trotz der

großen zeitlichen Distanz, die häufig einen Einfluss auf den Erkenntniswert solcher Überlieferungen hat, haben die in diesem Band veröffentlichten Aussagen eine zweifellos hohe Authentizität. Sie zeigen das ganze Themenspektrum: die Autoren der Berichte sprechen über die Motivation ihrer Eltern und Verwandten und seltener auch über ihre eigene, die der Entscheidung zugrunde lag, Juden Hilfe zu leisten. Ebenso sprechen sie über die Umstände, in denen sie Kontakte zu Juden aufnahmen, über die Bedingungen des Versteckens und letztendlich auch über vielfältige Ängste, Bedrohungen und Gefahren. Wir erfahren darüber hinaus auch einiges über die während der Besatzungszeit und danach vorherrschende Atmosphäre, als man Juden versteckte. Und schließlich auch über die Nachkriegsschicksale der Gerechten und ihre Kontakte zu ihren in alle Welt verstreuten Schützlingen.

Die Lektüre dieser Berichte wird mit Sicherheit niemanden unberührt lassen.

¹ *Dzieci oskarżają*. Kraków-Lódź-Warszawa 1947, S. XXXII.

² Sz. Datner, *Walka i zagłada Białostockiego getta*, Łódź 1946, S. 14, 22, 48.

³ *Dzieci oskarżają*. S. 133.

⁴ s. A. Bikont: *My z Jedwabnego*, S. 253–254.

⁵ Der ungewöhnlich verdienstvolle Bewohner des Dorfes Dubicze, in der Gemeinde Konstantynów (poln. gmina Konstantynów) im Kreis Biała Podlaska (poln. powiat Biała Podlaska), Herr Wacław Szpura, der eine Unterkunft für 30 Personen organisiert hatte, wurde nach dem Krieg von „unbekannten Tätern“ ermordet. Er hinterließ seine Frau und fünf Kinder (s. AŻIH, 301/1092, Bericht von Leib Hoffman). Stanisław Sobczak aus Frampol wurde 1945 wegen der Beherbergung von Juden ausgeraubt und niedergeschlagen. Seine Tochter fühlte sich noch in der Mitte der Acht-

ziger Jahre bedroht (s. ibidem, 301/6310). Sobczak wurde schon 1969 mit der Medaille „Gerechter unter den Nationen“ ausgezeichnet.

⁶ P. Reszka: *Lęk Sprawiedliwych*, in: „Gazeta Wyborcza” Nr. 39, Beilage „Duży Format” Nr. 7, 13.02.2006.

ENGLISH

The book in your hands was written several months after a discussion in Poland, about Jan T. Gross's "Fear". His starting point, which not too many of his critics noticed, was not the anti-Semitic climate in the months following the war, nor the acts of violence against the handful of Jews still living, but it was the ambivalence surrounding the Poles who decided to help the Jews. Gross surprised Maria Hochberg-Mariańska who, in 1946, notes in her introduction to a collection of testimonies by Jewish children, the significant fact that "the names of people who saved Jewish children are not mentioned in many of these testimonies, in others only initials were used. Why – if the names were known?" Then she adds with sadness "I don't know if any person from beyond the borders of Poland will be able to understand that saving a defenseless child persecuted by criminals can result in one being covered with shame and humiliation, or may bring other negative consequences"¹. She was not alone in arriving at such an opinion. Szymon Datner, working for the Jewish Historical Commission in Białystok, expressed the hope that those who helped Jews will someday receive a special order – "The Order of Humanity", but warned that "those whose names will be

written in gold on the pages of Polish history are not yet ready to be published. They are on the same level of danger from persecution as the Jews they saved (...). Several of them have paid with their lives for their nobility”². In one of the testimonies from the volume edited by Hochberg-Mariańska, relating to a place in Białystok Province, we can read, “One villager said that if he knew who had hidden a Jew, he would kill that person right away”³. Proof that such threats were not baseless can be found in the story of Antonina Wyrzykowska who saved seven Jews in Jedwabne and was forced to leave her home town by members of the local community who took part in the murder of Jews in the Summer of 1941⁴. Post-war testimonies of Jews from the archives of the Jewish Historical Institute (in Warsaw) show that this was not a local problem. Examples of aggression against those who saved Jews are also known to have occurred in the land of Lublin⁵. The lack of understanding about the experiences of people who helped Jews is a result of the war and the situation immediately after the war.

I mention this not without cause. Before the release of the original English version of Gross’s “Fear”, Paweł Reszka, a Lublin journalist, wrote an article entitled “Fear of the Righteous”, where one is led to believe that those who saved Jews still feel threatened⁶. As it turned out, several families of people named “The Righteous Among the Nations”, asked the Israeli Embassy not to publish their names for fear of a negative reaction from their neighbors. We can ask again – could this situation be explained somewhere outside Poland at the beginning

of the 21st century? Is it possible that we are wading into the same muddy, murky river after almost half a century? Maybe we really never got out of that river in the first place? Another shadow on the subject of helping Jews is cast by the lack of response to a proposal by the “Grodzka Gate – NN Theatre” Centre to patronize a school in Lublin province, in the name of “The Righteous Among the Nations”. Evidence, however, that the situation has changed in the last months, lies in the success of another project of The Centre which is this collection of testimonies of tens of Righteous and their families. Despite initial objections and doubts, all of the respondents agreed to have their full names published. Credit for this is due the authors and creators within this project. They succeeded not only in gathering interesting source material, but they also created a sense of pride and common history for the Righteous and their families scattered throughout the Lublin region. Despite the opinion and recommendation of publicists and historians in this subject since the 60’s, those who saved Jews and were honoured by Yad Vashem – unlike those who participate in the anti-Nazi-German underground, and (after 1989) other anti Nazi organizations – never constituted a significant veterans’ group. To this day, they do not receive any veterans’ benefits – even though the regime has changed. In People’s Poland (prior to 1990), it was not well looked upon for a citizen to be honoured by Israel, especially after diplomatic ties were severed in June of 1968. Of course, this approach did not hinder the instrumental use of the issue of helping Jews. This situation began to change to-

wards the late eighties with the creation of the Polish Association of Righteous Among the Nations. Yet, their efforts appear to have no effect on the position of the Righteous within local communities. Very often the Righteous living in the same area, had no idea of each other’s existence.

In recent years, we have seen different groups of people and institutions make an effort to honour Poles who helped Jews, by retelling their stories and including them in the Polish collective memory. Some of these initiatives are born out of the need to make up for years of neglect. Others are distinctly political in character, intended to meet short or long-term goals. According to this mold, assistance given to Jews and Poles of Jewish decent during the German occupation, was an everyday occurrence, and the Righteous Among the Nations illustrate the state of the entire Polish society.

This book was not written to satisfy this or that political need. Its heroes are mostly inhabitants of the Lublin countryside. Their interviews are based on a clearly defined exploratory questionnaire. Despite the enormous time lapse between now and when the events unfolded, which often greatly affects their educational value, the testimonies in this volume have the value of authenticity. We can find here a wide spectrum of subjects. The respondents speak of their motivations, and of the motivations of their parents and relatives which lay at the basis of their making their decision to help Jews, of how they came into contact with the Jews, the conditions of the hiding places, and finally

about various fears, risks, and dangers in undertaking their noble work. No less important, from these interviews, we can feel the atmosphere surrounding the hiding of Jews during and after the occupation. Finally, we see the post-war histories of the Righteous and their contacts with those they cared for – who are now scattered throughout the world. These testimonies will certainly have an effect on all those who read them.

¹ *Dzieci oskarżają*, Kraków-Lódź-Warszawa 1947, page XXXII.

² Sz. Datner, *Walka i zagłada Białostockiego getta*, Łódź 1946, pages 14, 22, 48.

³ *Dzieci oskarżają*, page 133.

⁴ see A. Bikont, *My z Jedwabnego*, pages 253–254.

⁵ Wacław Szpura, a highly distinguished resident of the village of Dubieże, Konstantynów Municipality, Biała Podlaska District who organized a hiding place for thirty people, was murdered after the war by “unknown assailants”. He left behind a wife and five children (see Jewish Historical Institute Archives, 301/1092, testimony of Leib Hoffman). In 1945,

Stanisław Sobczak from Frampol was robbed and beaten for hiding Jews. His daughter still felt threatened in the mid-eighties (see *ibid.*, 301/6310). Sobczak was awarded the title “The Righteous Among the Nations”, in 1969.

⁶ P. Reszka, *Lęk sprawiedliwych*, “Duży Format” nr 7, 13 II 2006.

LUDZKIE OPowieści O WOJNIE ZEUGENBERICHTE ÜBER DEN ZWEITEN WELTKRIEG HUMAN STORIES ABOUT WAR

Historia opowiadana przez ludzi, którą naukowo określa się historią mówioną, ma tradycje sięgające początków ludzkości. To właśnie z opowiadań snutych przez starszych rodów czy klanów układano później całe dzieje poszczególnych ludów. Historia mówiona w różnych formach przetrwała do obecnych czasów. Opowieści przekazywane przy okazji rodzinnych spotkań czy spotkań grupy znajomych, którym w przeszłości przyszło uczestniczyć w różnych wydarzeniach, nawet marginalnych, z punktu widzenia naukowej przeszłości, są też pewnym elementem historii mówionej. Na świecie wykorzystuje się historie prywatne, opowiedziane i nagrane w różny sposób, do wnikliwych badań nad dziejami nie tylko niewielkich społeczności czy rodzin, ale całych społeczeństw. Proces ten ma też już swoją historię i bogatą literaturę.

W Polsce wydaje się, że pomimo jeszcze przedwojennych tradycji historii mówionej, na wiele lat w okresie PRL zahamowano pozyskiwanie informacji metodą przeprowadzanych wywiadów. Władze komunistyczne miały własną wizję przeszłości, przede wszystkim tej najnowszej, i każdy przekaz indywidualny mógłby z łatwością tę wizję dziejów zburzyć. Nie znaczy to, że w jakichś formach historia mówiona nie przetrwała. W przypadku Polski tkwiła ona bardzo mocno w społeczeństwie i była alternatywnym dla państwowego źródłem wiedzy o przeszłości. Być może nie była ona spisywana czy nagrywana na szerszą skalę, ale wszelkie opowieści rodzinne, zwłaszcza z czasów przedwojennych i II wojny światowej, przyczyniły się do pogłębienia świadomości o przeszłości wśród wielu Polaków. To właśnie te rodzinne rozmowy spowodowały, że

wiele osób ze zdrowym dystansem podchodziło do oficjalnie serwowanej propagandy i wizji dziejów. Jednakże nie znaczy to, że w gronie rodzinnym opowiadano o wszystkim i że wszystkie przekazy nastrajały do krytycznego podejścia do przeszłości. Tak było chociażby z wieloma prywatnymi opowieściami o przeżyciach wojennych i okupacyjnych. Nie o wszystkim też opowiadano w rodzinnym gronie. Jedne tematy były zbyt drażliwe, inne znowu zbyt wstydliwe.

Do instytucjonalnego odrodzenia *oral history* doszło już pod koniec epoki komunizmu, a rozwój nastąpił po 1989 roku (dyskutować można czy bujny rozwój?). Materiały zbierane przez Archiwum Wschodnie, muzea istniejące w miejscach pamięci, różne organizacje kombatanckie czy w ogóle instytucje zainteresowane przeszłością, a nawet instytucje zagraniczne (Muzeum Holocaustu

w Waszyngtonie, Shoah Visual Foundation, które przeprowadzały nagrania na własne potrzeby również w Polsce) stały się podstawą wcale bogatych kolekcji wywiadów, a także publikacji, opartych na tym źródle.

Dla wielu wydarzeń, zwłaszcza okupacyjnych, historia mówiona jest jednym z podstawowych źródeł informacji o przeszłości. Wiele faktów nie ma w ogóle odbicia w oficjalnych dokumentach, które zostały wytworzone przez władze okupacyjne, instytucje, które działały oficjalnie pod okupacją niemiecką (czy sowiecką na terenach wschodnich), a nawet przez organizacje konspiracyjne. Wydawałoby się, że czasami błahе wydarzenia, o których nie przeczyta się w źródłach archiwalnych, nie powinny mieć znaczenia dla obrazu przeszłości okupacyjnej – pogląd taki, niestety pokutuje u niektórych poważnych nawet historyków. Jednakże pamięć ludzka przechowywała wiele ważnych i mniej ważnych informacji, które dopiero po ujawnieniu ich okazują się bardzo istotne dla badania wojennej przeszłości.

Na początku lat 80. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie wydał pracę zawierającą protokoły posiedzeń Rady Żydowskiej w Lublinie. Jest to dokumentacja oficjalna, która mogła być kontrolowana przez okupanta, ale pokazująca też skomplikowaną sytuację i położenie ludności żydowskiej w lubelskim getcie¹. W czasie jednego z pierwszych, przeprowadzanych przeze mnie wywiadów, Sujka Erlichman-Bank, ocalała z getta lubelskiego, stwierdziła:

Nie zapominaj, że jest to oficjalny dokument. Rzeczywistość była o wiele bardziej złożona i trudna. Ci panowie z Judenratu nie o wszystkim, o czym rozmawiali na

posiedzeniach, mogli napisać. Nie napisali o tragediach ludzkich, bo nie mogli (...)².

Pamięć o tragediach ludzkich w czasie wojny, tych niezapisanych w oficjalnych źródłach, jest podstawą większości wywiadów nagrywanych w ramach historii mówionej. Przewija się to przez każdą rozmowę ze świadkiem czy ocalałym z Zagłady³. Historie, które przyszło mi zbierać wśród starszych ludzi, dotyczyły przeważnie wydarzeń, które miały miejsce podczas II wojny światowej na Lubelszczyźnie. Rozmowy z nimi były niejednokrotnie jak przekopywanie się w pamięci w poszukiwaniu rzeczy, do których wiele osób nie chciało wracać. Dotyczyły one przeważnie Zagłady Żydów i stosunków polsko-żydowskich, a także bardzo często polskiego spojrzenia na Zagładę. Nigdy nie były to proste rozmowy.

Bardzo często okazywało się, że o Żydach w czasie wojny wiele osób opowiadało po raz pierwszy. Ten temat nie był poruszany w czasie spotkań rodzinnych. Trzeba było go wywołać. Wiele osób opowiadało, że nigdy nie mówiły o tym, co widziały z okien swoich domów, gdy Niemcy mordowali Żydów, bo było to tak wstrząsające, że nie nadawało się do rozmów rodzinnych. Niektórzy wręcz stwierdzali, że nie chcieli wracać do tego tematu sami, bo był zbyt tragiczny, a czasami wręcz wydawał się im nawet niewiarygodny. Tylko nieliczni mówili, że swoimi wspomnieniami dzielili się ze swoimi dziećmi, „bo one powinny o tym wiedzieć i pamiętać”, ale w rozmowach z najbliższymi i tak nie wspominali o najdrastyczniejszych wydarzeniach, których przyszło im być świadkami⁴.

Były też inne historie – wspomnienia o postawach sąsiadów. Nie zawsze to, co ludzie

pamiętali, nadawało się według nich do przekazu publicznego, a takim przekazem było właśnie spotkanie rodzinne.

To, co jest pozostałością historiografii komunistycznej i niestety postawa taka jest powielana do dzisiaj, nawet przez instytucje, które mają zajmować się kwestiami pamięci, to złożony problem postaw Polaków w czasie okupacji. Do dzisiaj pokutuje stereotyp, że Polacy mogli być tylko albo bohaterami, albo ofiarami w okresie okupacji niemieckiej (sowieckiej także). Odstępstwo od tego stereotypu ciąży na przekazach opowiadanych w domach. Dopiero podczas wywiadu, przeprowadzanego w bardziej profesjonalny sposób, okazuje się, że postawy wobec różnych sytuacji okupacyjnych (niekoniecznie związanych nawet z eksterminacją Żydów) wcale nie były ani heroiczne, ani nie musiały się kończyć ofiarą. Oficjalnie w historiografii polskiej nie ma zjawiska kolaboracji, a rzeczywistość wyglądała bardzo różnie. Były całe grupy osób, które w mniejszym lub większym stopniu współpracowały z okupantem i które traktowały prawodawstwo okupacyjne jako legalne – kwestia donosicielstwa, niejednokrotnie premiowana przez Niemców, być może nie była należycie udokumentowana, ale pojawia się w trakcie wywiadów ze świadkami. Podobnie jest, gdy w wywiadzie świadkowie wspominają, że były osoby, które bardzo mocno skorzystały na dobrych kontaktach z okupantami i niekoniecznie przy tym musiały podpisywać np. volkslistę. Takim delikatnym tematem, który ujawnia się dopiero po dokładniejszym wywiadzie, jest nieodłącznie korzyść majątkowa, jaką

wiele osób zyskało w momencie deportacji Żydów z danej miejscowości czy chociażby w sytuacji udzielania pomocy Żydom. Ktoś zajął żydowskie mieszkanie, inny korzystał na tym, że handlował z Żydami lub ich ukrywał. Publicznie na te tematy się nie rozmawia, ale pojawiają się one wtedy, gdy padają pytania o kontakty z Żydami czy reakcje na fakt ich zagłady.

Inną zupełnie kwestią jest, że ktoś sprzedawał żywność Żydom, co było w świetle ustawodawstwa okupacyjnego przestępstwem karanym śmiercią, a już zupełnie inną, gdy wykorzystywał sytuację ludzi zamkniętych w gettach czy obozach, by się dorobić. Jedna z osób, która wspominała fakt szmuglowania żywności do obozu pracy w Trawnikach, stwierdzała:

Ryzyko miało swoją cenę, zwłaszcza ryzyko utraty życia. Wiedzieliśmy o tym my i wiedzieli o tym Żydzi z obozu⁵.

Częściej jednak pojawiała się kwestia, że ktoś się dorobił na nieszczęściu Żydów i że wcale nie było to trudne do wykonania, ani nawet ryzykowne⁶.

O różnych postawach ludzi w czasie okupacji można dowiedzieć się jedynie na podstawie zbierania wywiadów. Jednakże tutaj także na przeprowadzającego wywiad czyhają pewne pułapki. Nie zawsze osoba, która udziela informacji, chce o tym opowiadać. Pojawia się kwestia okupacyjnego strachu – opowiem o takiej sytuacji i będę miał/a z tego powodu kłopoty. Wszak krewni ludzi, którzy dopuścili się haniebnych czynów, żyją w mojej miejscowości⁷. Nikt też w okresie powojennym publicznie nie powiedział, że czyny takie powinny być powszechnie potępiane. Takiego dogłębnego

rozliczenia z przeszłością wojenną w Polsce nigdy nie przeprowadzono i to utrzymało się w powszechnej świadomości.

Istnieje jeszcze kwestia pamięci. Inaczej wygląda wywiad z osobą, która opowiada o pewnych zdarzeniach po raz pierwszy w życiu, bo nie miała okazji lub nie chciała o nich opowiadać wcześniej. Inaczej też jest, gdy wydarzenie jest znane i opisane w literaturze. Jeszcze inaczej wygląda to w przypadku, gdy natrafiamy na przekaz rodzinny utrwalany przez pokolenia. Inne szczegóły wreszcie pamiętają kobiety, jeszcze inne mężczyźni. Osoba, która zapamiętała pewne wydarzenia, będąc dzieckiem, będzie opowiadała o nich z pozycji dziecka. Coraz częściej w przypadku historii mówionej osoba przeprowadzająca wywiad będzie miała do czynienia z osobami, które były bardzo młode w okresie wojny lub z wywiadami osób urodzonych już po wojnie. Będzie to wtedy historia wtórna. Po ponad 60 latach od zakończenia wojny świadków jej jest coraz mniej. Ich pamięć jest również zawodna. Prawdopodobnie najważniejszą kwestią przy przeprowadzaniu wywiadów będzie pytanie nie o to, co ludzie pamiętają, ale jak pamiętają. Podobnie jest w przypadku wywiadów z osobami, które otrzymały medale i tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Coraz częściej są to dzieci tych osób, które bezpośrednio były zaangażowane w ratowanie Żydów. Niejednokrotnie z powodów bezpieczeństwa dzieci nie były wprowadzane we wszystkie szczegóły. Nie o wszystkim je informowano. Podobnie jest z osobami, które zostały uratowane – są to najczęściej w ostatnich czasach ludzie, którzy zostali uratowani jako dzieci. Ich pamięć jest nie-

pełna. Nawet jeśli osoby te uratowały się z rodzicami czy z jednym z rodziców, po wojnie bardzo często w domach do tematyki tej nie wracano, jak to często powtarzano: „dla dobra dziecka”. Nie wszystkie szczegóły można dzisiaj poznać. Nie o wszystkim też ludzie chcą opowiadać. Tym bardziej jest cenne to, że w ogóle chcą coś na ten temat powiedzieć.

¹ Oryginał tych dokumentów przechowywany jest w Archiwum Państwowym w Lublinie w ramach zespołu Rada Żydowska w Lublinie 1939–1942.

² Wywiad z Sujką Erlichman-Bank przeprowadzony w maju 1995 roku w Afuli (Izrael). W zbiorach autora.

³ Należy pamiętać, że każdy ocalały był też świadkiem Zagłady.

⁴ Z takimi postawami zetknąłem się w Izbie, gdzie miejscowe gimnazjum zorganizowało projekt zbierania przez uczniów wywiadów z dziadkami na temat przeszłości tego miasteczka. Okazało się, że dziadkowie chętnie dzielili się wspomnieniami ze swoimi wnukami, ale gdy dochodziło do pytań o okupacyjne losy Żydów izbieckich wielu z nich odmawiało odpowiedzi, stwierdzając, że nastolatki są zbyt młodzi, by opowiadać im o drastycznych wydarzeniach mających miejsce w czasie kolejnych deportacji do obozów zagłady. Niektórzy z nich prosili, by na taki wywiad przyszła osoba dorosła. Sami nauczyciele, którzy byli autorami projektu, nie czuli się też na tyle kompetentnymi, żeby przeprowadzać takie wywiady. Stąd też zwrócili się do Państwowego Muzeum na Majdanku, by z tej instytucji mogła przyjechać jakaś kompetentna osoba, która będzie wiedziała, jak rozmawiać na te tematy. Rzeczywiście starsi mieszkańcy Izby byli świadkami tak potwornych zbrodni, że nawet osobie przyzwyczajonej do tej tematyki trudno było zapanować nad emocjami. Projekt realizowany był w 2003 roku przez Gimnazjum Publiczne w Izbie.

⁵ Wywiad ze Stanisławem Krajewskim z Trawnika, kwiecień 1998 roku, w zbiorach autora.

⁶ Pani Halina Błaszczyk, posiadająca medal i tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, wspominała w wywiadzie, że była świadkiem, jak zaraz po depor-

tacji pewnej grupy Żydów z Izbicy jeden z sąsiadów odprowadził na posterunek niemiecki żydowskie dziecko, które tego samego dnia przyprowadziła do niego matka. Jednocześnie matka oddała temu człowiekowi walizkę, w której były jakieś rzeczy. Dziecko zostało odprowadzone na posterunek, ale już bez rzeczy. Wywiad z Haliną Błaszczyk, Izbica 2003 rok, w zbiorach autora.

⁷ Tak jest w wielu przypadkach z wywiadami przeprowadzonymi ze Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Ludzie ci do dzisiaj, wiedząc o tym, że donosił na nich ktoś z sąsiadów, nie chcą ujawniać nazwisk tych ludzi, bo żyją obok nich lub ich rodzin. Podobnie jest wtedy, gdy świadkowie mówią o przypadkach ewidentnych zabójstw na Żydach, dokonywanych przez Polaków, a nie Niemców. O fakcie wspominają, ale nie o osobach, które dopuścili się zbrodni.

DEUTSCH

Mündlich überlieferte Geschichte, die in Fachkreisen als Oral History bezeichnet wird, reicht bis in die Anfänge der Menschheit zurück. Das sind die Erzählungen und Legenden der älteren Geschlechter und Clans, aus denen später die gesamte Historie der einzelnen Völker entstand. Die Oral History hat in verschiedenen Formen bis in die heutige Zeit überdauert. Zum festen Bestandteil von Oral History gehören auch Erzählungen, die bei Familientreffen oder bei Zusammenkünften von Bekannten bei verschiedenen Gelegenheiten übermittelt werden – sogar, wenn sie aus wissenschaftlicher Sicht nur von marginaler Bedeutung sind. Auf der ganzen Welt nutzt man private Geschichte, die auf verschiedene Weise erzählt und aufgezeichnet wurde, nicht nur für eingehende Untersuchungen zur Geschichte kleinerer Gemeinschaften oder Familien, sondern auch

ganzer Gesellschaften. Diese Vorgehensweise hat bereits ihre eigene Geschichte und eine reichhaltige Literatur.

In Polen kam es, trotz der Vorkriegstradition der Oral History, während der kommunistischen Zeit der Volksrepublik zu einer starken Einschränkung dieser Forschungsmethode, insbesondere bei der Zeitzeugenbefragung. Die kommunistischen Machthaber hatten ihre eigene Sicht auf die Vergangenheit, insbesondere auf die jüngste. Jede individuelle Darstellung hätte mit Leichtigkeit ihre Sicht der Geschichte zu zerstören vermocht. Das bedeutet jedoch nicht, dass Oral History nicht doch auf irgendeine Weise fortbestanden hätte. Im Falle Polens war sie sehr fest in der Gesellschaft verankert und bildete im Gegensatz zur staatlichen eine alternative Quelle zur Erkenntnisgewinnung über die Vergangenheit. Möglicherweise wurde sie nicht in großem Maße aufgezeichnet oder auf Tonträger aufgenommen, aber jegliche Erzählungen in den Familien, insbesondere jene aus der Vorkriegszeit und der Zeit des Zweiten Weltkrieges, trugen dazu bei, das Bewusstsein gegenüber der Vergangenheit bei vielen Polen zu vertiefen. Eben jene Gespräche in den Familien führten dazu, dass viele Personen der offiziell verbreiteten Propaganda und der Sicht der Geschichte mit einer gesunden Distanz gegenüberstanden. Das heißt allerdings nicht, dass im Kreise der Familie über alles gesprochen wurde und dass alle Überlieferungen zu einer kritischen Einstellung gegenüber der Vergangenheit führten. So verhielt es sich beispielsweise mit vielen Erzählungen von Privatpersonen über ihre Erlebnisse während der Kriegs- und Besatzungszeit. Es wurde

auch nicht über alles im Kreise der Familie gesprochen. Einige Themen waren zu heikel, andere wiederum zu beschämend.

Zur institutionellen Wiedergeburt der Oral History kam es schon gegen Ende der kommunistischen Ära; ihre Weiterentwicklung folgte nach 1989 (Man kann diskutieren, ob es nicht eine sehr lebhafte Entwicklung war). Die vom Archivum Wschodnie (Ostarchiv), den an den Gedenkstätten existierenden Museen, den verschiedenen Widerstandsorganisationen und von anderen sich allgemein mit der Vergangenheit auseinandersetzenden Institutionen und sogar von ausländischen Institutionen (wie des Holocaust Museum in Washington, der Shoah Visual Foundation, die für ihre eigenen Zwecke Interviews und Aufnahmen in Polen durchgeführt hatte) gesammelten Materialien bildeten die Grundlage einer ganz und gar reichhaltigen Sammlung an Interviews und auch Publikationen, die sich auf diese Quellen, d.h. das Wissen aus Zeitzeugenbefragungen stützten.

Für viele Ereignisse, so insbesondere für solche aus der Besatzungszeit, ist die Oral History eine der grundlegendsten Informationsquellen über die Vergangenheit. Zahlreiche Fakten finden überhaupt kein Gegenstück in offiziellen Dokumenten, die von der Besatzungsmacht, von Institutionen, die offiziell unter deutscher Besatzung agierten (oder unter sowjetischer in den Ostgebieten) oder sogar von den Untergrundorganisationen erstellt wurden. Es kann vorkommen, dass unbedeutende Ereignisse, über die man nichts in den Quellen der Archive liest, manchmal

keine Bedeutung für das Bild über die Besatzungszeit haben sollen – eine solche Sichtweise ist sogar unter einigen seriösen Historikern verbreitet. Das kollektive Gedächtnis bewahrt jedoch viele wichtige und weniger wichtige Informationen, die sich erst nach ihrer Offenlegung als sehr wesentlich für die Erforschung der Kriegszeit herausstellen.

Zu Beginn der 80er Jahre brachte die Gedenkstätte Yad Vashem in Jerusalem eine wissenschaftliche Abhandlung heraus, die Sitzungsprotokolle des Judenrates (Rada Żydowska) in Lublin enthielt. Es handelt sich dabei um eine offizielle Dokumentation, die von den Besatzern hätte kontrolliert werden können; sie zeigt aber auch die komplizierte Situation und Lage der jüdischen Bevölkerung im Lubliner Ghetto¹. Im Verlauf eines meiner ersten durchgeführten Interviews erklärte die aus dem Lubliner Ghetto entkommene Sujka Erlichman-Bank:

*Vergiss nicht, dass das ein offizielles Dokument ist. Die Wirklichkeit war um vieles komplexer und schwieriger. Die Herren aus dem Judenrat konnten nicht alles, über das sie während ihrer Versammlungen sprachen, auch aufschreiben. Sie schrieben nicht über die menschlichen Tragödien, weil sie es nicht konnten (...)*².

Erinnerungen an menschliche Tragödien während des Krieges, die nicht in offiziellen Quellen beschrieben wurden, bilden die Grundlage für einen Großteil der Interviews, die im Rahmen der Oral History aufgezeichnet werden. Das alles zeigt sich in jedem Gespräch mit Zeitzeugen oder Überlebenden der Judenvernichtung³.

Die Geschichten und Erzählungen, die ich unter den älteren Menschen sammeln sollte,

betreffen überwiegend Ereignisse, die während des Zweiten Weltkrieges in der Lubliner Region stattfanden.

Die Gesprächspartner wurden mehrmals interviewt. Ihre Erinnerungen wurden durchforstet auf der Suche nach Dingen und Ereignissen, an die sie sich nur sehr ungern zurückerinnern wollten. Das betraf vorwiegend Dinge wie die Judenvernichtung und die polnisch-jüdischen Beziehungen, sehr oft aber auch die polnische Sicht auf die Vernichtung. Das waren nie einfache Gespräche.

Ganz oft stellte sich heraus, dass viele Personen zum ersten Mal über die Juden während des Krieges sprachen. Dieses Thema wurde bei Familientreffen nie angerührt. Man musste es erst wachrufen. Viele Personen sagten, dass sie nie darüber gesprochen hatten, was sie aus den Fenstern ihrer Häuser sehen konnten, als die Deutschen die Juden ermordeten. Das war so schockierend und eignete sich nicht für Gespräche innerhalb der Familie. Einige erklärten sogar, dass sie sich nicht allein mit diesem Thema auseinandersetzen wollten, da es zu tragisch gewesen oder ihnen manchmal sogar einfach als unglaublich vorgekommen sei. Nur einige wenige sagten, dass sie ihre persönlichen Erinnerungen mit ihren Kindern teilten, „weil sie darüber Bescheid wissen und sich daran erinnern sollten“. In den Gesprächen mit ihren nahen Verwandten erwähnten sie dann aber doch nicht ihre schlimmsten Erlebnisse, zu deren Zeugen sie damals wurden⁴.

Es gab auch andere Geschichten, zum Beispiel Erinnerungen an das Verhalten der Nachbarn. Nicht immer eignet sich das,

woran sich die Menschen erinnern, ihrer Meinung nach für die Verbreitung in der Öffentlichkeit. Ein solche Übermittlung und Verbreitung findet aber gerade bei Familienzusammenkünften statt.

Das komplexe Problem der Haltung der polnischen Bevölkerung während der Besatzungszeit stellt ein Überbleibsel der kommunistischen Geschichtsschreibung dar und ist leider noch eine weit verbreitete Haltung, die sogar von Institutionen eingenommen wird, die sich mit Fragen der Erinnerung und des Gedenkens befassen. Bis heute geistert das Stereotyp in den Köpfen herum, dass die Polen entweder nur Helden oder nur Opfer während der deutschen Besatzung (aber auch während der sowjetischen) gewesen sein können. Ein Abweichen von diesem Stereotyp lastet auf den in den Familien erzählten Überlieferungen. Erst während der Interviews, die auf sehr professionelle Weise durchgeführt werden, zeigt sich, dass die Haltungen angesichts der verschiedenen Situationen während der Besatzungszeit (nicht immer zwangsläufig verbunden mit der Judenvernichtung) weder heldenhaft gewesen sein müssen, noch dass der Betreffende zum Opfer wurde. Offiziell gibt es in der polnischen Geschichtsschreibung das Phänomen der Kollaboration nicht. Die Wirklichkeit sieht ganz anders aus. Es gab ganze Personengruppen, die in kleinem oder großem Maße mit den Besatzern kollaborierten und die Gesetzgebung der Besatzer als legal betrachteten. Die Problematik des Denunziantentums, oftmals von den Deutschen prämiert, ist womöglich nicht ausreichend dokumentiert, zeigt sich jedoch im Verlaufe der Interviews mit den Zeitzeugen.

Ähnlich verhält es sich, wenn die Zeugen im Interview erwähnen, dass es Personen gab, die sehr von den guten Kontakten zu den Besatzern profitierten und die dabei nicht zwangsläufig die Volksliste zu unterschreiben hatten.

Ein anderes heikles Thema, das sich oft erst nach äußerst gründlichen Interviews offenbart, ist der Nutzen aus dem Vermögen, den viele Personen aus der Deportation der Juden aus den jeweiligen Orten zogen. Eine ähnliche Situation stellte die Hilfeleistung gegenüber Juden dar. Jemand besetzte die Wohnung der Juden, ein anderer zog Nutzen daraus, dass er mit Juden handelte oder sie versteckte. Öffentlich spricht man über solche Themen nicht, sie tauchen allerdings dann auf, wenn Fragen nach Kontakten mit Juden oder nach Reaktionen angesichts ihrer Vernichtung gestellt werden.

Als eine ganz andere Problematik stellte sich der Verkauf von Lebensmitteln an Juden dar, was unter der Gesetzgebung der Besatzer ein Vergehen mit Todesfolge war. Oder, wenn jemand die Situation der im Ghetto oder in den Lagern eingeschlossenen Menschen ausnutzte, um sich zu bereichern.

Eine der Personen, die die Tatsache des Schmuggelns von Lebensmitteln in die Arbeitslager in Trawniki erwähnte, erklärte:

„Das Risiko hatte seinen Preis, insbesondere die Gefahr sein Leben zu verlieren. Wir wussten das und genauso wussten das die Juden aus dem Lager“⁴⁵.

Häufiger tauchte jedoch die Problematik auf, dass sich jemand am Unglück der Juden bereichert hatte, und dass das keineswegs mit Schwierigkeiten oder gar Gefahr verbunden war⁴⁶.

Über die einzelnen Verhaltensweisen der Menschen in der Besatzungszeit kann man nur mittels Interviews erfahren. Allerdings bestehen hierbei auch einige Gefahren für den Interviewenden. Nicht immer will die Person, die mir Informationen erteilt, auch darüber sprechen. Hier kommt die Problematik der Angst aus der Besatzungszeit ins Spiel, d.h., wenn ich von dieser Begebenheit erzähle, kann ich deshalb Schwierigkeiten bekommen. Immerhin leben die Verwandten der Menschen, die die schändlichen Taten begangen haben, in meinem Ort.⁴⁷ Niemand hat in der Nachkriegszeit öffentlich geäußert, dass solche Taten allgemein verurteilt werden sollten. Eine solch tiefgründige Abrechnung mit der polnischen Vergangenheit im Zweiten Weltkrieg hat nie stattgefunden und das hat sich in das allgemeine Bewusstsein eingeprägt.

Es existiert außerdem noch die Problematik des Sicherinnerns. Ein Interview mit einer Person, die über bestimmte Ereignisse zum ersten Mal im Leben spricht, weil sie keine Gelegenheit dazu hatte oder zuvor nicht darüber sprechen wollte, ist etwas Besonderes. Wiederum etwas anderes ist es, wenn es sich um ein bekanntes Ereignis handelt und es sogar in der Literatur beschrieben wurde. Wieder anders sieht es aus, wenn wir auf eine Überlieferung innerhalb einer Familie stoßen, die im Gedächtnis mehrerer Generationen verankert ist. Frauen und Männer behalten jeweils andere Details in Erinnerung. Eine Person, die sich an gewisse Ereignisse aus ihrer Kindheit erinnert, wird auch aus der Position eines Kindes über sie sprechen. Immer häufiger wird der Interviewende es im Rahmen der Oral History mit Personen

zu tun haben, die zu Kriegszeiten sehr jung gewesen waren oder bei Interviews auf Menschen treffen, die erst nach dem Krieg geboren wurden. Dann handelt es sich um sekundäre Geschichte. Nach über 60 Jahren nach Kriegsende werden die Zeitzeugen immer weniger. Und auch deren Erinnerung ist unzuverlässig. Wahrscheinlich ist die wichtigste Fragestellung bei den Interviews nicht, was die Menschen in Erinnerung haben, sondern wie es ihnen in Erinnerung geblieben ist.

Ähnlich ist es im Falle von Interviews mit Personen, die den Titel und die Medaille des „Gerechten unter den Völkern“ erhalten haben. Immer häufiger sind dies die Kinder derjenigen, die unmittelbar an der Rettung von Juden beteiligt waren. Oft wurde zum Schutz der Kinder nicht bis in die Details vorgedrungen. Nicht über alles hatten sie ihre Kinder informiert. Ähnlich verhält es sich mit Personen, die gerettet wurden. Das sind in letzter Zeit immer häufiger Menschen, die als Kinder gerettet wurden. Ihre Erinnerungen sind unvollständig. Sogar, wenn die Eltern oder ein Elternteil dieser Menschen mit gerettet wurden, hat man dieses Thema nach dem Krieg zu Hause nicht oft angesprochen. Häufig wurde das mit den Worten „zum Wohl des Kindes“ begründet. Heute kann man nicht mehr alle Details erfahren. Die Menschen wollen auch nicht über alles reden. Umso wertvoller ist es, dass sie überhaupt etwas zu dieser Thematik sagen wollen.

¹ Das Original dieser Dokumente wird im Staatsarchiv in Lublin im Rahmen der Sammlung zum Judenrat (Rada Żydowska) 1939-1942 aufbewahrt.

² Aus dem Interview mit Sujka Erlichman-Bank vom Mai 1995, durchgeführt in Afuli (Israel). Im Bestand des Autors.

³ Man muss bedenken, dass jeder Überlebende auch ein Zeuge der Vernichtung gewesen ist.

⁴ Einem solchen Verhalten begegnete ich in Izbica, wo das örtliche Gymnasium* ein Projekt zum Sammeln von Interviews mit Großeltern über die Vergangenheit des Ortes organisierte. Es zeigte sich, dass die Großeltern gern ihre Erinnerungen mit ihren Enkeln teilen wollten. Kam es jedoch zu Fragen über das Schicksal der Juden von Izbica während der Besatzung, so verweigerten viele von ihnen die Antworten und erklärten, dass die Schüler noch zu jung seien, um von den dramatischen Ereignissen zu erfahren, die während der vielen Deportationen in die Vernichtungslager geschehen waren. Einige der Großeltern baten darum, dass ein solches Interview von einem Erwachsenen durchgeführt würde. Doch selbst die Lehrer, die dieses Projekt initiiert hatten, fühlten sich nicht kompetent genug, ein solches Interview zu führen. Von da an wandten sie sich auch an das Staatliche Museum Majdanek mit der Bitte, eine kompetente Person zu schicken, die wisse, wie man über solche Themen spricht. In der Tat waren die alten Bewohner von Izbica Zeugen derart scheußlicher Verbrechen, dass sogar eine Person, die mit dieser Thematik vertraut war, nur schwer ihre Emotionen kontrollieren konnte. Das Projekt wurde 2003 vom örtlichen Gymnasium* (Gimnazjum Publiczne) Izbica durchgeführt.

* Ein Gymnasium (poln. Gimnazjum) ist in Polen eine Schulform, die die Altersklassen 13 bis 16 Jahre umfasst und sich an die sechsjährige Grundschule anschließt. A.d.Ü.

⁵ Aus dem Interview mit Stanisław Krajewski aus Trawniki im April 1998. Im Bestand des Autors.

⁶ Frau Halina Błaszczyk, die den Titel und die Medaille „Gerechter unter den Völkern“ trägt, erwähnte im Interview, dass sie Zeugin folgenden Vorfalles wurde: Einer der Nachbarn brachte sofort nach der Deportation einer Gruppe von Juden ein deutsches jüdisches Kind auf die Polizeistation. Am selben Tag hatte die Mutter das Kind zusammen mit einem Koffer voller Sachen zu diesem Nachbarn gebracht. Das Kind wurde auf die deutsche Polizeistation gebracht, aller-

dings ohne den Koffer. Aus dem Interview mit Halina Błaszczyk, Izbica 2003. Im Bestand des Autors.

⁷ So verhält es sich in vielen Fällen bei Interviews mit „Gerechten unter den Völkern“. Obwohl die Menschen wissen, dass einer der Nachbarn sie verraten hat, wollen sie bis heute nicht deren Namen preisgeben, weil sie neben ihnen oder ihren Familien leben. Ähnlich ist es in den Fällen, wo sich Zeugen zu ganz offensichtlichen Verbrechen an Juden, die von Polen und nicht von Deutschen verübt wurden, äußern. Sie erwähnen die Tatsache, jedoch nicht die Personen, die diese Verbrechen begingen.

ENGLISH

The tradition of people recounting the past, the official term for which is deemed “oral history”, goes back to the beginning of civilization. It is from the stories retold by the aged within families or clans that later, the entire chronicles of specific peoples were created. Oral history has survived till modern times in various forms. Stories conveyed during gatherings of family or friends, who have experienced different events in the past (even if they are marginal from the researcher’s point of view), are still in a way, elements of oral history. People from all over the world use private stories, both live and recorded in various ways, to research the history of small communities or families, as well as entire societies. This process already has its own history and abounding literature. Gathering information from interviews was not done during the times of the Polish People’s Republic – despite a pre-war tradition of doing so within Poland. The Communist government had its own vision of the past, especially of 20th century events, which could

easily be destroyed by individual interpretations. This does not mean that oral history did not endure in some form. Regarding Poland, it survived – being strongly embedded in society as an alternative to the official source of information about the past. Maybe they were not transcribed or recorded on a wider scale, but family chronicles, especially those from before the Second World War, were very instrumental in deepening the awareness of many Poles about their past. In fact, it was these family chronicles which, for many, created a healthy alternative to the official propaganda and official vision of times gone by. At the same time, this does not mean that one talked about everything within family circles, and that all of these accounts encouraged a critical view of the past. At least this is how it was with many private narratives from the war and occupation. In addition, not everything was talked about within the household – some subjects were very sensitive, others too shameful.

The institutional rebirth of oral history took place towards the end of the age of Communism, and its development began after 1989 (we could however, argue whether this was an intentional development). Materials gathered by the Eastern Archive, museums created in places of remembrance, various veterans’ organizations or institutions interested in the past, as well as foreign institutions (the Holocaust Museum in Washington DC, the Shoah Visual History Foundation which made recordings even in Poland), became the basis for many rich collections of interviews and publications regarding Jewish Poland, and Jewish-Polish relations in this pre-war, war, and immediate post-war era.

For many events, especially during the occupation, oral history is one of the fundamental sources of information about the past. Many facts are not included in official documents written by the occupational forces, by official institutions under the German occupation (or Soviet occupation in the Eastern Territories), or even by Underground organizations. It would appear that chance and unimportant events, about which we cannot read in archives, should not affect the way we view the occupation – a view unfortunately shared by some very serious historians – yet once they are uncovered, many important and not so important facts sheltered by human memory become significant in research into the history of the war.

In the beginning of the 80's, the Yad Vashem Institute in Jerusalem published a work containing proceedings of the Jewish Council in Lublin. This is official documentation which, although controlled by the Germans, still managed to show the complicated situation and dilemma of the Jewish population in the Lublin ghetto¹. During one of my first interviews, Sujka Erlichman-Bank, a survivor of the Lublin ghetto stated:

Don't forget that this is an official document. Reality was much more complicated and difficult. Those men on the Judenrat could not write down everything they talked about. They did not write about human tragedies because they couldn't (...)².

Memory of the human tragedies during the war which are not revealed in official sources, is the basis of most recorded interviews within the area of oral history. This can be found in every conversation with someone who witnessed or survived the Holocaust³.

These stories which I gathered from older people, were mainly related to events which took place during the Second World War, in the Land of Lublin. My conversations with them very often reminded me of individuals digging through their memory for things they would rather forget. They centered mainly about the extermination of Jews, Polish – Jewish relations, and often about the Polish viewpoint on the Holocaust. These were never simple conversations.

As it turned out, for many people, this was the first time they talked about what was happening to Jews during the war. This subject was not openly discussed during family gatherings. It had to be brought to mind. Many said that they never talked about the Germans murdering Jews even right outside their open windows – because these events were too shocking for family conversations. Some even claimed that they didn't want to return to this subject on their own – because it was too tragic, and it sometimes seemed unbelievable. Very few admitted to sharing their stories with their children "because they should know and remember", but even when they did, they still didn't touch upon the most drastic events which they were witness to⁴. There were also other stories about the attitudes of neighbors. Some people thought that not everything they remember was suitable for wider public presentation, but that it was all right for the family together.

The complicated issue of Polish attitudes during the occupation has been leftover from Communist times and, unfortunately, is still repeated today by institutions responsible for matters related to remembrance. To this

day, we still have the stereotype that Poles during the German (and Soviet) occupation could only either be heroes or victims. Stories told in the home appear to break away from this stereotype. It is only during a professionally conducted interview that we can see that many personal attitudes to certain situations during the occupation (not necessarily related to the extermination of Jews) were not heroic, nor did they have to result in one becoming a victim. Collaboration does not officially exist in the Polish historical language, but in reality, things were very different. There were entire groups of people which to some extent, cooperated with the occupying forces and who considered the occupying authority to be legal – the issue of informants (who were often rewarded by the Germans) was probably not well documented, but it comes up during interviews with witnesses. The same situation arises during interviews where people are mentioned who received great benefits from having good relations with the occupiers, but without necessarily having to sign, for example, a volksliste. A delicate matter, which only comes up during a scrupulous interview, is the issue of profiteers whose benefits resulted from the deportation of Jews from a given place or even from providing assistance to Jews: somebody who took over a Jewish apartment, or somebody else who profited from trading with Jews or by providing them with shelter. These subjects are not discussed publicly, but they come up during questions about contacts with Jews or reactions to their extermination.

It was a totally different situation when someone was selling food to Jews (which was punishable by death under German law) and when someone was taking advantage of people locked up in ghettos and camps to make personal profit. One of the people who talked about smuggling food into the work camp in Trawniki stated:

*Risk has its price, especially the risk of losing one's life. We knew about this and so did the Jews in the camp*⁵.

More often, the issue comes up of somebody getting rich from the calamity of the Jews without any particular difficulty or risk⁶.

We may only find out about the various attitudes of people under occupation on the basis of collecting interviews. Here also there are certain traps waiting for the interviewer. The person providing information does not always want to talk about it. The issue of fear under the occupation comes up – “if I talk about this situation, I will get in trouble because the relatives of those who committed these shameful acts live in my town”⁷. Nobody said after the war that these acts should be completely condemned. Such a coming to terms with Poland's wartime history has never occurred, and this has become part of the social consciousness.

There is still the issue of memory. We have to distinguish between interviews with people who are talking about events for the first time in their lives, because they didn't have a chance or didn't want to do so earlier, and when an event is well known and recorded in historical documentation. When we come across a family story which has been reinforced through the generations, we end up with different view points on even the

same event. Some details are remembered by women, others by men. Someone who remembers an event from their childhood will retell it from the viewpoint of a child. More often, when it comes to oral history, the interviewer will be dealing with people who were very young during the war, or with people born just after the war. This becomes recycled history. After the sixty years that followed the end of the war, there are fewer and fewer first-hand witnesses. Their memories are also failing. Probably the most important issue during an interview will not be the question of what they remember, but how they remember.

This holds true with respect to interviews with those who received the medal “The Righteous Among the Nations”. More often, the recipients are their children who were not directly involved in saving Jews. Very often they were not given all the details of the events as they unfolded – for reasons of security: they were not informed about everything that went on. The same goes for the rescued – in recent times, these people are more often ones who were saved as children. Their memory is incomplete. Even if they survived with their parents, or one parent, after the war, the subject was not brought up again, and the only reasoning for their being rescued is often repeated as just being “for the good of the child”. We cannot uncover all of the details today. People do not want to talk about everything. This makes the fact that they want to say anything at all on this subject, all the more valuable.

¹ The original documents are in the (Polish) State Archives in Lublin in the section about the Jewish Council in Lublin from 1939–1942.

² Interview with Sujka Erlichman-Bank conducted in May of 1995, in Afuli (Israel). In the author's collection.

³ We should remember that every survivor is also a witness.

⁴ I came across this attitude in Izbica, where the local middle school organized a project in which local children interviewed their grandparents about the history of the town. As it turned out, the grandparents were eager to share their recollections with their grandchildren, but, when it came to questions regarding the fate of the Izbica Jews during the occupation, many of them refused to answer because they felt that the teens were too young to hear about the drastic events during the transports to the death camps. Some of them requested that an adult be present during these interviews. The teachers who created the project did not feel competent to conduct these kinds of interviews. They therefore, asked the State Museum at Majdanek to send capable people who will know how to talk about this subject. In reality, the older residents of Izbica were witness to such dreadful crimes, that even people accustomed to this subject had trouble in controlling their emotions. The project was completed in 2003, by the Public Middle School in Izbica.

⁵ Interview with Stanisław Krajewski from Trawniki, April 1998, in the author's collection.

⁶ Halina Błaszczuk, a recipient of the medal “The Righteous Among the Nations”, mentions in an interview that she saw, right after the deportation of a group of Jews from Izbica, one of her neighbors take a Jewish child to the German police station. The child's mother left this child and a suitcase of belongings with their neighbor the same day. The child was escorted to the police station, but without the belongings. Interview with Halina Błaszczuk, Izbica 2003, in the author's collection.

⁷ This holds true to many interviews with the Righteous Among the Nations. To this day, they don't want to reveal the names of their neighbors who were informants, because the informant's relatives live near them or near their families. A similar situation occurs where witnesses talk about the obvious murder of Jews committed by Poles, not Germans. They talk about the events, but not about the perpetrators.

SPRAWIEDLIWY WSRÓD NARODÓW ŚWIATA

HISTORIA I IDEA TYTUŁU

GERECHTER UNTER DEN VÖLKERN

GESCHICHTE UND IDEE DER AUSZEICHNUNG

THE RIGHTEOUS AMONG THE NATIONS

THE HISTORY AND CONCEPT OF THE MEDAL

„Tysiące Żydów na całym świecie żyją dzisiaj, ponieważ pewnego dnia, dziesiątki lat temu, ktoś zdecydował się ryzykować życiem, by ratować szczonego człowieka”.

Konstanty Gebert

Tytuł i medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” jest najwyższym odznaczeniem cywilnym w Izraelu, przyznawanym osobom z całego świata za pomaganie Żydom podczas Zagłady w okresie II wojny światowej. Pomoc taka mogła mieć różne formy – udzielanie schronienia w domu lub gospodarstwie, dostarczanie żywności i lekarstw, fałszywych dokumentów, przeprowadzanie przez granice i wiele innych.

Termin „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” oznaczał pierwotnie, w tradycji żydowskiej, „Nie-Żyda”, który był dobrym i bogobojnym człowiekiem. Według tej tradycji wielki zestaw praw i nakazów zawartych w Torze odnosi się tylko do Żydów, którzy odziedziczyli powinności po swoich przodkach. W przeciwieństwie do nich „Nie-Żydzi” powinni przestrzegać jedynie prostych i oczywistych, niemal powszechnie przyjętych praw Noego, ustanowionych po wielkim Potopie. Talmud w znanym ustę-

pie naucza, że „jeśli człowiek niszczy jedno życie to tak, jak gdyby niszczył cały świat”, a zarazem „ten kto ratuje jedno życie to jakby uratował cały świat”¹.

Do tej właśnie sentencji nawiązuje uchwalony w 1953 roku przez izraelski parlament, w ramach ustawy o pamięci zagłady i bohaterstwa, tytuł honorowy „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”². W Izraelu powstał Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem, a jednym z jego podstawowych zadań jest uwiecznienie pamięci „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata” – ludzi, którzy narażając siebie i swoje rodziny, ocalili wiele ludzkich istnień. W ramach Yad Vashem powołana została specjalna komisja, pod przewodnictwem Sędziego Sądu Najwyższego Izraela, składająca się z działaczy społecznych, do której zadań należy badanie materiałów dotyczących ratowania Żydów i podejmowanie decyzji o przyznaniu medalu i dyplomu honorowego tym, którzy ukrywali lub w jakikolwiek sposób chronili Żydów. Kapituła instytutu pamięci Yad Vashem przyznaje tytuł „Sprawiedliwego...” pojedynczym osobom oraz rodzinom spełniającym następujące warunki:

- uratowany musi być Żydem, a tym, który ocalił mu życie, musi być „Nie-Żyd”;
- z uratowaniem życia i pomocą nie mogła

się wiązać jakakolwiek rekompensata dla wybawcy;

- pośpieszenie na ratunek musiało wiązać się z jakimś ryzykiem dla życia lub wolności wybawcy.

W tym celu komisja bada szczegółowo dostarczony materiał źródłowy (uwierzytelnione relacje świadków, dokumenty). Uprawnieni do składania wniosków o przyznanie tytułu i medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” są tylko uratowani lub ich najbliżsi. Polityką Yad Vashem jest kontynuowanie odznaczeń tak długo, jak długo wnoszone będą prośby o przyznanie tego tytułu, wsparte mocnymi dowodami, spełniającymi wyznaczone kryteria.

Odznaczeni otrzymują dyplom wraz z medalem, na którym widnieje imię i nazwisko oraz wspomniana sentencja z Talmudu „Kto ratuje jedno życie ratuje cały świat”, a od 1985 roku także honorowe obywatelstwo Państwa Izrael. Do niedawna ceremonii wręczenia medalu towarzyszyło zasadzenie w Alei Sprawiedliwych na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie drzewka oliwnego oznaczonego tabliczką z imieniem i nazwiskiem Sprawiedliwego. Aktualnie imię i nazwisko osoby odznaczonej jest wypisywane na Murze

Honorowym w Ogrodzie Sprawiedliwych w Yad Vashem. Odznaczenia nadawane są w Izraelu bądź w kraju zamieszkania osoby uhonorowanej, gdzie działają dyplomatyczni przedstawiciele Izraela.

Każda osoba, którą uznano za Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, jest uprawniona do otrzymania od Yad Vashem stosownego certyfikatu. Jeżeli osoba ta już nie żyje, jej krewni mogą wystąpić o nadanie jej pamiątkowego obywatelstwa.

„Sprawiedliwy...” w szczególnych wypadkach może otrzymać wsparcie finansowe bądź specjalny zasiłek zdrowotny. Zajmuje się tym fundacja Jewish Foundation for the Righteous, założona w Nowym Yorku. W ścisłej współpracy z Yad Vashem działa także fundacja Anne Frank Fonds z siedzibą w Bazylei w Szwajcarii, która w trudnych sytuacjach pomaga osobom uhonorowanym uzyskać specjalistyczną pomoc medyczną.

Ewenementem w historii nadawania tytułu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” było przyznanie tego miana całemu miasteczku Le Chambon-sur-Lignon w południowej Francji, w 1990 roku³. Podczas II wojny światowej było ono miejscem schronienia wielu Żydów uciekających przed terrorem hitlerowskiego okupanta. Na czele miasta stał wówczas pastor André Trocmé. W 1942 roku obywatele Le Chambon-sur-Lignon ryzykowali swym życiem, by ukryć Żydów przed oddziałami SS i deportacją do obozów śmierci. Ukrywano ich w prywatnych domach, na farmach, jak również w siedzibach publicznych instytucji. Szacuje się, że obywatele Le Chambon-sur-Lignon uratowali od pewnej śmierci 3000 do 5000 osób. Na terenie Yad Vashem znajduje się mały ogród

i tablica pamiątkowa poświęcona mieszkańcom Chambon-sur-Lignon.

Medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” otrzymała także społeczność Danii za swą postawę w okresie okupacji hitlerowskiej. Dania wyróżniła się aktywnym chronieniem 8000 swoich żydowskich obywateli (kraj zamieszkiwało wtedy 6 tysięcy miejscowych Żydów i 2 tysiące uciekinierów z Niemiec i Czechosłowacji). Kiedy w październiku 1943 roku Niemcy rozpoczęli przygotowania do deportacji Żydów, 95% z nich ukryto lub wywieziono do Szwecji, często przy pomocy duńskiej policji.

Aktualnie medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” zostało uhonorowanych przeszło 22 tysiące osób na całym świecie. Przodują tu Polacy – 6066 uhonorowanych osób, na drugim miejscu Holendrzy – 4863 przyznanych medali, następnie Francuzi – 2833 osób oraz Ukraina – 2213 osób, ponadto obywatele ponad 20 innych państw.

W Polsce honorowanie Polaków za pomoc Żydom sięga jeszcze czasów wojennych. Już od 1944 roku odznaczaniem Polaków niosących pomoc Żydom podczas II wojny światowej zajmował się Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻP). Na podstawie relacji uratowanego, wysyłano list dziękczynny, zazwyczaj także niewielką nagrodę pieniężną. W przypadku złej sytuacji materialnej osobie takiej przyznawano zapomogę, czasem obejmowano inną pomocą np. szukano dla niej miejsca zatrudnienia, podejmowano interwencję w przypadku wejścia w konflikt z prawem. Do końca 1946 roku wydatkowano na ten cel w sumie 166,5 tys. zł. W 1947 roku wstrzymano działalność z powodu braku funduszy.

W 1948 roku powołano do życia Komisję Pomocy Polakom przy Wydziale Prawnym CKŻP. Istniała ona do czasu przekształcenia CKŻP w Towarzystwo Społeczno – Kulturalne Żydów w Polsce (1950 rok). Ideę uhonorowania Polaków, którzy ratowali Żydów, przejął wówczas Żydowski Instytut Historyczny, który kompletował relacje świadków. Gdy uchwałą Knesetu w Izraelu ustanowiono tytuł i medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, ŻIH zaczął współpracować z Yad Vashem, przekazując mu całą zebraną dokumentację.

Wobec zerwania przez Polaków stosunków z Izraelem w 1967 roku, do połowy lat osiemdziesiątych przyznawanie medali było utrudnione. W 1979 roku przygotowaniem wniosków zajmował się Żydowski Instytut Historyczny, w którym wyodrębnił się specjalny Dział Odznaczeń Yad Vashem. Począwszy od 1990 roku przyznawaniem medali i tytułu zajmuje się Departament Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przy Ambasadzie Izraela w Warszawie a także bezpośrednio instytut Yad Vashem.

Uroczystość nadania odznaczenia odbywa się kilka razy w roku. W 1999 roku na mocy uchwały sejmowej przyznano polskim „Sprawiedliwym...” prawa kombatanckie. Obecnie w Instytucie Yad Vashem nadal toczy się postępowanie w sprawie setek wniosków o uznanie Polaków ratujących Żydów za „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. Często są to całe, kilkuosobowe rodziny.

Mówiąc o pomocy udzielanej przez Polaków, koniecznym jest wspomnieć także o organizacjach konspiracyjnych, które oprócz walki z okupantem uczestniczyły w ratowaniu Żydów, zwłaszcza o Radzie Pomocy Żydom

„Żegota”, organizacji, która w porozumieniu z Delegaturą Rządu RP na Kraj usiłowała zorganizować instytucję pomocy prześladowanej ludności żydowskiej o zasięgu ogólnokrajowym⁴. Niosła ona pomoc materialną, medyczną, piętnowała i zwalczała formy szantażu wobec Żydów. Szukano pomieszczeń dla uciekinierów z gett i obozów, zaopatrywano ich w obowiązujące dokumenty, udzielano dorywczych lub stałych zasiłków materialnych, niekiedy też pomagano w znalezieniu pracy dla tych (głównie kobiet), którzy ze względu na odpowiedni wygląd fizyczny mieli możliwość względnie bezpiecznego poruszania się.

Oczywiście liczba uhonorowanych tym tytułem Polaków czy osób innych narodów nie oznacza bynajmniej, iż jedynie tylu udzielało Żydom pomocy w czasie okupacji. O wielu faktach nie zachował się żaden dokument ani ślad w źródłach, gdyż zginęli zarówno ci, którzy pomoc nieśli, jak i ci, którzy ją otrzymali.

Warto więc pamiętać, że odznaczeni przez Yad Vashem to tylko część większej grupy, której pełnej liczby nie poznamy nigdy. Należy uczynić wszystko, by w zbiorowej pamięci obu naszych narodów: polskiego i żydowskiego, a także w świadomości Europy i świata zachować cześć dla ich postaw i czynów jako wzoru międzyludzkiego braterstwa.

¹ S. Datner, *Las Sprawiedliwych. Karta z dziejów ratowania Żydów w okupowanej Polsce*, Warszawa 1963, s. 7.

² *Pierwszy medal przyznany został w 1963 r.*, H. Grynberg, *Księga Sprawiedliwych*, Warszawa 1993, s. 9.

³ P. Hallie, *Lest Innocent Blood Be Shed: The Story of Le Chambon and How Goodness Happened There*, Cambridge 1979.

⁴ M. Arczyński, W. Balcerek, *Kryptonim „Żegota”. Z dziejów pomocy Żydom w Polsce 1939–1945*, Warszawa 1979; „Żegota” *Rada Pomocy Żydom 1942–1945*, oprac. A. K. Kunert, Warszawa 2002, s. 29.

DEUTSCH

„Tausende Juden leben heute auf der ganzen Welt, weil sich jemand vor Jahrzehnten an einem bestimmten Tag entschied sein Leben zu riskieren, um einen gehetzten Menschen zu retten“.

Konstanty Gebert

Der Titel und die Medaille „Gerechter unter den Völkern“ ist die höchste zivilrechtliche Auszeichnung des Staates Israel, die Menschen aus der ganzen Welt verliehen wird, die während der Shoah im Zweiten Weltkrieg Juden geholfen haben. Diese Hilfe konnte verschiedene Formen annehmen, wie beispielsweise die Gewährung eines Verstecks im Haus oder im Bauernhof, das Versorgen mit Lebensmitteln und Medikamenten oder mit gefälschten Dokumenten oder die Fluchhilfe beim illegalen Passieren der Grenze und viele weitere.

Der Terminus „Gerechter unter den Völkern“ bezeichnete in der jüdischen Tradition ursprünglich einen Nichtjuden, der ein guter und gottesfürchtiger Mensch war. Nach dieser Tradition bezieht sich eine große Sammlung von Rechten und Verboten in der Thora nur auf Juden, die diese Pflichtensammlung von ihren Vorfahren erbten. Im Gegensatz dazu sollten die Nichtjuden lediglich die leicht verständlichen mosaïschen Gesetze

einhalten, die nach der großen Sintflut gegeben wurden. Im Talmud wird in einem bekannten Abschnitt gelehrt, dass wenn ein Mensch das Leben eines anderen vernichtet, dann ist das so, als ob er die ganze Welt vernichtet hätte. Analog kennen wir den Ausspruch „derjenige, der ein einziges Menschenleben rettet, hat damit die ganze Welt gerettet“¹.

Auf genau dieses Zitat bezieht sich der im Jahre 1953 durch das israelische Parlament im Rahmen des Gesetzes zur Erinnerung an Shoah und Heldentum ausgelobte Ehrentitel des „Gerechten unter den Völkern“². In Israel entstand Yad Vashem als Gedenkstätte, zu deren grundlegendsten Aufgaben das ewige Gedenken an die „Gerechten unter den Völkern“ gehört – an Menschen, die sich und ihre Familien in Gefahr gebracht hatten, um viele Menschenleben zu retten. Im Rahmen der Arbeit von Yad Vashem wurde eine besondere Kommission eingerichtet, die vom Israelischen Obersten Gerichtshof angeführt wird. Sie setzt sich aus ehrenamtlichen Mitarbeitern zusammen, zu deren Aufgabenfeld es gehört, Quellen zur Rettung der Juden zu erforschen und über die Vergabe der Medaille und des Ehrenzertifikats an diejenigen zu befinden, die Juden versteckt oder auf irgendeine andere Weise geschützt hatten.

Die Vergabekommission der Gedenkstätte Yad Vashem verleiht den Titel „Gerechter...“ an Einzelpersonen oder deren Angehörige unter folgenden Bedingungen:

– die gerettete Person muss ein Jude gewesen sein und der Retter ein Nichtjude;

- mit der Rettung und Hilfe dürfen keine finanziellen Vorteile für den Retter verbunden sein;
- die Rettung muss mit einer Gefahr für Leben oder Freiheit des Retters einhergegangen sein.

Unter diesen Gesichtspunkten untersucht die Kommission eingehend das verfügbare Quellenmaterial (glaubwürdige Augenzeugenberichte, Dokumente). Zur Antragstellung auf die Verleihung des Titels und der Medaille „Gerechter unter den Völkern“ sind ausschließlich die Geretteten und ihre nächsten Anverwandten berechtigt. Yad Vashem hat die Aufgabe das Programm solange fortzusetzen, wie Petitionen um diesen Titel eingehen und die Kriterien für die Ehrung erfüllt werden. Die Ausgezeichneten erhalten ein Zertifikat und eine Medaille, auf der ihr Vor- und Nachname sowie das bereits erwähnte Talmudzitat: „Wer immer ein Menschenleben rettet, hat damit gleichsam die ganze Welt gerettet“. eingraviert sind sowie seit 1985 die Ehrenbürgerschaft des Staates Israel. Bis vor kurzem beinhaltete die Zeremonie neben der Verleihung der Medaille noch die Pflanzung eines Olivenbäumchens in der „Allee der Gerechten“ auf dem Hügel der Erinnerung in Jerusalem. An ihm wurde eine kleine Tafel mit dem Vor- und Nachnamen des „Gerechten“ angebracht. Derzeit werden die Vor- und Nachnamen der Ausgezeichneten an der „Wall of Honor“ im Garten der Gerechten in Yad Vashem angeschlagen. Die Auszeichnungen werden in Israel bzw. im Heimatland der Geehrten durch die Repräsentanten der israelischen Botschaft verliehen. Jeder, der als „Gerechter unter den Völkern“ geehrt wird, ist berechtigt

bei Yad Vashem diese Urkunde anzufordern. Lebt diese Person nicht mehr, so können ihre Verwandten den Erhalt einer „Gedenk-Ehrenbürgerschaft“ für den Verstorbenen beantragen.

Die „Gerechten“ können in besonderen Fällen finanzielle Unterstützung bzw. Gesundheitsleistungen erhalten. Mit deren Vergabe beschäftigt sich die Stiftung Jewish Foundation for the Righteous mit Sitz in New York. In enger Zusammenarbeit mit Yad Vashem steht auch der Anne-Frank-Fonds mit Sitz in Basel, der den Ausgezeichneten in schwierigen Fällen spezielle medizinische Hilfe zukommen lässt.

Ein besonderes historisches Ereignis war 1990 die Vergabe des Titels „Gerechter unter den Völkern“ an ein ganzes Städtchen in Südfrankreich – Le Chambon-sur-Lignon³. Während des Zweiten Weltkrieges bot der Ort vielen Juden Zuflucht vor dem Terror der Besatzer aus Hitlerdeutschland. An der Spitze der Stadt stand damals der Pastor André Trocmé. 1942 riskierten die Einwohner von Le Chambon-sur-Lignon ihr Leben als sie die Juden vor den SS-Einheiten und vor dem Transport in die Todeslager versteckten. Sie versteckten sie in Privathäusern, auf Bauernhöfen wie auch in öffentlichen Einrichtungen. Man schätzt, dass die Einwohner von Le Chambon-sur-Lignon 3000 bis 5000 Menschen vor dem sicheren Tod bewahrten. Auf dem Gebiet von Yad Vashem befindet sich ein kleiner Garten und eine Gedenktafel, die den Einwohnern von Le Chambon-sur-Lignon gewidmet sind.

Die Medaille „Gerechter unter den Völkern“ erhielt auch die Bevölkerung von Dänemark für ihre Haltung während der deutschen Be-

satzung. Dänemark hob sich mit dem Schutz von 8000 seiner jüdischen Bürger hervor (im Land lebten damals 6000 einheimische Juden und 2000 Flüchtlinge aus Deutschland und der Tschechoslowakei). Als die Deutschen im Oktober 1943 die Deportation der Juden vorbereiteten, wurden 95% von ihnen versteckt oder nach Schweden gebracht, oft mit Hilfe der dänischen Polizei.

Bis heute haben mehr als 22000 Menschen aus der ganzen Welt die Medaille „Gerechter unter den Völkern“ verliehen bekommen. Die Polen führen die Liste mit 6066 Ausgezeichneten an, an zweiter Stelle folgen die Niederländer mit 4863 verliehenen Medaillen, danach kommen die Franzosen mit 2833 Personen sowie die Ukrainer mit 2213 Personen. Darüber hinaus gingen die Auszeichnungen an Bürger aus über 20 anderen Staaten.

In Polen reicht die Ehrung von Polen für ihre Hilfe an Juden bis in die Zeit des Krieges zurück. Das Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻP – das Zentrale Komitee der Juden in Polen, A.d.Ü.) befasste sich schon seit 1944 mit der Auszeichnung von Polen, die Juden während des Zweiten Weltkrieges geholfen hatten. Auf der Grundlage von Berichten der Geretteten wurde ein Dankschreiben und gewöhnlich eine kleine finanzielle Zuwendung verschickt. Befand sich die mit diesem Dank ausgezeichnete Person in einer schwierigen materiellen Situation, so wurde manchmal eine andere Form der Hilfe angewandt. So suchte man für sie zum Beispiel eine Anstellung oder man intervenierte, sollte sich die Person aufgrund ihrer Hilfeleistung im Konflikt mit geltendem Recht befinden. Bis Ende

1946 wurden für diese Zwecke 166.500 Zloty ausgegeben. 1947 musste diese Tätigkeit aufgrund fehlender finanzieller Mittel und Unterstützung aufgegeben werden.

1948 wurde die „Hilfskommission für Polen“ bei der Rechtsabteilung des CKŻP ins Leben gerufen. Sie bestand bis zur Umwandlung des CKŻP in „Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce“ (die Gemeinschaft für kulturelles und gesellschaftliches Leben der Juden in Polen, A.d.Ü.) 1950. Die Idee der Auszeichnung von Polen, die Juden retteten, übernahm damals das Żydowski Instytut Historyczny (das Jüdische Historische Institut, A.d.Ü.), das die Augenzeugenberichte sammelte und komplettierte. Als die israelische Knesset den Titel und die Medaille „Gerechter unter den Völkern“ auslobte, nahm das Jüdische Historische Institut die Zusammenarbeit mit Yad Vashem auf und übergab der Gedenkstätte die ganze zusammengetragene Dokumentation.

Wegen der von Polen abgebrochenen diplomatischen Beziehungen zu Israel 1967 wurde die Verleihung der Medaille bis zur Mitte der 80er Jahre erschwert. 1979 befasste sich das Jüdische Historische Institut mit der Vorbereitung der Anträge. An diesem Institut befand sich die von Yad Vashem ausgegliederte besondere Abteilung für Auszeichnungen. Seit 1990 befasst sich die Abteilung „Gerechte unter den Völkern“ der Israelischen Botschaft in Warschau und die Gedenkstätte Yad Vashem direkt mit der Verleihung der Medaillen und Titel.

Die Feierlichkeiten zur Verleihung der Auszeichnung finden mehrmals im Jahr statt. 1999 wurde den polnischen „Gerechten“ mit Kraft eines Sejmbeschlusses das Kombat-

antenrecht verliehen. Derzeit laufen bei Yad Vashem immer noch Verfahren zu mehreren Hundert Anträgen um die Anerkennung des Titels „Gerechter Gerechter unter den Völkern“ für Polen, die Juden gerettet haben. Oft sind dies ganze, aus mehreren Personen bestehende Familien.

Spricht man über die Hilfe, die von polnischen Menschen ausging, so ist es unbedingt notwendig die Arbeit von Untergrundorganisationen zu erwähnen, die neben dem Kampf gegen die Besatzer auch an der Rettung von Juden beteiligt waren. Insbesondere ist dabei der Rada Pomocy Żydom, „Żegota“ (der „Rat für die Unterstützung der Juden“, Żegota) zu nennen. Das war eine Organisation, die sich im Einverständnis mit der polnischen Exilregierung in London darum bemühte, eine Hilfsinstitution auf dem Gebiet des gesamten besetzten Landes für die verfolgte jüdische Bevölkerung einzurichten¹. Die Organisation bot materielle und medizinische Hilfe sowie brandmarkte und bekämpfte Formen der Erpressung von Juden. Es wurden Unterkünfte für die Flüchtlinge aus den Ghettos und Konzentrationslagern gesucht. Die Menschen wurden mit den notwendigen Dokumenten versorgt, man gab ihnen unregelmäßige oder ständige finanzielle Unterstützung. Manchmal half man ihnen auch bei der Arbeitssuche, d.h. hauptsächlich den Frauen, die aufgrund ihres Aussehens die Möglichkeit hatten, sich relativ sicher frei zu bewegen. Selbstverständlich sagt die Zahl der mit diesem Titel geehrten Polen und Menschen anderer Nationen bei weitem nicht aus, dass es nur diese Menge an Helfern gab, die Juden während der Besatzungszeit retteten. Zu vielen Geschehnissen gibt es überhaupt

keine Dokumente oder Spuren in den Quellen. Das ist beispielsweise der Fall, wenn sowohl die Menschen, die die Hilfe erbrachten, als auch die Hilfsempfänger umgekommen waren.

Es ist daher sehr wichtig, sich bewusst zu machen, dass die von Yad Vashem Ausgezeichneten nur ein Teil einer viel größeren Gruppe sind, deren genaue Zahl wir nie kennen werden. Es muss alles dafür getan werden, dass die Gesinnung und die Taten der Helfer und Retter als Vorbild für Mitmenschlichkeit und Brüderlichkeit im kollektiven Gedächtnis unserer beiden Nationen – der polnischen und der jüdischen, aber auch im Bewusstsein Europas und der Welt in ehrendem Gedenken bewahrt werden.

¹ S. Datner, *Las Sprawiedliwych. Karta z dziejów ratowania Żydów w okupowanej Polsce*, Warszawa 1963, S. 7.

² Erste Medaille wurde 1963 verliehen. H. Grynberg, *Księga Sprawiedliwych*, Warszawa 1993, S. 9.

³ P. Hallie, *Lest Innocent Blood Be Shed: The Story of Le Chambon and How Goodness Happened There*, Cambridge 1979.

⁴ M. Arczyński, W. Balcerek, *Kryptonim „Żegota”. Z dziejów pomocy Żydom w Polsce 1939-1945*, Warszawa 1979; „Żegota” Rada Pomocy Żydom 1942-1945, oprac. A. K. Kunert, Warszawa 2002, S. 29.

ENGLISH

“Thousands of Jews all over the world are alive today, because one day, decades ago, someone decided to risk their life to save a persecuted human being”.

Konstanty Gebert

The Righteous Among the Nations title and medal is the highest civil decoration in Israel, bestowed upon people from around the world for helping Jews during the Holocaust at the time of the Second World War. This help could take on various forms – sheltering a Jew in one's home, providing food, medicines and falsified documents, aiding Jews to cross the border, and many others.

Originally, in Jewish tradition, the term The Righteous Among the Nations denoted a non-Jew who was a good and pious human being. According to this tradition, the large set of laws and commands included in the Torah refer only to Jews, who inherited these duties from their ancestors. By contrast, non-Jews should obey only the simple and obvious, universally accepted Laws of Noah enacted after the Great Flood. In a well-known segment, the Talmud teaches us that, “whoever destroys one human life, destroys an entire world” and, at the same time, “he who saves a single life, saves the entire world”¹.

It is this dictum that the honorary title of The Righteous Among the Nations refers to. The award was established in 1953, by the Israeli Parliament, as part of the Law of Remembrance of Shoah and Heroism². The Institute of National Remembrance, Yad Vashem, was established in Israel, and one of its principle duties is to immortalize the memory of The Righteous Among the Nations – people who saved others by exposing themselves and their families to danger. A special committee, comprised of social activists, headed by the Judge of the Supreme Court of Israel was set up within the Yad Vashem. The commission's duty is to exam-

ine each case concerning assistance given to Jews, and it is responsible for granting the title to those who hid or protected Jews. The jury of the Yad Vashem Institute of Remembrance awards the Righteous Among the Nations title to individuals and families meeting the following criteria:

- the rescued must be a Jew, and a rescuer must be a ‘non-Jew’,
- no compensation was received by the rescuer from the rescued,
- the assistance had to be connected with some risk to life or personal freedom of the rescuer.

For this purpose, the commission meticulously investigates source materials (authenticated reports of eyewitnesses and documents). Only the rescued or their families are eligible to submit an application for the Righteous Among the Nations title and medal. The policy of Yad Vashem is to continue their work as long as applications for awarding the title are submitted, backed up with conclusive evidence meeting the criteria. Decorated persons receive a certificate of honor and a medal bearing their name, surname and the dictum from the Talmud “He who saves a single life, saves an entire world” and, from 1985 onwards, honorary citizenship of the State of Israel. Until recently, the ceremony of awarding the medal was accompanied by planting an olive tree in the Avenue of the Righteous on the Mount of Remembrance in Jerusalem. The tree is marked with a plate bearing the name of the Righteous, and their name is also inscribed on the Wall of Honor in the Garden of the Righteous at Yad Vashem. The awards are distributed in Israel or in the rescuer's

country of residence where diplomatic representatives of Israel are located. Each person recognized as Righteous Among the Nations is eligible for an appropriate certificate from Yad Vashem. If a person is no longer living, his or her relatives are entitled to request that commemorative citizenship be granted posthumously.

In special circumstances, the Righteous can be aided financially or get special health benefits from the Jewish Foundation for the Righteous established in New York. The Anne Frank Fonds foundation, based in Basle, Switzerland is in close cooperation with Yad Vashem. Its aim is to help the awarded persons receive specialist medical help.

A unique event in the history of granting the title The Righteous Among the Nations, occurred when the whole town of Le Chambon-sur-Lignon in southern France, in 1990, was given the award³. During the Second World War, the town was a shelter for many Jews escaping from the terror of the Nazi invader. Reverend André Trocmé was the head of the town at that time. In 1942, the citizens of Le Chambon-sur-Lignon risked their lives to hide Jews from the SS units and prevent their deportation to death camps. They were hidden in private houses, on the farms, and in the seats of public institutions, as well. It is estimated that the citizens of Le Chambon-sur-Lignon saved three to five thousand people from certain death. In Yad Vashem, there is a little garden and a commemorative plaque dedicated to the inhabitants of Le Chambon-sur-Lignon.

The Righteous Among the Nations medal was also awarded to the country of Denmark

for its conduct during the Nazi occupation. Denmark distinguished itself by active protection of its eight thousand Jewish citizens (the country was inhabited at that time by six thousand local Jews and two thousand refugees from Germany and Czechoslovakia). When the Nazi-Germans started preparations in October 1943 for the deportation of Jews, 95% of them were hidden or taken to Sweden, often with the help of the Danish police.

To date, over twenty-two thousand people from all over the world have been awarded the Righteous Among the Nations medal. Poles lead the way – 6066 awarded medals, the Dutch are on the second place – 4863 awarded medals, the French – 2833 people, and Ukraine – 2213, as well as citizens of over 20 other countries.

In Poland, honoring the Poles for helping Jews dates back to the war times. The Central Committee of Jews in Poland (CKŻP) has been honoring the Poles helping Jews during the Second World War since 1944. Based on the testimony of the rescued, a letter of appreciation, usually with a little prize in money, was sent. Financial aid was granted for those in difficult situations. Sometimes, people were provided with other assistance, for example, the committee help them find work, or intervened if they broke the law. Until the end of 1946, 166,5 thousand zlotys were spent for this purpose. The activity was discontinued in 1947, due to the lack of funds.

In 1948, the Committee for the Help of Poles, at the Law Department of the Committee of Jews in Poland (CKŻP) was appointed. It existed until the transformation of CKŻP

into the Social and Cultural Society of Jews in Poland (1950). The idea of honoring the Poles who saved Jews was taken over by the Jewish Historical Institute, which compiled the testimonies of eyewitnesses. When the Righteous Among the Nations title and medal was established by a ruling of the Knesset in Israel, the Jewish Historical Institute started cooperating with Yad Vashem by handing over the entire documentation to them. Awarding medals was hindered when the Poles broke off their relations with Israel. In 1979, the Jewish Historical Institute, in which the Department of Decorations was created, was responsible for preparation of the applications. Starting in 1990, the Department of the Righteous Among the Nations within the Israeli Embassy in Warsaw, and the Yad Vashem institute, began awarding the medal and title.

The decoration ceremony takes place a few times a year. In 1999, under a parliamentary ruling, Polish Righteous were granted veterans' rights. Currently, the Yad Vashem Institute is processing hundreds of applications for recognizing Poles who saved Jews as the Righteous Among the Nations.

Speaking about the help given by the Poles, one should mention underground organizations, which, apart from struggle with the invader, took part in helping Jews, especially the Council for Aid to Jews "Żegota", an organization which, together with the Government Delegate's Office at Home, attempted to organize an institute of help for the persecuted Jewish population within the country⁴. It brought material and medical help, reviled and fought the use of blackmail on Jews. It searched for rooms for escapees

from the ghettos and camps, provided them with documents and temporary or permanent material benefits. Sometimes it helped with finding a job for those (mainly women) who, on account of their appearance, had a relative possibility of getting around safely. Certainly, the number of Poles, or people of other nations, awarded with this title does not mean that only these people helped Jews during the occupation. There are many facts about which there are no documents or verifiable sources, because those who helped and those who received the help, have passed away.

It is worth remembering that people awarded by Yad Vashem are only part of a bigger group, the full number of which we will never know. One should do everything possible to preserve reverence for their conduct and deeds as a model of human brotherhood. One should preserve it in the memory of the Polish and Jewish nations, as well as in the consciousness of Europe and the whole world.

¹ S. Datner, *Las Sprawiedliwych. Karta z dziejów ratowania Żydów w okupowanej Polsce*, Warszawa 1963, page 7.

² H. Grynberg, *Księga Sprawiedliwych*, Warszawa 1993, page 9.

³ P. Hallie, *Lest Innocent Blood be Shed: The Story of Le Chambon and How Goodness Happened There*, Cambridge 1979.

⁴ M. Arczyński, W. Balcerek, *Kryptonim „Żegota”. Z dziejów pomocy Żydom w Polsce 1939-1945*, Warszawa 1979; *„Żegota” Rada Pomocy Żydom 1942-1945*, edited by A. K. Kunert, Warszawa 2002, page 29.





RELACJE

SWIATŁA W CIEMNOŚCI. SPRAWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA. RELACJE



LUBELSZCZYZNA

ROK 1926

BIŁGORAJ BIŁGORAJ

RELACJE

BIŁGORAJ BIŁGORAJ

GABRIELA GORZANDT

URODZENIA

Ojciec pracował w Urzędzie Skarbowym [w Biłgoraju]. Początkowo mieszkaliśmy na ulicy Nadstawnej, w wynajętym domu, mieszkaniu. Później, w czasie okupacji, ojciec tak jak każdy Polak starał się zdobyć gdzieś pieniądze, handlował, jeździł za San po naftę, po inne produkty, których tu brakowało. Potem zdobył konie zostawione przez rolników, których zabrano jako podwody razem z końmi. Konie były dwa ochwaczone, nie wiem, na czym ta choroba polega; chodzić nie mogły, leżały.

Ojciec pomagał innym Polakom. U nas schronił się ksiądz Samolej, który w małym kościółku tutaj odprawiał zawsze nabożeństwa. Nie pamiętam, w którym roku ojciec kupił kawałek placu i spalony dom piętrowy, który odbudował. Właśnie w tym domu myśmy mieszkali. Z tego domu widziałam wraz z rodzicami, jak w 1942 chyba roku jesienią spędzili Żydów naprzeciwko na plac po spalonych domach.

Wtedy ich do getta przesiedlali z Biłgoraja. Wtedy pierwszy raz widziałam jak, zdawa-

ło mi się bez powodu, podszedł Niemiec do mężczyzny, rozmawiał i nagle strzelił. Byłam tak zdziwiona. Nie tyle przerażona, co zdziwiona samym widokiem. Pierwszy raz widziałam taką egzekucję. Po tym spędzeniu Żydów do getta, bardzo często spotykało się rano zwłoki ludzi pochodzenia żydowskiego. Leżały na ulicy. To były osoby, które Niemcy spotkali, osoby, które ukrywały się, nie były w getcie i które wychodziły, żeby zdobyć trochę jedzenia.

Z tego domu widziałam jak transportowali Żydów, dorosłych i dzieci, z Tarnobrodu do Zwierzyńca do kolei, a potem do Bełżca do obozu zagłady. Byłam przerażona jak dzieci, małe i większe, wiezono drabiniastymi wozami. Jeden obrazek prześladowuje mnie do dzisiaj: małe dziecko, nie wiem ile mogło mieć lat, wisi między szczebelkami. Twarz przerażona, płacząca. Niemcy nie przejmowali się tym. Eskorta, czy z Ukraińców, którzy służyli Niemcom, czy z Niemców złożona. Dorosłych przeważnie rozstrzeliwali, a dzieci uderzali nieraz kolbą w głowę, żeby dobić. Mój ojciec dostał koncesję na skup skór

surowych, który przed wojną prowadzili Żydzi. Skóry były odstawiane do garbarni w Lublinie. Ojciec dostał koncesję i cały czas zatrudniał Żydów. Nie wiem, od którego roku prowadził ten skup, ale dość długo. Cały czas zatrudniał Żydów, mimo że Niemcy domagali się, żeby ich zwolnić. Ojciec tłumaczył, że nie ma takich fachowców wśród Polaków, którzy mogliby odpowiadać tej pracy. Chodziło o to, żeby im pomóc. Rodzice bardzo współczuli Żydom, że są tak prześladowani. Traktowali ich nie jak Żydów, tylko jak ludzi. To jest różnica między właśnie potraktowaniem przez niektóre osoby – jak innej narodowości, szczególnie Żyd, to już zasługuje na potępienie, dyskryminację, wyeliminowanie ze środowiska.

Punkt skupu był przy ulicy 3 Maja. Był to budynek drewniany, duże pomieszczenie. Rodzice nie wiedzieli, że kiedy do getta zamknęli Żydów, to wtedy, może nawet wcześniej, Żydzi zrobili sobie kryjówkę między ścianą magazynu a następnym pomieszczeniem. Wydzielili sobie pomieszczenie, gdzie dwie rodziny się schroniły. Jedna rodzina

o nazwisku Kandel. Pan Kandel miał małe dziecko, chłopczyka. Nawet zwracał się do rodziców, czy mogliby zabrać dziecko, przechować u nas w domu. Ojciec odmówił. Do naszego mieszkania przychodziło wówczas bardzo dużo osób – mieliśmy radio po kryjomu. Ludzie przychodzili słuchać audycji, między innymi pan profesor Adamczyk, pani profesor Jabłońska – osoby zaangażowane w prowadzenie tajnych kompletów. U nas odbywały się też zajęcia.

Ojciec był chory na astmę, więc nie zawsze mógł iść do magazynu. W magazynie nie tylko kupowało się skóry, ale jeszcze obcinało resztki, soliło, układało. Mama często po południu, szczególnie jesienią, kiedy ojciec nie był w stanie, chodziła tam. Nie wiem, w jakich okolicznościach doszło do spotkania Żydów z mamą.

Któregoś wieczoru niechcący podsłuchiłam rozmowę rodziców. Wpadło mi w ucho parę słów i zaczęłam nadśłuchiwać. To co usłyszałam: „Wisiu, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak narażasz naszą rodzinę?”. Mama zaczęła płakać i mówi: „Pawełku, ja nie mogę słuchać, jak głodne dzieci płaczą”. Zrozumiałam, dlaczego mama zawsze wieczorem nosiła z domu duży gar gorącej kaszy. Mnie to nie interesowało. Miałam swoje zadania. Dopiero jak rodziców aresztowali, zrozumiałam, dlaczego nosiła tą kaszę. To była kasza przekazywana Żydom.

Żydzi mieli jedną wadę – jeżeli było niebezpieczeństwo, zamiast siedzieć cicho, było „aj waj, aj waj”. To było powodem, że przez ścianę z grubych desek musieli usłyszeć. Opowiadał mi pan Stach Mucha, który też tam pracował. Po tym jak Żydów wyeliminowali z życia codziennego, jak już nie pra-

cowali u rodziców, do magazynu przyszedł gestapowiec. Podobno. Nie twierdzę, że tak było. Jak Żydzi usłyszeli niemiecką rozmowę, niektórzy zaczęli płakać, jak to oni mieli w zwyczaju, lament ogromny. Podobno w ten sposób doszli. Inną wersję, której jestem skłonna uwierzyć, też słyszałam. Według niej rodziców wydał jeden mieszkaniec Biłgoraja, który zazdrościł ojcu skupu skór. Sam był masarzem. Dlaczego jestem skłonna podejrzewać? Bo po wyzwoleniu, jak przyjechałam do Józefowa, ludzie z wywiadu AK powiedzieli mi dokładnie nazwisko tej osoby. Nie wierzyłam. Daleka jestem od tego, żeby posądzać o jakąś podłość. Ale dało mi do myślenia. Jak mnie milicja wezwwała – prowadzili dochodzenie – żądali, żebym powiedziała, kto wydał rodziców. Nie wspomniałam nazwiska tego pana. Nie mogłam wspomnieć. Nie miałam pewności. Oni mnie pytali, czy to on. Na drugi dzień po przestuchaniu przyszedł ten gość do mnie i pytał, o co mnie pytali. I sam zaczął mówić „Ludzie mówią, że ja wydałam rodziców, to nieprawda”. Więc to mnie po prostu utwierdziło w przekonaniu.

Rodziców moich aresztowano 17 lutego 1943 roku. Ja cudem uniknęłam śmierci. Byłam w domu, jak przyszli na rewizję. To było rano. Zaczęło się od pytań o pomieszczenia. Wyglądało na to, że zainteresowani są murowanym domem na [siedzibę] gestapo – sami byli w drewnianym budynku naprzeciwko. Ale moja wujenka pochodzi z rodziny niemieckiej i z tego, co usłyszała, zorientowała się, że to jest bardzo poważna sprawa.

R E L A C J E

Trwało to ze dwadzieścia minut. Przyszła do mnie mama i mówi: „Gabrysiu, wynieś tą paczuszkę, tylko tak, żeby ciebie Niemcy nie złapali, i oddaj panu Olechowskiemu”. Wzięłam kurtkę na kożuszkę i w rannych pantoflach, w skarpetach, bez rajstop, 17 lutego, wyszłam.

Wychodzę na korytarz, stoi, nie wiem, czy gestapowiec, czy z kryminalnej policji ktoś i po polsku mówi: „Nie można wychodzić”. A ja z tupetem mówię: „Wiem, że nie można”. Minęłam, zeszałam na parter, tam znów ktoś stoi i znów nie można wychodzić. Mówię: „Wiem, że nie można”. Minęłam. Nie zatrzymali mnie. Na parterze od strony domu kultury, pierwsze dwa pomieszczenia zajmowało biuro „Społem”. Tam pracowała moja koleżanka. Weszłam, mówię: „Marysiu, schowaj tę paczuszkę, ja nie wrócę do domu”. Coś mi mówiło, żebym nie wracała. „Wrócę do domu, jak skończy się rewizja”. Siedziałam tam przy oknie i obserwowałam, co się dzieje. Po jakimś czasie podjechał furgon, duża fura i widzę, że zaczynają wynosić z domu różne rzeczy i zabierać do gestapo. W pewnym momencie wszedł szef gestapo Kolb czy Kolbe (był miesiąc, może dwa tygodnie, bardzo krótko na tym stanowisku) z ogromnym wilczurem. Dostałam trzęsionki nerwowej. Ząb na ząb mi nie trafiał. Skurez. A on chodził, oglądał. Jedna z pracownic знаła niemiecki, pytał, co tu jest: „A to jeszcze tutaj zrobimy rewizję”. Marysia dała mi, pożyczyła pantofle. Furgon odjechał, wtedy na ukos przeszłam na drugą stronę ulicy Kościuszki. W jednym z drewnianych domów pożydowskich Piotra Czarneckiego dziadkowie mieli sklep. Aku-

rat jego ciocia, moja koleżanka, była w sklepie. Weszłam. Był kontuar i gabłota szklana. Posadziła mnie za tą gabłotą i przez okno widziałam, co się dzieje przy naszym domu. Tak przeczekaliśmy najtrudniejszy okres. A moje koleżanki, z którymi chodziłam na tajne komplety: Luńka Książkówna, Danusia Piętakówna i wiele innych, one były gońcami. Chodziły, penetrowały, co mówią i wpadały co raz, informowały mnie. I w pewnym momencie wpada jedna przerażona i mówi „Gabrysio, musisz uciekać!”. Pytam, co się stało. W naszym domu był skład apteczny i tam do tego sklepu aptecznego przyszedł M. – Polak, który zrobił się wielkim służbistą, gestapowcem. Przyszedł i pytał, gdzie ja jestem, bo szef kazał mnie aresztować.

Nie mam gdzie uciekać. Jedyne dom, Niemcy tam są.

I wtedy moje koleżanki zaproponowały, że bym poszła na Bojary do państwa Piętaków. Znałyśmy się, przyjaźniłyśmy. Chodziłyśmy na tajne komplety, była już więź między nami zadzierzgnięta. Jedna mi pożyczyła dużą chustkę w kwiaty czerwoną, druga rajstopy i pantofle. I wyczekałyśmy. Jak spod domu odjechał furgon do gestapo, nim wyładowali, to ja stąd na ukos przeszłam aż do ulicy Nadstawnej. Spotkał mnie ktoś, już nie pamiętam kto, mówi: „Panno Gabryniu, czy pani wie, że u pani w domu jest rewizja?”. Mówię, że wiem. Chustką się opatuliłam, żeby jak najmniej osób mnie poznało, bo przecież idąc do obcych ludzi, zdawałam sobie sprawę, że ich też narażam.

I tam przesiedziałam do wieczora. Nikt nie spodziewał się, że akurat tego wieczoru przyjdzie sąsiadka, może dwudziestoletnia, która przyjaźniła się z wieloma Niemcami.

Miała złą reputację. Państwo Piętakowie bali się, że ona może wydać mnie Niemcom. Wiadomo, jakie konsekwencje mogą wobec państwa Piętaków zastosować. I wtedy znów koleżanki uradziły, że od pani Piętakowej przejdę na ulicę Zamojską do państwa Książków. Ich córka też była moją koleżanką. Tam byłam przez tydzień, na facjacie, pokój. Nie wiedziałam, co z rodzicami. Coraz ktoś przyszedł, powiedział, że tak strasznie maltretowali mamę, ojca mniej, tylko mamę. Żydzi byli bardzo prawdomówni. Pytali, kto im pomagał. Może nie chcieli powiedzieć, nie wiem. Ale jak im obiecali, że jak powiedzą, kto im pomagał, puszcza ich wolno, powiedzieli, że Trzebińska przynosiła im jeść. Różne wieści mnie dochodziły u państwa Piętaków. Pan profesor Adamczyk, który uczył mnie na tajnych kompletach, przyszedł i powiedział: „Panno Gabrysio, zorganizowaliśmy dla pani wyjazd do Lublina. Nie może pani tu dłużej być”. Umówił, że w niedzielę, wyjdę naprzeciwko stacji kolejowej Rapy. Jak usłyszę, że od Biłgoraja jedzie ciężarówka i cały czas trąbi, to mam wyjść. Kierowca wie, co ma zrobić. Zawiezie mnie do Lublina do siostry pani profesor Jabłońskiej. Jechałam pod plandeką. Kierowca też ryzykował – nie miałam kenkarty, a to groziło konsekwencjami. Zawiózł mnie do państwa Kossakowskich. To był pierwszy dom piętrowy za Ogrodem Saskim. Potem z tego domu wysiedlili ich w okolice dworca PKS. Tam dostali dwa pokoje z kuchnią, małe, wysokie i na facjacie mały pokój, w którym mieszkaliśmy, nocowałam i nocowała bratanica pani Kos-

sakowskiej. Oni mieli pięcioro dzieci, narażali się. Przyjechałam do nich, powiedziałam kim jestem, współczuli mi bardzo. „A no to na pewno jesteś głodna”. Naszykowali mi talerz kapuśniaku, a ja w płacz. W domu dla córki był mózdzek jak był kapuśniak, jak był krupniczek to prędiutko omlecił się robiło. Wyobrażałam sobie, że jak zjem kapuśniak to trupem padnę. Ale zjadłam. Nie gryzłam kapusty. Płakałam nad tym kapuśniakiem, a pani Kossakowska mówi: „Smakował?”. „Bardzo”. „No to ja ci jeszcze dołożę”. I drugą furę zjadłam. Pół godziny później myślę sobie: „Żyję, to znaczy kapuśniak można jeść”. Pani Kossakowska zarabiała szyciem. Zaproponowałam, że naobieram kartofli na obiad. Zaczęłam obierać, ona zobaczyła i powiedziała: „Gabrysio, ty lepiej fastryguj i wyciągaj fastrygę, bo za grubo obierasz”. W życiu nie obierałam kartofli! Upokorzona byłam tym ogromnie.

Nie pamiętam, kto napisał list na adres pani Pomorskiej: „Danusiu, nie wychodź na ulicę, lecz się, bo ktoś ciebie widział i mówił, że bardzo źle wyglądasz”. Ostrzeżenie – ktoś mnie widział w Lublinie na ulicy. Siedziałam więc w domu. Prulałam, fastrygowałam. Ale postanowiłam, że odnajdę moją rodzinę. Zdobyłam adres w urzędzie miejskim dalekich kuzynów mojej mamy i poszłam ich odwiedzić. Tak się złożyło, że akurat na Franciszka. Mieszkali na Starym Mieście. Trafiłam na imieniny. Zostałam na kolacji, jak to za okupacji skromnej. Wróciłam do domu, przed samą godziną policyjną, już biegłam. Weciąż nie miałam kenkarty. Wtedy już do pani Pomorskiej z Biłgoraja wprowadziła się pani profesor Jabłońska, z tym że sama wyjechała do Warszawy do rodziny

R E L A C J E

męża, a tutaj zostawiła nianię z dwuletnim synkiem Januszkiem. Wpadłam do domu zziajana, a niania klęka przede mną: „Panienko, niech panienka ucieka. Bo tu był B.”. Gestapowiec Polak. Rozstrzeliwał nie tylko Żydów, Polaków. Mścił się, pił bardzo dużo. Niania płacze, a ja zdaję sobie sprawę, że to nie tylko chodzi o mnie, ale o całą rodzinę. Niemcy wtedy likwidowali wszystkich, czy byli winni, czy niewinni, czy pomagali Żydom, czy osobom, które pomagały Żydom, a były szukane. I w takiej rozpaczy, poszłam spać.

Podjechali autem. Byli w długich, czarnych, skórzanych płaszczach. Dwaj. Buty skórzane, oficerki. Zaczęli oglądać mieszkanie. W pewnym momencie mówią: „a ile tu osób mieszka?”. Pani Kossakowska mówi: „Ja z mężem i pięcioro dzieci. Jeszcze jest niania z synkiem mojej siostry”. „To tyle zameldowanych, ale ile niezameldowanych?”. Ona mówi: „Nikt tu nie mieszka niezameldowany”. „To jeszcze sprawdzimy”. I wyszli. Niania w jednym poznała gestapowca z Biłgoraja. Poszliśmy spać.

Opatrzność czuwała nade mną. W nocy przyjechał z Hrubieszowa brat pani Jabłońskiej, pan Pomorski, adwokat. Jak się dowiedział o całej sytuacji, następnego dnia wyrobił mi fałszywą kenkartę na nazwisko Podlódzka Gabriela. Zostałam z tym imieniem, ponieważ Januszek mówił na mnie Gabka. I wywiózł mnie do Warszawy do teściowej pani profesor Jabłońskiej.

W Warszawie byłam chyba miesiąc. W międzyczasie pani Jabłońska nawiązała kontakt z moją wujenką, która u nas mieszkała, a potem wyjechała do jakiejś miejscowości na trasie do Częstochowy.

Z Powiśla znalazłam się u Urszulanek Szarych w Brwinowie. Tam przez dwa miesiące pracowałam jako pomoc w sierocińcu. A od września dali mnie do Urszulanek Szarych na róg Dobrej i Tamki. Tam był duży, chyba czteropiętrowy budynek, gdzie zakonnice prowadziły zajęcia, tajne nauczanie i jednocześnie był internat. Miałam legitymację, że chodzę do jakiejś handlowki czy innej szkoły w mieście. Pokazali mi, gdzie ta szkoła, że bym wiedziała w razie czego, jak pokazać trasę. U sióstr ukończyłam pierwszą klasę liceum pedagogicznego. A przed powstaniem warszawskim siostrzeniec mojej wujenki, który pracował w Brwinowie też u Urszulanek Szarych, polecił mi, żebym pojechała do mojej wujenki na miesiąc. Wzięłam tylko pantofle, dwie pary majtek, dwie pary halek, dwie bluzki, jedną spódnicę i letni płaszczyk wiatrem podszyty. Na miesiąc po co mam brać więcej. Zostałam już tam. Przyszła jesień, nie miałam w czym chodzić, więc wujenki siostra dała do szewca buty, obciął obcasy. Miałam pantofle, w których niezbyt dobrze się chodziło. Nie mam ciepłych majtek, więc wujenka obcięła wełniane kalessony, zaszyła rozporek – miałam ciepłe majtki. Nie miałam kurtki cieplej, to mojej wujenki siostra dała mi zapaskę wełnianą. Od mrozów wystarczała, a potem oni już coś zdobyli. Zaproponowano mi, żebym zorganizowała tajne komplety. Uczyłam młodzież. Za to dostawałam kaszę, fasolę, słoninę i jakoś tam się żyło.

Dowiedziałam się, że strasznie katowali moją mamę. Bili ją moimi nartami, okuciem.

R E L A C J E

To jeszcze nie, potem co drugi, co trzeci dzień, nieraz codziennie wozili z więzienia na badania i z powrotem bili, rany ropiały. Bili po ranach, po tym ciele niewygojonym. Mama była torturowana.

Rodzice zostali rozstrzelani 2 marca 1943 roku. Przy ulicy na Zamość, za dużym kościołem. Tam rodziców wywieźli i rozstrzelali. Z tego co wiem, ciało mamy było w innym miejscu, ojca w innym. To dowodzi, że chcieli uciekać. Przywieźli ich furgonem, zabili i przywieźli do więzienia; położyli w kącie podwórka. Jak się ówczesny burmistrz pan Goliński o tym dowiedział, zadzwonił do gestapo z pytaniem, czy można rodziców pochować w trumnie – byłiby pochowani razem z Żydami i innymi gdzieś w lesie, w dołach. Gestapowiec, który odebrał telefon, skontaktował się z szefem gestapo. Pozwolił w trumnie. Wtedy Goliński zapytał, czy można pochować na cmentarzu. Szef zirytowany zapytał, czy chce leżeć razem z Trzebińskimi, dlaczego się interesuje. Goliński wyjaśnił, że ponieważ Trzebińscy byli obywatelami miasta Biłgoraja, przysługuje im prawo pochówku na koszt miasta. Dlatego rodzice zostali pochowani na cmentarzu. Pogrzeb wyglądał tak, to wiem z opowieści wujenki – na furmance stały dwie trumny, na jednej siedział gestapowiec B. Jak zobaczył wujenkę i babcię, które chciały iść na pogrzeb, to im pogroził pięścią. Zakopali, zrównali z ziemią. Ktoś postawił krzyż brzozy. Potem przyjechałam, grób normalnie zrobiłam, tabliczkę powiesiłam. Z Kamieńska, gdzie mieszkałam, po wyzwoleniu, właściciele młyna proponowali mi, żebym pojechała, nie

pamiętam nazwy miejscowości. Pojechałam. Podobało mi się bardzo. Zostałam u nich. Zaproponowano mi pracę w szkole. Wtedy brak było nauczycieli. Pierwszą klasę mogłam prowadzić.

Kiedyś wracałam, przepiękna droga, zapach traw, ptaki śpiewały, wszystko w człowieku też śpiewało, tak tam było ślicznie. Jechałam rowerem, Cyganka mnie złapała za kierownicę i mówi: „Panienko, powrócę ci”, a ja mówię: „Cyganka mi i tak prawdy nie powie”. „A jak jedno – tak mi spojrzala w oczy – jak jedno powiem nieprawdę, to mi nie zapłacisz”. Myślę sobie: „Ona mi tu nie powie prawdy, jestem pod fałszywym nazwiskiem, nie jestem stąd”. Chętnie siadłam, żeby trochę się pobawić, a ona zaczyna tak: „Ty nie jesteś stąd, jesteś z daleka. Przeżyłaś tragedię, ale sama wyszłaś obronną ręką. Ty nie jesteś tą, za którą się podajesz, ludzie ci szczęścia zazdroszczą. Ty jesteś z daleka i tam niedługo wrócisz”. Mówię: „Cyganko, ja tam nigdy nie wrócę!”. Obiecałam sobie, że nigdy nie wrócę do Biłgoraja. A ona: „Ty nawet nie wiesz, jak szybko pojedziesz. Jest wiadomość do ciebie”. Przychodzę do domu, jest list od mojej wujenki, żebyśmy przyjecha-

ła, bo dom jest spalony i ludzie zaczynają rozbierać. Jak bym mogła, to lotem ptaka bym przyleciała do Biłgoraja. Tak bardzo zatęskniłam. Podstępem pojechałam, bo wujenka mnie nie chciała puścić. To były czasy, kiedy na szaber ludzie jeździli. Ludzie wracali z ogromnymi bagażami, co wieźli z Zachodu, co zszabrowali. Umówiłam się w Kamieńsku, że jeden kolejarz pomoże mi, młody taki. Powiedział: „Powiedz wujence, że ja jadę do Lublina na tej trasie, będziesz pod moją opieką”. Pojechałam, przeżyłam niesamowicie wiele strachu. W Lublinie jest pociąg do Bełżca, towarowy, dach dziurawy, deszcz się leje. Weisnęłam się do wagonu, ludzie w kącie przyparli mnie do ścian. Stałam całą drogę na swoich bagażach. Mało że mi się lało z dachu, ktoś parasolkę otworzył i jeszcze z tej parasolki. Dojechałam do Zwierzyńca. Wysiedliśmy, wieczór, do Biłgoraja nie ma czym się dostać. A ja tak bardzo chciałam dojechać do Woli Dużej, gdzie państwo Mikulscy mieszkali, gdzie miałam przyjaciół. Namówiłam parę osób, żeby pieszo iść na Wolę Dużą. „Tam moi znajomi mieszkają, tam się zatrzymamy, przenocujemy”. Doszliśmy na Wolę, stukam do okna.

Obcy ludzie otwierają, pytam o państwa Mikulskich. „Oni mieszkają w Biłgoraju”. „To chociaż pozwólcie państwo przenocować nam w stodole”. Rano dotarłam tutaj.

Moi rodzice byli bardzo operatywni, pracownicy. Zawsze dawali schronienie innym, w 1939 roku bardzo dużo oficerów i żołnierzy przewinęło się przez nasz dom. Starali się o ubrania dla nich, wysłali paczki do obozów jenieckich. Później dowiedziałam się, że ojciec należał do AK.

Towarzystwo Singerowskie w Biłgoraju podjęło ustanowienie nagrody dla ludzi, którzy pomagali Żydom. Byłam bardzo mile wzruszona, jak w tym roku, w czasie dni singerowskich dostałam zaproszenie, przyjechałam i dostałam tę „Nagrodę odwagi i tolerancji imienia Melanii i Jana Mikulskich”. Odbierając, powiedziałam, że jestem wzruszona, że po tylu latach nagroda ta została przyznana. Odbieram ją, ale traktuję jako nagrodę dla moich rodziców, którzy poświęcili życie, żeby pomagać potrzebującym Żydom. Tym milej, że to nagroda imienia Melanii i Jana Mikulskich, ponieważ z tą rodziną zaprzyjaźniłam się podczas okupacji. Po okupacji traktowali mnie jak członka rodziny.

DEUTSCH

Gabriela Gorzandt wurde 1926 geboren. Sie wohnte mit ihren Eltern Wisława und Paweł Trzcinski in Biłgoraj. Sie erzählt, dass sie im Herbst 1942 aus dem Fenster beobachtete,

wie Juden von den Deutschen deportiert wurden. Gabrielas Vater beschäftigte Juden

RELACJE

in seinem Ledergeschäft, um sie vor Deportationen zu retten.

Einige Juden haben heimlich ein Versteck im Ledermagazin eingerichtet und eine zweite Wand eingebaut. Dort versteckten sich zwei

Familien. Eine der Familien, Familie Kandel, hatte ein neugeborenes Kind bei sich. Die Eltern baten Familie Trzeciński das Kind mit nach Hause zu nehmen, Trzecińskis weigerten sich aber, denn in ihrem Haus waren oft viele Leute und es fanden auch illegale Studientreffen statt.

Gabriela Gorzandts Mutter brachte den Leuten täglich warme Grütze ins Versteck.

Eines Tages kam ein Gestapomann ins Ledergeschäft. Er hörte Geräusche und Weinen und entdeckte das Versteck. Eine andere Version der Geschichte ist, dass ein Geschäftskonkurrent des Vaters die Juden verriet.

Am 17. Februar 1943 wurden Gabriela Gorzandts Eltern von den Deutschen festgenommen. Gabriela Gorzandt gelang die

Flucht. Sie versteckte sich erst bei Bekannten und ging später nach Lublin und Warschau. Dort erfuhr sie, dass ihre Eltern gefoltert und am 2. März 1943 ermordet wurden. Nach dem Krieg kehrte sie nach Biłgoraj zurück. 2007 erhielt sie den „Melania-und-Jan-Mikulski-Preis für Mut und Toleranz“.

E N G L I S H

Gabriela Gorzandt, née Trzecińska was born on August 10, 1926.

Gabriela Gorzandt was living with her parents Wistawa and Paweł Trzeciński in Biłgoraj. She recounts how in the Fall of 1942, from her windows, she saw the Nazis rounding up Jews in the city square to transport them to the ghetto, and to the death camp in Bełżec. Gabriela's father got a permit for purchasing and supplying raw hide. He hired Jews to work for him. Although the Nazis wanted him to fire them, he refused to do so, so as to save their lives. In the warehouse, some Jews built a hid-

ing place behind a double wall without the owner's knowledge. There lived two families, one of them – the Kandels. There was also a little child among those who were hiding there. His parents asked the Trzeciński family to hide the child somewhere in the house. The Trzecińskis refused because they had many guests who used to come to listen to the news from the illegally owned radio, and some illegal meetings were also held there. Daily, Gabriela's mother brought one large pot of hot porridge for the Jews who were hiding. One day, a Gestapo agent came into the warehouse, heard voices and crying, and

discovered the hiding place. Another version of this story is that the Nazis got to know about the hideout from a rival businessman envious of the purchase permit. On February 17, 1943 the Nazis arrested her parents. Gabriela Gorzandt managed to escape. She was able to hide with acquaintances. After a week she fled to Lublin and later, fearing arrest, she moved to Warsaw. There she learned that her parents were shot to death on March 2, 1943, after being horribly tortured. After the war, she moved back to Biłgoraj. In 2007 she was awarded "The Melania and Jan Mikulski Award for Tolerance and Courage".



01

02

03

Ojciec Gabrieli Gorzandt, Paweł.
Paweł, der Vater von Gabriela Gorzandt.
Paweł, Gabriela Gorzandt's father.

GABRIELA GORZANDT

Z prawej mama Gabrieli Gorzandt.
Die Mama von Gabriela Gorzandt,
auf der rechten Seite.
Gabriela Gorzandt's mother on the right.

ROK 1929 W O L A D U Ż A RELACJE W O L A D U Ż A URODZENIA DANUTA MIKULSKA-RENK

Nazywam się Danuta Mikulska-Renk, urodziłam się w kwietniu 1929 roku, wychowałam i mieszkalam do końca wojny na leśniczówce przy szosie przy wsi. To była trasa, którą szły wszystkie fronty [i] uciekinierzy. Wszystko się działo przy naszym domu na tej trasie Biłgoraj – Zwierzyniec, tak że wszystko widziałam.

To był rok 1942, jesień. Na Wszystkich Świętych byliśmy na cmentarzu, potem chciałam nocować w Biłgoraju u przyjaciół rodziców, gdzie były dzieci w moim wieku. I rodzice mnie zostawili. Nad ranem po Wszystkich Świętych zaczął się pogrom Żydów biłgorajskich, bo Niemcy sukcesywnie miasteczko po miasteczku mordowali czy wywozili. Właśnie tego dnia był ten Holokaust dla Żydów biłgorajskich. To było straszne, piski, wrzaski, strzelanie, łomotanie do bram. Nikt nie otwierał, bo się bał. Była kara śmierci za pomaganie Żydom. Po południu, kiedy się trochę uspokoiło, ojciec z rolnikiem z Woli przyjechali po mnie i zabrali mnie do domu. A dwa dni później... bo jeszcze wyłapywali

wszystkich, którzy się poukrywali i spędzali ich za drutami. Gestapo było przy małym kościółku [kościół pod wezwaniem św. Jerzego], usadowili się na plebanii, a potem zajęli cały plac i kamienicę spaloną w 1939 roku. Zamordowali właścicieli, córka Trzebińska Gabriela uciekła.

Niemcy tych Żydów przetrzymali chyba ze dwa dni. Potem pogonili do stacji kolei szerokotorowej, żeby ich wywieźć do Bełżca do obozu śmierci. Większość Żydów biłgorajskich tam skończyła życie. Żydzi szli koło leśniczówki. Staliśmy i ojciec mówił: „Zobaczcie i zapamiętajcie do końca życia. Co ludzie mogą zrobić innym ludziom”.

Ż Y D Ó W K A

Ojciec miał tego dnia wypłatę robotników leśnych i mimo że to był listopadowy dzień, zdecydował zrobić to w tak zwanej wózwce. Jak przyszli, za jakiś czas krzyk, wpadła Żydóweczka, dziewczynka z dziewięć lat. Robotnicy zaczęli mówić: „O Żydówka, Ży-

dówka”. Ona wpadła do nas przez podwórkę do sieni i pamiętam ten moment, ojciec zaraz też wpadł. Była w szoku, żenice miała szerokie i powtarzała: „Ja nie chcę umierać. Boję się. Ratujcie mnie!”. Ojciec przyszedł, potrząsnął ją za ramiona i powiedział: „Nie bój się, tylko nie krzycz. Popatrz, ludzie słyszą. Uspokój się. Uratujemy cię”. Uspokoiła się trochę. Ojciec poszedł do robotników i zapytał: „Co my teraz mamy zrobić?”. Był rozkaz – gdzie się tylko Żyda zobaczy, trzeba go donieść albo doprowadzić Niemcom. A jak nie, to groziła kara śmierci. Tam było chyba z kilkunastu chłopów. Ojciec mówi: „Słuchajcie, ja mam specjalny kłopot. Bo u jej rodziców wszystko kupowaliśmy. Znam tę małą od dziecka i coś tu zrobić. No niby to tylko Żydówka i mamy rozkaz dostarczyć, ale co wy uważacie? Co myślicie?”. Chciał ich jakoś psychologicznie podejść, żeby oni się poczuli jakoś w to zaangażowani. „Ja myślę, że choć to Żydówka, ale na sumienie ciężko brać. Wyprowadźmy ją do lasu. Tam już niech się

041

z nią stanie, co chce. Ja wam skończę wypłacać i wyprowadzę ją do lasu i niech tam Pan Bóg z nią robi, co chce". Przyszedł i zaprowadził ją do lasu. „Siedź, aż się ściemni, ja po ciebie przyjdę. Nie bój się. Tylko nie ruszaj się stąd, bo ja cię nie znajdę w nocy". Przyszedł [wieczorem], patrzy, nie ma jej, woła: „Ryfka! Ryfka!". Nikt się nie odzywa. Nie może głośno krzyżeć. Nie było jej. Zastanawiał się, co się mogło z nią stać. Słyszał psy od młynarza Barańskiego. Pomyślał sobie, że dziecko niemądre, bało się ciemności i poszło pewnie do ludzi. Poszedł do [Barańskiego]. Trochę się obawiał, bo tam Niemcy przyjeżdżali do jego córek. Nie miał stuprocentowej pewności, choć znał go dobrze. „Co słyszać, co słyszać?". W końcu mówi: „Panie Barański, uciekła ta Żydóweczka, co u nich kupowaliśmy w sklepie. Ja ją do lasu zaprowadziłem, bo pomyślałem sobie, że gdzieś znajdę gajowego albo chłopca w lasach daleko, gdzie Niemcy nie zaglądają i może ją ktoś przechowa. Czy ona do pana nie przyszła?". „Jest". „Proszę pana bardzo, panie Barański, niech ją pan parę dni przetrzyma. Ludzie widzieli ją u mnie, jak uciekła, może ktoś przysłać Niemców na rewizję. W tym czasie będę kogoś szukał, kto się zdecyduje ją wziąć do siebie". Ojciec wcale nie szukał. Dobrze wiedział, że nikt nie weźmie dziecka do siebie. Nie miał takich znajomości. Po kilku dniach ją zabrał. A już była u nas inna Żydóweczka, starsza trochę, która nie знаła daty [swojego] urodzenia. Była sierotą już sprzed wojny. Znalazła się u nas. Matka Ryfki spotkała moją mamę w mieście, to było wcześniej parę miesięcy, i mówi: „Pani Mikulska, może byście wzięli do siebie sierotę. Ona u nas pomagała, dzie-

ci mi małe bawiła. Ona potrafi wszystko, podłogę zetrze pomału i wody przyniesie. My [nie możemy jej trzymać], bo sami nie mamy co jeść". I mama się zgodziła. Ona już u nas była, dwa miesiące albo trzy. I też był kłopot. W pierwszej chwili wyprowadził ją ojciec z siostrą starszą do lasu głęboko. Donosiliśmy jej z siostrą rano, bo przymrozki były, całą butelkę litrową gorącego mleka, kawał chleba. I ona siedziała w lesie. Panicznie się bała. „Mi się ciągle w nocy zdaje, że już ktoś idzie, ktoś mnie śledzi". A to liście spadały, może zwierzę jakieś przeszło. Wzięto się i ją także do domu. I siedziały. Krowa jedna ocalała w czasie wojny i te dziewczyny siedziały w oborze z krową, bo tam ciepło. W razie czego miały się chować pod żłób. Snopki miały, żeby zatkać za sobą. Przed drzwiami był bardzo ostry pies, także wszystko się dobrze składało. Nie zapomnę tych wszystkich rozmów rodziców. Strasznie się bali. Dwoje rodziców i nas troje, ja byłam najmłodsza.

K O L E J N I Ż Y D Z I

A potem którejś nocy ktoś zastukał do okna. Przyszło troje Żydów, dorosłych. To był Bencjon Rosenbaum, jego siostrzenica i jego brataniec. Ojciec go znał bardzo dobrze. [Bencjon] był przed wojną brakarzem drewna, pracował przeważnie na stacji Rapy, tam był skład drzewa. Wsadzono ich do stodoły, przykryto snopkami, ale to nie mogło trwać. Ludzie muszą

R E L A C J E

wychodzić za swoją potrzebą. Jest pięć osób. Jakiś czas tych troje nie wiedziało o tamtych dwóch, na wszelki wypadek. Były dyskusje, co zrobić? Może gdzieś coś załatwić, ale nikt nie miał pieniędzy. Poza tym często brali pieniądze i mordowali Żydów. Także w końcu zostało ich pięcioro. Ten najstarszy mógł mieć pewnie ze 30 lat. Jego siostrzenica była jeszcze niezamężna. Pola, po żydowsku Perla Twerski i jego brataniec Rosenbaum Chajf. Chłopak siedemnastoletni, wysoki, który zaczął przed wojną chodzić do gimnazjum.

K R Y J Ó W K A

Było ich pięcioro. Zima, mrozy straszne w czasie okupacji były. W końcu zdecydowano. Był pokój dla parobka, do którego się przechodziło do stajni z obory. Tam nie było pieca wstawionego. Było jeszcze z tyłu drugie pomieszczenie. Zdecydowano się ich umieścić w tym drugim pomieszczeniu. Kopano po nocach schron. Nie wiadomo było, co zrobić z piaskiem. Nagle jak się piasek pojawi na podwórku, będą pytać. Część szpano do ustępów, część pod studnią, żeby niby kałuże zasypać. Wykopano ten dół. Podłogę zbito z desek. [Do jednej przymocowano] haczyk, także to się jak drzwi otwierało od spodu. Matka miała jedną czy dwie poduchy i pierzynę, którą też Żydzi zostawili w 1939 roku, gdzieś uciekali na wschód i dała im. Jak mrozy, to tam spali i tam mieli się chować w razie niebezpieczeństwa. Siostra nauczyła się doić krowę. Była sześć lat starsza. Miała 18 lat. Co noc wynosiła brudy spod pięciu osób do ubikacji.

Weześniej byłam świadkiem paru rozmów, zanim nastąpił ostateczny pogrom Żydów w Biłgoraju. Przychodzili do ojca Żydz i prosili o przechowanie, chociaż dziecka. Ojciec przeproszał i mówił: „Zrozumcie mnie, mieszkam na samej szosie, cokolwiek Niemcy tu organizują, u nas zawsze jest kwatery. Nas jest pięcioro. Mam troje dzieci. Nie mogę tego zrobić. Starajcie się”. Przychodzili przeważnie ludzie bogatsi i ofiarowali pieniądze, złoto. Ojciec przeproszał bardzo i mówił: „Szukajcie. Może wam pomogę z kimś się w lasach skontaktować. Ale nie mogę nikogo przyjąć”. A potem przyszli ludzie i byli u nas bez żadnych pieniędzy. Było ich pięcioro i nas pięcioro, przez dwa lata, bez dwóch miesięcy. Dzieliło się skromne jedzenie na pół. To było dla nas wszystkich rzeczą normalną. Musi się to robić, chodzi o ludzkie życie. Nikt się nigdy nie nie sprzeciwiał. Mama nieraz płakała: „Janku, ty jedziesz do pracy, jedziesz na cały dzień do lasu, a mnie z dziećmi zabijają”.

S Y T U A C J E Z A G R O Ź E N I A

Przyszło wysiedlenie. Wysiedlono wioskę. Myśmy z Żydami tylko ocaleli. SS wcześniej obstawiało szosę i zrobili sobie u nas kwatery. Weszli z wielkim łomotem, z pyskownością, z krzykiem do rodziców. Ojciec i matka mówili pięknym niemieckim, cała moja rodzina z obu stron pochodziła z Galicji, ojciec studiował w Wiedniu.

Tego dnia nikt nie wiedział [że będzie wysiedlenie]. Wola [Duża] była pierwszą, albo jedną z pierwszych wsi wysiedlanych. W ogóle nie było wiadomo, czy ci ludzie będą

zaraz w lesie rozstrzelani. Pamiętam, że to było Boże Ciało. Ci, którzy byli u nas zakwaterowani, dwóch chyba oficerów czy podoficerów poprosiło ojca, żeby z nimi poszedł na wieś. Chcieli sobie kupić jakiejś śmietany, masła, kurę. I ojciec poszedł z nimi. W tym czasie przyszło wysiedlenie. Pod leśniczówkę spędzili ludzi i do nas wpadli. 15 minut czy coś. Mama w płacz i mówi: „Przecież ojciec jest leśniczym. Pracuje dla was”. A oni, żeby nie gadać tylko zabierać się. Karabinem machał. Matka płacze, ja płaczę. Każdy ubiera na siebie, co może. Już byliśmy na podwórku, już nas wyganiaли. Ojciec tylną bramą z tymi Niemcami wpada. Zatrzymali tego Niemca i powiedzieli: „Ci ludzie nie pójdą. Nigdzie nie jadą, zostają z nami”. A ten mówi: „Ja mam rozkaz, że jedna żywa osoba ma na wsi nie zostać”. „Mnie to nie obchodzi, oni nam piorą, gotują, my ich potrzebujemy”. A ten swoje. „Przyprowadź tu swojego oficera”. Ten poszedł i już nie wrócił. I myśmy tak zostali ocaleni. [Tego dnia] przyszła [do nas] córka Barańskiego w wieku mojej siostry. Niemcy, którzy u nas mieszkali, spytali, kto to jest. Mama powiedziała, że to przyjaciółka jej córki Jadzi. Ona powiedziała do żandarmów, że idzie się z przyjaciółką pożegnać. Wypuścili. Wszystko obstawione, wiedzieli, że nie uciekną. I kobieta przyszła ze wsi. Ten Niemiec powiedział: „To niech się obie schowają tam u was w sypialni”. I jeszcze te dwie kobiety ocalały. I pięcioro Żydów.

Ja sobie myślę, że jednak cuda się zdarzają. Tyłu ludzi zginęło na wojnie. [Tyłu], któ-

R E L A C J E

rzy nikomu nie podali nawet kromki chleba, bo „nam brakuje”. A myśmy zawsze się z wszystkimi dzielili i przeżyliśmy.

P O W O J N I E

Bardzo żał mi tego Chaimka [Chajfa Rosenbauma]. On był na Niemców zacięty. Był pewien, że cała jego rodzina zginęła. Wstąpił do Kościuszkowców, choć go wojsko nie obowiązywało i poszedł z wojskiem. Zginął pod Kołobrzegiem, mając 19 lat.

Teraz się wspomina, a przedtem się w ogóle nie mówiło, że Żydzi polscy ginęli również z Polakami, byli wywożeni na Syberię, że pod Monte Cassino ginęli, że w 1939 roku w polskim wojsku ginęli.

Tych dwoje dorosłych [Bencjon Rosenbaum i Perla Twerski] wyjechało do Wrocławia. Żydzi się bali zostawać tam, gdzie nie było Żydów. I słusznie. Tuż po wojnie zginął jeszcze jeden Żyd, co przeżył w lasach. Jego syn i drugi Żyd, co z nim siedział pod Ratwicą w ziemiance, przychodzili do nas w nocy. Co było w domu, to się dawało im do jedzenia, żeby zanieśli [do ziemianki]. Ten Żyd został zamordowany, idąc do Tarnobrodu. A jego syn wyjechał do Nowego Jorku. Co on może przeżywać, jak przeżył wojnę, mrozy, strach, głód i po wojnie jego ojciec został zamordowany?

Ci wyjechali do Wrocławia, bo tam dużo się skupiło Żydów z Polski. Jakiś sklepik założyli z byle czym. Odwiedzaliśmy ich. Perla poznała tam jakiegoś młodego człowieka, Żyda, i wyszła za męża. On pochodził właśnie z Galicji

ze wschodnich stron Polski. Jak uciekli do Związku Radzieckiego przed hitlerowcami, zostali wywiezieni. Tylko on ocalał z całej rodziny. Rodzice i rodzeństwo zmarli tam z nędzy i głodu. Perla miała [z nim] dwóch pięknych synków. Potem wyjechali do Izraela [razem z] Rosenbaumem. On pisał listy, że nie znosi tego klimatu, nie może wytrzymać. Nie wiem, ile żył. Umarł na serce.

Ojciec wiedział, że gdzieś będą organizacje żydowskie szukały sierot żydowskich. Dowiadywał się. W Lublinie była organizacja. Ojciec te dwie dziewczynki odwiózł do sierocińca żydowskiego. Wrócił stamtąd załamany, płakał. „Wychodziłem już z tego sierocińca, pożegnałem się z dziewczynami. Też mi było ciężko. Idę korytarzem. Małe dzieci zaczęły mnie za płaszcz łapać i wołać tate, tate”. Ojciec miał semickie rysy i ja mam, bo ktoś z nas był wmieszany w Ormian.

Ta jedna, która żyje do tej pory w Nowym Jorku, znalazła się na ziemiach zachodnich w jakimś sierocińcu. Pisała do nas

z pomocą nauczycielki Polki. Po latach Czerwony Krzyż ją odnalazł i zabrał do Stanów Zjednoczonych. Poznała nabożnego Żyda z Izraela. Do tej pory żyją. Dzwoni do mnie. Dochowała się czworga dzieci. Byłam u nich w 1971 roku 10 dni, bardzo mnie grzecznie i kulturalnie przyjmowali.

P O W O J N I E

To ojciec dostał pierwsze odznaczenie, jeszcze żył, ale był już ociemniały. Chyba był to rok 1967. Ojciec chory nie mógł pojechać do Warszawy. Więc napisał, że potem może, jak się ociepli i już nie mógł pojechać, ponieważ wybuchła wojna izraelsko-arabska, zerwano wszelkie stosunki dyplomatyczne z Izraelem i wydalono ambasadę.

Kiedy dostałam odznaczenie? Będąc w Stanach Zjednoczonych, często mi się zdarzało, że znajdowałam pracę u Żydów. Nie miałam żadnego zawodu, nie znałam słowa

po angielsku, byłam załamana psychicznie, wykończona fizycznie. Z takim balastem wyjechałam w 1975 roku. Nieraz opowiadałam, co tam w Polsce. Mówili, że to bardzo ładnie. Kiedyś mi przyszło do głowy, że oni myślą, że kłamię. Chciałam mieć dowód. Nie chodziło mi o medal, tylko żeby mieć zaświadczenie, że myśmy uratowali Żydów. Zaczęłam pisać. Oni mi nie odpisywali. Kiedyś ze złością zadzwoniłam do Ryfki: „Słuchaj, te wasze władze w Izraelu nie rozmawiają z gojami? U nas tego nie ma, w Ameryce się odpisuje. A u was gorzej jak w Polsce komunistycznej?”. Byłam zła. Ona powiedziała, że jej mąż zna hebrajski, to do nich napisze. I rzeczywiście natychmiast mi odpisali, że mi się należy medal. Zawiadomili mnie też z Nowego Jorku z organizacji żydowskiej, że jest organizowana wycieczka do Izraela dla tych, którzy pomagali Żydom, a jeszcze nie byli w Izraelu. Bezpłannie. W ten sposób byłam w Izraelu. Tam mi wręczono medal. To musiał być 1990 rok, już nie pamiętam.

D E U T S C H

Danuta Mikulska-Renk wurde 1929 in Wola Duża geboren. Sie wohnte mit ihren Eltern während des Krieges in einer Försterei zwischen Biłgoraj und Zwierzyniec.

Seit Sommer 1942 versteckte Familie Mikulski in der Försterei ein jüdisches Waisenkind, Lila Stern. Im November 1942 kam die neunjährige Jüdin Ryfka Weinberg hinzu.

Danach kamen noch drei Juden: Bencjon Rosenbaum, seine Nichte Perla Twerski und sein Neffe Chajm Rosenbaum. Sie kannten Familie Mikulski schon vor dem Krieg. Anfangs kamen alle in der Scheune unter, später bauten sie sich ein spezielles Versteck.

R E L A C J E

Im Juni 1943 wurde das Dorf ausgesiedelt. Dank der schnellen Reaktion des Vaters und der Hilfe von SS-Männern, die früher einmal bei Familie Mikulski Unterkunft gefunden hatten, durfte die Familie in der Försterei bleiben. So konnten sie noch zwei polnischen Mädchen helfen.

Alle bei Familie Mikulski versteckten Juden haben den Krieg überlebt. Der neunzehn-

jährige Chajm trat nach Kriegsende in die Polnische Division der Sowjetischen Armee ein. Er starb als Soldat bei Kołobrzeg. Die erwachsenen Juden fuhren zuerst nach Wrocław und wanderten später nach Israel aus. Die beiden Mädchen kamen zunächst in einem Lubliner Waisenhaus unter. Auch sie wanderten später aus – in die USA.

Danuta Mikulska-Renk berichtet auch von einem jüdischen Mann, der sich gemeinsam mit seinem Sohn im Wald versteckte. Auch ihnen brachte Familie Mikulski etwas zum Essen. Die beiden überlebten den Krieg, der Vater aber wurde kurz nach Kriegsende ermordet. Der Sohn wanderte dann nach New York aus.

1966 wurde dem Vater Danuta Mikulska-Renks die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen. 1990 erhielt auch Danuta Mikulska-Renk die Medaille in Israel.

E N G L I S H

Danuta Mikulska-Renk was born in 1929 in Wola Duża near Biłgoraj. Danuta lived with her parents in a forester's lodge in Wola Duża, on the way from Biłgoraj to Zwierzyniec. In the Fall of 1942, the pogrom began that involved the Jews living in Biłgoraj. In the Summer of 1942, the Mikulskis started hiding a Jewish orphan, Lila Stern. In November 1942, a nine-year-old Jewish girl, Rywka Weinberg, came to their house. Since the Poles working in the forest saw her, Danuta's father had to hide her, as he was afraid that she could be turned in to the Nazis. Later, other adult Jews came: Benejion Rosenbaum,

his niece Perla Twerski and nephew Chaim Rosenbaum. They knew Danuta's father before the war. At first, they were hidden in the barn, later a shelter was built for them. In June 1943, the village was to be emptied, and the inhabitants were given fifteen minutes to pack and leave their homes. Thanks to the presence of mind of Danuta's father and the help of soldiers who were billeted in their house, they were not displaced. Moreover, two young Polish girls who broke away and fled to the lodge, were saved. When the war ended, Chaim enlisted in the Kościusko Division. He died near Kołobrzeg at the age of 19. The rest survived. The adults went to

Wrocław and later to Israel. The girls ended up in an orphanage in Lublin, and later in the USA. Danuta also talks about two other Jews father and son who hid in the forest and who came to the Mikulskis' house for food. They survived the war, but the older one was murdered just after the war, while the younger emigrated to New York. Danuta has been in touch with Rywka to this day. She visited her for the first time in 1971, in the USA. Danuta's father Jan received the medal "The Righteous Among the Nations" in 1966 and Danuta received her medal in 1990 in Israel.



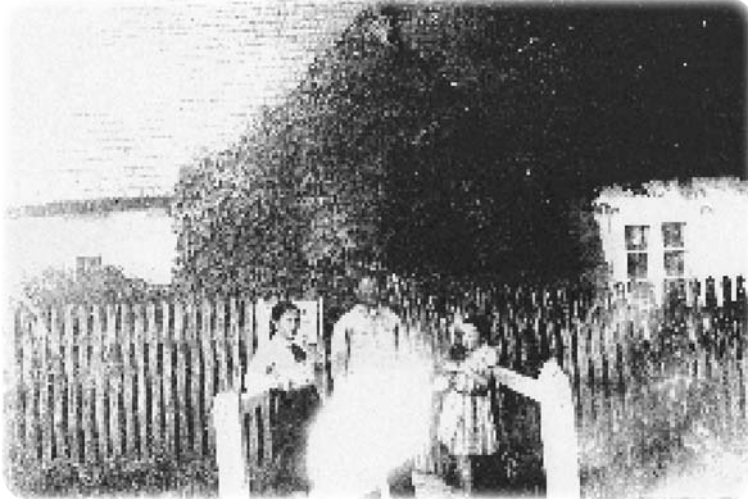
01

Danuta Mikulska-Renk.



02

Danuta Mikulska-Renk.



03

04



05

Leśniczówka, w której mieszkała rodzina Mikulskich
i gdzie przechowywani byli Żydzi.

Die Försterei, in der Familie Mikulski wohnte und
Juden versteckte.

A forester's lodge in which the Mikulski family lived
and Jews were being kept.

DANUTA MIKULSKA-RENK

Babcia i dziadek Danuty Mikulskiej
Die Großeltern von Danuta Mikulska.
Grandmother and grandfather of Danuta Mikulska.



06

Ojciec Danuty.
Der Vater Danutas.
Danuta's father.



07

Mama Danuty.
Die Mutter Danutas.
Danuta's mother.



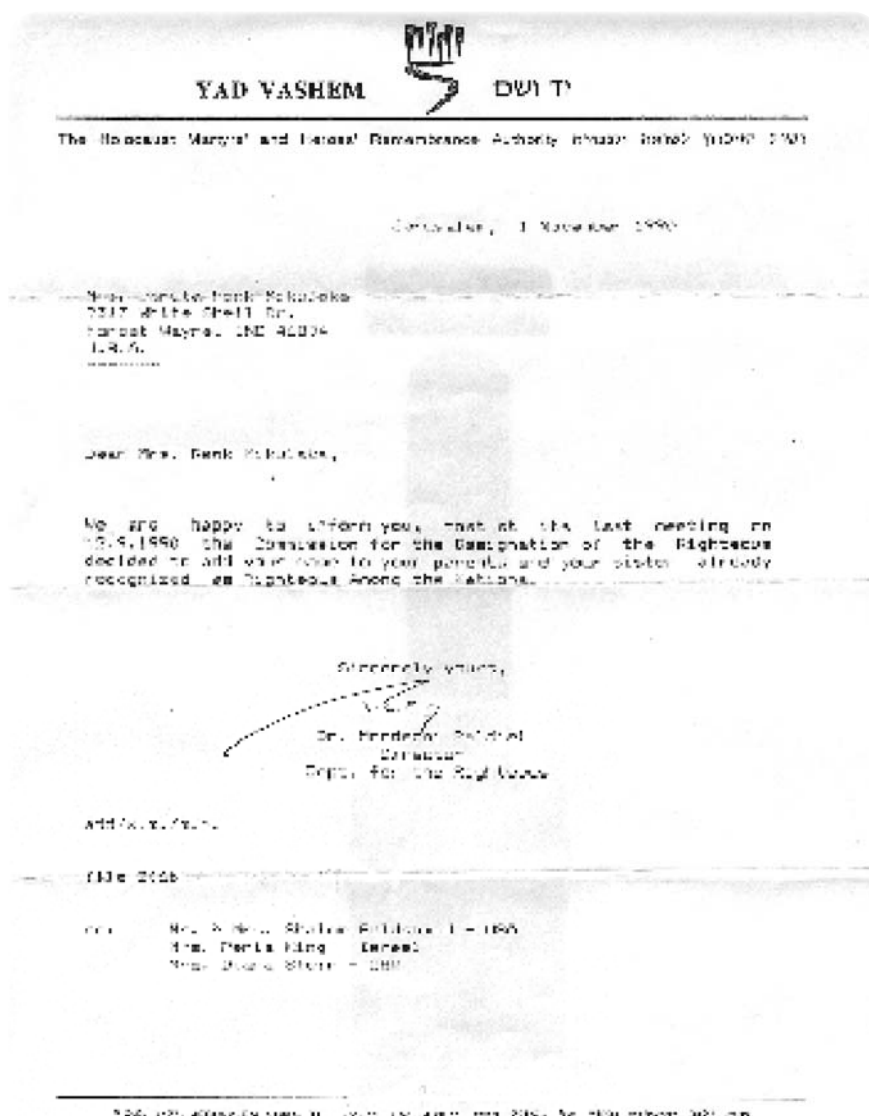
08

Bencjon Rosenbaum, jego siostrzenica i jego brataniec.
Bencjon Rosenbaum mit seiner Nichte und seinem Neffen.
Bencjon Rosenbaum, his niece and nephew.



09

Ukrywające się dziewczynki.
Mädchen, die sich versteckt haben.
The hiding girls.



ROK 1934 BEŁŻEC BEŁŻEC BEŁŻEC BEŁŻEC RELACJE BEŁŻEC BEŁŻEC BEŁŻEC BEŁŻEC URODZENIA MARIA JURCZAK

Nazywam się Jurczak Maria, jestem z 1934 roku. Moi rodzice nazywali się Maciej Brogowski i Cecylia Brogowska.

ŻYDÓWKA

Moja ciocia Ksawera była w Warszawie. Skontaktowała się z nią pani Maria Leszczyńska, która miała jakichś znajomych Żydów. Mieli oni córkę Irenę. Chcieli ją uratować, przywieźli ją z Krakowa do Warszawy. Po kilku dniach ciocia Ksawera przyjechała zapytać się moich rodziców, właściwie decydował tata, czy można przywieźć dziecko, żeby je przechować. Ojciec zgodził się. Był strach, było zagrożenie, ale on się zgodził. Irenka została do nas przywieziona. Była wzięta jako jedna z nas. Bardzo się polubiliśmy. Było tak przez kilka lat, na pewno cztery lata, bo już przyszli Sowieci, jak to się mówi, wyzwolenie było, tak można powiedzieć. Strach to był, codziennie na każdym kroku. Wojsko niemieckie było na

kwaterach. Ona bardzo się bała, bardzo to przeżywała.

Nazywała się Irena Sznycer. Ona mogła mieć sześć lat.

Mieszkaliśmy w Bełżcu. Przyszła w 1941, 1942. Już był obóz. Już wozili Żydów pociągiem. Wpierw nie palili, tylko truli w komorach gazowych. A jak palili, to już ta Irena patrzyła. Wieczorem wychodziliśmy, patrzyliśmy, ogień, słup ognia. W dzień nie było widać. Ojciec wiedział, kiedy może być nieszczęście. Ale starał się uratować życie. Uratować jedno życie. Kiedyś ktoś powiedział, kto w czasie wojny uratował jedno życie, to tak jakby cały świat.

ŻYCIE

Irena przebywała u nas jako nasza. Jeździła z nami na pole. Do mojego taty mówiła zawsze: „Wujciu, ja cię tak kocham”. Później ją ochrzcili. Były różne pogłoski, więc rodzice postanowili, że trzeba ją ochrzcić. W razie jak przyjdzie rewizja, to

ona jest ochrzczona, nieprawda, że to żydowskie dziecko.

KRYJÓWKA

Irenka chodziła normalnie. Razem spali my obydwie. Jak jechało wojsko niemieckie, to ona do piwnicy schodziła.

Sąsiadka mówiła: „Jak oni się nie boją. To Żydzę tak chodzi razem z nimi! Jak oni się nie boją?”. Bawiła się normalnie z nami. Chodziła do kościoła ze mną. My zawsze byliśmy tak za rękę.

DONIESIENIE

Doniesiono do wojska do obozu [obóz w Bełżcu]. Tam był sztab. Doniesiono, że u nas ukrywa się żydowskie dziecko. I przyszedł folksdojcz, nie pamiętam, jak się nazywał. Przyszedł sprawdzić, czy rzeczywiście to dziecko jest

051

u nas przechowywane. Nie był agresywny. Tylko groził, że jeżeli to jest prawda, to przyjadą skontrolować. Rodzice wytłumaczyli, że to nie jest prawda. Zanim poszedł, zapowiedział, że jeżeli odnajdzie się to dziecko, zginiemy w obozie. Cała rodzina, razem z tym dzieckiem żydowskim.

Ale później nikt się nie zjawił. Strach był wielki.

P O W O J N I E

Po wojnie ciocia Ksawera miała ją odwiedzić. Irenka nie mogła u nas dłużej być. Zaczęła do pierwszej klasy chodzić, już były obowiązki. Ciężkie czasy nastały. Ale tak my ją kochali, jak swoje dziecko, jak nasze. Zawsze mówiłam, powtarzałam, my wszyscy: „Nasza Irenka, nasza Irenka”. Została odwiedzona. Nie do rodziny, bo rodziców jej już nie było. Do obozu, gdzie wszyscy, którzy się uratowali, zbierali się. Starsi i młodszy. Różne ludzie ratowali, w różnym wieku. Ciocia ją tam zostawiła. Za niedługo ciocia Ksawera zmarła.

P O S Z U K I W A N I A

I kontakt nasz z Irenką się urwał. Ale ja tak dorastałam i stale nie dawałam sobie spokoju, co się stało z naszą Irenką, czy ona żyje, gdzie ona, co się z nią stało. I zaczęłam jej szukać. Po latach. Ja już wyszłam za mąż. Dzieci miałam. Często im opowiadałam. I one też już tak mówiły: „Gdzie ta nasza Irenka”? Poszukiwania zaczęłam od Polskiego Czerwonego Krzyża. Napisałam. Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi. W końcu dosta-

łam wiadomość, że w Polsce jej chyba nie ma. Mało było o niej danych, tylko jej imię i nazwisko. I znowu dałam sobie spokój.

Później, zanim powstał tutaj [w Bełżcu] pomnik, w 1984 roku był zjazd. Autokarami poprzyjeżdżali. Nawet chyba z Izraela, zwieźdzać. Miałam tylko jej zdjęcie. Pojechałam ze swoim synem, bo to od nas niedaleko, ale byłam bardzo chora, po ciężkiej operacji. Tam był pan, uratowany Żyd, też w Bełżcu się uratował. Niedaleko mieszkał. Byli i ci, którzy go uratowali. Powiedzieli, że oni mi pomogą. Później do Tomaszowa pojechali na przyjęcie i mnie poprosili. Pojechałam. Tam rozmawiałam z różnymi panami. Obiecali, że pomogą mi ją odnaleźć. Jeden dziennikarz, nazywał się Andrzej Ross, podszedł do mnie. Opowiedziałam mu o dziecku, dziewczynce, że chciałam ją odnaleźć i dowiedzieć się coś o niej, czy żyje. Pan dziennikarz wziął zdjęcie i obiecał mi, że opublikuje je. Mówił, że ona w Krakowie wydała publikację o swoim życiu, o swoim pobycie tutaj u nas. Ale ja tej publikacji nie widziałam. Dziennikarz powiedział: „Postaram się, jeżeli będzie to możliwe, to ja pani pomogę ją odnaleźć”. Za jakiś czas dostałam z Warszawy, z Krakowa gazetę. Nie wiem, co to była za gazeta, miałam ją długo, ale teraz mój syn ją zabrał. W tej gazecie był artykuł, gdzie się uratowali dzieci i dorośli. Było też zdjęcie Irenki. Dziennikarz napisał, że jeżeli ktoś się zgłosi, to on do mnie napisze. Ale niestety.

Dwa lata temu było oficjalne otwarcie obozu w Bełżcu, był tutaj nawet prezydent Kwaśniewski, jakieś wyższe władze. Pomyśla-

R E L A C J E

łam sobie, też pójde. Upał był. Idę sobie tam jak stacja kolejowa, niedaleko. Idzie dwóch panów chodnikiem. „Dzień dobry, dzień dobry”. „Idzie pani na uroczystość?”. Ja mówię: „No idę zobaczyć. Ale mam jeszcze jeden cel. Jest to dla mnie bardzo istotne. W moim domu moi rodzice uratowali życie żydowskiej dziewczynce, która nazywała się Irena Sznycer. Ja ją szukam”. A ten pan tak słucha, słucha i mówi: „Pani ojciec nazywał się Maciej Brogowski?”. „Tak, mama moja to Brogowska Cecylia. Była też Ksawera Brogowska – moja ciocia, która przywiozła Irenkę do nas, a po latach, jak już nie było zagrożenia, odwiozła ją”.

Ciarki mnie przeszły. „Czy naprawdę pan pamięta?”. A on mówi: „Tak, wie pani, ta Irena żyje. Ona jest teraz w Izraelu”. Ja na to: „Jakby pan mógł pomóc mnie ją odnaleźć? W jaki sposób mogłabym z nią nawiązać jakiś kontakt?”. Może podam swoje nazwisko, może ona będzie chciała odnaleźć dom swój. A on już nie bardzo miał chęć rozmawiać i powiedział: „Jeżeli ktoś będzie szukał, to znajdzie. Bełżec nie jest taką bardzo dużą osadą. Nie trzeba podawać adresu”. Podziękowałam. „Zostawia mnie pan w takiej sytuacji. Nie będę mogła sobie darować, że wciąż nic nie wiem”. Na tym się skończyło. Mam syna, który wyjechał do Nowego Jorku. Pracuje na Manhattanie. Jest tam bardzo dużo ludzi pochodzenia żydowskiego. Syn miał znajomych. Opowiadał, że w moim domu rodzinnym przebywała żydowska dziewczynka. Jest nawet zdjęcie. Po chwili zwrócił się do pana, który zajmuje się odnajdywaniem ludzi. Syn zapytał, czy nie mógłby mu pomóc odnaleźć Irenkę. A on mówi: „Mam takie możliwości. Jest pewna kobieta,

pani Ewa, która się też tymi sprawami zajmuje. Porozumiem się z nią i zobaczymy”. Syn czekał. Nie za bardzo długo. Po kilku dniach syn zadzwonił do pani Ewy. „Tak, tak, wiem o niej. Jest w Izraelu. Mam z nią kontakt. Dam panu numer do Ireny do Izraela”. Syn zadzwonił. Zgłosiła się Irena. Wszystko jej opowiedział, kto on jest, że moja mama szuka panią. „Moja mama teraz będzie szczęśliwa”. Zaraz zadzwonił do domu. Ale byłam akurat w Tomaszowie [Lubelskim] w szpitalu, chorowałam. Mąż mi powiedział: „Wiesz co? Twoja Irena się odnalazła. Marek z nią rozmawiał”. Nie wierzyłam. Kiedy wróciłam do domu, zaraz syn zadzwonił. „Mamo, Irena czeka, kiedy wrócisz ze szpitala”. Oni często dzwonili do siebie. Powiedział mi, że Irena do mnie zadzwoni. Telefon. Dzwoni Irena. „Maryja, to jestem ja, Irena”. Ścisnęło mi się serce. Ona bardzo słabo mówiła już po polsku, bardzo słabo. Mówiła po malutku. „Irenka, a dlaczego ty nie dawałaś żadnego znaku życia o sobie? Pamiętam, jakśmy się rozstawali, płakaliśmy bardzo i mówiłaś – wujciu, ja do was napiszę, ja wrócę jeszcze do was”. Powiedziała, że jak wróciła do Krakowa do obozu, nie było nikogo z jej rodziny. Byli wywiezieni już, spaleni. Miała już z piętnaście lat. We trzy koleżanki postanowiły stamtąd uciec. Wyjechały z Krakowa. Ciężko jej było. Opowiadała, ale ja nie zapamiętałam tego dobrze. Wiedziała, że w Izraelu jest ktoś z jej rodziny. Z tymi dwoma koleżankami próbowała dostać się tam. Droga była ciężka. Przez Anglię. Dotarła do Izraela. Tam znalazła swojego wuja. „Wiesz, to było dla mnie ciężkie, trudne wspomnienie. Postanowiłam, że nie będę do tego wracać, odtwarzać”.

Później szybko wyszła za mąż. Miała siedemnaście lat. „Tylko swojemu mężowi opowiedziałam, jak zostałam uratowana”. A miała też dzieci. „Dzieciom nie opowiadałam. Nie chciałam im mówić, dlaczego moje życie istnieje”. Powiedziała, że zamknęła tamten rozdział, ale skoro ją szukałam i odnalazłam... Później bardzo często dzwoniła do mnie. „Maryja, ja za swoje życie się odwdzięczę. Już nie rodzicom, ale odwdzięczę się, że żyję. A tobie obiecuję, że się za niedługo spotkamy. Maryja, za miesiąc będę u ciebie”.

To było dla mnie naprawdę bardzo wzruszające. „Maryja, ja do ciebie przyjadę ze swoimi dziećmi”. Trzy córki miała i syna. I rzeczywiście tak się stało. To był 1 lipca dwa lata temu. Przyjechała do mnie. Spotkaliśmy się tutaj w tym domu wszyscy jak jedna rodzina. „A teraz pojedziemy Maryja do naszego domu”. Pojechaliśmy do tego domku. Wchodzimy. Sień pośrodku, a dwa pokoje jeden z jednej strony, drugi z drugiej. I duży piec. „A tu taki wielki piec, gdzie się chowaliśmy w zimie. Na tym piecu leżał duży kot. A tam w tym kącie było moje łóżeczko, blaszane, brzydkie. A jak mama gotowała pierogi, to jedliśmy pierogi ze śmietaną i mleko piliśmy. Jak mama doła krowy, chodziliśmy i czekaliśmy, aż ona wydoi i wtedy piliśmy”. Jej córki słuchają, a ona mówi dalej: „Za stołotą były tory kolejowe. Jeździły pociągi”. Tamtędy wieźli Żydów na spalenie. Myśmy widzieli. Raz stanął pociąg. Powyskakiwali ci Żydzi. Wyskoczyła nawet dziewczucha, większa niż nasza Irenka i w krzaki się schowała. Biedaczka była nago. Poszliśmy

zobaczyć. Dziewczątka tak się chowała, kryła. Piękne, długie, czarne włosy miała. Irena zaczęła płakać. „Chodźmy do domu, chodźmy do domu”. A sąsiadka przyszła i wzięła tę Żydówkę. Dała jej coś do okrycia. Ale nie wzięła jej do domu. Gestapo szybko się dowiedziało. Przyjechali i zabrali tą żydowską dziewczynę. Nie widziałam, jak ją brali. Myśmy uciekli. Marnicze [sąsiedzi] ją zabrali. Ale kto zawiadomił gestapo? Ja tam nie byłam, nie widziałam, jak ją brali, bo nasze tak płakało.

M E D A L

„Maryja, za to, że żyję i mam rodzinę, odwdzięczę się. Ale nie twoim rodzicom, naszym rodzicom, bo ich nie ma”.

Długo nie mówiła, o co chodzi. W tamtym roku napisała: „Maryja, opowiedz wszystko, jak to było, jak ja u was przebywałam, opowiedz nasze życie”. Napisałam, wysłałam do niej do Izraela. A ona te moje pisma wysłała do Departamentu Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Później powiedziała, że przyjdzie do mnie wiadomość, że będzie medal i dyplom. I rzeczywiście, przyszła do mnie z Jerozolimy wiadomość, że został przyznany medal.

[Maria Jurczak w imieniu swoich rodziców Cecylii i Macieja Brogowskich odebrała medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 2008 roku.]

R E L A C J E

D E U T S C H

Maria Jurczak wurde 1934 geboren. Ihre Eltern Maciej und Cecylia Brogowski wohnten in Bełżec, wo sie die Todestransporte und die Feuer-säulen des Vernichtungslagers von Bełżec beobachten konnten. Einmal kam Maria Jurczaks Cousine, Ksawera Brogowska, zu einem Gespräch mit den

Eltern. Später brachte sie ein sechsjähriges jüdisches Mädchen, Irena Sznycer, zu ihnen. Irena wurde getauft und lebte in der Familie Brogowski ganz normal, wie ein richtiges Familienmitglied. Sie half auf dem Feld und schlief zusammen mit Maria in einem Bett. Nach dem Krieg wanderte Irena aus Polen aus und der Kontakt zu ihr ging verloren.

Maria Jurczak und ihr Sohn Marek suchten sie jahrelang. Sie fanden sie und vor zwei Jahren besuchte Irena sie mit ihren Töchtern in Bełżec. 2008 wurde Maria Jurczak in Vertretung ihrer Eltern die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Maria Jurczak was born in 1934. She is the daughter of Cecylia and Maciej Brogowski. Maria recounts that, one day her aunt Ksawera Brogowska, contacted them. After this conversation, she showed up, bringing the six-year-old Irena Sznycer with her. Irena was baptized and her presence in the house was not a secret. She was treated as a part of the family, work-

ing in the fields and sleeping with Maria. The Brogowski family lived in Bełżec, so they witnessed Jews being transported to the camp and they could also see the column of smoke over the camp. This was the smoke of the thousands of bodies cremated by the Nazis. They also saw Jews escaping. One of the escapees found temporary shelter at some local family's house, but the Gestapo found her

and killed her very soon after. After the war, Irena left Poland and she lost contact with the family who saved her. Maria kept looking for her for years. Finally her son Marek managed to find her, and two years ago, Irena and her daughters visited Maria in Bełżec. At the beginning of 2008, Maria received the medal "The Righteous Among the Nations" on behalf of herself and her parents.

01

03

04

Maria i Irena, żydowska dziewczynka.
Maria und das jüdische Mädchen Irena.
Maria and Irena, a Jewish girl.

02

Rodzina. Die Familie. Family.

MARIA JURCZAK

Fotografia z wręczenia medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, Lublin 3 lutego 2008.

Foto von der Verleihung der Medaille der „Gerechten unter den Völkern”, Lublin am 3. Februar 2008.

The photo from the ceremony of awarding the medal „The Righteous Among the Nations”, Lublin, February 3, 2008.



ROK 1937 B E Ł Ź Y C E B E Ł Ź Y C E **RELACJE** B E Ł Ź Y C E B E Ł Ź Y C E U R O D Z E N I A **MARIANNA** **TUREK**

Urodziłam się 15 maja 1937 roku. Ukończyłam szkołę handlową. W latach 1963–1972 pracowałam jako ekspedientka w lubelskim „Pedecie”. Do 1972 roku mieszkałam w Bełżycach. W latach 1972–1978 mieszkałam w Stegnie koło Pasłęka, gdzie prowadziłam sklep spożywczy. Od 1978 roku mieszkam w Lublinie, prowadziłam wypożyczalnię sukien ślubnych. Od kilku lat jestem na emeryturze.

R O D Z I N A

Ojciec nazywał się Stanisław Wiśliński, a mama Helena, z domu Rutkowska. Nas było pięcioro. Siostra Zofia była najstarsza, później brat Piotr, następnie Bogdan, ja i brat Ryszard, który się chował razem z tą Żydóweczką Ryfką.

Mama była rodzona w Lublinie. Jej ojciec prowadził tam ogrodnictwo, nie wiem dokładnie, w jakim miejscu, ale bardzo dobrze na tym zarabiał. Tak mówiła mama. Jego

żona, czyli moja babcia, pochodziła z Konopnicy i tam chciała się przenieść. Dziadek nie bardzo chciał, ale w końcu sprzedał ogrodowiznę i przenieśli się do Konopnicy. Mieli kilkoro dzieci, 3 córki i dokładnie nie pamiętam, ilu synów. Każdego jakoś wyposażyli, sprzedając ogrodowiznę, a sami kupili sobie młyn w Mełgwi. Mieli najmłodszego syna, planowali, że będzie młynarzem i będą przy nim do końca życia. Ale stało się inaczej. Jakaś Niemka w Konopnicy podpałzyła, że należy do partyzantki, a nie chciał się z nią zadawać, był bardzo przystojny. I oskarżyła go. Zabrali go do Oświęcimia i tam zginął. Mama opowiadała, że pisał, żeby mu rękawice przysłali ciepłe, coś z odzieży, bo zimno.

Rodzice mieli w Konopnicy kawałek ziemi. Ojciec pracował trochę w Kraśniku, w fabryce amunicji. A później, to już było podczas wojny, chyba za namową brata ojca sprzedali mieszkanie w Konopnicy i kawałek ziemi, i zamieszkałyśmy u ojca brata. Tam były tylko 2 pomieszczenia, także my jednośmy zajmowały, a stryj drugie. Później,

jak wybijali Niemcy Żydów, rozprawdzali ludzi w puste mieszkania [po Żydach]. Ojca najpierw umieścili na Rynku. Mieszkaliśmy na piętérku. Później przenieśli ojca na ulicę Lubelską, róg Zamkowej. Ojciec wiedział, że to jest mieszkanie żydowskie, wszyscy wiedzieli.

W O J N A

Bełżyce to było miasteczko-osada, zaniebane. Ja byłam wtenczas mała, to nie bardzo chodziłam po mieście, moi starsi bracia chodzili. Widzieli, jak Niemcy trochę rynek uporządkowali, jak choinkę postawili, jak zabierali Żydów. Ja sama nawet pamiętam, bo mieszkaliśmy przy ulicy Lubelskiej, jak furmankami Niemcy wywozili rozstrzelanych Żydów na tak zwany kierkut. Pamiętam też, że po sąsiedzku mieszkali państwo Kowalscy. Byli wysiedleni. Mąż tej pani został zabrany, nie wiem dlaczego, przez Niemców do więzienia. Trzymali go jakiś czas. Mieli chłopaczka w wieku moich bra-

ci. Jak jego mama starania robiła, żeby odwiedzić męża, zamykała go na klucz. Na imię miał Władzik. Pewnego dnia słysząc było strzały. Bracia polecieli zobaczyć, co się dzieje. Na rynek Niemcy przywieźli kilkanaście osób. Kazali im wykopać dół i w ten dół wszystkich tych ludzi zastrzelili. Moi bracia to widzieli, ale nie wolno było podejść. Jak Niemcy pojechali, bracia podeszli patrzeć, kto zginął. W ogóle dużo ludzi było przy tym. Przylecieli do domu i mówią do mamy: „Mamo, tego sąsiada Kowalskiego Niemcy zastrzelili”. Powiedzieli temu chłopczykowi. Nie mógł wyjść. Musiał poczekać, aż przyjedzie jego mama. Ona później zabrała męża. Poszłam na pogrzeb. Widać było, że miał przypalane stopy, kolki za paznokciami, całe sine ręce. Był bardzo męczony.

Pamiętam też, jak Niemcy księży na skwerku w kajdankach trzymali i wywozili do Niemiec. Niemcy przyszli chyba ze dwa razy, żeby zabrać mojego ojca na roboty do Niemiec, ale ludzie sobie pomagali. Ojcu udało się uciec. Nie był w Niemczech.

Ż Y D Ó W K A

W lutym 1943 roku moja mama urodziła brata. Ojciec był stelmachem. Robił koła, wozy. Sąsiad [znający Goldinerów] zawsze przychodził do ojca, zamawiał, co mu tam w wozie się zepsuło. Znali się. On był dosyć wysoki, gruby. Jak przychodził, to w szubie, w płaszczu brązowym z kapturem. Miał dobry kontakt z tymi Żydami [Goldinera-mi], młodym małżeństwem, w czasie wojny się chyba pobrali. Ona była w ciąży. Jak

chciała urodzić to dziecko, prawdopodobnie przyszła do Walczakowej, sąsiadki, prosząc, żeby pozwoliła jej urodzić w stodole na słomie: „Aby urodzę i pójdę”. [Sąsiadka] bała się, nie chciała ryzykować, wysłała ją po sąsiedzku do piekarza, Berka, Żyda: „Pójdiesz tam, tam jest ciepło. On ma dużo mąki. Na workach urodzisz. Nikt nie będzie wiedział, a tobie będzie cieplej, tu zmarzniesz w stodole”. Poszła.

Zaraz ten gospodarz się dowiedział, bo miał z nimi kontakt, przyszedł z dziadkiem tego dziecka, żeby ojciec wziął na wychowanie. Ile ona u Berka była, nie wiem, ale właśnie tak mówił do ojca: „Masz, twoja żona urodziła dziecko, to będą jak bliźniaczki”. Dla tego rodzice wzięli. To była dziewczynka. Rodzice zgodzili się, chowali ich jako bliźniaki. Myśmy na nią Hania wołali. [A ona była] Ryfka Goldiner.

Była prawie dwa lata u nas. Było bardzo ciężko, rodzice bali się, ale jakoś udało się przetrzymać to dziecko.

Jej [Ryfki/Hani] rodzice i dziadkowie ukrywali się u gospodarza w Radawczyku [patrz: relacja Ostrowskiej Marianny]. Prawdopodobnie siedzieli w ziemlance, w dole. Kłapa była i jak trzeba, gospodarz przykrywał ją, i jeszcze gnój na to kładł, żeby Niemcy ich nie znaleźli. Nie wiem, na ile to jest prawda. Moja mama mówiła, że mieli jeszcze jedno dziecko – to młode małżeństwo – chłopczyka. Nie chciał go nikt wziąć na wychowanie, bo się bali. Prawdopodobnie sami Żydzi go zabili, żeby nie płakał w ziemlance. Ale nie wiem, czy to jest prawda.

R E L A C J E

Pamiętam, że często przychodził do nas dziadek Ryfki, Szmul Fersztman. W nocy okna były zawsze zasłonięte kocami, żeby nie było widać światła. Niemcy robili naloty, każdy się bał, trza było zasłaniać. [Szmul Fersztman] miał umówiony z ojcem znak – trzy razy zastukał i ojciec otwierał. Przychodził odwiedzać to dziecko, pytać się, jak jest. Czasami, bo ciężko było, przynosił cukru, bo rodzice nie mieli. Nikogo więcej nie pamiętam, żeby odwiedzał to dziecko, tylko dziadek. Chodził w płaszczu. Był niedużego wzrostu, z bródką, starszy już.

Ludzie domyślali się, że to jest dziecko pochodzenia żydowskiego, bo mama rodziła brata w szpitalu. Pani akuszer, Bartyrowa, bardzo porządna kobieta, wiedziała, że mama urodziła jedno dziecko. Ale nikt nie szedł na skargę do Niemców. Nie donosił. Jakoś tak udało się rodzicom przetrzymać. Ja uważam, że po prostu nie chcieli ludzie nie mówić, bo co to dziecko było winne? Żeby go wydać, żeby Niemcy zastrzelili? To wtenczas i nasza rodzina by zginęła.

Nie słyszałam tego w domu, żeby rodzice zabraniali komukolwiek powiedzieć, że mamy Żydówkę, że to jest nie nasze dziecko. Tylko jakoś tak samo z siebie, że nikt nigdy nikomu nie powiedział.

W tym samym budynku po sąsiedzku mieszkał wysiedlony pan. Manilewski się nazywał. Kim on był, dokładnie nie wiem. Trochę pracował chyba jako leśniczy, bo przynosił nam na święta choinkę. Ojciec z tym panem żył dobrze. Ale gdy wziął Żydówkę na wychowanie, po prostu nie dowierzał, bał się, że oni mogą podskarżyć. Także jak chrzczył mojego brata

najmłodszego, który się chował z Ryfką, to wziął go jako chrzestnego ojca. Ale to byli bardzo dobrzy ludzie, także nie było obaw. Po zakończeniu wojny Manilewscy wyprowadzili się do Katowic, bo stamtąd chyba pochodzili.

S Y T U A C J E Z A G R O Ź E N I A

Było też takie zdarzenie – ja byłam mała, ale pamięć mam doskonałą – ojciec miał sporo rodzeństwa, chyba 4 czy 5 siostr i jednego brata. I jakoś z jedną siostrą trochę się pokłócił. Chodziło o psa – miała groźnego, nie trzymała go na uwięzi. Ojciec powiedział, żeby go uwiązała, bo jak nie, to pójdzie, nie wiem gdzie i po prostu zabiją jej tego psa, albo jej karę wlepią. A ona powiedziała: „Spróbuj, spróbuj, ja powiem, że żydowskie dziecko trzymasz”. A ojciec: „A piśnij słówko, to ja ciebie zabiję”. I ucichło.

Pamiętam, lato, mała byłam, siostra każała mi wziąć tą dziewczynkę i pójść z nią na dwór, ona jeszcze wtenczas nie chodziła. Wzięłam ją na ręce, siostra ubrała w żółtą sukieneczkę, ja założyłam czapkę, ale nie na tą stronę co trzeba, troszki kolorem się różniła. [Kiedy] wychodziłam z tą Żydówką siostra zauważyła, że nie tak czapkę włożyłam. Wróciła mnie do domu i mówi: „Co ty, jak ty włożyłaś?!”. I klapsa na tyłek. „Uważaj na drugi raz, żebyś ją dobrze ubrała”. Skromnie było, ale jakoś żyliśmy. Pamiętam, jak ją w kołysce kołysaliśmy, taką ojciec skądś przyniósł na biegunach, brat był z jednej strony główką, a ona w drugą stronę.

C H R Z E S T

[Mama] opowiadała, że jak gorąco było w domu, często wszyscy na strychu nocowaliśmy. Któregoś razu mama się wystraszyła, bo jakiś ptak czy coś latało i ją musnęło. Mama się obudziła, nie nie widziała. Widocznie z przestachu to było. Później do męża swojego, czyli do mojego ojca mówi tak: „Wiesz co, ta mała jest niechrzczona, a my ją trzymamy. Nie wiadomo, co się dzieje, czy przeżyją rodzice. Chodźmy, pójdziemy do księdza i ochrzczimy ją. I będziem chować, jak nasze dziecko”. I poszli. Ojciec powiedział księdzu, że chcą ochrzcić to dziecko. A ksiądz: „Ja mogę ją tylko z wody ochrzcić, ale chrztu pełnego nie udzielię, bo jak przeżyją rodzice, a by się dowiedzieli, to by mieli do was pretensje”. I tak zostało.

D R U G A Ż Y D Ó W K A

Żydzi jeszcze dali, niby do pomocy, bo nas było pięcioro dzieci, Żydówkę w wieku mojej siostry. I ona mamie pomagała wychowywać to dziecko [Ryfkę]. Ona też ocalała.

Pewnego dnia, jak nie było ojca, pracował w majątku Palikije, Niemcy przyszli. To było z samego rana, a że było lato i gorąco, więc ona nocowała na strychu. Przyszli, szukali mężczyzn na roboty. Byliśmy małe, więc popatrzyli się i zaczęły się uśmiechać, że kleine kleine, bliźniaki w kołysce leżą. Wychodząc, usłyszeli szelest na strychu. A to właśnie pani Zosia – myśmy ją tak wołały,

R E L A C J E

a jak ona miała dokładnie na imię i nazwisko, nie wiem – podniosła się, chciała wstać i zejść na dół, ale że była słoma ściełana na strychu (ona na tym spała), więc Niemcy usłyszeli szelest. Myśleli widocznie, że tam się partyzanci ukrywają, bo naszykowali karabin do strzału. Kazali mamie po drabinie wchodzić na strych. Mama weszła spokojnie, Niemcy za mamą. Zobaczyły, że jest jeszcze [jedna] osoba dorosła, więc zabrali ją na Majdanek do roboty. Odchodząc, ona bardzo płakała, bo liczyła, że już nie wróci. Ale to było już pod koniec wojny. [Zosia] przebyła tam dwa tygodnie. Jak likwidowali Majdanek, wróciła z powrotem do nas do domu. Była bardzo szczęśliwa, że się jej udało przeżyć. Pamiętam, że przywiezła mi czerwone korale. Cieszyłam się. Niemcy nie wiedzieli, że to Żydówka. Umiała dobrze po polsku mówić, dlatego udało się jej przetrwać. Gdyby wiedzieli, że Żydówka, cała nasza rodzina zostałaby wybita.

W Y Z W O L E N I E

Poszliśmy spać, wszystko w pogotowiu, w ubraniach śmy spały. A bracia obudzili się wcześniej i gdzieś poszli. Przylatują: „Wstawaj! Zakończenie wojny jest! Zobacz, jak Szwaby maszerują, jak uciekają!”. Wyszłam. Przez Lubelską szli. Widziałam, jak ony niektóre ranny, pić wołały, prosiły jeść. Czasami ktoś im podał, a niektórzy Polacy mówili: „Dobić ich za naszą krzywdę, za naszą mękę!”.

Pamiętam, jak krzyczeli, że Niemcy palą całą ulicę Lubelską. Niszczili swoje papieery, które w gminie trzymali. Ludzie myśleli,

że ulicę palą. Mama w tym [samym] czasie piekła chleb. Nie chciała go zostawić. Ojciec nas wziął za ręce i uciekliśmy w zboża, w pola.

R O Z S T A N I E

Gdy skończyła się wojna, przyjechali po dziewczynkę rodzice. Pełne mieszkanie u nas ludzi było, Polaków. Zdziwieni, że udało się ojcu przetrzymać dziecko. Miała prawie 2 latka. Tak się przyzwyczaiła do mamy, że w ogóle nie chciała pójść do [swoich] rodziców, ale niestety, zabrali ją, wyjechali do Lublina. Mieszkali jakiś czas w Lublinie. Starali się o wyjazd za granicę. Moi rodzice często ich odwiedzali. Dziewczynka wyciągała jeszcze ręce do mamy i od swojej mamy uciekała.

Nie wiem też, ile w tym prawdy, bo to już słyszałam od mamy, że jak ci Żydzi wyjeżdżali, to dziadek Ryfki namawiał ojca: „Wiśliński, jedź z nami, bo tu komuna przychodzi, to nie będzie życia”. Chciał zabrać naszą rodzinę z sobą. Ojciec nie chciał pojechać, bo bracieśzek go nastraszył: „Będziesz szedł przez granicę, to cię jeszcze tam zabiją”. Wiem też, że ten dziadek pojechał potem do Ameryki, a jego córka z zięciem i Ryfką zostali w Izraelu. Ojciec zawsze wyrażał się o nich bardzo dobrze. Mówił: „To są bardzo uczciwi ludzie, Żydzi, bardzo uczciwi”.

Mieszkanie [przy ulicy Lubelskiej] należało do dziadka tej dziewczynki. Jak wyjechali za granicę, do Izraela, z wdzięczności ojcu przysyłali, dopóki dziadek żył, paczki, ładne rzeczy, a później sporządzili akt notarialny dla rodziców na to mieszkanie. W dowód

wdzięczności, bo im to po prostu już nie było potrzebne. I tylko zaczęli wszystko sporządzili, był już 1949 rok. Zaraz po otrzymaniu aktu, ojciec zmarł.

To był domek parterowy, drewniany. Nie wiem, czy całość była ich, był podzielony ścianą na pół. W tym mieszkaniu, co myśmy mieszkali, były dwa pokoje, nieduża kuchnia i korytarz. Po drugiej stronie był tylko jeden pokój i kuchnia. I plac był nieduży.

Z D J Ę C I E

Miałam małe zdjęcie, ale gdzieś mi zaginęło, kiedyś rodzicom przysłali, jak Ryfka miała dwa, trzy latka. To była taka fajna dziewczynka, grubiotka, ładna. Na rączkach wózek trzymała i lalkę. Fajne zdjęcie. Nie wiem, gdzie się podziało.

S T R A C H

Wiedziałyśmy, że jakby wyszło, że Ryfka jest Żydówką, to by nas wszystkich rozstrzelali. Tośmy wiedziały. Ale jeszcze nie zdawałyśmy se sprawy, mama z ojcem tak. A chyba mama najbardziej, bo później zaczęła chorować, nerwicy dostała. Jak umierała, to jej się wszystko przedstawiało, halucynacje miała: „Patrz, to ta Hania, ona jest doktorką, zobacz, jaka urodziwa”. Jak mama się źle czuła, pisała telegram, przyjechałam, otworzyła mi i mówi: „Oj, zamykaj, bo patrz, tu Niemcy są, o tu za remizą, będą strzelać,

R E L A C J E

będą wszystkich wybijać”. Zmarła w grudniu 1974 roku.

K O R E S P O N D E N C J A

Dlaczego pomagaliśmy? Wszyscy przyjęli, że to był obowiązek. Pomogło się i sprawa zamknięta.

Mama utrzymywała kontakt listowny z Ryfki matką. Później, jak mama była już w podeszłym wieku, siostra zaczęła do nich pisać, żeby utrzymać kontakt. Ale były ruchy jakieś w Polsce, pretensja, zerwane chyba zostały stosunki polsko-izraelskie i już nie dochodziły listy. Siostra napisała i nie otrzymała odpowiedzi. Natomiast ja jak przyjechałam do Lublina, jak dostałam mieszkanie, zaczęłam z córką przeglądać album rodzinny. Było zdjęcie Ryfki i córka zapytała: „Mamo, a kto to jest?”. A ja mówię, że ta, co się u nas chowała, co ją rodzice chowali. „To czego nie pisesz z nimi listów?”. Ja mówię, że pisała siostra, ale listy nie dochodziły i zerwałyśmy kontakt. „Oj, weź napisz, odnow znajomości. Może kiedyś pojedziesz do nich”. Prawie po 20 latach napisałam list do Ryfki matki i o dziwo dostałam odpowiedź. Od tamtej pory pisałyśmy listy. Chciałam pojechać do nich, chciałam zobaczyć Ryfkę. Składałam pieniądze i pisałam, że chciaabym do was przyjechać, podróż sobie opłacam. Ale akurat w tym czasie Ryfki matka zachorowała i ktoś z jej rodziny napisał, że jest bardzo chora, ale jak wyzdrowieje to nie muszę opłacać podróży, bo oni przyślą mi zaproszenie. Niestety, matka Ryfki zmarła.

I kontakt się urwał. Napisałam jeszcze raz list. Odpisała ich kuzynka. Ona [z rodziną] później była w Polsce. Widziałam się z nimi, rozmawiałam. To jeszcze zaczęłam złożyć wniosek o odznaczenie. Rozmawiając z nimi, zapomniałam poprosić, żeby oni napisali oświadczenie. Żałowałam.

Napisałam też raz list do Ryfki, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Już nie śmiałam drugi raz pisać. Nie wiem, dlaczego mi nie odpisała. Może ona, małe dziecko, nie wiedząc, nie znając prawdy, miała, jak niektórzy Żydzi, pretensje do Polaków? Może i ona tak podchodziła do tego? Natomiast z matką [Ryfki] pisałyśmy cały czas. Uważam, że przeżycia wojenne musiały na nią wpłynąć dosyć mocno. Listy nie były ładnie pisane, linijki się od

siebie oddalały. Chociaż jeszcze po polsku tam było, ale już mieszane trochę. Rozumiałam wszystko, ale [musiałam się] domyślać. Z panią Zosią też nie było kontaktów. Raz napisała list, że nas wszystkich pamięta, że wspomina te wydarzenia i jest bardzo nieśczęśliwa, bo musiała się z mężem rozstać. Miała jednego syna, jest w Ameryce. [Zosia] spotykała się z Ryfki matką raz do roku, odwiedzali się. Nie wiem, czy zapomniała podać adresu, ale nie mogłam odpisać.

M E D A L

Złożyłam papiery do Instytutu Żydowskiego i otrzymałam odpowiedź, że rodzicom

przyznano pośmiertnie medal. Uroczystość odbyła się w domu Chatki Żaka w 1992 [Yad Vashem podaje inną datę przyznania medalu: 2002 rok] roku, na jesieni. Bardzo uroczyście było, był ambasador Szewach Weiss, dostałam kwiaty, odebrałam medal po rodzicach, dyplom, robione były zdjęcia. Miałymy poczęstunek. Było bardzo dużo osób. Później była prelekcja na temat ratowania Żydów w czasie okupacji niemieckiej. To miało duże znaczenie dla mnie, bo tym medalem doceniono rodziców za pomoc w ratowaniu żydowskiego dziecka. Pomimo że rodzice nie żyli, przyznano im medal. Na uroczystości byłam ja i najstarsza siostra.

D E U T S C H

Marianna Turek, geborene Wiślińska, wurde 1937 geboren.

Während des Krieges lebte ihre Familie in Bełżyce. Damals sah sie, wie die Deutschen die Juden auf dem Marktplatz hingerichtet haben.

Im Februar 1943 nahm Familie Wiśliński einen jüdischen Säugling auf. Der Name des Kindes war Ryfka Goldiner, aber Wiślińskis nannten sie Hania. Weil die Mutter Marianna Tureks gerade selbst ein Kind zur Welt gebracht hatte, wurden die beiden als Zwillinge ausgegeben. Hania blieb zwei Jahre lang bei Familie Wiśliński. Ryfkas Eltern und Großel-

tern verbrachten diese zwei Jahre versteckt in einem Erdloch im Dorf Radawczyk.

Familie Wiśliński half noch einem jüdischen Mädchen, das Zosia genannt wurde. Wahrscheinlich hatte sie vor dem Krieg bei Familie Goldiner als Hausmädchen gearbeitet. Zosia kümmerte sich um Ryfka. Eines Tages kamen Deutsche, nahmen Zosia fest und brachten sie in das Konzentrationslager Majdanek. Glücklicherweise kam sie nach zwei Wochen zurück. Sie überlebte, weil sie sich als Polin ausgegeben hatte.

R E L A C J E

Marianna Turek erzählt noch von Juden, die bei Marianna Ostrowska in Radawczyk versteckt wurden.

Nach dem Krieg kamen Ryfkas Eltern und nahmen sie mit. Sie fuhren nach Lublin und wanderten später nach Israel aus. Sie schrieben Familie Wiśliński Briefe und schickten ihnen Päckchen. Aus Dankbarkeit schenkten sie ihnen sogar ihr Haus in Bełżyce.

1992 wurde Familie Wiśliński die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

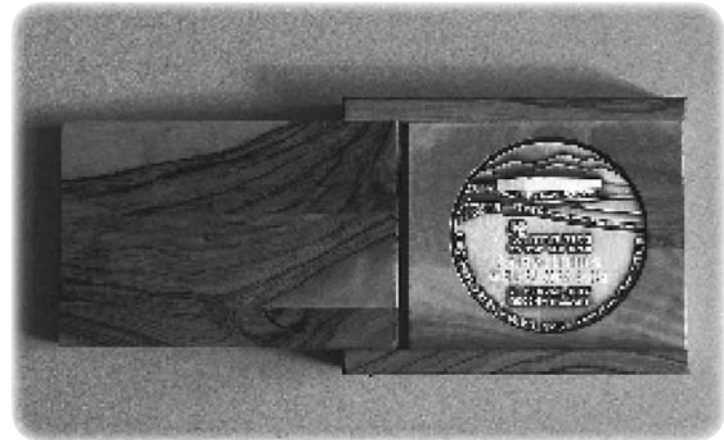
Marianna Turek, née Wiślińska was born on May 15, 1937. During the war, she lived with her family in Bełżyce. She recounts the executions carried out by the Nazis at the market square. In 1943, they took a Jewish girl Ryfka Goldiner to bring up. Since Marianna's mother gave birth to a child at the same time, they treated them as twins and called her Hania. She was with Marianna's

family for two years, while her parents and grandparents hid in a dug-out in Radawczyk. Mr. and Mrs. Wiśliński also helped a young Jewish woman called Zosia. Probably, she was the former housekeeper of the Goldiner family. She helped take care of Ryfka. One day, the Nazis carried out a search, found her and took her to the concentration camp at Majdanek. Luckily she managed to escape and returned after two weeks. After

the war, Ryfka's parents came to take her. They all went first to Lublin, and later to Israel. They sent parcels and letters. Out of gratitude, they bequeathed their house in Bełżyce to the Wiśliński family. Marianna also mentions the Jews who were hidden by Marianna Ostrowska, from Radawczyk. In 1992 Marianna's parents were posthumously awarded with the medal "The Righteous Among the Nations."



01



02

MARIANNA TUREK

Medal.
Die Medaille.
The medal.



03

04

05

Helena Wiślińska, matka Marianny, Elbląg 1960.
Helena Wiślińska, die Mutter Marianna Tureks,
in Elbląg, 1960.
Helena Wiślińska, the mother of Marianna,
Elbląg 1960.

Ryszard Wiśliński, ojciec Marianny, 1962.
Ryszard Wiśliński, der Vater Marianna Tureks, 1962.
Ryszard Wiśliński, the father of Marianna, 1962.

Bogdan Wiśliński, brat Marianny, 1962.
Bogdan Wiśliński, Bruder Mariannas, 1962.
Bogdan Wiśliński, Marianna's brother, 1962.



Piotr Wiśliński, brat Marianny, 1956.
Piotr Wiśliński, Bruder Mariannas, 1956.
Piotr Wiśliński, Marianna's brother, 1956.

Marianna Turek przed swoim domem w Belżycach, fotografia współczesna.
Marianna Turek vor ihrem Haus in Belżyce, 2007.
Marianna Turek in front of her house in Belżyce, modern photograph.

09

064

10

Ryfka Goldiner na swoim ślubie, Izrael.
 Ryfka Goldiner auf ihrer Hochzeit in Israel.
 Ryfka Goldiner on her wedding, Israel.



Dyplom

Das Ehrendiplom.

The diploma.

ROK NIEZNANY

RELACJE

TADEUSZ POMORSKI

PALIKIJE PALIKIJE
PALIKIJE PALIKIJE

URODZENIA

Nasza rodzina składała się z pięciu [osób]. Józef to był ojciec, [a synowie] Wacław, Piotr, Tadeusz i Aleksander Pomorscy.

W O J N A

W roku bodajże 1940, 1941 była ostra zima, strasznie duży mróz. Teść [teść] opowiadał, jak pojechał do Bełżyc na jarmark i poszedł [do znajomego Żyda] – łączność mieli z Żydami. Zresztą na co dzień łączność prawie wszyscy mieli: czy do krawca, czy do szewca, do rzemieślnika... Rzemiosło spoczywało w rękach żydowskich. Żyd pyta się [teścia]: „Pawle, co słychać?”. Paweł mówi, że niedobrze jest. Mróz siarczysty. Kuropatwy giną, zamierają od mrozu. A [Żyd] mówi: „Ot gwałt, już jest niedobrze z nami, bo nadchodzi chwila zagłady naszej”. Nie wiem, skąd to wziął. Oczytany był? Gdzie to pisało?

Część Żydów przejęło się, że zagłada im grozi. Rozpraszali się po wsiach. Wielu

zginęło. Nie znam przypadku, żeby u kogoś [się przechowywali]. Nikt nie ujawniał, czy przechowuje.

P I E R W S Z A R O D Z I N A

Zaczął się niewinnie. Mieszkaliśmy na kolonii, z dala od wsi – jakiś kilometr drogi. Palikije, województwo lubelskie, niedaleko Bełżyc. Akurat u nas znaleźli się [Żydzi] – potrzebowaliśmy krawca. On [Moszek Zybelmacher] na razie jeszcze chodził, chodziła [cała] rodzina – żona jego i żony przybrane córki. Przybrane, bo oni nie mieli dzieci. To były Regina-Rywka i Hanna-Chana [Giwercer]. Jak szyli u nas odzież, do wsi przyjechali Niemcy. Wujenka przez człowieka z dalszej rodziny dała znać – „tam krawiec szyje u Pomorskich, dajcie znać”. Jak [posłaniec] szedł, to wszystko zniknęło. Wszyscy się wynieśli. Poszli Żydzi. Maszynę się sprzątnęło. Nie było nic. On posiedział cicho, spokojnie. Po tym przypadku Żydzi od razu przenieśli się w inne miejsce. Dość przezorni byli.

B A N D A

To było na Zielone Świątki. Z soboty na niedzielę Zielonych Świątek napadła nas banda. Oczywiście podłożem było, że Żydzi byli. Nie zastali nikogo [z] Żydów, natomiast nas obrali z odzieży dokumentnie. Pozostały [nam tylko] koszule i dolne części. Brat [który] akurat spał w stodole, słyszał ten przypadek. Mógł wyskoczyć – był w partyzantce – mógł strzelić, odstraszyć, ale stwierdził: „Przyjdo, spalo, nie ma sensu”. I tak się skończyło.

Ale ci państwo, Żydzi, jakoś rozeznali serce ojca, dobroć ojca. Mówią: „Tu będzie chyba najlepiej”. Przechodzili, nie było, że w jednym miejscu byli. Jak coś było nieodpowiedniego dla nich, to przenosili się w inne miejsce. Do cici też przechodzili. To jest odległość trzech kilometrów, wieś Stasin. [Ciocia miała na nazwisko] Mirosław [dalej nazywana Kajetanową].

K R Y J Ó W K A

Późni [było] coraz gorzej dla Żydów i oczywiście pozostali [u nas]. Kryjówkę mieli w stodole. W jednym zapolu [część stodoły] było zboże, drugie – obórka, za obórką był chlew ukryty i nad tym chlewem w zagłębieniu była zrobiona kryjówka ze słomy. Mieli możliwość wyjścia w nocy, bo w okolicy nie było zabudowań. To, co jedliśmy my, to i oni, inaczej nie można było robić. Donosiliśmy im jeść wieczorem, [kiedy] szło się do inwentarza. Wtedy nikt nie mógł nic podejrzewać. Dzień za dniem tak upływał. U nas było im bardzo dobrze. Zresztą wypowiadają się w dalszym ciągu w pismach, w korespondencji i mile wspominają.

Z A G R O Ź E N I E

Swego czasu w gminie Wojciechów zlikwidowano całą grupę poborców – dwóch Niemców i chyba dziesięciu Ukraińców. Mieliśmy dużego stracha. Z braćmi uciekliśmy aż na Józefin, bo uważaliśmy, że Niemcy będą likwidować całą gminę. Popłoch był niesamowity, z całej gminy społeczność się ulotniła. Z innych pobliskich wsi, które były bardzo zagrożone, jak [na przykład] Maszki, do nas [wsi Palikije] wszystko [Żydzi] szło. Żydzi musieli pozostać u nas.

Ale dobrze, że wójt z Pomorza władał językiem niemieckim. Niemcom przedstawił, że to była partyzantka ruska. [W rzeczywistości] to byli Polacy, z tej samej wsi.

Przejeżdżając koło młyna, Niemcy chcieli zatrzymać porucznika wywiadu AK. Uciekał. W ostatku podłożył sobie granat i się

zlikwidował. Za jego śmierć Niemcy ponieśli znów śmierć. Ciekawa sprawa. Trzeba było wejść na posterunek, gdzie wszyscy byli uzbrojeni. Najpierw posterunkowego zlikwidowali. [Uczestniczyła w tym] niewiasta. Przyłożyła się nie mniej – Zosia z Wygnańców. Przyszła, zaczęła gadać z Ukraińcem, który stał na warcie. [Chwilę] później zlikwidowali [posterunek]. Jeśli chodzi o strach, zastraszenie, kiedy Niemców wybili, my uciekaliśmy. Ojciec był takiego stoickiego spokoju, że wtedy chleb zaczął piec. Nie uciekał, nie bał się. My mieliśmy strach wszyscy. On jedyny został.

D R U G A R O D Z I N A
Ż Y D O W S K A

Późni przybyło trzy osoby do nas. Oni też się kręcili [po okolicy]. To był szewc [Szlomo Pres], z synem [Henrykiem-Chaimem] tego samego wieku co ja. Byli z Bełżyc. Wszystko z Bełżyc było. Jeden z synów [Jan] był w obozie na Budzyniu w Kraśniku. Prawdopodobnie był tam w obsłudze, w policji żydowskiej. Kiedy likwidowano getto w Kraśniku, uciekł. Przyszedł do cioci na Stasinie nie wiedząc, czy [jego] ojciec i brat żyją. Bo siostry, czyli córki Presa, zostały wywiezione i zginęły gdzieś w obozie. Nie wiadomo którym. Oni też nie wiedzieli i do tej pory nie wiedzą. Przyszedł do cioci. Miał gwiazdę na plecach odmalowaną. Ciocia wzięła nóż i podchodzi do niego. Żachnął się, wyskoczył z krzesła. Myślał, że ciocia idzie zarząnąć,

R E L A C J E

a ona mówi: „Nie, Jasiu, nie. Chcę ci to zeszkrobać”. Późni wielokrotnie tam korzystano z pomocy. Kiedy oni byli u cioci, znów przebywali na oborze. Jeść im wynoszono wieczorem na sygnał – zaświtał sobie i już wiedzieli, że mają iść po jedzenie.

P O W O J N I E

Po wojnie Szlomo wyjechał do Bełżyc do siebie do domu. W Bełżcach pozostawił 3 domy. Pojechał do domu, nie wiem, czy szukać jakichś skarbów, co pozostawił. I niestety tam go spotkało nieszczęście. Zabili [go]. Był jarmark. On wyszedł na balkon i ci ludzie, co byli na tym jarmarku, widzieli. Cały rynek w Bełżcach był pusty... Szlamka, Szlomo, Szlomo. Jak wyzwolenie przyszło, co mieli ze sobą, z czym przyszli, to i z tym poszli. Przyszli do Lublina. Mieszkaliśmy razem z nimi na Lubartowskiej. Nie miałem mieszkania. Tu był ósmy, a teraz jest czternasty numer. Mieszkania 31. Pres Jan vel Kończyński [syn] prowadził sprzedaż-skup pierza. Później jedna z tych panienek [chodzi o Reginę-Rywkę i Hannę-Chanę] wyszła za Henryka Presa [Hanna-Chana]. Natomiast krawiec Zylbernacher Moszek żył już z żoną w Izraelu. Nie pamiętam imienia żony. Regina, to znaczy Rywka Giwercer, jest w Chicago. Pisać nie pisze. Ale pozostali pisali, poza tym krawcem – starszy człowiek.

[Wyjechali] po puczu w Kielcach. Gdzieś w 1950, 1951 [roku]. Jak byłem w Monachium, Henryk wspominał, że jego brat pisze wspomnienia. To było bardzo ciekawe. Pisałem

067

do Hanki [Chany] list, żeby mi ją przesłała. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Są trudności z wydaniem. U nas byśmy wydali jego wspomnienia, bo raz, że to jest los Żyda w okresie ciężkim, tragicznym, a poza tym pamiątka o likwidacji obozu w Kraśniku...

M E D A L

W 1987 roku za staraniem oczywiście uratowanych otrzymaliśmy dyplom. Cała rodzina. Za uratowanie siedmiu Żydów – czterech mężczyzn i trzech kobiet. Obecnie żyją, korespondujemy, mamy łączność. Pozostały przy życiu jeszcze trzy osoby.

L I S T Y

Aplauzy, pochwały, wdzięczność pozostaje. odbija się w listach. Zatrzymałem na pamiątkę. „Kochana nasza pani Kajetanowa [ciotka

mieszkająca na Stasinie], serdeczne ukłony z pobytu naszego w Nazarecie. Zwiedziliśmy świętych miejsc, gdzie pan Jezus żył. Zasiłamy najserdeczniej pozdrowienia dla pani i dla całej rodziny ode mnie Jaś i Hanka, Nazaret 10 października 1975 roku. Kończyński”.

„Ja i moja cała rodzina jesteśmy bardzo przygnębieni i smutni z powodu straty takiego kochanego męża, ojca dziadka. Jestem bardzo, bardzo smutna i zrozpaczona. Nie ma takiego dnia, żebym nie płakała. Nie byliśmy bogaci, ale byliśmy szczęśliwi. Mój kochany Janek świętej pamięci pracował w firmie autobusowej. Nie zarabiał za dużo, ja prowadziłam gospodarstwo domowe. Oszczędnie. Nie żyliśmy luksusowo. Żyliśmy dość ładnie, i z tego jeszcze otrzymaliśmy parę funtów, żeby można było wystać od czasu do czasu do was parę dolarów. Ja nie pracowałam, zajmowałam się domem i dziećmi. Pamiętaliśmy zawsze o was

wszystkich. Co było w naszej mocy, zrobiliśmy dla was, żebyście o nas też pamiętały. O takich ludziach jak rodzina Pomorskich nie wolno zapomnieć. Nie będę zapomniała aż do śmierci.

Jestem ciekawa, co u Wacka i co słyszeć u Tadeusza z rodziną [...]. Ja też pragnę bardzo zobaczyć się z Tobą Olesiu, z całą rodziną Pomorskich, bo byliście wszyscy jednakowo dobrzy. Wspominam też waszego brata Piotrusia i ojca waszego. Dla nas też był ojcem. O takich ludziach nie wolno zapomnieć Sprawiedliwych, szlachetnych wśród narodów świata [...]. Bardzo jest żal mi ciotki Kajetanowej [mieszkającej na Stasinie]. Ażeby jej ziemia...

[list wysłany z Tel Awiwu 23 grudnia 1982 roku, podpisany przez Hanne]

[Józef Pomorski oraz jego synowie Aleksander, Piotr, Tadeusz, Wacław otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1986 roku.]

D E U T S C H

Während des Krieges lebte Tadeusz Pomorski mit seiner Familie in Kolonia, in der Nähe von Palikije und Bełżyce. Als sich die Situation für Juden verschlechterte, half seine Familie dem jüdischen Schneider Moszko Zybelmacher, seiner Frau und den zwei Adoptivtöchtern, Ryfka und Chana Giwercer. Als die Deutschen ins Dorf kamen, verließen die Juden den Ort, um ein neues Versteck zu suchen. Die Gefechte zwischen Partisanen und deutschen Soldaten brach-

ten aber auch große Gefahr für polnische Zivilisten.

Tadeusz Pomorski erzählt, dass seine Familie einmal von polnischen Banditen überfallen wurde. Sie suchten nach versteckten Juden. Sie fanden niemanden, nahmen aber die gesamte Kleidung der Familie mit. Trotz des Überfalls kamen weiterhin Juden zu Familie Pomorski und ihren Verwandten. Schließlich wurde in der Scheune ein Versteck eingerichtet, in dem die Familie des Schuhmachers Szlomo Pres unterkam.

Nach Kriegsende ging Szlomo wieder zurück in sein Heimatdorf Bełżyce. Dort wurde er aber von Polen ermordet. Die anderen Geretteten lebten nach dem Krieg einige Zeit in Lublin, wanderten aber nach dem Pogrom von Kielce aus. Sie blieben mit Familie Pomorski in Kontakt.

Familie Pomorski wurde 1986 die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Tadeusz Pomorski. During the war, he and his family lived near Palikije, close to Bełżyce.

As the situation of Jews in their area was deteriorating, his family started helping the tailor, Moszek Zybelmacher, his wife and his two adopted daughters: Rywka and Chana Giwercer. However, when the Nazis arrived in the village the Jews left in search of another hideaway. Tadeusz recounts how one day a Polish gang that was looking for

Jews attacked himself and his family. As they did not find anybody, they took all they could carry away and left. After this incident, the Jews occasionally turned up at the Pomorskis' place or at their family's. Eventually, they found shelter in a special hideout prepared for them in the barn. Because there were violent clashes between the guerrillas and the Nazis in the vicinity, they had to run away many times in fear of revenge by the Nazis. Eventually, the family of a shoe-

maker, Szlomo Pres with his son Chaim, joined the family that was in hiding. After the war, Szlomo came back to his home in Bełżyce. He was killed there. The rest lived in Lublin for some time, but went abroad after the Kielce pogrom. The Pomorski family received the medal "The Righteous Among the Nations" in 1986. They are still in touch with the Zybelmacher family.

ROK ● N I E Z N A N Y STOLNIKOWIZNA STOLNIKOWIZNA U R O D Z E N I A JANINA MARCINIAK STOLNIKOWIZNA STOLNIKOWIZNA RELACJE

Janina Marciniak, z domu Błaźniak, rodzice Antoni i Maria. Zamieszkała w Stolnikowiznie, powiat biłgorajski.

W O J N A

[Wieś] nie była duża. Ze 30 [domów]. Porozrzucane. Z jednej strony był las. I my tam mieszkaliśmy.

Dwoje nas było. Brat był Romek, Roman. Młodszy. Gospodarstwo [liczyło] ze 4 hektary... Koniaśmy mieli, dwie krowyśmy mieli. W Stolnikowiznie.

[Dom był] drzewiany. Bardzo źle, bardzo bida była za Niemca, trza było wszystko oddać. Bieda była taka, że nawet jarzębinę czerwonąśmy gotowali, bo nie było się czego zjeść.

Ż Y D Z I

Znaliśmy [Żydów, którzy do nas przyszli], bo mieszkali niedaleko, w Antoniówce. Przy-

szli wieczór do nas, żeby ich przyjąć. Chcieli ich wybić. Żeby ich przyjąć, żeby ich przyjąć, żeby ich przyjąć. To była Regina, [jej mąż] i chłopak z niemi, ich syn. Rywka i Mendel po żydowsku. [Na nazwisko mieli] Bubel. [Regina] była co ja, średnia, tylko przygrubsza. Ładna, młoda, wyglądała dobrze. [Mendel] pociągły, wysoki. Syn ich [nazywał się] Siulem. Jeszcze pamiętam ojców nawet ty Rywki. Nazywały się Szmule. Oni [Regina i Mendel] sami przyszli [bez dziadków]. Nic nie miały ze sobą, maszynkę tylko do szycia, krawiecką. I to sobie wzięli później.

K R Y J Ó W K A

Byli [ukryci] w piwnicy. W piwnicy było zrobione, deskami wybite i kartoflami założone, żeby nie było śladu. Ale ich się brało do mieszkania, bo przez trza było widoku trochę ludziom. Na piecu były siedziały. Nie raz, jak już było ciepło, siedziały na górze [na strychu]. A na wiosnę już w stodołę.

Tam miały maszynkę [do szycia], już se trochę coś szyły...

Trza było jeść dać. Matka była zawsze chora, bo krew uderzała [jej] ustami. Ona więc po szpitalach [chodziła], a mnie trza było wszystko zrobić. Za 15 lat trza było i chleba upiec, i wszystko. Cały dom musiałam prowadzić, bo co było innego robić. Matka poszła [do szpitala], a ja nie umiałam nic, ale po trochu, po trochu trza było [wszystkiego się nauczyć]. Cośmy my jedli, to i oni to samo jedli. Kartofle były. Mleka nie było za dużo, bo trza było oddać [Niemcom]. Aby do lata, późni to trześnia [czereśnia], jabłko... Broń Boże, nic nie płacili.

S Y T U A C J E Z A G R O Ź E N I A

[O ukrywaniu Żydów] nie wolno było przecie [mówić], żeby ktoś gdzieś słyszał, bo jakby ktoś gdzieś przyskarżył... I tak Niemce bez [przez] 3 razy późni [przyjeżdżali]. Musiał ktoś gdzieś widzieć. Jakśmy zauważyli, że jadą Niemce, to z tymi Żydami puciekaliśmy.

[Niemcy] przewrócili w mieszkaniu, wszędzie i w tej piewnicy, wszystko do góry nóg. Drugi raz najechały, też jakoś śmy zauważyli, bo od wioski było kawałek drogi jechać. A trzeci raz jak przyjechały na wirzchu na koniach, zajechały z innej strony. W tym rozruchu skądś się wziął żołnierz, gdzieś uciekał. [Niemcy] wzięły niedaleko naszego mieszkania zabiły tego żołnierza. [Żydów nie znaleźli].

W Y Z W O I E N I E

Jak w Maciejowie starli się Ruskie z Niemcami, my z mieszkania pouciekali w fosę, [tam] jałowce były. Szczęście wielkie, przecie Ruskie były późni wybiły. Niemcy, to co było, nam pozabierali, konia nam pięknego zabrali, wszystko nam pozabierali. Późni na wieczór odjechały. Ruskie, jak najechały, my

w tych jałowcach byliśmy. Zaczęły samoloty latać. Ja miałam chustkę czerwoną w białe grochy. Ojciec mówi: „Daj tę chustkę, bo już Ruskie pewno niedaleko”. Dałam chustkę ojcowi, ojciec podniósł [ją] do góry, a już na koniu jadą Ruskie. „Wychodź, wychodź z tych krzaków”. Wkoło kule świstały.

P O W O J N I E

[Przed wojną] ony [Regina i Mendel] w komornym siedziały. Tam było dwoje mieszkań, a u nas już było jedno mieszkanie tylko, nie było warunków do szycia [być może przejęcie – zamiast życia]. Przyśli w jesieni [i] przed żniwami pośli [następnego roku]. Już się wojna skończyła. Poszły na Maciejów i tam sobie wynajęły duże mieszkanie, tam już byli, tam się przychrzeiwały, tam różne uczty wyprawiali. Ojciec był [u nich]

na święta nieraz. Dopóki on był, to się przyznawały, on jak był żył to na pewno by... Ten Mendek. Odpowiednim krawcem [był], późni po wojnie założył sobie warsztat. Ile on uczniów miał...

Ona [Regina] miała późni kochanków, a on był nie żył [najprawdopodobniej został zabity], prawdopodobnie bez [przez] te kochanki [kochanków].

Ona wyjechała późni do Izraela, wzięła jeszcze syna z Rożków [drugi syn, który ukrywał się osobno]. On wołał „mamo” [do kobiety, która go ukrywała].

[Po wyjeździe do Izraela rodzina Reginy nie przyjechała do Stolnikowizny] ani jeden raz. Nieraz ojciec mówił: „Życiem trza było [ryzykować], Niemce były wybiły dzieci i nas, i dziś żeby nawet nie powiedziały za to dziękuję”. Nie chodziło mi o nie, chociaż dziękuję powinny powiedzieć.

D E U T S C H

Während des Krieges wohnte Janina Marciniak mit ihrem Bruder Roman und ihren Eltern Antoni und Maria Błażniak in Stolnikowizna, in der Nähe von Bychawa. Die Familie war sehr arm. Eines Tages kamen Rywka

und Mendel Bubel mit ihrem Sohn Siulem zu ihnen. Sie versteckten sich im Haus der Familie, im Keller und auf dem Dachboden. Immer wenn Nazis kamen, flohen beide Familien ins Feld. Nach dem Krieg lebte Familie Bubel noch einige Zeit in der Nähe des

Dorfes. Nach Mendels Tod wanderte Frau Bubel jedoch nach Israel aus.

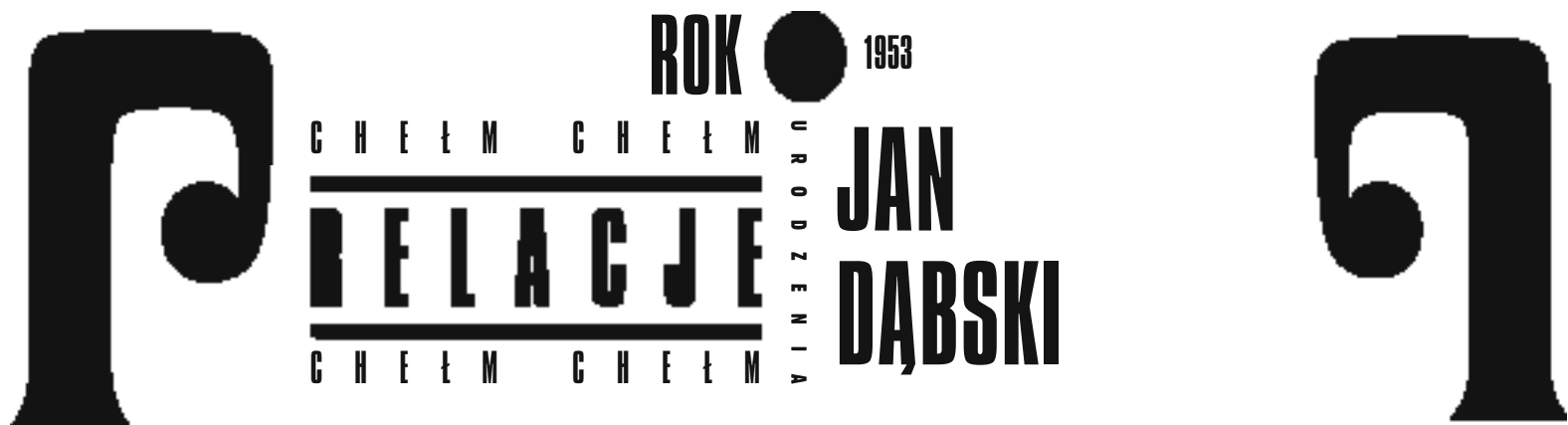
Janina Marciniak beklagt noch heute, dass sie sich nie für ihre Rettung bedankt haben.

ENGLISH

During the war, Janina lived with her parents and her younger brother, Roman, in the village of Stólnikowizna near Bychawa. Her parents were called Antoni and Maria Błażniak. During the war, they lived in dire

poverty. One day, Rywka and Mendel Bubel with their son Siulem came to the Błażniaks' house. The Jews hid in their cellar and in their attic. A few times, Nazis came round to the house to search, but every time both the families managed to escape outside. Af-

ter the war, the rescued Jewish family lived near Maria and Antoni. When Mendel died, his wife emigrated to Israel. Janina feels resentment towards the Bubels that they have never thanked them for rescuing their lives.



Nazywam się Jan Dąbski, syn Antoniego i Adeli, urodziłem się 23 maja 1953 roku w Chełmie. Aktualnie zamieszkuję w Chełmie, z zawodu jestem nauczycielem.

Muszę przyznać, że przez wiele lat w ogóle na temat [ukrywania Żydów] w domu się nie mówiło. Z różnych względów. Jednym z nich było, że istniała rozbieżność w ocenie Żydów pomiędzy moimi rodzicami – zupełnie inaczej oceniał Żydów mój ojciec, a zupełnie inaczej mama. Mama wychowała się w śro-

dowisku wielkomejskim, gdzie sąsiadowała z Żydami dobrze wykształconymi, nieźle zarabiającymi. Ojciec wychował się na wsi i mało miał do czynienia z Żydami, a jeśli już, to byli [oni] postrzegani jako ludzie, którzy wykorzystywali chłopów. Wiadomo, że do Żyda należał młyn, gospoda itd., pożyczal na lichwę. Byli oceniani zupełnie inaczej i między innymi był to powód, że jeżeli dochodziło do rozmów o Żydach w domu, rozmowę najczęściej urywano. Wypowiedzi obu stron, jeśli chodzi o rodziców, były różne. Bliżej

na ten temat się nie mówiło. W latach 80., i to przypadkiem, mama w rozmowie powiedziała: „A tam Drutinowa pisze...”. W tym czasie przysyłała listy, najpierw ze Stanów Zjednoczonych, później z Izraela, ale listy te bardziej były adresowane do siostry mamy, która utrzymywała z nimi bliższy kontakt. Zdarzało się, że były przysyłane paczki, ale najpierw przechodziły przez ręce mamy siostry. Nigdy ta sprawa nie była nagłaśniana i powiem szczerze, że za bardzo mnie to nie interesowało.

Po śmierci pani Drutin była przerwa w [korespondencji]. W międzyczasie mamy siostra też zakończyła życie. W pewnym momencie synowie pani Racheli nawiązali kontakt. Myślę, że początki były bardzo trudne. Przypominali sobie język polski, ktoś ich troszeczkę poduczył. [Listy] były pisane łamanym językiem polskim, niemniej jednak zrozumiałem i po nawiązaniu kontaktu stosunki ociepliły się. Przyjechał starszy z braci z wycieczką do Chełma. Między innymi odwiedził i nas. Po tylu latach było to i dla mamy wielkie zaskoczenie... Od tego momentu mnie to bardziej zainteresowało. Mama zaczęła opowiadać, jak to właściwie wyglądało. Trudno mi powiedzieć, jaka była przyczyna [milczenia]. Wcześniej mama w swoich wypowiedziach mówiła, że od razu po wojnie niektórzy ludzie myśleli, że jeżeli ktoś przechowywał Żydów, to się bardzo wzbogacił. Rodziło to podejrzenia u innych. Były prowadzone rewizje w domu dziadków i myślę, że to był powód, żeby nie nagłaśniać sprawy.

Ż Y D Z I

Dowiedziałem się, że w momencie kiedy w Chełmie likwidowane było getto, wiadomo było, że Żydzi byli umieszczani w obozach zagłady [na przykład] w Sobiborze. W jednym z ostatnich dni likwidacji getta pani Rachela, w tym czasie Gipsz, przyszła z dwojgiem dzieci do mojego dziadka prosić, żeby ich przechował albo pozwolił jej umrzeć. Dziadek, który był związany częściowo interesami jeszcze przedwojennymi z mężem pani Racheli, mimo trudnej sytu-

acji nie pozostawił ich losowi i przechował ich, głównie w piwnicy. O ile mi wiadomo, nigdy nie było rozmowy na temat ceny, nie było rozmowy na temat zapłaty. Z rozmów z mamą też wynika, że nigdy nie podjęto tematu jakiegokolwiek wynagrodzenia, a wiadomo, że okres okupacyjny był okresem bardzo ciężkim. Żywność wydawało się na kartki. Ciężko było utrzymać kobietę z dwojgiem dzieci. Wiem, że tylko mama, [spośród] mieszkającego w domu rodzeństwa, była zorientowana, że przechowywała się żydowska rodzina. Od czasu do czasu zmieniali miejsce pobytu z piwnicy na strych, ale wszystko pozostało w ukryciu. Było to bardzo niebezpieczne, albowiem przez ścianę rodzina sąsiadowała z folksdojczami. Niebezpieczeństwo wydania kogokolwiek było bardzo duże – przepisy okupacyjne mówiły jasno, że za ukrywanie Żydów ponosiła śmierć cała rodzina. W momencie, kiedy zostaliby znalezieni [Żydzi], również brat, który był na robotach w Niemczech, zostałby ukarany śmiercią za to, że jego rodzina w Polsce przechowywała Żydów.

Wiem, że przez całą okupację byli w tym mieszkaniu. Po wkroczeniu na te tereny wojsk radzieckich i Ludowego Wojska Polskiego babcia wręcz poprosiła panią Rachelę, żeby jak najszybciej przeniosła się do wolnych mieszkań, które były w Chełmie. [Chciała uniknąć] podejrzeń, że przez to przechowywanie mogli jakoś skorzystać. Wiadomo, że w późniejszym okresie były rewizje w domach, szukano złota czy czegoś, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów.

R E L A C J E

P O W O J N I E

W roku 1952 zmarła babcia. W domu przy Lubelskiej 140 mieszkała siostra mamy razem ze swoim ojcem, czyli moim dziadkiem Feliksem [który zmarł w 1962 roku]. Mieszkał [tam również] jeden z braci mamy, Andrzej. W późniejszym okresie ciocia Irena wybudowała w podwórzu budynek, natomiast w części od ulicy, która pierwotnie, nawet widać to na przedwojennym zdjęciu, była przeznaczona na sklep. Od czasu do czasu ktoś wynajmował [sklep] pod zakład zegarmistrzowski lub inny. Kiedy przyjechał Benek, czyli starszy z braci Drutinów, w tym czasie sklep był wynajmowany. [Benek] bardzo chciał zobaczyć piwnice. Byliśmy w tej piwnicy. Jeszcze wtedy widać było okienko, którego dzisiaj nie możemy zobaczyć. Benek powtarzał, co zapamiętał z okresu okupacji. Największym przeżyciem małego chłopca było, kiedy po drugiej stronie ściany weszły niemiecki owczarek, a mama zatykała im z bratem usta, żeby broń Boże głębiej nie odechnęli, nie zdradzili, że się tam ukrywają. Zaskoczyło mnie, że [Benek] czuł się bardzo swobodnie. Wrócił trochę. Mówił łamanym polskim. Czuł się jak polski Żyd, trochę jak u siebie, dociekał, co się mogło stać z dalszą częścią jego rodziny, chciał, żeby go zawieźć w miejsca, gdzie poprzednio jego rodzina czy jacyś krewni posiadali swoje nieruchomości. Interesował się, jak wygląda sprawa odzyskiwania ewentualnie pozostawionego mienia przez Żydów. Był bardzo kontaktowy. Z mamą się bardzo serdecznie przywitał. Oboje się popłakali, bo jednak to było wielkie przeżycie.

M E D A L

Jeździłem, bo mama ma swoje lata i trzeba było być pewnym, że zdrowie jej pozwoli. Uroczystość miała charakter bardzo podniosły. Odbyła się w ambasadzie w Warszawie. Byli również inni ludzie, którzy w jakiś sposób byli zaangażowani bezpośrednio, bądź pośrednio w akcję ochraniać zdrowia i życia Żydów w czasie okupacji. W Polsce przedwojennej istniał system wychowawczy, który pewne rzeczy wpajał, przekonywał. Do dzisiaj, obserwując ludzi, którzy jeszcze żyją, widzieć ich bezpośrednio, zaangażowanie. Przecież nie tylko rodzice mojej mamy przechowywali Żydów. Była również duża grupa innych Polaków, o których dzisiaj wiemy, którzy podobne rzeczy robili, współpracowali w czasie powstania w getcie z Organizacją Bojową, żydowską. Ci ludzie nie robili różnic narodowościowych. Dla nich to byli tacy sami ludzie, obywatele Rzeczypospolitej, i trzeba im było pomóc.

K O N T A K T Y

Od mniej więcej 10 lat przysyłają listy, dzielą się swoimi troskami. Od czasu do czasu dzwonią do mamy z Izraela, na zmianę jeden i drugi. Jeśli w najbliższych latach będą znowu jechali na wycieczkę do Polski, to nas odwiedzają.

Adela Dąbska: No to... poza tym coś powiem. Jak pan wyłączy. Stał... Oni się wstydzieli, bo ludzie byli różni... Szłam po ołówek chemiczny, wypisywałam kwity na Szkolną, a pracowałam w rolnictwie, na wadze przyjmowałam. I on bidak... już rozbierali ludzie wszystko i próg, i okna, ja przez ten dom przechodziłam. On odwrócony do ściany stoi. Popatrzyłam, pobiegłam, kupiłam mu ołówek i przysłałam... jedzenie w kieszeń. Przysłałam, z tyłu za niego położyłam. Nie mogłam patrzeć, mnie żal było. Miałam dobrego dyrektora, mówił... przyszedł do mego ojca. A tu bóżnica, ulica, wąskie uliczki i zabudowania drewnianych

domków, różnych, na froncie pięterko było... Nabrał ludzi za opłatą, ratowali się... Żeby mieć kwit, że pracuje. Jak już się nachapał złota wszystkiego, że on już nie nie miał, to wtedy ich oddał do gestapo. Przychodzi dyrektor Pac do mego ojca i mówi: „Panie Grzesiuk, zaraz będą wyprowadzać Żydów i rozstrzeliwać tam na tym poddaszu” – ktoś go zawiadomił, a ojciec mówi: „Panie dyrektorze, wolałbym, żeby moja córka tego nie widziała”, a on mówi: „Dobrze...”. Ale przecież telefonów nie było, a to spory kawałek. „...Kamieńskiego wyśle kierownika, pójdzie przez Sienkiewicza, akurat trafi”. Przyszedł i mówi: „Mama ma atak, ojciec tak powiedział”. Ja wybiegłam z drzwi, z bóżnicy, wybiegłam, to już dwa samochody wyjeżdżały z Młodowskiej do cerkwi, do bóżnicy. Musiałam poczekać, aż przejdą, cała kolumna. Nie chciałam, żebym ja to widziała. Byłam młoda, młode dziecko jeszcze... Dyrektor mówi, że to nie sprawia nikomu przyjemności. Kto by to nie był. Pan Bóg stworzył ludzi, tylko między nimi trzeba żyć.

D E U T S C H

Jan Dąbski wurde 1953 in Chełm geboren. Seine Eltern sind Antoni und Adela. Adela und ihre Eltern wohnten in Chełm. Während des Krieges halfen sie einer jüdischen Familie – Regina Gipsz (nach dem Krieg hieß sie Frau Drutin) und ihren

zwei Söhnen. Sie versteckten sich abwechselnd im Keller und auf dem Dachboden. Herr Dąbski erzählt, dass er, als nach dem Krieg geborener Sohn der „Gerechten“, viele Jahre nichts über die Hilfe seiner Familie

während der Besatzung wusste. Seine Mutter erinnerte sich nicht gern daran. Erst in den 80er Jahren nahmen sie wieder Kontakt zu den geretteten Brüdern Drutin auf. Einer der beiden, Bencjon (Benek) Drutin, besuchte vor einigen Jahren Chełm. Sein Treffen mit Adela war sehr bewegend.

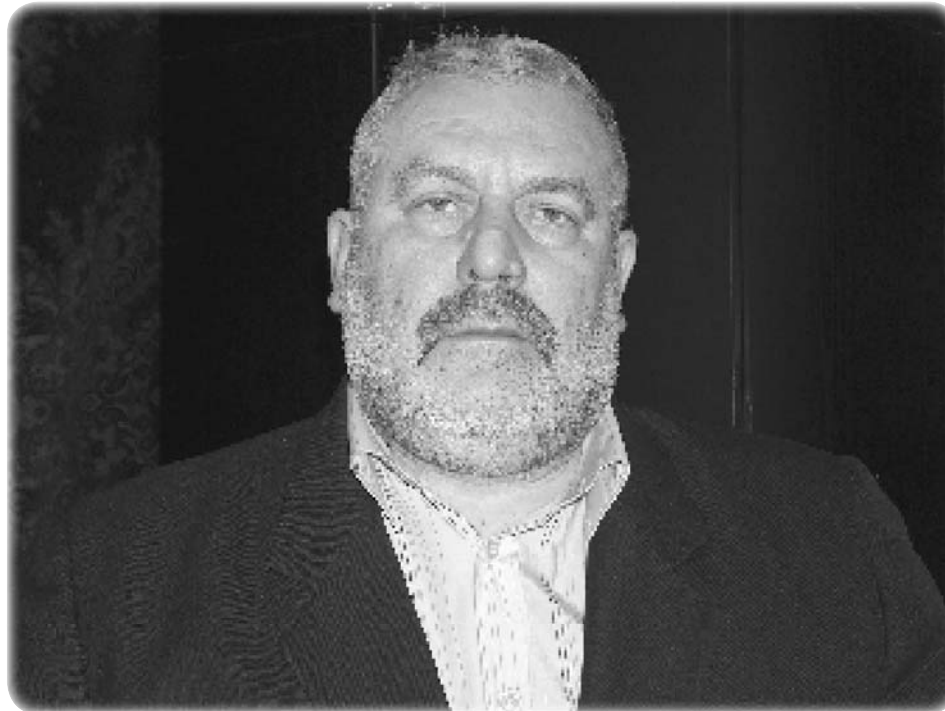
R E L A C J E

E N G L I S H

Jan Dąbski was born in 1953 in Chełm. He is the son of Antoni and Adela. Jan recounts that during the war, his mother Adela and her parents were involved in hiding Regina Gipsz (after the war Drutin) and her two sons. The

three Jews were hidden in the cellar and in the attic. Jan stresses that, although a son of the “Righteous”, being born in 1953, he knew nothing about his family’s war-time activities for a very long time. After the war, his mother was very reluctant to share her

memories. Only in the 80’s did their contacts with the Drutin family intensify and now Mrs. Drutin’s sons phone the Dąbskis very often. Benek, one of the brothers, came to Chełm a few years ago. This was a very moving moment both for him and Adela.



JAN DĄBSKI



01

Nieruchomość, w której ukrywano Żydów, Chełm.
 Das Gebäude in Chełm, in dem sich Juden versteckten.
 The property in which Jews were hidden, Chełm.



02

Jan Dąbski na terenie nieruchomości, w której ukrywano Żydów, Chełm.
 Jan Dąbski vor dem Gebäude in Chełm, in dem sich Juden versteckten.
 Jan Dąbski in the property in which Jews were hidden, Chełm.

ROK 1927

URODZENIA

ADELA GRZESIUK-DĄBSKA

CHEŁM CHEŁM

RELACJE

CHEŁM CHEŁM

Nazywam się Adela Grzesiuk-Dąbska. Urodziłam się w Chełmie, w 1927 roku, 4 maja. [Mieszkaliśmy] na Lubelskiej pod numerem 140 w rodzinnym domu. Ojciec mój, Grzesiuk Feliks, matka, Grzesiuk Aniela, w 1926 roku zamieszkali w tym miejscu.

Mój ojciec wrócił do kraju [po I wojnie światowej]. Pracy nie było, wszystko zniszczone, ożenił się i napisał do Żyda do Petersburga, bo była stolica Petersburgiem nie Moskwą, że jest bez pracy i nie ma co z sobą zrobić. A on napisał: „Przyjeżdżaj do mnie, ja ci wydaję rekomendację, opinię i pojedziesz na Syberię, na duże lasy. Ja będę przyjeżdżał na polowanie do ciebie”. Ojciec był tam 11 lat. Stamtąd poszedł na wojnę, wrócił, rok w szpitalu wyleżał, półtora roku był do niczego. Mógł jeszcze żyć, bo Polacy z Rosji uciekali w 1918 roku, a ojciec w 1922. Miał emeryturę wojenną, do tego prowadził jeszcze sklep monopolowy. Miałam trzech braci i jedną siostrę, młodszą ode mnie. Przed wojną jeden brat 7 lat w orkiestrze wojskowej był, drugi brat w technikum mechanicz-

nym, w 1939 roku wojna i już nie mógł się uczyć. Tylko zawiadomienie dostali żeśmy z gestapo, że ma się stawić na godzinę w tym i w tym dniu. Nie wiedzieli żeśmy, czy już zabiorą z miejsca. Ale mama bardzo bystra była, pobiegła do profesora: „Panie profesorze, niech mi pan doradzi, gdzie się mam dowiedzieć, co się stanie z naszymi dziećmi?”. A on mówi: „Przyjdę, powiem”. Myśmy w zgodzie żyli, dobrześmy się uczyli. I faktycznie, przyszedł przed wieczorem. „Zabiorą ich śnieg sprzątać”. Śnieg dzień i noc padał. Na chodnikach były tunele, do sklepu, do mieszkania, wszędzie. A młodzież odrzucała śnieg z jezdni. Szedł piekarz, znajomy, zobaczył: „Co ty robisz?” – mówi do brata. A on: „Panie Celiński, wezwanie przysłali i muszę”. A piekarz: „Przyjdź po południu, wystawię ci zaświadczenie i cię zwolnię. Ty pracować nie będziesz”. Kto miał jakieś wejście, to pomagał drugiemu, nie wszyscy byli źli.

Okupacja. Poszłam do pracy. [Miałam] 13 lat. Wzrost nie przedstawiał wartości. Popatrzył i dobrze. Metryka nie radziła.

[Chełm] duże miasto. Wszystkie kamienice od katedry w dół, prawa strona wszystko budynki żydowskie były, luksusowe. Oni mieli w wielu miejscach sklepy. I to wyborowe towary, także handel był jak trzeba. I Żydzi nie leniwi. Nigdy nikogo nie obrażali. Zawsze grzecznie i pijanego nie zobaczyli. Nie widziałam, żeby wódkę pili. A chodziłam do nich, bo to moje podwórce. Ojciec [sąsiadów] był husyt, znaczy wierzący. Stary był, a to wszystko rosło [młodzie]. Od wczesnych godzin rannych do późnych wieczorem szyli mundury. Idę ze szkoły, wychodzi jeden i mówi: „Nie wiesz, co mama dzisiaj gotuje?”. „Nie wiem, nie pytałam jeszcze”. A on: „Spytaj”. Idę i pytam: „Mama, co dzisiaj w dochówce masz? Co pieczesz?”. „Dzisiaj nie, mam inny obiad. Powiedz im, niech przyjdą”. Wyślą chłopaka, im nie wypada pójść do masarniczego. Bo Żydzi to taka wiara. Przestrzegali tego. Młodzie, kupi 2 czy 2 i pół kilo schabu, przyniesie chłopak, mama umyje, dosmakuje, upieczę z sosem, ja stuknę, wysta-

077

wię trochę, żeby przestygło i jedzą, bo ojciec przyśle zupełne husynne, to tam nie ma co jeść i nie ma z czego robić. Ale się nie kłócili, zawsze zgoda, nie było żadnych awantur. Lekarze byli i dentyści, nie można powiedzieć. Rubinsztajn prowadził papierniczy na rogu. To tutaj młyny były polskie. Ale Żydzi brali mąkę. Święta. Jak Pan Jezus wjeżdżał do Jerozolimy, to chyba święto macy było. Cienkie, podobne jak opłatek placki. Przynosili mi te placki zapakowane. Mama mówiła: „Ty chyba dzisiaj już nic nie będziesz jadła, tylko tę macę, ona taka smaczna”. Smak napoleonek miała, taka cieniutka. Ludzie mówią: „O, zabili Polaka, z krwi robią macę”. Co ma ciasto do krwi?

W O J N A

1939 rok to dzień i noc ludzie szli, uciekali od Niemców. Dzień i noc. I Ruskie zniszczyli tyle. 8 września. Pierwsze bombardowanie, ludzie... Odpust był na górze i ludzi dużo przyjechało, każdy modlić się. 40 osób zabili. Głupie s... Jak się wojna zaczęła, był nabór do wojska. Przyszedł poznaniak, a oni: „Bij Żyda” – takie podburzenie było.

Belgia, Holandia, Francja. Nasi mieli gwiazdy [na ramieniu], a tamci na plecach, zaraz za kołnierzem. Szli elegancko ubrani, nie nieśli nic ze sobą, bo im powiedzieli, że jadą do sanatorium, że im nic nie trzeba, w wagonie będzie. A oni od razu z miejsca nie wystali wagonów po nich, tylko skierowali gdzieś indziej. Godzina czwartej, już się zmierzch robi. Jak dojdą do lasu, już ciemno, a jeszcze kawałek duży przez las, bo Sobibór daleko. Ci, co mieszkali przy tej drodze, patrzyli. [Żydzi] złoto wyrzucali w buraki,

w kartofle, w rów. A w Sobiborze powstanie zrobili. Fryzjer brzytwą głowę odcinał. Ojciec mówi, matka mówi: „Dzisiaj ostatni dzień wywożą do obozu”. Część starych to na miejscu tutaj wybili. Jak to przykro jest, jak prowadzą... Zawsze chodziłam kupować do sklepu... on idzie, żona, córka, wnuk, za nimi idzie Fiszen z zięciem i reszta pracowników, bo on ogród prowadził u nich. Już końcówkę wybijali. [Niemiec] powiedział: „Tutaj zabić go. Nie trza go po obozach wozić. Ma zginąć, trudno”. Akurat z pracy przyszedłam, patrzę, prowadzą, ze Szpitalnej wyprowadzają, idą. Fiszer zdjął kapelusz przede mną: „Do widzenia pani Adelu”. „Do widzenia, przyjacielu”. A na samym końcu samą młodzież prowadzili w ośmiórkach. Zawsze prowadzili koło godziny czwartej, żeby oni się nie zorientowali, gdzie ich prowadzą. Choć przeczuwali. Nawet z tych, co przywozili z innych państw, wszystkich na ten czas, czwarta godzina, do krzyżówek i na szosę włodawską.

Ż Y D Z I

Gipsz. Oni mieli sklep u nas. Wysiedlili wszystkich do getta. Poczтовая i kilka ulic. Skumulowali wszystko i tam ich mieli. Nie wszystkich zabierali do obozu. Młodych brali jeszcze do pracy. Kilka baraków postavili i tam ich trzymali. Jeszcze mogli chodzić. Przychodzili do nas.

A z Rachelą Gipszową to się stało tak: Piękny dzień. Przychodzę z pracy, ojciec popatrzył na mnie i nic nie mówi. Ja: „Co tatu-

R E L A C J E

siu?”. „Później ci powiem”. Gipsz poszedł się schować. Pożegnał się: „Nie będę patrzył, jak moje dzieci będą się męczyć”. Zostawił [Gipszową] z dziećmi. Nie widziałam jej cały tydzień. Matka, jak coś kupiła, to dla niej też: „Masz, dla dzieci, zrób coś zjeść”. Taki charakter miała. Gdzieś jest fotografia [Gipszowej], dwoje dzieci za rękę w letniej sukience. Przyszła z dziećmi w 1942 roku w lecie.

Gipszowej ojciec miał 100 morgi ziemi i młyn. Tu w Nowosiółkach. I szynk. Przyszli, we młynie go powiesili. A później zrobili w tym młynie obóz, bo piece nie przerabiały tyle w Lublinie. Szymel, co wołowinę sprzedawał, mówi, że życie ma dobre, je co Niemcy jedzą i wyrzuca nieboszczyków z komory gazowej. „Nie wiem, ile mojego życia, ale czas mam wolny, jak to zrobić, to myślę o was. Przedstawiają mnie się wasze wizerunki”.

„Pani Gipszowa – ojciec mówił – my mieszkamy na froncie, nogę postawi, już jest w domu. W niebezpiecznym miejscu mieszkamy. Co mam zrobić?” A Gipszowa: „Niech mi pan da truciznę”. „Nie dam trucizny. Jestem człowiekiem wojskowym! Nie dam!”.

[Ojciec] popatrzył na matkę, matka na ojca i do piwnicy. Piwnica była duża, sucha. Byli 3 lata u nas. To, co żeśmy ugotowali, co mogli, żeśmy skombinowali. Pościel mama wyprala. Najgorzej było dziecinne rzeczy, bo u nas już małych dzieci nie było. Aby nikt nie zauważył, bo to ludzie chodzą po mieszkaniach, sąsiadka czy ktoś. Starali się, żeby wszystko przykryć. Nikt, nawet ja nie wiedziałam. Było do piwnicy wejście na węgiel, otwierało się okienko i zsypywało się węgiel. [Czasem byli] na strychu. Jak jest taka możliwość, bieliznę wypierzemy, rozwiesimy, żeby powietrza trochę mieli. Piwnica była wilgotna.

Siostra była, ale ona głupkowata, nie wiedziała, że oni są. Mama zamknie drzwi i poda jedzenie. Rano ojciec wyniesie wiadro. Schodziłam na dół. Tam nie można było mówić, bo sąsiedzi to Niemcy byli. Cichutko na ucho. Łóżko było, pierzyna i poduszka.

S Y T U A C J E Z A G R O Ź E N I A

[Okienko było] oszklone. Pies z gestapowcem przyszedł pod to okienko. Pies węszył, a ten mały [Bencjon Drutin] stał naprzeciw okienka i patrzył. Ona [Rachela] się bała, że on coś powie, to usta mu zamknęła. Mały był. Z jednej strony myśmy mieszkali, a drugi dom żydowski zajęli folksdojeze. I zrobili urlop [urlop] dla Niemców, bo było verboten [zabronione] i urlop. Tu przychodził gubernator miasta z binoklem, Raschendorf, wszyscy dostojnicy państwowi. Myślałam, że mnie ojciec umrze, nie ma drzewa, nie ma węgla, bieda, bieda dokuczy. Ten, co zawsze nam przywoził, odważył się, uciął 4 dęby i na sanki. 4 metry to drugie, 2 metry do piwnicy się mieściło, bo pół piwnicy było oddzielone. Jak 4 metry wsadzisz, a z frontu widać, to zaraz przychodzi Niemiec i: „Skąd wzięłeś?”. Ojciec mnie zbudził i 2 kawałki żeśmy przecięli. Ciągniemy z ojcem trzeci kawałek, otwierają się drzwi u Schode, wychodzi gubernator miasta i mówi, oni wszyscy po polsku mówili: „Dzień dobry sąsiedzie – była jakaś trzecia nad ranem – nie będziesz kradł, nie będziesz jadł. Ale taka córka jak twoja, już się na kamieniach rodziła, dopiero do studni idzie, dopiero leci do sklepu. Ona dobre dziecko. Nieraz się mijam z nią”.

M O T Y W A C J E

Sumienie. Co groziło? Kara śmierci. Wszystkich po kolei, nawet kto był w Niemczech, to jak tu rodzinę zabili to tam [w Niemczech] też.

Manysa wzięli [na przechowanie]. Miał 17 lat. Wzięli ich kilkunastu. Nie wiedzą o żadnych okolicznościach. Polacy bardzo dużo winni. Dlatego, że dużo kłamali. Chcieli pieniędzy. Za bankiem Bogatina [jest] piwnica, co dwudziestu pięciu Żydów stamtąd wyciągali i na podeście strzelali, a oni spadali na dół. Pracowałam w boźnicy. Przyjmowałam włókno i byłam wagową. Dyrektor przyszedł do ojca: „Panie Grzesiuk, jadą Niemcy Żydów strzelać. Do boźnicy”. Ojciec: „Tam córka jest. Panie dyrektorze, niech pan coś zrobi, żeby ją zwolnić”. On mówi: „Wyślę Kamińskiego, powiem, że żona ma atak”. Pobiegł. Dochodziłam do cerkwi, do ulicy Młodowskiej, już 2 samochody w górę wjeżdżały. Biegłam, aby do domu.

W Y Z W O L E N I E

Jak tylko przyszli Ruskie, to moja mama mówi: „Pani Gipszowa, ja bym prosiła, żeby pani się przeniosła, bo ja nie od pani nie wzięłam, a zaraz ludzie powiedzą, że ja wzięłam majątek. Ja pani pomogę, upiekę coś, wyślę córkę, zanieś”. Dała jej koc, poduszkę. [Gipszowa] pojechała na swoją ziemię. Przyjechał brat z Warszawy. Żonę zabrali na Umschlag.

R E L A C J E

Weszli [Ruscy], już Polacy byli. Zobaczysz ktoś – aha, Żydów trzymali. Wzięli pieniądze, tak? Ludzie nie rozumieli tego. Tylko coś za coś. Była większa obawa przed Polakami, jak przez [przed] Niemcami. Tych dwudziestu pięciu Żydów, co zabili, to 3 domy dzieciom kupił. Wydał.

W domu [u nas] też rewizja była. Każdą rzecz przetrzęśli.

P O W O J N I E

[Rachela] była w Wałbrzychu. Cały czas pisała. Jak zmarła, miała 82 lata. W ostatnim liście napisała: „Już więcej do Ciebie nie napiszę, bo nie mogę pisać”. I [o] moim ojcu: „On ojciec był dla nas. Kto by nas przyjął, a on jednak nie odmówił. I tobie za wszystko dziękuję, bo co byśmy zrobili bez Ciebie?”. [Jej] syn Jakub wyjechał z matką i z ojczymem, poszedł na studia lotnicze, [jest] lotnikiem inżynierem.

M E D A L

Po trzech latach przyszedł pierwszy list od Jakuba. [Potem] przyjechał z wycieczką. To on zgłosił.

Ojciec zmarł w 1962 roku. Mama w 1952.

Nikt u nas nie wiedział. I po wojnie nikt nie wiedział, tabu. Do 2000 roku o tym nie mówiliśmy na zewnątrz.

D E U T S C H

Adela Dąbska-Grzesiuk wurde 1927 in Chełm geboren. Familie Grzesiuk hatte vor dem Krieg viele jüdische Nachbarn. Während des Krieges wurde in Chełm ein Ghetto eingerichtet, in das auch Juden aus Belgien, den Niederlanden und Frankreich gebracht wurden. Manche Juden wurden zur Arbeit gezwungen, die anderen wurden in das Todeslager Sobibór transportiert oder vor Ort erschossen. Seit Sommer 1942 versteckten Adela Dąbska-

Grzesiuks Eltern, Feliks und Aniela Grzesiuk, ihre Bekannte Rachela Gipsz und ihre zwei Kinder, Jakub und Benejon Drutin in ihrem Keller. Sie lebten dort ungefähr 3 Jahre lang, bis die Rote Armee nach Chełm kam. Obwohl in der Nachbarschaft eine volksdeutsche Familie wohnte, die oft von Deutschen besucht wurde, entdeckte niemand das Versteck. Nach dem Krieg hatte Adela Dąbska-Grzesiuks Mutter Angst, davon zu erzählen. Sie fürchtete, die Nachbarn würden behaupten,

sie hätte sich an der Rettung der Juden bereichert. Bis zum Jahr 2000 vermied sie darüber zu sprechen. Rachela Gipsz wohnte nach dem Krieg in Wałbrzych und blieb mit der Familie in Kontakt. Dank der Bemühungen des Sohns Rachelas, Jakub, wurde Familie Grzesiuk die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Adela Dąbska-Grzesiuk was born in 1927 in Chełm. Adela recounts that before the war, her family had many Jewish neighbors. When a Jewish ghetto was founded in Chełm, at the beginning of the war, Nazi authorities sent some people to work there, while others were killed or taken to the death camp in Sobibór. Jews from Belgium, Holland and France could also be found in the Chełm ghetto. These people were also

eventually killed in Sobibór. In the Summer of 1942, Adela's parents Feliks and Aniela hid their acquaintance Rachela Gipsz and her two children: Benejon Drutin and Jakub, in their cellar. They stayed in this hideout for about three years. Since a Volksdeutch family was living in the neighborhood, German officials often visited the Grzesiuks, but fortunately, no-one ever discovered the Jews. Rachela and her children left their hiding place after the Red Army liberated Chełm.

After the war, Adela's mother was afraid that the neighbors would accuse her of having accepted money for hiding the Jews, so until 2001, the family avoided talking about what had happened. When the war ended, Rachela Gipsz moved to Wałbrzych, but kept in touch with Adela's family. Thanks to Rachela's son Jakub the Grzesiuk family received the medal "The Righteous Among the Nations".

01

01

01

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



מכון לזיכרון וחינוך לאומי
POLSKIE INSTYTUTY PAMIĘCI I NAUKI
WARSZAWA

כאילו קיים עולם סגור

KTO RATUJE JEDNO ŻYCIĘ, JAKBY SWIATŁY CAŁY RATOWAŁ

תעודת כבוד Dyplom Honorowy

MINISTERSTWEM ZAŚWIADCZA SIĘ, ŻE RADA
DŁS SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW
ŚWIĄTA PRZY INSTYTUCJE PAMIĘCI
NARODOWEJ JAD WASHEN PO ZAPRZĄNIU
SIĘ DO ZŁOŻONA DOKUMENTACJA
ROSTANOWIŁA NA POSIEDZENIU W
DNIE 26 - I - 2000 r.
ODZNACZYĆ

**Adele Grzesiuł-Dabska oraz jej
rodziców Anielę i Feliksa**

MEDALION SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD
NARODÓW ŚWIĄTA W DOMÓD UZNANIA
JĘ I NARAŻENIEM WŁASNEGO ŻYCIA
RATOWALI ŻYDÓW PROŚADOWYCH
W LATACH OKUPACJI HITLEROWSKIEJ.
IMIONA JCH UWIECZNIŁE SIĘ NA
HONOROWEJ TABLICY W PARKU SPRA-
WIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIĄTA
NA WZGÓRZU PAMIĘCI W JERUZOLIMIE.

Jeruzolima, Izrael, dnia
26 - III - 2000 r.

Arac, Shalev, Ne
Dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej
w Warszawie

וזאת לתעודה שבישבתיה
מים יט שבט תשס"ס
החליטה הועדה לזיכרון
חסידיו אומות העולם
שליד תעודת הזכרון יד ושם
על יסוד עדויות
שהובאו לפניה, לתת כבוד
ויקר ל

על אחד בעמותת השואה
באדיפת מלכו נעשה בספן
להצלת יהודים נרדפים
פירי דורשיתם והענקת להם
את המדליה לחסידיו אומות
העולם.
עצמם יוציא לעד על לחם
כבוד בחורשת חסידיו אומות
העולם ביד ושם.

נתן חיים ברויטליס
בא אור ב תשס"ס

Ukrainian
בוס תעודה יצא יסוד אומות העולם
WARSZAWA

KTO RATUJE JEDNO ŻYCIĘ, JAKBY SWIATŁY CAŁY RATOWAŁ

B E N C J O N D R U T I N

List od Bencjona Drutina, jednego z uratowanych przez rodzinę Grzesiuk z Chełma (patrz: relacje Adeli Grzesiuk-Dąbskiej i jej syna Jana Dąbskiego).

List Bencjona Drutina z kwietnia 2008 roku

Na początku 1943 r[oku] moi rodzice dowiedzieli się, że będzie „akcja”, więc rodzice, mój młodszy brat i ja uciekliśmy z getta do państwa Grzesiuk. Feliks Grzesiuk był przyjacielem mojego ojca. Widzieliśmy wejście Ukraińców i Niemców do getta. Pan Feliks powiedział ojcu, że gdy będzie potrzeba, to on pomoże nam. Przebywaliśmy u niego w piwnicy, co było bardzo niebezpieczne, bo to było naprzeciw koszar.

Przebyliśmy [w] tej cudownej rodzinie prawie 2 lata i zostaliśmy ocaleni – matka nasza

Rachela, brat i ja. Ojciec skrył się w innym miejscu i został zamordowany przez Niemców. Państwo Grzesiuk, Feliks i jego żona i dzieci – jeden syn był w niewoli niemieckiej w Niemczech, syn służył w Junakach, córka ich 17-letnia nam najczęściej pomagała, dawała nam wodę i jedzenie i brała od nas brudną wodę. Była też córka 7-letnia. Pan Feliks był inwalidą, on służył w rosyjskim wojsku w czasie cara i żeby się uwolnić z tej służby postrzelił się w palec. Oni mieszkali wtedy niedaleko od Moskwy i po I wojnie światowej osiedlili się w Polsce i mieszkali w Chełmie Lubelskim. Oni byli bardzo biedni. My też nie byliśmy bogaci, ale w pierwszym okresie moja mamusia płaciła za nasze utrzymywanie, ale to starczyło tylko na trochę więcej niż pół roku. Oni się dzielili wszystkim co mieli.

Pani Adela otrzymała w Poselstwie Izraela w Warszawie tytuł „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” dla siebie i jej rodziców. Pamiętam jak jej matka nieraz się krygowała, bo bardzo się obawiała i nikt nie wiedział, czy Niemcy przegrają wojnę i kiedy i oni też bali się, że Niemcy nas zabiją i dowiedzą się u kogo my się przechowywaliśmy.

Czerwona Armia wygnała Niemców prawie pod koniec 1944 r[oku]. W Chełmie zostaliśmy żywi: ja – jako 12-letni, brat 5 lat i mamusia 34 lata i jeszcze 18–20 Żydów co pracowali w gestapo i Niemcy nie zdążyli ich zabić. W Chełmie żyło około 20 000 Żydów i taka sama liczba Polaków.

D E U T S C H

Der Brief von Bencjon Drutin (sein Nachname war bis zum Ende des Krieges Gipsz), einer der Brüder, die von Familie Grzesiuk aus Chełm gerettet wurden. Der Brief wurde im April 2008 an das Zentrum „Brama Grodzka – Teatr NN“ gesandt.

Bencjon Drutin beschreibt die Situation seiner Familie im Jahr 1943, als sie erfahren

hatte, dass die Deutschen eine Aktion gegen Juden“ im Chełmer Ghetto planen würden. Sie flohen daraufhin aus dem Ghetto. Die Mutter hat mit ihren Söhnen den Krieg überlebt. Der Vater, der sich an einem anderen Ort versteckte, wurde aber ermordet.

Herr Drutin schreibt über die Familie Grzesiuk. Dazu gehörten: Herr Feliks Grzesiuk, seine Frau und die Kinder. Sie waren sehr

arme Leute damals. Als Familie Gipsz sich dort versteckte, half ihnen am meisten die älteste Tochter.

ADELA GRZESIUK-DĄBSKA

E N G L I S H

A letter from Bencjon Drutin (one of the survivors saved by the Grzesiuk family, from Chełm) to NN Theatre, April, 2008.

Bencjon writes about the beginning of 1943, when the Grzesiuk family found out that Germans were preparing to round-up all those in the ghetto. They decided to escape and his

mother and he and his brothers survived, yet his father, who was hiding somewhere else did not make it. Mr. Drutin relates the Grzesiuk family's history: Feliks, his wife and children, after the First World War moved from just outside Moscow to Chełm. Before that, Feliks had been a soldier in the Soviet Army. When the Gipsz family was stayed

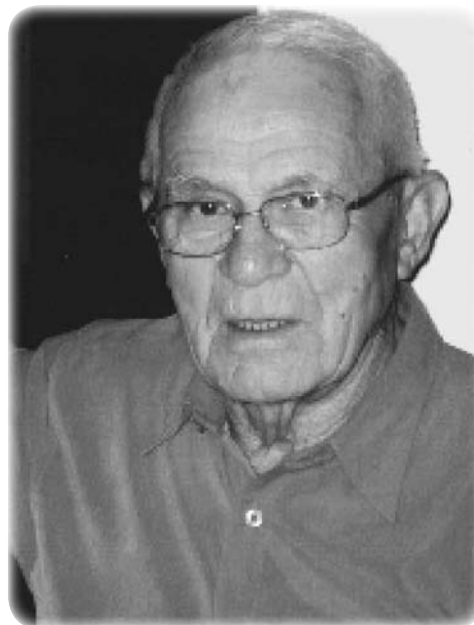
with them the eldest daughter helped them the most. Mr. Drutin adds that the Grzesiuks were very poor at the time, but still helped his family all that they could. Mr. Drutin also adds that around 20 Jews from Chełm survived the war; that the majority of these cooperated with Gestapo and the Germans did not have enough time to kill them all in the end.



02



03



04

Adela Dąbska; 6 stycznia 2008, Chełm.
Adela Grzesiuk-Dąbska am 6. Januar 2008 in Chełm.
Adela Dąbska, January 6, 2008, Chełm.

Jakub Drutin

Bencjon Drutin



05

Bencjon (Beniek) Drutin, 26 kwietnia 1954.
Bencjon (Beniek) Drutin am 26. April 1954.
Bencjon (Beniek) Drutin, April 26, 1954.



06

Od prawej: Rachel, Jakub (siedzi)
i Bencjon (Beniek) Drutinowie, 1947.
Von rechts: Rachel, Jakub (sitzend)
und Bencjon (Beniek) Drutin, im Jahr 1947.
From the right: Rachel, Jakub, sitting,
and Bencjon (Beniek) Drutin, 1947.



07

Aniela Grzesiuk, Chełm, 1 kwietnia 1937.
Aniela Grzesiuk in Chełm, am 1. April 1937.
Aniela Grzesiuk, Chełm, April 1, 1937.



08

09

10

Feliks Grzesiuk, Chełm,
dwudziestolecie międzywojenne.
Feliks Grzesiuk in Chełm,
in den 20er Jahren des 19. Jahrhunderts.
Feliks Grzesiuk, Chełm, the interwar period.

Niewykończony dom Feliksa Grzesiuka przy
ul. Lubelskiej 140 (miejsce późniejszego przechowy-
wania Żydów), Chełm, 23 sierpnia 1938.
Das nicht fertiggestellte Haus von Feliks Grzesiuk,
Lubelskastraße 140 in Chełm, am 23 August 1938.
Später wurden in dem Haus Juden versteckt.
The unfinished house of Feliks Grzesiuk at Lubelska
Street 140, the place where Jews were later hidden,
Chełm, August 23, 1938.

Rachel Drutin, 10 czerwca 1985.
Rachel Drutin am 10. Juni 1985.
Rachel Drutin, June 10, 1985.



11

Uroczystość przyznania Medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.
 Grupa osób nagrodzonych z ambasadorem Izraela, druga od lewej:
 Adela Grzesiuk-Dąbska. Warszawa, 18 lipca 2000.
 Während der Verleihungszeremonie der Medaille „Gerechter unter den Völkern”
 am 18. Juli 2000 in Warschau. Die ausgezeichneten Personen mit dem
 israelischen Botschafter. Zweite von links: Adela Grzesiuk-Dąbska.
 The ceremony of awarding the medal “The Righteous Among the Nations”.
 A group of awarded people with the Ambassador of Israel, second from the left
 Adela Grzesiuk-Dąbska. Warsaw, July 18, 2000.



12

Jakub, Rosa, Eliad Drutinowie, Izrael, 11 czerwca 1994.
 Jakub, Rosa und Eliad Drutin in Israel, am 11. Juni 1994.
 Jakub, Rosa and Eliad Drutin, Israel, June 11, 1994.

ROK 1920 KAMIONKA KAMIONKA RELACJE KAMIONKA KAMIONKA URODZENIA ZOFIA PATYRA-SZEMRO

Szemro Zofia. Z domu Patyra jestem. Urodziłam się w 1920. Mam już 87 lat i jeszcze żyję.

Ż Y D Z I

To byli sąsiedzi.

Jak tylko łapanka Żydów była, to ich ojciec, stary człowiek z długą brodą, przyszedł do nas. Tu po łąkach chodził. Mama go zawołała: „Niech pan przyjdzie”. Ale on, Manasz mówi: „Ale tu są Niemcy pani, żeby pani nie zaszkodziło”. „Oj, niech pan przyjdzie na chwilę, zagrzeje się”. I on przyszedł do nas. Ktoś krzyknął, że Niemcy idą. Mama powiedziała: „No niestety, musi pan gdzieś szukać sobie miejsca”. Gdzie szukać? Wyszedł na dwór i Niemcy go zaraz zwinęli. I już. Wywieźli go gdzieś, nie wiadomo gdzie. A to było... Aż nie mogę mówić, bo to było straszne, straszne przeżycie. Trzeba było ludzi ratować. Sąsiad przecież zaraz za szosą mieszkał. Harukowa, ona też czasem trzymała Żydków, ale u nas to najwięcej byli.

Przyszli jak jeszcze Niemcy tu byli. Może jeszcze jakieś dwa lata i Niemców Ruskie pogonili. I Niemcy ustąpili. Ruskie nie byli przeciwne, nie byli wrogami dla Żydów. Tylko Niemcy, to było najgorsze było. Ile to ludzi pozabijali. Jak słyszę w telewizji, ile ludzi zginęło, bo ratowali życie ludzkie. Nam się jakoś udało.

Przyszli, bo się ukrywali przed Niemcami. Była straszna nagonka na nich. Mama piekła chleb. Zawsze dała im, jak poszli do lasu czy gdzieś. Ale i u nas wykopali dół w oborze i tam siedzieli.

I w bunkrze siedzieli, i w piwnicy, wszędzie, gdzie tylko można było się ukryć. Jankiel taki przystojny Żyd. Mam zdjęcie. Nojeh był najstarszy. I Ruchcia. My ją nazywali Ruchcia, ale ona po żydowsku była Rajchela. Mama litowała się, litowała się nad nimi. Przychodzili po jedzenie, nieraz w stodole nocowali. Sami się dowiadrywali, że jest niebezpieczeństwo, że trzeba stąd ustąpić.

RELACJE

SYTUACJE ZAGROŻENIA

Później ktoś ich przyskarżył: „O Patyrowa, Żydzi do Patyrowej przychodzą”. I oni się dowiedzieli, przyszli do mamy i powiedzieli: „My już stąd uciekamy. Już nas ktoś przyskarżył”. I co? Poszli. A gdzie poszli? Do Łukaszewskiego czy do pani Lachnickiej do dworu? Nie wiem. Czy do lasu? Ale zawsze jak przyszli, mama nagotowała grochu baniak kamienny, duży.

Dwóch braci i siostra i jeszcze ich znajomy. Wszyscy dorośli. Tych Manaszów, Gritzmanów to było trzy, a czwarty ten znajomy. I oni wszystkie tu przychodzili, ale nocą tylko. Jak ich przyskarżyli, przyszli Niemcy. Wyprowadzili nas pod ścianę. Wszystkich czworo [panią Zofię, jej matkę i rodzeństwo]. Karabin maszynowy. „Tylko mów prawdę”. Mama: „My nikogo nie mamy”. Chodzili, obszukali piwnice, pokoje, kuchnię. Nikogo nie znaleźli. Mówię do tych Niemców: „Panie, oni was okłamali. Chcieli od nas pożyczyć część do maszyny.

087

A mama im nie pożyczyła”. Mama też miała młócić kontyngent i nie dała... A niech to diabli wezmą, już nie mogę mówić. Ile strachu było. Karabin maszynowy na nóżkach stał przed nami. „Mów, bo będziecie zabici!”. Jeden Niemiec umiał po polsku. On nam wszystko tłumaczył.

Mój brat był kaleką, na kulach stanął przed Niemcami. Niemcy się popatrzyli. Litość ich chyba wzięła, że jeden kaleka, drugi taki mały. I siostra taka młoda. Ja byłam najstarsza. Też stanęłam. Sąsiedzi, którzy mieszkali za ścianą, patrzyli szparami. Myśmy myśleli, że już nas zastrzelą, że już nas zabiją. Mój brat na kulach stanął i on chyba nas uratował. Zaszargotali między sobą i poszli. Zabrali ten karabin i poszli w cholerę.

„O Patyrowa Żydów trzyma”. Tu jeden taki był, och niedobry człowiek. Później już po wyzwoleniu przyszli do nas i pytali się, Nojeh i Jankiel, co mają zrobić z tymi, co nas skarżyli. A mama: „Nic, broń Boże, ani nie macie nie ruszyć, niech będą! Ja im wszystko przebaczam! Mnie się nic nie stało!”.

Oni mieli kontakt pod Łodzią. Mieli trzy kupony na materiał. Kupony przywieźli, mamie dali. Ale u nas nie było komu, bo to męski materiał. Brat kaleka, ten mały, no to co on będzie chodził w takich kuponach drogich. Mama mówi: „Tu sąsiad jest, tam jest cztery chłopy, może wezmą. Ja nie mam pieniędzy”. Mama wiedziała, że im trzeba żyć, na życie pieniądze dać. I tam ich wysłała. Poszli. Nic im nie dał. Później mu ten materiał zabrali. I bardzo dobrze, niech się nie nałakomi na czyje. I bez pieniędzy. Przecież wiedział, że oni w trudnej sytuacji. A tu taki człowiek był wredny, galicyjak.

Ale ten karabin maszynowy, to nie zapomnę nigdy. Ale to był strach.

P O W O J N I E

Wszystkie przeżyli. „Jak my przeżyjem, to wy będziecie w złocie chodzić” – tak mówili. Ja na to: „Już nie obiecuj Jankiel, nie obiecuj. Tylko abyście przeżyli. Co będzie, to będzie”.

Ale tak mówił nam: „Jak my przeżyjem, to wy w złocie będziecie”. Od nas pojechali do Chełma. W Chełmie sobie kupili dom, a potem z Chełma pojechali do Izraela. Tak. Izrael ich zabrał. Napisali listy, podziękowali, a potem... Słabe byli, bo tyle po tych dziurach, po tych norach przesiedzieli. Przeziębione byli też. Ale jakoś żyli i pojechali do Izraela. A w Izraelu mieli dobrze, dobrze im się żyło. Nojeh miał dużo krów w Izraelu, handlował, mleko sprzedawał. Pisali, że im się dobrze powodzi.

I tyle było. Ten karabin maszynowy był najgorszy.

Siostra młodsza też to przechodziła co ja i mama, i bracia. Była w Izraelu.

Ja dostałam medal, tak. W 1988 roku, w 1987 został przyznany.

D E U T S C H

Zofia Patyra-Szemro wurde 1920 geboren. Sie lebte mit ihrer Mutter und den Geschwistern in Kamionka, in der Nähe von Chełm. Sie erzählt, wie ihre Familie einer Gruppe von Juden, den Familien Manasz und Gritzman, während des Krieges geholfen hat. Unter ihnen waren auch Jankiel, Nojeh und Rajchel. Sie ver-

steckten sich an verschiedenen Orten, einem ausgegrabenen Loch, einem Bunker, im Keller und in der Scheune. Die Familie von Zofia Patyra-Szemro versorgte sie mit Essen. Als die Nachbarn erfuhren, dass die Familie Ju-

R E L A C J E

den half, flohen alle Versteckten in den Wald. Zum Haus kamen sie nur um Essen zu holen. Einige Zeit später kamen Deutsche, die das ganze Haus durchsuchten. Die Bewohner mussten sich an der Hauswand aufstellen. Die Deutschen fanden aber niemanden.

Alle Juden haben den Krieg überlebt. Nach dem Krieg gingen sie zuerst nach Chełm.

Später wanderten sie nach Israel aus. Zofia Patyra-Szemro blieb mit ihnen in Briefkon-

takt. Ihre jüngere Schwester besuchte die Geretteten später in Israel. Zofia Patyra-

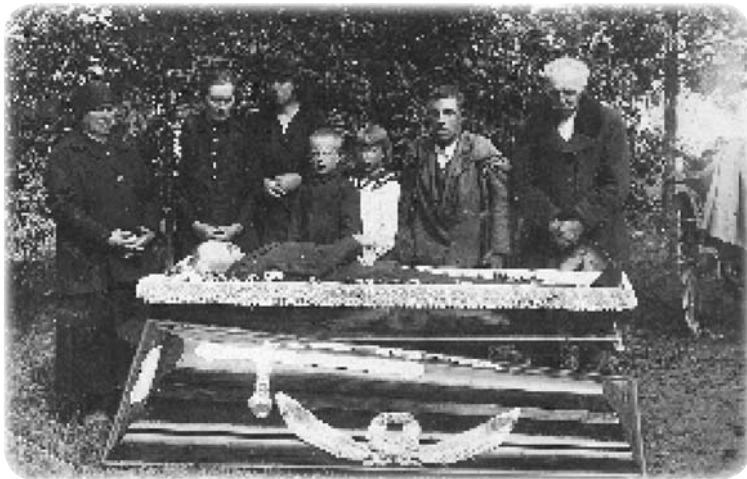
Szemro wurde 1987 die Medaille der „Geretzten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Zofia Patyra-Szemro was born in 1920. She lives in Kamionka near Chełm. Zofia recounts how her family helped a group of Jews to survive. These were: Jankiel, Nojeh and Rajchel, members of the Manasz and Gritzman families. During the occupation Zofia's family hid them in a bunker and in cellars. Sometimes the

Jews stayed the night in the barn. When the neighbors found out that they sheltered Jews, the Jewish families ran away to the forest for fear of being turned in. Sometimes they would come back to fetch something to eat. The Nazis, alerted by these neighbors, came, placed Zofia and her whole family by a wall, trained a machine gun upon them and

started searching the house. They did not find anybody. All the persons who hid there survived the war. They went to Chełm, then to Israel, but they wrote letters. The younger sister of Zofia Patyra-Szemro visited them in Israel. Zofia Patyra-Szemro received the medal "The Righteous Among the Nations" in 1987.



01



02

Rodzina.
Die Familie.
Family.

ZOFIA PATYRA-SZEMRO



03

04

05

Przechowany.
Der Gerettete.
The rescued.

„Na wieczną pamiątkę ofiaruję swą podobiznę dla
nigdy nie zapomnianych przyjaciół rodziny
p. Potyrów od Jasia, 9 IV 1949.

„Zur ewigen Erinnerung überreiche ich mein Porträt
den nie vergessenen Freunden, Familie Patyra, von
Jaś, 9. IV 1949”.

“I am giving my likeness as a keepsake for never-
forgotten friends of the Patyra family from Jaś,
March 9, 1949”.

Jerozolima.
In Jerusalem.
Jerusalem.



ROK 1932

KUKAWKA KUKAWKA URODZENIA

RELACJE

EUGENIA ZŁOTKO

Urodziłam się we wsi Kukawka, ojciec Mikołaj Artymiak, matka Helena. Tu mieszkaliśmy w czasie okupacji, w Generalnej Guberni i tu chodziłam do szkoły. Cztery klasy skończyłam w Kukawce, do piątej, szóstej i siódmej chodziłam na Majdan Ostrowski przez las. Nie było to przyjemne, ale pewnie się czułam niż gdybym miała teraz iść przez ten las.

ŻYDÓWKA

Ojciec paśł krowy w debrze [dolinie]. Pogoda była bardzo brzydka, padał deszcz od kilku dni. W pewnym momencie ojciec postyszał, jak ktoś stękał. Zainteresował się. Podeszedł w to miejsce, patrzy – siedzi coś okryte kocem, kształt ludzki. Podchodzi, odsuwa koc, przemokły, ciekący i pyta: „Co ty tu robisz?”. A ta istota odpowiada: „Jestem chora, zęby mnie bolą i głodna jestem”. Powiedziała, że jest Żydówką. Podniosła oczy, zobaczyła przystojnego mężczyznę i pomyślała sobie, że pewnie zaraz ściągnie kogoś, a wtedy ojciec powiedział:

„Nie bój się, ja ci pomóc w tej chwili nie mogę nie, bo jest dzień i ty nie możesz się pokazać. Poczekaj do wieczora. Żebyś nigdzie stąd nie odchodziła”. A ona już siły nie miała gdziekolwiek iść. „Ja wieczorem przyjdę przyniosę ci kogutka”. „Kogutek” to były proszki od bólu zębów. [Ojciec] miał kanapkę w kieszeni. „Masz to na razie. Wieczorem z żoną przyjdę”. Poszli po nią, ona zziębnięta. Mama nagrzała wody. [Żydówka] była brudna, zawszona strasznie. To, co na niej było, trzeba było spalić. Później opowiadała, że mama dała jej z siebie ubranie. Mama rosołku ugotowała, ona pojadła i „dopiero – mówiła – poczułam się trochę człowiekiem”. To na wsi nazywają „wyżki”. Wyżki czyli... wyżej nad oborą. Tam siano się składało i ona tam siedziała.

ŻYD

Znowu [ojciec] krowy paśł. Podeszedł do niego facet, szkielet człowieka. Nie wiem, czy znał ojca. [Chciał], żeby mu ojciec po-

życzył pieniędzy. A ojciec mówi: „A bo ty mi oddasz?”. On się przedstawił. Ojciec mówi: „Ja ciebie znam! W Bończy u hrabiego Potockiego ciebie widziałem”. On był bogaty, i dobrze mu się powodziło. I [ojciec] mówi: „Żydzio, ty byś ręki nie chciał podać wtedy!”. A on mówi: „Tak, ja teraz wiem, co to człowiek”. Ojciec wyjął 500 złotych: „Masz, jak będziesz miał kiedyś w życiu, to mi oddasz, a jak nie, to i tak będzie. Ale na drugi raz... Słuchaj, tobie trzeba, żebyś jakąś obronę miał”. Ojciec miał od karabinu... [bez] kolby straszaka. „Ja ci przyniosę na wszelki wypadek. To można upozorować, że... będą się ciebie bać, jakby cię ktoś atakował”. On był bardzo wdzięczny. „Ja tu jeszcze będę krowy paśł, to ci przyniosę jedzenie”.

Nie wiem, jak to było, że oni później byli, ten Żyd i ta Żydówka. Razem się tutaj ukrywali.

SYTUACJE ZAGROŻENIA

Pod koniec wojny tutaj Niemcy przyjeżdżali i obstawiali miejscowość. Nikt nie mógł

wyjsć. Żydzi byli u nas na wyżkach, a tu Niemcy rewizję robią. Gdyby wtedy Niemcy znaleźli tych Żydów, to nie tylko że rodzina byłaby zginęła, ale cała miejscowość. Tak było w Olszance [tam ukrywali się jeńcy radzieccy].

K R Y J Ó W K A

Wtedy mój ojciec z tym Żydem wykopali schron. Tak było bezpieczniej. W razie czego, to oni szli tam. Właz [do schronu] darnią [zarastał]... i to się podnosiło. Tam zrobili spanie. Nawet ostatni dzień wyzwolenia ja z tymi Żydami w schronie byłam. Deszcz padał i żaby skakały, woda była. Ludzie wtedy z wozami, krowami schronili się do tej debry. Z jednej strony są Rosjanie. Słyszymy, jak rozmawiają, a z drugiej strony są Niemcy. Gałęzie lecą, liście lecą. Nie zginął wtedy nikt z cywilnych ludzi.

Jak oni już mieli schron, rodzice nie mieli czasu, żeby im nosić, to mi nieraz w koszyczek naszykują i każą zanieść. Ja, dziecko ośmioletnie, a tam miedza taka wysoka... idę, idę. Weźmie mi się noga obsunie, przewrócę się, płaczę. Idę i całą drogę płaczę. Kiedyś zachodzę, a to było w dniu, kiedy tą Olszankę... rolnicy robili, słyhać było, jak konie popędzali. Ona [Żydówka] miała wyglądać, ale zapomniała. A ja się strasznie tej debry bałam. I teraz wiem, że nie powinnam wołać po imieniu. Myśmy tę Żydówkę nazwali Zośka. Myślę: „Jak zacznę wołać Zośka, to wszyscy

tutaj sąsiedzi wiedzą, że u nas nie ma żadnej Zośki. Czego ja tam szukam?”. Stoję, stoję... zaczęłam płakać. I wołam „mama!”. I ona się zjawiła. Przyszła, odebrała i mówi: „Chodź teraz ze mną”. Wracalam do domu między zbożami. [W domu] mama płacze, cała miejscowość otoczona, Niemcy. Przyszłam, wcale nie nie widziałam [o pacyfikacji wsi].

[Wcześniej] czasami z tą Żydówką chodziłam do Olszanki. Ona brała wodę z krynicy, raniutko czy wieczorem.

W Y Z W O L E N I E

A jaka była radość, jak tu witaliśmy żołnierzy radzieckich! „Zdrastwujcie i zdrastwujcie! A szto eto? Szto takoję? A to rybionok!”.

P O W O J N I E

Oni wyjechali bardzo szybko do Izraela. Potem zaczęła pisać. Nazywała się Dora, Dwora Libman [lub Lipman].

A jego nazywali Rab. Imienia nie pamiętam. On miał [kilku] synów, dwóch zostało. Icek [syn] był w Wojśławicach.

Byłam w Wojśławicach. Popatrzyłam, że synagoga odbudowana. Tak mnie to zainteresowało. Mówię do męża, że muszę wejść i zobaczyć. Z panią [pracownicą synagogi] zaczęłam rozmawiać. Ona mi wszystko pokazała. [Mówiła], że Żydzi przyjeżdżają i wpisują się do księgi. „A mogę zobaczyć

tę księgę?”. Zaczęłam wertować, patrzeć – „Rab”. [On] się tu urodził. Mieli i domy, i młyny. „Teraz, jak on przyjedzie, niech mnie pani zawiadomi, niech on się pokaże. Ja bym chciała zobaczyć”. To syn Raba, co u nas był przechowany.

Rab w pierwszej fazie u innych się przechowywał. U Chomy, u Kulawczuków. Ale pod koniec to już każdy się bał. Nieraz myślę, że tata był odważny, że się zdecydował.

M E D A I

Myśmy zajechali [do Izraela], ale ci nasi Żydzi byli już bardzo chorzy. Myśmy poznali tam [człowieka], [który] pracował w urzędzie, gdzie nadają... On mówi, że powinniśmy być odznaczeni. Myśmy nie pojechali po odznaczenie. Po prostu oni nas zaprosili. Mówię, że my w ogóle na ten temat nie rozmawiamy. „Proszę panią, ja wszystko załatwię”. Jak on tak powiedział, to wtedy nas wezwali i pojechaliśmy do Jerozolimy do Yad Vashem. Tam trzeba było opowiedzieć wszystko. A tą naszą Żydówkę zaczął wypytwać. „Proszę pani, dużo się mówi, że Żydów ratowano, żeby mieć z tego zysk”. A ona rozplakała się i mówi: „Mój Boże, a cóż ja mogłam oferować wtedy, jak ja nie miałam nic. Tę duszę, która ze mnie ulatywała? Ja już byłam u kresu, już widziałam podwójnie, kiedy zobaczyłam tego człowieka, kiedy powiedział, że przyjdzie wieczorem. Było mi wszystko jedno. Na życiu mi nie zależało”.

D E U T S C H

Eugenia Zlotko, geborene Artymiak, wurde 1932 in Kukawka geboren. Ihre Eltern retteten eine jüdische Frau. Sie hieß Dwora Libman oder Lipman, Familie Artymiak nannte sie aber Zosia. Sie versteckte sich auf dem Dachbo-

den des Kuhstalls. Ein zweiter Jude, Rab, kam später noch dazu. Kurz vor Kriegsende, als es mehr Kämpfe gab, gruben sie gemeinsam einen Bunker, in dem sie unterkommen konnten. Eugenia Zlotko hat ihnen Essen in diesen Bunker gebracht. Nach dem

Krieg wanderten die beiden nach Israel aus. Familie Artymiak wurde die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen. Die Verleihung fand in Israel statt.

E N G L I S H

Eugenia Zlotko, née Artymiak was born in 1932 in Kukawka. She recounts how her parents helped a Jewish woman whose name was Dwora Libman or Lipman, but whom they

called, Zosia. They hid her in the attic in their barn. Later they hid another Jew, called Rab. At the end of the war, when fighting escalated, Mrs. Zlotko's family dug a bunker to which the Jews moved. Eugenia

remembers that she fetched them food. After the war, the Jews went to Israel. Mrs. and Mr. Artymiak were awarded the medal "The Righteous Among the Nations". They collected it in Israel.

ROK 1925

NATALIN NATALIN RELACJE NATALIN NATALIN

URODZENIA

CZESŁAWA CHOJNACKA

Nazywam się Czesława Chojnacka z domu Szałaj. [Urodziłam się] 25 lutego 1925 roku, na Kolonii Natalin, gdzie mieszkalam za młodych lat i tam właśnie zapoznałam Żydów, swoich sąsiadów, którymi później za niemieckich czasów się opiekowałam, dawałam jeść. Ojciec [mój] nazywał się Karol, Niemcy go pobili, umarł zaraz. Mama nazywała się Adela. [Jak] zmarła, miała 83 lata. Siostrę mam młodszą i brata, najmłodszego, Wacław się nazywał. Ojciec był rolnikiem. Siał zboże, kartofle, chowali świnie, krowy. W Natalinie były różne ludzie, Niemcy, Żydzi i Ukraińcy, i Polacy. Wszystkie żyli w zgodzie. Ludzie się lubili. Jeden drugiemu pomagał. Nikt nikomu krzywdy nie robił.

Do szkoły chodziliśmy do Wolawiec. W szkole było cztery klasy. Chodzili Żydzi, Ukraińcy, Polacy, Niemiec, który tam mieszkał. [Ukończyłam] 4 [klasy]. A później wybuchła wojna i już nie było jak się uczyć. Oni też ze mną chodzili razem do szkoły, te Żydzi. Od małegośmy się razem chowali. Byli bardzo dobre ludzie, bardzo dobre sąsiady. Nieraz

rodzice pojechali w pole, a my same zostaliśmy, to ten Żyd przyjdzie, [weźmie] do siebie, pokładzie spać. Taki był Żyd dobry. Mama krowę wydoiła, gar mleka się im zaniósł, domu dopilnowaliśmy, jak ich nie było, mąki [mama] im dała, jajek. A on przyszedł, rzucił mięso, poszedł. Mama krzyczy: „Nie, nie przynoś, bo ja nie mam pieniędzy”. „Ja się ciebie nie pytam”.

W tej żydowskiej rodzinie była matka, ojciec ich nazywał się Symcho Bursztyn, handlował cielęciną. Mieli małe gospodarstwo, kawałek ziemi. Ona chowała dzieci. Było trzy dziewczyny i dwóch chłopców – Hyn-da, Symcha, Chaja, starszy syn był Sznaja, Sznajer, a młodszy Jankiel.

W O J N A

Strasznieśmy biedowali. Niemcy zabili ojca i było nam strasznie ciężko. Pracowałam na roli. Nie było co jeść. Zabierali ostatnią krowę. Jak przyszła Wielkanoc, nie było nawet chleba. [Sytuacja Żydów] była gorsza.

Niedaleko my mieszkali, było widać szosę. Rano wstaliśmy, ludzie strasznie jęczeli, płakali. Niemcy pędzili z miasta Żydów do pobołckiego lasu. Może ze dwieście osób pędzili. W las ich wpędzili, akacje tam rosły. Tam ich wszystkich pobili. Normalnie poustawiali ich i karabinem maszynowym „drwuu” szurnęli. Wszystkie popadali. Najgorsze to był widok, jak tam opowiadał ojciec, idzie Żyd z młodą Żydówką i niesą dziecko w beciku. A ona tak rozpacza, on ją trzyma. Ona mdleje z tym dzieckiem. Pada na szosie.

Później Niemcy przyszli z softysem na wieś u nas i wygnali wszystkich chłopów ze szpadlami, żeby pochować tych Żydów, których pobili w pobołckim lesie. Kopali rowy, [do których] wrzucali Żydów. Ludzie nasi ściągali z nich futra, buty zabierali. Jak oni to mogli, ja nie wiem. To się nie da opowiedzieć, to trzeba przeżyć. Mój ojciec trzy dni chorował, wymiotował, nie mógł jeść. Myśleliśmy, że umrze. Gdzieś tam w Brzeźnie szosy budowali i softys wyznaczał, furmanką trzeba

było jechać i kamienie czy piach wozić. Bardzo mało [chłopów] pojechało. Niemcy się wściekli. Pobili sąsiada i ojca. Ojciec przyjechał do domu i jak się położył, tak umarł. Sąsiad jeszcze trochi pożył i też umarł.

Ż Y D Z I

Oni strasznie biedowali. Musieli się ukrywać, [Symcho] nie handlował. Ciężko im było. Prosił o chleb, coś w polu pomogli, coś dopilnowali. Dobrze byli ludzie.

Kiedy matka ich [Żydów] poszła do miasta i już nie wróciła, dzieci już się chowały. W Kamieniu Niemcy przyjechali samochodem i wszystkich Żydów pobili. Leżeli na podwórzu, jak śledzie, tylko krew płynęła. Od tej pory zaczęli uciekać. Jak było ciepło, to jeszcze się chowali po lesie, po łąkach, w krzakach siedzieli. Później, jak się zrobiło chłodniej, chcieli do mieszkania. W mieszkaniu my ich trzymali, ale w dzień chowali się w stodole, bo zawsze ktoś do nas przychodził. Ale jak była taka chłodna noc, mróz, tośmy w nocy wychodzili i wołali ich do mieszkania, w mieszkaniu spali. Raniutko wstawali i uciekali do stodoły, bo się bali, żeby ich nikt nie zauważył, bo ja się bałam i oni się bali... Byli ludźmi. Szkoda nam było. Przecież oni byli głodni, też chcieli jeść. Najgorszy w życiu jest głód.

Dużo umiałam po żydowsku mówić. Nawet jak do nich zaszłam, oni coś tam rozmawiali między sobą, to: „Nie rozmawiaj, bo ona wszystko rozumie”.

Łyzka to „tesen”, stół to „bram”, chleb to „broj”.

Ktoś musiał wiedzieć, bo przyszła sąsiadka, Usyduska, Usydus i ostrzegła: „Uważaj-

cie, bo mówią na wsi, że wy utrzymujecie Żydów”. Myśmy zaprzeczyli. Oni [Żydzi] nieraz w nocy gdzieś sobie wychodzili i ktoś ich zauważył, jak oni ze stodoły od nas wychodzili. Myśmy im powiedzieli [o wizycie sąsiadki]. Żeby nas nie narazić, wyprowadzili się do lasu. W lesie wykopali sobie tunel i w nim mieszkali. Umówiłam się z nimi, że będę im wynosić jedzenie. W dużym garnku mama ugotowała zupy. Ten garnek brałam i nosiłam przez rzekę Udał. Nieraz się zamoczyłam po kolana. Nosiłam w umówione miejsce [i tam zostawiałam]. Mama chleb piekła [który też im się nosiło]. Oni przychodzili w nocy, zabierali [jedzenie]. Raniutko, jeszcze ciemno było, szłam do lasu i zabierałam baniak po zupie. Jak niosłam ten baniak, wkładałam [go] w worek, na [niego] nakładałam gałęzi, żeby ludzie nie wiedzieli, że ja niosę jakiś baniak z lasu. I tak dłuższy czas się chodziło. Później oni gdzieś indziej się przenieśli, ale po zupę jeszcze do nas przychodzili. W nocy nieraz zapukali, to się im otworzyło. Posiedzieli, porozmawiali i poszli.

Na łąkach wykopali sobie tunel i w nim mieszkali – dwóch chłopaków i dwie siostry. Ojciec [ich] mieszkał gdzie indziej. Ten najmłodszy nie mógł chodzić, reumatyzmu dostał. Cały czas w ziemi, wilgoć, nieumyty, nieubrani, strasznie brudni... Już jak ciepło się zrobiło, to oni wychodzili do rzeki, myli się. A w zimie, jak przylecieli do nas, zawsze się wodę grzało, baniak i oni się umyli u nas w tej miednicy. Myśmy stali na dworze, pilnowali, żeby ktoś nie wszedł.

R E L A C J E

Już była wiosna, śnieżek przysypał. Gdzieś ktoś szedł i [zobaczył] ślady. Po śladzie zaszedł, odsunął krzak i zobaczył, że tam są Żydzi. Najstarszy [z nich] wziął brata na plecy, bo już nie chodził, miał jakiś paraliż, przez rzekę przeniósł do lasu, posadził w lesie. Wracał po siostry. Kiedy doszedł do rzeki Udał, postyszał strzały. Zaraz pomyślał: „Aha, to już postrzelali moje siostry”, wrócił do lasu, złapał brata i zaniósł nad inne wieś i tam przesiedział. Ale już ludzie wracali z miasta i mówili, że Niemcy ubili dwie Żydówki. Już była wiosna, zrobiło się ciepło. Żał, że oni nie przeżyli, te Żydówki. Jedna nie miała włosów na głowie, jeden strup. Zabili je i pochowali na polu.

Nie wiadomo, kto ich wydał. Człowiek nie wie [na] pewno. Był taki, ale on zaprzeczył. Co groziło wtedy [za ukrywanie Żydów]? Spalenie całej wioski. Wybiliby wszystkich z całej wsi i podpaliliby wieś. Na to nie było ratunku, tak wszędzie robili. Zresztą w Kamieniu też. Podpalili dom, obok domy. Widziałam. Przecież młoda, nas to ciekawiło, lataliśmy patrzeć...

Później kontakty się urwały. Wytworzyła się partyzantka i chłopcy [Żydzi] poszli do partyzantki. Pamiętam, już jak Ruskie przyszli, to oni też przyszli z tego lasu. [Jeden z nich] miał karabin większy od niego. Myśmy się z niego śmieli, a on był taki dumy, że z karabinem chodzi. Strzelać nie umiał.

W Y Z W O L E N I E

Uratował się ojciec i dwóch synów. Jak się wojna skończyła, oni wszystkie przyszli prosto do nas na podwórze. Zaraz

mama ich zaprosiła, poczęstowała herbata. Zjedli, co mieliśmy, porozmawiali, popłakali, poopowiadali. Płakali po tych Żydówkach, po swoich siostrach. [Symcho] płakał po swoich dzieciach. Po wojnie je stamtąd [gdzie były pochowane] zabrał i w Chełmie na kirkucie pochował. Jak oni przyjechali do mnie w odwiedzin z Izraela, to jeździli na kirkut, szukali. Później oni zamieszkali w swoim domu. Ten ojciec coś załatwiał w mieście, jeździł, a [jeden z braci] starał się gdzieś o pracę. Zaraz, jak tylko przyszli, znalazł sobie dziewczynę. Była z Łukowian. Przyprowadził ją i trzymał u siebie. Miał się z nią ożenić. Jak gdzieś wychodził, to myśmy tę Żydówkę pilnowali, bo na oberży był Żyd, który miał młyn i chciał jemu ją ukraść. Ona też wychowała się w Wołkowianach. [Raz] wyszła z matką, szły polną drogą, ktoś strzelił. Kula popadła w matkę. Matka upadła. Ona strasznie rozpaczła po matce. Już po wojnie, po wszystkim. W ostatniej chwili. Ojciec z młodszym synem [Jankielem] pojechał do Izraela. Starszy Sznaja został jeszcze. Mieszkali we Wrocławiu. [Potem] pojechał do Izraela i tam się z nią [swoją dziewczyną] ożenił, ale umarła jemu. Dostała jakiegoś wylewu czy zawału i zmarła. Mieli tylko jedno dziec-

ko, córkę. Była u mnie, umiała po polsku mówić. Miała dziesięć lat [zanim wyjechała do Izraela].

K O R E S P O N D E N C J A

Mieliśmy cały czas kontakty. Nawet parę lat temu dzwonił, czy mogą przyjechać? Mówię: „Nie pytaj się. Zawsze dla ciebie są drzwi otwarte. Przyjedź, porozmawiamy. Chcę z tobą pogadać o tym wszystkim, o swoich znajomych”. I przyjechał tutaj. Był z wnukami. [Pojechaliliśmy] na wieś, gdzie on mieszkał.

M E D A L

Później dzwonił. Mówię: „Czy to prawda, że jakiś medal dają dla tych, co chowali Żydów?”. „Ano widzisz, jak chcesz, ja ci załatwię, że ty dostaniesz ten medal za to, że ty nas przechowywałaś. Tylko musisz upisać, jak to było, wszystko upisać i przyslij do mnie. Pójdę z bratem do gminy. Tam potwierdzą, że tak było”. Upisałam wszystko i wysłałam. Przyszło pismo, że jestem wyznaczona do odznaczenia medalem za przechowanie Żydów. To się ciągnęło chyba

sześć lat. Później mi przystali kupę papierów. Wyzaczyli dzień [i godzinę], na którą przyjechać do Janowca. Pojechaliliśmy.

Czułam, że jestem szczęśliwa, że mogłam ludziom uratować życie, bo życie jest najważniejsze. Trzeba kochać ludzi.

Nie wiem, czy dzisiaj bym takie coś zrobiła, ale chyba bym zrobiła. Dzisiaj byłabym odważniejsza, mi się zdaje, bo już przeżyłam swoje, już nie boję się niczego.

U nas tam nikt nie ratował [więcej]. Jakoś to samo z siebie wyszło, bo te Żydzi przyszli do nas na podwórze. Polacy sąsiedzi słyszeli. Nie trzeba było się później tłumaczyć. Ale niektórzy mówili, że trzeba było dobrze przemyśleć, co się robiło, „bo przecież mogliście nas wszystkich z dymem puścić. Jak wyście o tym nie pomyśleli?”. O tym człowiek nie myślał. Oni byli głodni. W nieszczęściu trzeba podać rękę. Ktokolwiek nie przyjdzie. „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. To tak, jakby ten cały świat był mój, bo ja go ratowałam. A to nieprawda, nie jest on mój, jest nas wszystkich.

[Czesława Chojnacka otrzymała medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 2003 roku.]

D E U T S C H

Czesława Chojnacka, geborene Szałaj, wurde 1925 in Kolonia Natalin geboren.

Sie erzählt über die Vorkriegszeit, als Polen, Deutsche, Juden und Ukrainer friedlich zusammen lebten. Als der Krieg begann, sah ihre Familie die Ermordung der einheimischen Juden durch die Nazis. Im Dorf herrschte große Armut, von der vor allem die Juden betroffen waren. Sie durften nicht arbeiten, wurden verfolgt und mussten sich verstecken. Frau Chojnackas Familie hat ihre Nachbarn, Familie Bursztyn, bei sich

zu Hause versteckt und ernährt. Insgesamt waren es sechs Leute: der Vater Symcho, drei Mädchen: Hynda, Symcha und Haja und zwei Jungs: Sznajer und Jankiel. Die Mutter hatte man in der Stadt ermordet. Nach einiger Zeit erfuhren Leute im Dorf, dass Familie Szałaj Juden bei sich versteckt hat. Die jüdische Familie musste sich daraufhin im Wald verstecken. Die Kinder versteckten sich dort in einem Tunnel, der Vater ging an einen anderen Ort. Czesława Chojnacka brachte ihnen die ganze Zeit über Suppe und Brot. Im Winter kamen die Juden wieder in das Haus, um sich

zu waschen und aufzuwärmen. Im Frühling entdeckte jemand die Spuren im Schnee und verriet die versteckten Juden. Die Schwestern wurden ermordet. Die Brüder aber konnten zu den Partisanen fliehen. Sie haben überlebt. Nach dem Krieg sind sie in ihr Haus zurückgekommen und einige Zeit dort geblieben. Sie begruben ihre Schwestern auf dem jüdischen Friedhof in Chełm. Später sind sie nach Israel ausgewandert. Vor ein paar Jahren besuchte einer der Brüder Czesława Chojnacka. 2003 wurde ihr die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Czesława Chojnacka, née Szałaj was born in 1925 in Kolonia Natalin.

Czesława recalls that before the war Poles, Germans, Jews and Ukrainians lived in their village in harmony. When the war broke out, her family witnessed massacres of local Jews by the Nazis who forced Poles to bury the bodies and do other work. When Czesława's father refused to carry out some task, he was beaten to death. Czesława recounts that poverty crept into the village and the persecuted Jews were particularly afflicted as they could not work and had to hide. Czesława's family helped the neigh-

bor's family hide and provided them with food. They were six of them: Symcho Bursztyn, his three daughters Hynda, Symcha and Haja and his two sons Sznajer and Jankiel. Their mother was killed when she went to a town. After some time, when the inhabitants of the village found out that the Szałajs were sheltering the Jews. Symcho and his family had to leave and hide in the woods. The children lived in a tunnel, they had a dug. Their father hid in a different place. Czesława brought

them soup and bread. In Winter, they came to their house to warm themselves up and wash. In Spring, someone found their footprints in the snow and turned them in. The sisters were killed, the brothers managed to run away and joined the guerrillas. They survived the war. After the war, they came back to the village and settled back in their own house for some time. The sisters were buried on the Jewish cemetery in Chełm. Symcho and their sons went to Israel. A few years ago, one of the brothers came to visit the Szałajs. Czesława was awarded with the medal "The Righteous Among the Nations" in 2003.

R E L A C J E

ROK 1931 PAWŁÓW PAWŁÓW RELACJE PAWŁÓW PAWŁÓW URODZENIA JÓZEF SZAJNER

Nazywam się Szajner Józef, jestem z 1931 roku, z 22 września. Rodzice nazywali się Władysław i Marianna.

ŻYDZI

W 1943 roku Niemcy kazali się zgłosić wszystkim na plac gminny w Pawłowie. Która rodzina się nie zgłosiła, ocalała. Kto się zgłosił, to albo do Sobiboru wywieźli, albo zabili na miejscu. Tylko rodzina Jankiela się nie zgłosiła. Było ze 20 osób zabitych. Dużo nie było w Pawłowie Żydów. Z całej gminy przywozili Żydów i tutaj rozstrzelali. Na Majdanku nikt nie zginął od nas z Pawłowa. Tylko do Sobiboru. Od nas to jest 30 kilometrów. Tam jest pomnik żydowski. Jak ze spółdzielni jeździliśmy po drzewo, to ten pomnik widziałem. Z Rejowca osady, jak Żydów gnali do wagonów, to które już nie dało rady iść, na miejscu zastrzelali. Ile tam w tych rowach zakopane Żydów jest, och. Który starszy człowiek nie dał rady iść, to babuch go zaraz.

Nazywali się Nysenkorn. Nysenkorna matka została rozstrzelana. Pierwszą ją rozstrzelali, tę Żydówkę. Ale Nysenkorna to pamiętam. Jego w Pawłowie wszyscy nazywali Jankiel. Przed wojną handlował garnkami. Kolegowali się kiedyś z ojcem. Czy Polak, czy Żyd każdy miał jakiegoś przyjaciela. W samym Pawłowie mieszkali.

Przyszeli Jankiel i jego dzieci. Jedno dziecko miało 9 miesięcy. 30 stopni zimna było. Ja się dziwuję, że przeżyli takie mrozy. To dziecko, co miało 9 miesięcy, wiadomo, że w takiej zimnocie się nie uchowa. Dali to dziecko do Korchuta, przyjaciela. Dzieci w tym domu było dużo. Któregoś dnia do Korchuta przyszła sąsiadka, zobaczyła, coś nie tak. A co to sąsiedzi nie wiedzą, ile dzieci jest? Ojciec nie mógł swojego dziecka zadusić. Oddał czyjeś. Jak Niemcy przyszli, to tak zbili Korchuta, że ze 2 tygodnie leżał. Ale dziecko już nie żyło. Jak pokazali, gdzie dziecko zakopane, dopiero Niemcy dali spokój. Jak by dziecko było, rozstrzelaliby. Za dziecko.

To było dziecko Jankiela. Syn.

Początkowo u nas były cztery osoby. A później trzy. Ten, co był chwilę tylko, należał do rodziny Nysenkorna. Fisiel czy jakoś tak się nazywał. Nie pamiętam. Jego siostra nazywała się Hela. Była tu też jego żona i ich dzieci. Heniek, syn Jankiela, miał z 10 lat jak przyszli. A siostra Jankiela u Krzyżanowskich czy gdzieś krowy paśła.

Jankiel przyszedł do ojca i mówi: „Władek, ratuj mnie”. Ojciec się zlitował. Był młody i Żyd też był młody. 30 parę lat, 40 miał wtedy. Z kim on przyszedł do ojca? Nie pamiętam. To tajemnica była. Takie dziecko też nie mogło wiedzieć o wszystkim. Dopiero w 1944 roku, miałem 14 lat [13 lat], wiedziałem, co za to grozi.

KRYJÓWKA

Obora była normalna, zadrzewiana, obora reglówka. Na dole krowy stały, a oni... Wyżki były zrobione i w tych wyżkach siedzieli. Szałas był zrobiony na wyżkach w słomie, taki tunel.

099

Jak Heniek przyjechał pierwszy raz do mnie, to płakał: „Józiu, ja się nie dziwowałem, że ja tu przeżyję u was”.

P O B Y T

Przyszli na początku 1943 roku. Byli prawie 2 lata. Ale nie tylko u mnie byli. Byli też u Łukaszewskiego. Tam ziemiarka była wykopana, słomą przykryta. Oni miesiącami u mnie byli, miesiącami tam.

Można powiedzieć, że od razu wiedziałem, że ktoś jeszcze w domu jest. A co się człowiek nie dowie, jak matka więcej jeść gotowała? Baniak jedzenia, patrzę, już nie ma baniaka. Oni wzięli, nie patrzą, czy to gorące. Od razu zjedli. Nie wiem, jak człowiek może wytrzymać w takich warunkach. Pamiętam. Wychodziło się na szosę, żeby zobaczyć, czy ktoś idzie, żeby zanieść baniak do stodoły.

Czasami przychodzili ze stodoły do domu. Jak raz przyszedł ze swoim synem, był sąsiad. Okna pozastłaniane, drzwi zamknięte. Jankiel z synem uciekli na zapieć. A sąsiad tak nawalał na Żydów wtedy.

Byłem kiedyś w Pawłowie, jeszcze za Niemców. Byli wartownicy, dwóch na warcie w razie pożaru. Jeden złapał Żydówkę i Żydziałko, takie małe było. Może miało 5 lat, dziewczynka. Przetrzymał ich całą noc, a rano oddał do Niemców. Później po wyzwoleniu kolega mój to wspominał.

T R U D N E M O M E N T Y

Brat w junakach służył. Uciekł. Niemiecka obława była. Matka mówi: „Synu, uciekaj”.

Bał się. Chłop dorosły, Niemcy w razie czego będą zaraz aresztować. Zostałem z matką. Ojciec też uciekł. Gdyby ta niemiecka obława dowiedziała się, że tu ktoś jest, czy bandyci jacyś, czy Żydzi, to mnie i matkę zagnaliby do stodoły i podpaliliby.

I N N E

Czasami wyszedł tylko się przejść, nie kradł. Wiadomo, że gdzieś pójdzie kraść. A jeszcze co było, jak gdzieś poszedł do Łukaszewskiego, to tam pawłowska, nie wiem czy pawłowska, może pawłowska banda była. Kurtkę miał przestrzeloną 2 razy. Byliby go zabili w nocy. Strzelił 2 razy. W kurtkę popadł, z lewej strony. Jakby niżej, by nie żył.

Pawłowska banda? Normalna banda. Partyzantka? Oj tam, partyzantka. Taka partyzantka była w Pawłowie, że w 1944 roku Pawłów zbombardowali. Jednego Niemca zabili. A ile ludzi zginęło. Ze 60 osób i cały majątek ludziom przepadł. Dom spalony, wszystko spalone. Te co mieszkali tutaj u ojca, u matki, wszystko im się spaliło. Nie mieli nawet w czym gotować. Pierwszy nalot, godzina szósta rano. Od razu zaczęli strzelać. A tu wszystko słomiane dachy.

K O N I E C W O J N Y

Byli do końca wojny, do spalenia Pawłowa. U mnie byli do 23 kwietnia, a 25 kwietnia 1944 roku Pawłów zbombardowali. Pamię-

R E L A C J E

tam to jak dzisiaj. Samoloty niemieckie okręwały. 2 naloty były.

Później za Bugiem to już były ruskie wojska. Oni jak uciekli od nas, jeszcze mieszkali parę tygodni w takich gliniankach. Jeszcze się kontaktowaliśmy. Jeszcze przychodził do ojca, bo z czego by żył. Chleb trzeba było dać. Wszyscy przeżyli. Ta, która krowy pasła, też.

Później w Chełmie mieszkali. Już się nie kontaktowaliśmy. Z Polski wyjechali chyba w 1960 roku. Dopiero teraz z 15 lat się kontaktujemy. Przyjechali. Filmowali wszystko. Jankiel już nie żyje. Ten na zdjęciu [czyli syn Henryk] żyje. Nie żyje też żona Jankiela. Nikt nie żyje, nikt. Tylko ten jeden syn i siostra. Henio go nazywam, a on naprawdę jest Nysenkort. Nysenkort Juh. A ja Henio, Henio. Jego żona też z Łodzi jest, pani dyrektor banku. Mówią po polsku? No jakżeż nie mówią? Z mojej rodziny nikt już nie żyje.

M E D A L

Heniek był na uroczystości w Warszawie, jak ojcu dawali medal. Najpierw ojcu. Później ja wystąpiłem. Heniek mówił: „Tyś powinien dostać też medal. Ojciec dostał pośmiertnie, a ty masz za żywota”. On [Heniek] uważał, że ja też życie uratowałem. Gdybym powiedział wtedy, że Żyd czy Żydzi są, wiadomo, co by było. Nie trza zresztą mówić.

K O N T A K T Y

Byłem u niego w Izraelu. Od lotniska ma 80 kilometrów. Synowa odwoziła nas. Ona po

polsku nic. Henryk 3 lata służył w wojsku. Teraz jakem był, do sklepu idziem, żołnierze stoją. Nad morzem słonym dziewczyny z bronią chodzą.

Zapraszali mnie po nowym roku, bliżej wiosny. Ale chyba nie pojadę. Zobaczę, jak się

będę dobrze czuł, to pojadę. Już dawno zapraszali, nie miałem paszportu. Teraz wyrobiłem paszport. Edma dzwoniła w marcu. Pytałem, kiedy przyjadą. Oni w zeszłym roku byli u Łukaszewskiego na weselu, córka wychodziła za mąż.

[Marianna i Władysław Szajner otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1998 roku.]

D E U T S C H

Józef Szajner wurde 1931 in Pawłów geboren.

Er erzählt, wie 1943 ein Teil der Pawłower Juden in das Todeslager Sobibór deportiert und der Rest im Ort erschossen wurde.

Józef Szajners Familie half der jüdischen Familie des Freundes Jankiel Nysenkorn. Auf dem Dachboden der Scheune hatten sie ein Versteck. Manchmal versteckten sie sich auch in

einem Erdloch bei Familie Łukaszewski. Zwei Jahre lang dauerte das Leben im Versteck.

Eines der Kinder Jankiel Nysenkorns kam bei einer Nachbarfamilie unter, wo es aber verraten wurde. Bevor die Deutschen kamen, starb das Kind jedoch und die Familie blieb von den schlimmen Folgen des Verrats verschont. Józef Szajner erzählt auch, dass einmal einer der Juden in der Nacht das Versteck verließ und eine Gruppe von Banditen

traf, die ihn erschießen wollten. Dem Juden gelang aber die Flucht. Kurz vor der Befreiung wurde Pawłów bombardiert. Glücklicherweise haben alle Versteckten überlebt.

Die geretteten Juden wanderten in den 60er Jahren nach Israel aus. Józef Szajner ist mit ihnen immer noch in Kontakt. Sie besuchen sich gegenseitig. Familie Szajner wurde die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Józef Szajner was born in 1931 in Pawłów.

He recounts how in 1943 the Nazis ordered all the local Jews to gather in the town square. Those who came were taken to Sobibór or killed right away. Józef's family helped Jankiel Nysenkorn's family, as they knew each other and were already friends before the war began.

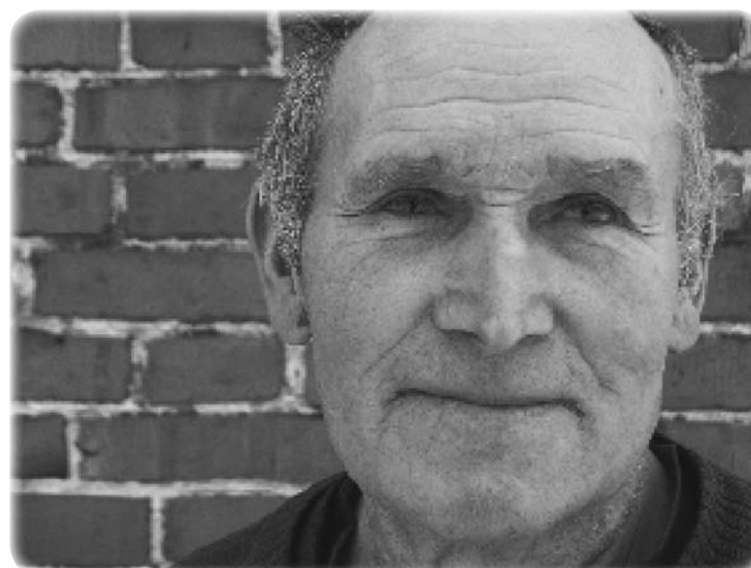
Mr. and Mrs. Szajner hid the Jews in the attic in the barn. The Łukaszewski family also helped them. For two years, the Jews lived at Szajner's place, sometimes in Łukaszewski's dug-out. He recounts how one of the Jews went out at night and came across a local gang. They shot

at him, but he survived. Just before the liberation, Pawłów was bombed. Fortunately, they all survived. The Jews left Poland about 1960. They are in touch with Józef, and a few years ago, they visited him.

He also went to Israel at their invitation. The Szajner family received the medal "The Righteous Among the Nations".

R E L A C J E

101



01

02

Jerozolima.
In Jerusalem.
Jerusalem.

JÓZEF SZAJNER



Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



04

Matka Józefa (w środku).
Die Mutter Józef Szajners in der Mitte.
Józef's mother in the middle.

05

Szkoła.
Seine Klasse.
School.



06

Uratowany z żoną.
Der Gerettete mit seiner Ehefrau.
The rescued man with his wife.



07

Ojciec.
Der Vater.
Father.

ROK 1947 WITOLDÓW WITOLDÓW WITOLDÓW WITOLDÓW RELACJE URODZENIA JADWIGA ZAWIŚLAK

Urodziłam się 20 marca 1947 roku, nazywam się Jadwiga Zawisłak, z domu Zajac. Rodzice to Józef i Bronisława Zajac, mieszkali w Witoldowie, poczta Wojsławice, powiat Chełm. W 1995 roku przenieśli się do Chełma. Tato był z 1909 roku, mama z 1919. Byli przyrodnim, dalekim rodzeństwem. Mama Zajac, tato Zajac. Tato wcześniej został sierotą. Jego rodzice i siostry umarli na cholere. Sam został. Mamy dziadek się nim zaopiekował. Później urodziła się mama. Kiedy dorosła, ojciec chciał się odwzajemnić – kazał dziadkowi mamę do szkoły wysłać. Ślub wzięli kościelny.

PRZED WOJNA

Przed wojną mama zajmowała się gospodarstwem, tata był przedwojennym wojskowym. W okresie okupacji, jak wrócił z niewoli, zaczął się partyzantką. Tutaj była Armia Krajowa, a na terenie Wojsławic działały Bataliony Chłopskie.

W wiosce, w której mieszkali rodzice, Żydzi przed wojną nie mieszkali. W Wojsławicach było całe skupisko Żydów.

ŻYDÓWKĄ

Luba pochodziła z Wojsławic. Ale moi rodzice nie znali tych Żydów. Nikogo. Jej ojciec miał sklep żelazny. Ale mój tato go nie znał. Luba miała 13 lat. Przyszła w 1942 roku. Została do 1944.

Luba opowiadała, że jak wojna wybuchła, zrobiło się ciasniej dla nich, to jej rodzina, dwóch braci jeszcze miała, u jednego gospodarza w wawozach się zabezpieczyła. Później, jak się zrobiło coraz bardziej ciasno, podobno ten facet ich wydał. Poginęli. Opowiadała, jak się ostatnio ze swoim ojcem widziała. 42 lata miał, jeszcze był młody. Jak się z nią żegnał i kazał do wawozu iść. Dziewczynka może łatwiej się ukryć. Mówił jej, żeby szła. Już wtedy dwóch synów i żona nie żyli. Mówił: „Ty idź, dasz sobie radę, a ja to już wiado-

mo, że na śmierć”. Tam co raz jakaś obława była.

Pałętała po wsiach, po lasach. Różnie było. W końcu trafiła do takiego jednego na sąsiedniej wiosce. Akurat tato szedł w pole, bo tam mieliśmy 3 kilometry pola. Sąsiad mu powiedział, że żydowska dziewczynka tu się kręci. W oborze spała parę nocy. Ale on boi się ją dalej trzymać, a nie wie, co z nią robić. Tato mówi: „To przyslij ją do mnie”. Przyszedł i powiedział mamie, że tam taka dziewczynka jest, 13 lat. „Przyjdzie do nas”. Mama mówi: „To niech przyjdzie, będzie krowy paść. Będzie pomagać”. Jak to na wsi. Było dwuletnie dziecko, przyda się ktoś taki. Ojciec na drugi dzień wyszedł w pole i ta dziewczynka wyszła. Rozmawiali. Ojciec pokazał, gdzie mieszkamy. „Jak chcesz, to przyjdź”. I ona zaraz przyszła. I była. Mama prowadziła gospodarstwo, a Luba pomagała, siostrę pilnowała, drzewo przynosiła, krowy paśla. Nigdzie jej nie ukrywali. Na początku mówili, że to dziecko z wysiedlonej Zamojszczyzny. Ale później się kapowali, że to Żydówka, bo

niektórzy z nią do szkoły chodzili. Ale nikt nie wydał. To było w Kolonii Witoldów – porozrzucane domy. W innym domu żydowskie małżeństwo przetrzymywali. Były najazdy, różne donosy, kontrole. To było bardzo karalne. Ale jak było wiadomo, że będzie jakaś kontrola, małżeństwo kilka razy w lesie nocowało, do nas przychodzili. Bał się gospodarz trzymać, swoje dzieci miał. Kiedyś były takie lochy na ziemniaki, to tam nocowali. Ciepłej niż na dworze. Takie czasy były. Później ten gospodarz był wdzięczny, że tato widział, wiedział, ale nie nie mówił. Tato był taki – jakby miał przyskarżyć, to sam by nie wziął do siebie.

P O W O J N I E

Luba była u rodziców do 1944. Wtedy już się odwilż zrobiła, Żydzi mogli wychodzić, kto tam się uchowal z kryjówek. Potem zabierali już. U sąsiadów małżeństwo się uchowalo. Nie mieli dzieci. Wyjechali do Stanów Zjednoczonych.

Ten facet, który ich przechowywał, a potem wydał, wiedział, co Żydom grozi. Byli u niego, zapłacili im kasę, czyli to było w 1942 roku, a w 1944 gdzieś tak po lipcu, już PKWN był. Froim, co się przechowywał, mówił: „Musimy stąd wyjechać. Musimy mieć swoje państwo, bo jak nie ma się swojego państwa, to człowiek jest u kogoś nikim. Nie mamy tu

co zostawać”. Ona nie chciała jechać. Zżyła się przez dwa lata. Nie chciała. Ale rodzice mówili: „Nie nie mamy. Co ty byś tu zdobyła? Tam masz wszystko”. Wtedy to było młode małżeństwo. Mieli swoje dziecko. Ona potem mówiła, że w sumie nie żałuje, bo jej się świetnie żyje.

Jeszcze jak była w Chełmie, bo tam zbierano uratowane dzieci, tato szedł ulicą Lubelską. I ona go poznała. Gdzieś wodę niosła. Zaczęła płakać, że ona chce tu zostać. Że ją zabierają do Izraela. „Ja tam nikogo nie znam. Ja stamtąd nie pochodzę, to inny kraj”. A tato mówi: „Tam ci będzie najlepiej, bo u nas to jeszcze różne czasy mogą być w stosunku do was. Lepiej pojedź tam”. Pisała na początku. Przestała, jak stosunki z Izraelem zostały zerwane. Później znów zaczęła.

Wyjechała pod koniec 1944. Opowiadała, że dwa lata byli na Cyprze. I to same dzieci, sieroty. Kto tam się uchowal. I Żydzi z Litwy. Nie mogli dojechać do Izraela, bo to nie był jeszcze kraj dla nich otworem stojący. Wiadomo, że ich tam nie chcieli. Potem cały świat zdecydował i to państwo powstało.

K O N T A K T Y

Przez wiele lat rodzice nam o niej nie mówili. Tylko wspominali Luba, Luba. Lubka była, ale jak, co, skąd? Nigdy nas nie wtajemniczali. Dopiero jak napisała list, wszystko

odżyło. Wtedy wszystko szczegółowo nam opowiedzieli.

Luba nazywała się Borst Chawiwa. Tu ją Luba tak po naszemu nazywali, a tak to Chajka. Jak przyjechali do nas jakieś 10 lat temu, jeździliśmy do Wojśławic. Chciała koniecznie metrykę urodzenia dostać. Pojechaliśmy do urzędu stanu cywilnego. Ona z domu była Hohlera [Hochlerer].

Luba przed wojną chodziła w Wojśławicach do normalnej szkoły, miała koleżanki ze wsi. Znała je. Ale jak przyjechała po latach, nie chciała z nikim z dawnych znajomych widzieć.

Jak przyjechała po 45 latach, wspominała, że chciała coś stąd mieć. Tato dał jej książeczkę strzelecką. Po 45 latach przywiozła ją z powrotem. Tato był zdziwiony, że tyle lat trzymała. A dla niej to było coś stąd. Tęsknota.

M E D A L

To Luba wystąpiła z wnioskiem o przyznanie medalu. Kiedy w 1998 roku przyjechała do Chełma, mówiła, że złożyła wniosek. Musiała udokumentować cały swój życiorys. Medal odebrał tato w 1998 roku. Mama już nie żyła. Sama wdzięczność. To się liczy. Mówią, że kto Żydów przetrzymywał, to się wzbogacił. Co taka dziewczynka mogła mieć? Ona sama z duszą uciekła.

D E U T S C H

Jadwiga Zawiślak, geborene Zajac, wurde 1947 in Witoldów geboren. Ihre Eltern, Józef und Bronisława Zajac, wohnten während des Krieges in Witoldów. 1942 kam ein dreizehnjähriges jüdisches Mädchen namens Borst Chawiwa zu ihnen, die sie auch Luba oder Hajka nannten. Luba stammte zwar aus dem Nachbardorf Wojsławice, aber Jadwiga Zawiślaks Eltern

kannten Lubas Familie vor dem Krieg nicht. Luba blieb bis 1944 bei Familie Zajac. Vor fremden Leuten wurde sie nicht versteckt. Sie half in der Landwirtschaft und kümmerte sich um ein Kind. Lubas Familie wurde von Polen verraten, die ihr erst geholfen hatten. Jadwiga Zawiślak erzählt auch von den Schicksalen anderer Juden, die sich in der Gegend versteckt hatten.

Nach dem Krieg ist Luba mit einer Gruppe von überlebenden Kindern nach Israel ausgereist. Sie steht aber bis heute mit Familie Zajac in Kontakt. Luba besuchte sie in den 90er Jahren. 1998 wurde Jadwiga Zawiślaks Vater, Józef Zajac, die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Jadwiga Zawiślak, née Zajac was born in 1947 in Witoldów where her parents Józef and Bronisława Zajac lived. Jadwiga relates that in 1942, a thirteen-year-old girl they had not known before, came to their house. Her name was Borst Chawiwa

(they called her Luba) and she was from Wojsławice. She stayed with them until 1944 not hiding, but helping in the house and looking after Józef and Bronisława's baby. Luba's family was betrayed by the Poles who were paid to hide them and were all killed. Jadwiga also talks about other Jewish peo-

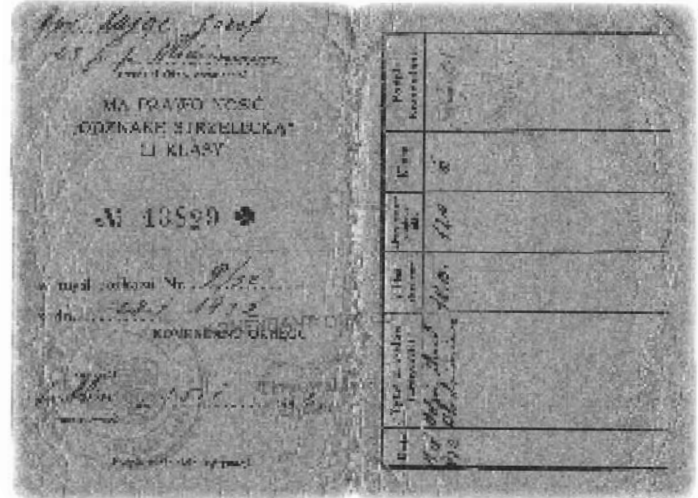
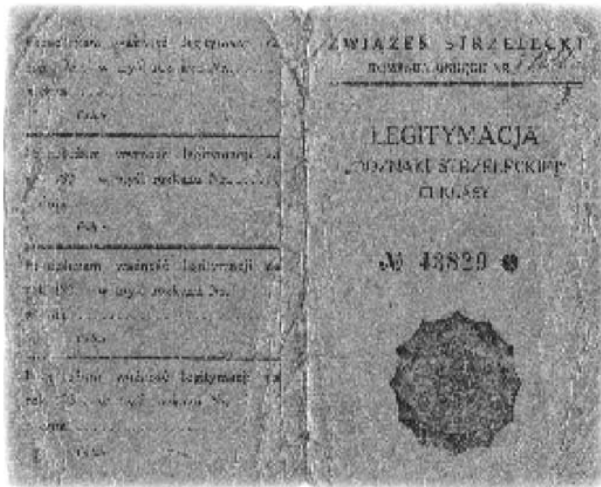
ple who were hiding in the neighborhood. After the war, Luba and other children that survived went to Israel. Luba and Jadwiga keep in touch. She visited the family in the mid 90's. Jadwiga's father, Józef Zajac received the medal "The Righteous Among the Nations" in 1998.



01

0

109



02

03

04

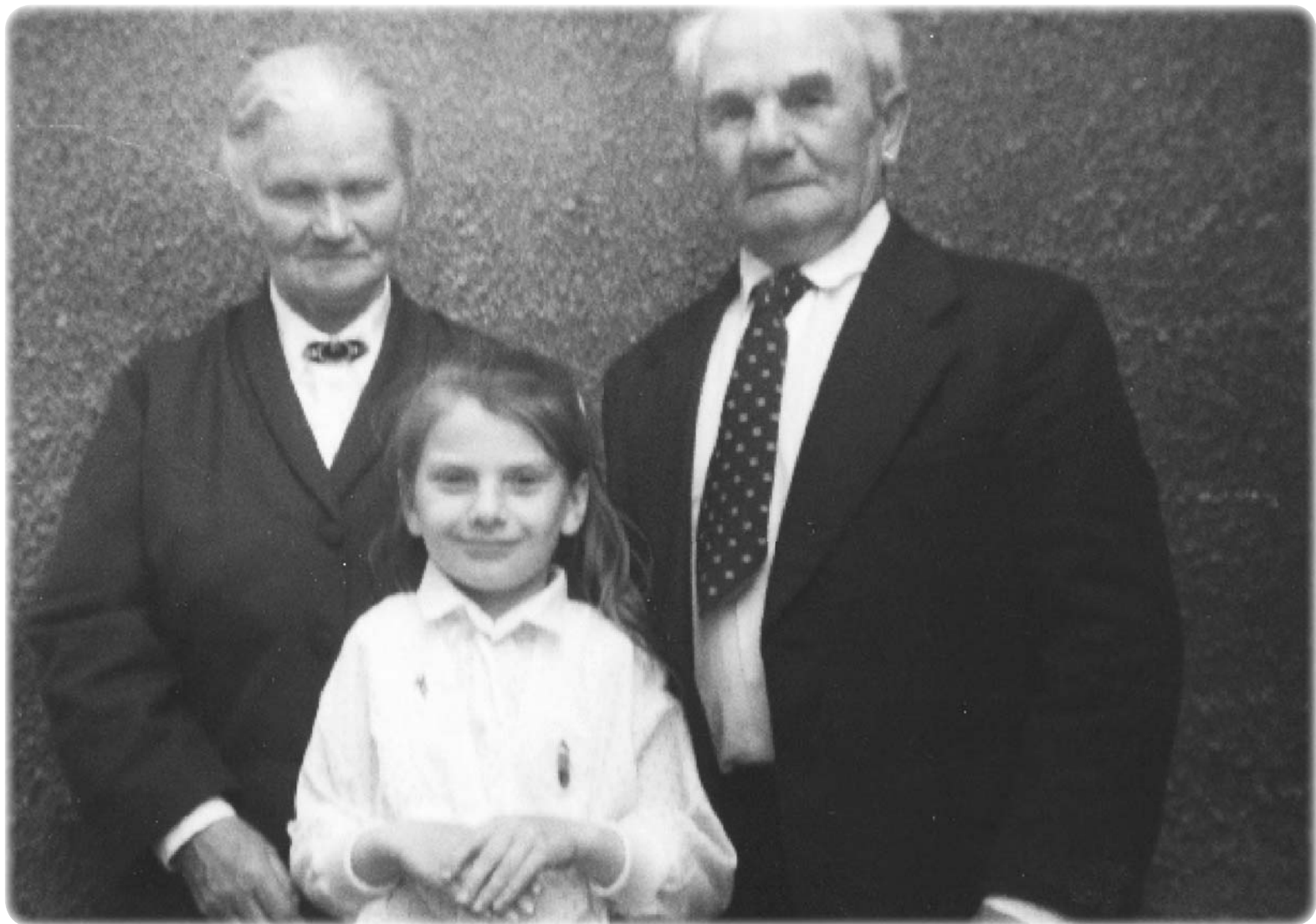
JADWIGA ZAWIŚLAK

Rodzice Jadwigi.
Die Eltern von Jadwiga Zawislak.
Jadwiga's parents.

Legitymacja odznaki strzeleckiej Józefa Zajęca (ojca Jadwigi Zawislak), wydana w 1932 roku. Legitymację tą do lat '70 przechowywała u siebie Luba.

Nachweis des Abzeichens des Schützenverbandes von Józef Zajac, dem Vater Jadwiga Zawislaks, ausgestellt 1932. Bis in die 70er Jahre bewahrte Luba diesen Nachweis auf.

A card of the shooting badge of Józef Zajac (Jadwiga Zawislak's father) issued in 1932. The card was being kept by Luba till 1970s.



05

05

05

Rodzice Jadwigi.

Die Eltern von Jadwiga Zawislak.

Jadwiga's parents.

ROK 1932 U R O D Z E N I A HELA BOUDOUGH IZBICA IZBICA RELACJE IZBICA IZBICA

Nazywam się Hela z domu Sztrasberger, obecnie Hela Boudough. Urodziłam się w Lublinie na Ruskiej 5, w domu prababci 22 marca 1932 roku. Dokładnego dnia urodzenia nie pamiętałam, ale 10 lat temu dostałam wyciąg [z] metryki z Lublina i okazało się, że to [było] 22 marca,[a] ja cały czas pisałam 19 marca. Dziadek, pradziadek mieli wyciąg z księgi na żydowskich modlitwach, pod imieniem Lublin.

Tatę się nazywał Jaakow Kuba Sztrasberger, urodzony w Lublinie, na Ruskiej 5, mamusia się nazywała Lea Lola Sztrasberger z domu Harman, urodzona w Izbicy nad Wieprzem, województwo lubelskie.

Mój brat był Szymon Sztrasberger, urodził się w Izbicy 28 września 1937 roku.

[Dziadkowie nazywali się] Rafael Rafuł Sztrasberger, babcia – Noemi Sztrasberger, ich syn, mój ojciec, był najstarszy, potem [urodził się] Josef Sztrasberger, Chana Sztrasberger, i był Mosze Sztrasberger, wszyscy urodzili się w Lublinie na Ruskiej 5. Jedna siostra mamusi mieszkała w Lublinie,

pod imieniem Honigman, Sara Honigman, Sara i Psolia Honigman, mieli jednego syna, co też chodził do gimnazjum.

Dziadek [w Lublinie] miał księgarnię [z] książkami żydowskimi.

Z Lublina wyjechałam, jak byłam małym dzieckiem, przeprowadziliśmy się do Izbicy. Bożnica w Izbicy jak dla dziecka to była cudowna. Żeśmy mieszkali na dużym podcieniu, na lewej stronie był duży barak. Naprzeciwko była ta bóżnica. Koło bóżnicy było tam... po żydowsku się nazywało „sztibl”, tam cały dzień siedzieli i się uczyli modlitwy. Miałam wujka, Niemcy go zabili, on [tam] zawsze siedział i się modlił, a dzieci i żona pracowali.

Bóżnica cudowna, wszystko z drzewa. Na drugim piętrze było dla kobiet. Pamiętam, jak chodziłam zawsze z mamusią w święta na przykład w Jom Kippur, to jest dla nas bardzo ważne święto. Mamusia od rana szła z koszykiem [z jedzeniem]. Cały dzień siedziała i się modliła. Na Kuczki, jak żeśmy przyszli do domu, zaraz trzeba [było] postawić kuczki. Pamiętam, jak tatuś postawił kuczki.

Bardzo ciężko mi się wyrzekać po polsku, bardzo tęsknię za Polską, za dziecienny czas w domu. Bardzo się boję przyjechać do Polski, nie znajdę... nie spotkam... znowu tą Polskę, co pamiętam.

Izbica to było małe miasteczko. Wyjęłam z Yad Vashem wypis, że tam było 4 tysiące Żydów, 94% Żydzi, 6% tylko Polaków. Można sobie wyobrazić, jak sobota przyszła, jak to wszystko wyglądało w święta. Jak przyjadę do Izbicy, nie znajdę tych wszystkich ludzi.

W O J N A

W Izbicy miałam piękne dzieciństwo, aż wojna wybuchła... Wojna wybuchła jak miałam 7 lat. Pamiętam, lato, poszłam z ojcem do szkoły. Pamiętam, jak ojciec wyjął torbę i zapłacił za zapisanie mnie do pierwszej klasy. Pamiętam, jak w domu wszystko przygotowałam, by wyjść do pierwszej klasy. Niestety, zamiast pójść do szkoły, zeszliśmy do piwnicy,

113

ponieważ bombardowali Izbicę. Do szkoły już nie poszłam. To jest mój ból do dzisiaj.

[W czasie] wojny [w Izbicy] czas był bardzo ciężki, żeśmy byli Judenstadt. Nie było drutów. Zaraz zaczęli przyprowadzać z różnych stron do nas Żydów, wygnańców. I do mieszkania [dokwaterowali] dwie albo trzy familie. Żeśmy mieszkali w jednym pokoju. Koc grodził familię [od innej]. Ja i mój ojciec żeśmy spali na strychu. Były łapanki. [W Izbicy] było dwóch folksdojczów: pan S. i... nie pamiętam drugiego imię. Byli okropni. Zнали wszystkich Żydów. S., jak tylko widział Żydów, strzelał. Jeździł na koniu.

Była raz łapanka. Mamusia razem z moim braciszkiem wysłała [mnie] za Izbicę do rodziny, do jednej pani, żeby nas utrzymała. Mamusia i tatuś zostali w domu i gdzieś indziej się ukryli. Do tej pani przychodził też S., ponieważ oni mieli kawiarnię w Izbicy. [Wtedy też] przyszedł. Ja z braciszkiem byliśmy u niej. Ona nas zachowała między ścianą i... w szafie. Mielśmy stać cicho. Miałam już siedem i pół lat, mój braciszek miał tylko trzy i pół. On był cicho i ja byłam cicha, nie wolno nam było mówić niczego. Ona była bardzo murowa ta pani. Dała pić temu S. Potem, jak wyszedł, powiedziała: „Heluniu, ja nie mogę tutaj cię trzymać. Widzisz, byli tutaj u nas. Chodź z powrotem do domu”.

Trochę się uciszyło w Izbicy. W Izbicy [dokoła] podcienia [były], duże, małe, a w środku był plac. Wszystkich ludzi, wszystkich Żydów tam wyjęli z domów i stamtąd albo do kina, albo do bożnicy ich wysłali. [A potem] dokąd? Nie wiem. W każdym razie [kobieta zaprowadziła] nas z powrotem do Izbicy, do domu. Mamusia jeszcze była ukryta pod

dachem i widziała nas, [jak] żeśmy szli. Ja i mój braciszek weszliśmy do domu, nikogo żeśmy nie spotkali, nikogo. Siedziałam z braciszkiem. Wiedzieliśmy tylko, że mamy być cicho. Po jakimś czasie mamusia przyszła i znowu żeśmy [byli] razem.

Weszli do nas wpierw Niemcy, strzelano. Jakiś czas [potem] żeśmy się zbudzili rano, Niemców nie było, żadnych strzelania nie było, żeśmy spotkali Rosjan. To było w 1940 roku, okres zimy. Rosjanie przyjechali do nas. Na wiosnę Rosjanie wyszli, też bez strzelania, bez niczego i wyjechali.

Matka moja chciała wyjechać razem [z] Rosjanami. Oni pomagali Żydom i powiedzieli do Żydów: „Kto chce, może wyjechać na kiereunek rosyjski”. Mamusia chciała wyjechać razem z nami, ojciec powiedział: „Co my będziemy tam robili? Nie, nie wyjedziemy”. Raz mamusia powiedziała, że przy pierwszej wojnie Kozaki byli bardzo źli dla nas, a Niemcy były dobre. Może oni będą dobre do nas i to przejdzie, prędko przejdzie. Nie wyjechali. Ale niestety wyjechali na śmierć. Mamusia wiedziała, że jest ciężko dla mężczyzn [mężczyźni są w trudniejszej sytuacji], powiedziała do ojca: „Wyjedź do Włodzimierza”. We Włodzimierzu [ojciec] miał dwóch braci i siostry. „Idź tam, aż wojna przejdzie. Nam kobietom i dzieciom nie nie będą robili”. [Ojciec] przeszedł granice nielegalnie i wyjechał do Włodzimierza. Krótki czas po tym, w zimie, ojciec zwrócił się znowu nielegalnie, przyjechał z powrotem do Izbicy, ponieważ słyszał, że na naszej stronie jest bardzo ciężki okres dla wszystkich,

bardzo niebezpieczny. I chciał być razem z nami. Pamiętam, że ktoś pukał, przyszedł, widziałam ojca. To było cudowne spotkanie. Niestety przyjechał, by zginąć.

Potem były różne łapanki. Zrobiliśmy bardzo ładną ukrytkę, bardzo dobrą. To było pod dachem. Zrobiliśmy drugą ścianę z desek. I tam weszliśmy wszyscy, a ta druga ściana potem się zamknęła. I tam wszyscy żeśmy byli. Słyszałam, jak Niemcy weszły na górę i patrzyli się, i szukali, i ja chciałam kaszleć, to włożyłam głowę do poduszki. Ponieważ ta ukrytka nie była taka dobra, potem w piwnicy [podobną] zrobili. To miało być... mój dziadek tam zawsze miał wina. Ja w piwnicy [w kryjówce] byłam tylko jeden raz. Wstawili tam wodę. Bardzo ciężko było tam kogoś znaleźć. W tym czasie kupili dla mnie wyciąg metrykalny pod innym imieniem niż Sztrasberger. Moje imię było Danuta Sobieraj, byłam starsza [o] jeden rok. Jak się pytałam mamusi, dlaczego jestem tutaj starsza, powiedziała: „To jest lepiej dla ciebie”. Wtedy rozmawiałam bardzo ładnie po polsku, uczyłam się polską chrześcijańską modlitwę. Mamusia znalazła jakiegoś pana, zapłaciła bardzo dużo pieniędzy i on powiedział, że mnie ukryje. To, że ja podczas tej wojny miałam tyfus, nie jest ważne. Ten pan sam był wygnańcem, mieszkał koło Krasnawu [Krasnegostawu]. Przyjechał razem z córką. Mielśmy wyjechać do Lwowa, [bo] on tam ma krewnych we Lwowie. To już było mniej więcej w 1941 roku... lipiec, sierpień, wrzesień, coś takiego. Już było trochę pochmurno. Mamusia jeszcze odprowadziła nas do stacji kolejowej. Pojechaliśmy do Lwowa. Kiedy mieliśmy przesiadkę, jakiś Niemiec zabrał nas i wypytał się wszystko.

R E L A C J E

Do mnie się też zwrócił, żebym się pomodliła, żebym się przekrzestyla [przeżegnała]. Pamiętam, że zdjęłam rękawiczkę z lewej ręki, a ten pan zaraz [zdjął] mi z prawej i się przeżegnał i pomodlił.

We Lwowie [okazało się], że to nie była ni rodzina, ni nic, [tylko] jakaś kobieta, [którą] on poznał w pociągu... Po jakimś czasie on dostał niby jakiś telegramy, że synek jest chory, żeby przyjechał. Wziął córeczkę. Ponieważ ja byłam jego siostrzenicą, zostałam u tej pani Olejnikow[ej] we Lwowie. Pani Olejnikowa czekała, żeby on przy[jechał] zabrać mnie. Długi czas nie przyjechał. [Pani Olejnikowa] postanowiła w 1942 roku, w lutym, że mnie przyprowadzi sama do Krasnegostawu do tego pana. Nawet nie znała jego [imienia]. U pani Olejnikowej figurowałam jako siostrzenica i jako chrześcijanka. Ona nie wiedziała [że jestem Żydówką]. Przyjechaliśmy do dworca. Pociągu do Lublina nie było, [więc] przyszedłszy z powrotem do domu. Wtedy ona znowu pisała i groziła, żeby przyszedł i zabrał mnie. On przysłał swoją córkę, [która] mnie zabrała. Przyjechałam z powrotem do Izbicy. Spotkałam dwóch kuzynów, to wszystko. Wszystkie Żydzi żeśmy mieszkali w jednym domu, co się nazywał garbarnia. Na pryczach żeśmy spali. Kuzyny moje powiedzieli: „Helunia, to nie jest bezpiecznie, żebyś tutaj została z nami. Musisz wyjść gdzieś do kogoś. Masz jakie wartościowe rzeczy? Chcemy komuś zapłacić, żebyś mogła się ukryć, nie tutaj razem z nami, bo będzie znowu łapanka”. Powiedziałam, że mam jeszcze 2 diamenty w palcie gdzieś ukryte, mam 50 złotych. Mamusia powiedziała: „Żebyś ty z tym się nie [roztawiała]. Jak będziesz musiała, wyjmuj

stąd”. On [kuzyn] mi powiedział: „Pieniądze zostaw [dla siebie]”. [Okazało się, że] mój wujek Mąceń był współnikiem hrabiego Pszycki[ego]. Mamusia знаła tam wszystkich [we dworze] i oddała wartościowe rzeczy jednej pani, co pracowała w tym zamku. Więc podeszliśmy do tej pani, nie pamiętam imię, i wzięłam wszystko, co tam było. [Te wartościowe rzeczy] oddaliśmy do pana... G. [Mieszkali] w wiosce koło Izbicy. Ten G. był z Armii Krajowej. Byłam [u tej rodziny] jakiś czas podczas Pesach, w kwietniu. W Wielkanoc była znowu łapanka i wszędzie było pisane, [że] gdzie się tylko znajdzie Żyda, to i rodzina i te Żydzi będą wystrzelane. Ten pan G. powiedział mi: „Danka, popatrz się, ja mam tutaj dwóch dzieci małych, nie mogę... to jest bardzo niebezpiecznie. Idź, pojechaj z powrotem do Lwowa. Tam nikt cię nie zna”. Powiedziałam: „Jak ja mogę do Lwowa wyjechać, nie mam nic”.

Zaczęłam chodzić po różnych wioskach, spałam w konopach siana. Kręciłam się na różnych wioskach, podchodziłam, prosiłam [o] robotę. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...” „...Na wieki wieków amen”. „Ja szukam roboty. Mogę niańczyć dzieci, mogę wszystko zrobić”. „Ty możesz niańczyć dzieci? Przecież sama potrzebujesz niańkę. Weź sobie – miałam koszyk – weź sobie”. Wszyscy mi dali chleb i tak chodziłam z tym koszykiem, od domu, od wioski do wioski.

Raz zabłądziłam w lesie i nie widziałam, jak przyjść z powrotem do tego pana G., bo to była moja myśl, że przyjdę z powrotem do pana G. Więc weszłam do jakiejś stodoły

i spałam razem z końmi. Tylko spuszczałam głowę i tak przyspałam. Przyszedł [właściciel koni], widział mnie, nie podniosłam głowy, wyszedł. Bardzo rano wstałam i wyszłam stamtąd. Przyszedłam z powrotem do pana G. Jak pani G. mnie zobaczyła, powiedziała: „Wejź do stodoły i [czekaj], aż Jan przyjdzie”. Jak przyszedł, powiedział: „Co ty robisz, Danka? Tu jest bardzo niebezpiecznie. Wszyscy przecież tutaj szukają Żydów”. Powiedziałam: „Pan G., niech pan zobaczy, pan dostał pieniądze za mnie. Pan ma mnie ukryć. Jeżeli pan mnie nie ukryje, to pójdę do Izbicy i podam, że ja się ukryłam u pana. Mnie zabiją, ale pana też zabiją”. [Mógł] wziąć siekierę i mnie zabić, zamiast to powiedział: „Danka, nie bądź dzieckiem. Wyjź, wyjeź do Lwowa. Tam nikt cię nie zna, przeżyjesz”.

Poszłam do Krasnegostawu. Pytałam się, gdzie jest dworzec. Weszłam do jakiegoś domu. Tam byli ludzie. Pani powiedziała: „Poczekaj, poczekaj, zaraz ja cię zabiorę do dworca”. Zrozumiałam, że to jest niebezpiecznie. Wyszłam. Zaczęła iść za mną. Lecieli [dwaj chłopcy], 16–15 lat [mieli]: „Chodź za nami”. „Dlaczego?”. „Ty się pytasz, gdzie jest dworzec. Chodź, my cię weźmiemy do dworca”. Wzięli mnie na cmentarz żydowski. Na cmentarzu zaczęli mówić: „Ty jesteś Żydówką. My wiemy, że ty jesteś Żydówką”. Nie poddałam się [a oni]: „Mamusia moja zna twego ojca” i powiedzieli mi jej imię i nazwisko. Powiedziałam: „Nie, to nie ja jestem”. „Daj nam pieniądze. Jak nie, my cię oddamy. Są tutaj [dwaj] folksdojce. My cię oddamy. My dostamy cukier i wódkę. Daj nam

R E L A C J E

115

coś". Powiedziałam: „Popatrz się, ja chcę wyjechać do Lwowa. Nie mam niczego, tylko 50 złotych”. „Wyjm te 50 złotych, daj nam”. Powiedziałam: „Nie mogę. Z czym ja się dostanę do Lwowa?”. „Daj nam te 50 złotych”. Wzięli 50 złotych, [dali] mi kilka złotych z powrotem, żebym miała na pociąg. „Ale daj nam jeszcze coś”. „Nie mam nic”. „To daj nam to palto”. Zdjęłam i im dałam. „Daj nam też te buty”. „Ale teraz jest jeszcze wiosna, nie mogę, jeszcze zima. Nie mogę piecho chodzić”. Zostawili. Wzięli mnie na dworzec, kupiłam bilet, siedziałam. Pociąg [miał być] o dwunastej w nocy. Cały czas siedziałam z głową na dół, żeby nikt mnie nie poznał. Gdzieś o dziewiątej-dziesiątej w nocy przyszli obaj. „Danka, Danka... halo, halo”. Myślałam, że to już jakiś Niemiec. „Chodź z nami”. Byli upite. Przynieśli mi coś jeść. Powiedziałam: „Mam tutaj całą torbę z jedzeniem, nie chcę”. Opuścili mnie, ale pokazali, że mieli wódkę i mogli kupić cukier. Przyjechałam do Lwowa, przyszłam do pani Olejnikowej. „Danuta, co tutaj robisz? Co żeś tutaj przyjechała bez palta, bez niczego?”. To jej powiedziałam: „Przyjechałam do pani”. „Do mnie?”. „Uciekłam od ciotki. Ciotka mnie bije. Dlaczego mam być u rodziny, [która] mnie bije, jak [mi będzie] lepiej tutaj”. „Co ty będziesz robiła?”. „Tam pasłam krowy, tutaj będę pasłać krowy”. Nigdy nie widziałam krowy, [wiedziałam, że] tylko mleko, że przychodzi z krowy. Od tego czasu zaczęłam pracować u jednej pani, z krową iść i u niej spać. To nie było przyjemnie dla mnie. Poszłam do innych. To była Kolonia Krzewczyska za Lwowem. Tam były już dwie krowy. Chodziłam z nimi na pastwisko. Byłam pastuszką. [Ci ludzie]

chcieli mnie zaadoptować drugi raz, bym się ładnie chowała. Przygotowali mnie do pierwszej komunii. Mam się ładnie zachowywać, nie przeklinać. Przeklinałam, jak wszystkie pastuchy. Jak się dowiedziałam, że mam pójść do pierwszej komunii, przestraszyłam się. Mamusia mi powiedziała, że przeżyję wojnę, ale żebym [pamiętała], że jestem Żydówką, żebym się zwróciła do żydowskiego narodu. Zaczęłam znowu przeklinać. Przeszłam do innej rodziny. Tam też chcieli mnie zaadoptować. Zrobili mi nawet kartkę żywnościową. Wtedy mój stosunek się zrobił lepiej [moja sytuacja polepszyła się]. W zimie byłam u [rodziny, która miała] nielegalną córkę [nieślubną]. Oni nie byli żonaci. [Mieszkali] w jakiejś chacie, [gdzie] nie było, coś okropnego. Moja praca to było [pójść] do Lwowa i kupić łupiny z kartofli, przynieść dwa wiadra z roztankiem i [wyłapywanie] wszy. Latem przyszedł znowu ten pierwszy, co dał mi robotę. „Danka, chodź do nas. Bądź z nami i prowadź krowy”. To się spytałam: „A czy tylko na wiosnę i lato? Czy to też będzie na zimę?”. „Na zawsze”. Przyszłam do niego. Nie pamiętam [jak miał na] imię.

[Kiedy] pasłam krowy, to jakieś sąsiedzi, Ukraińiec powiadał, że jestem Żydówką. Przyszli na łąkę się pytać, czy jestem Żydówką i żebym ja im pokazała metrykę. Powiedziałam: „Metryka w domu”. Zaprosili mnie do Lwowa do SS. Przyszłam. Niemiec zaczął się mnie pytać, kim jestem: „Daj mi fotografie, żebym mógł posłać do tej wsi, by się dowiedzieć, czy ty nie jesteś Żydówką”.

R E L A C J E

Powiedziałam: „Nie mam fotografii”, i on mi [pozwolił odejść]. Ale ten Ukraińiec nie dał mi żyć. „Mama cię nauczyła skakać?”. I kamienie na nogi mi rzucał.

W kwietniu 1944 roku były bombardowania... Rosjanie przyjechali i bombardowali, jeszcze byłam u tych staruszków...

1 maja bombardowali Lwów. W czerwcu czy w lipcu 1944 roku wojna dla nas we Lwowie się skończyła. Jeszcze nie podałam, że jestem Żydówką, dalej pasłam krowy. Aż jedna koleżanka przyszła i powiedziała: „Słuchaj, ty jesteś Żydówką, u nas się ukrywali Żydzi. Oni cię widzieli i oni postanowili, że ty jesteś Żydówką”. Ja mówię: „Nie jestem Żydówką”. Obawiałam się, że wojna się nie skończyła i to samo będzie teraz. Wszyscy mnie znają jako chrześcijankę, chcę zostać chrześcijanką aż wojna się skończy. Podczas wojny Niemcy znaleźli grób polskich żołnierzy, był tam jakiś oficer pod imieniem, pod moim imieniem, Sobieraj. Powiedziałam, że mamusia umarła podczas urodzenia mojego, a teraz mam [znalazłam] też ojca. Miałam rzewczową [uwierzytelniającą] kartkę, miałam tatusia, umarł. Miałam wyciąg metrykalny.

Przyszłam do pani Olejnikowej i powiedziałam jej: „Pani Olejnikowo – to już było więcej niż miesiąc po wojnie – ja jestem Żydówką. Powiedzieli mi, że jest komitet, ja bym chciała wyjechać z powrotem do Lublina i szukać... umówiłam się z mamusią, z rodziną, że się spotkamy w Lublinie w domu babci. Pierwsze [słowa pani Olejnikowej]: „Ty jesteś Żydówką, ty jesteś Żydówką, Danka?”. Powiedziałam: „Tak”. „Pewnie byliście bogaci?”. „Nie”. „Z pewnością byliście bogaci”. Zaraz się złapałam i powiedziałam:

„Tak, babcia była bardzo... babcia i dziadek z drugiej strony były bardzo bogaty”. „To odpisz nam jakiś dom”. „Dobrze, dobrze...”

Poszłam we Lwowie do żydowskiej komitetu i się zarejestrowałam. Wtedy mi powiedzieli, że wyjadą 2 obozy w kierunku Lublina. Sama nie mogę jechać. Zapisalam się. W tym czasie ten pan, co mnie widział u tej koleżanki, kiedy był [u niej] ukryty, już miał mieszkanie. U niego było dw[oje] dzieci, dwóch chłopczyków, [więc] mnie zabrał, żebym mogła razem z nimi mieszkać. [Tam] czekałam na pociąg, na wyjazd do Lublina. On miał ślusarstwo. [Któregoś dnia] przyszła jakaś pani, by coś zrobić i zaczęła pytać [mnie]: kto ty jesteś, jak się nazywasz? „Hela Sztrasberger”. „Skąd?”. „Z Lublina”. „Helunia Sztrasberger? Ty mnie nie znasz?”. „Nie, przepraszam [ale] nie”. „Ja byłam Twoją nauczycielką”. Mówię: „Nie, to mojej kuzynki nauczycielka była pani Śpiewakowa z Lublina”. „Myślę, że jest jakiś Sztrasberger, że twój wujek żyje, w Równie. Jadę dzisiaj w nocy tam. Podaj mi, co ty wiesz o rodzinie. Zobaczymy. Jak wrócę i ty tutaj będziesz jeszcze, to ci powiem, czy ktoś się został”. Powiedziałam imię matki, ojca, dziadka, babci, skąd. Przyjechała i powiedziała mi: „To jest twój wujek, przysłał mi pieniądze, że się spotkamy w Lublinie”. Przyjechałam do Lublina. Pierwszej, drugiej [nocy] spałam w Dom Pereca. To było gdzieś na Lubarowskiej. Spaliśmy na drewnianej podłodze. Dostaliśmy pić, coś zjeść, dostaliśmy czekoladę, amerykańską czekoladę, bardzo małą, grubą tabelkę i małe M&M, cukierki. Pamiętam bardzo dużo Żydów, każdy [miał] plecak, [który służył] jako poduszka. Byłam [tam] półtora albo dwa dni, nie więcej.

Kogo ja tam spotkałam w Lublinie? To był Mojsie Taśma Korn. On był zakochany w Steli [koleżance], ale nie wyszło z tego, nie pobrali się. Nie wiem, co się stało. Ja zawsze widziałam ich jako parę.

Na drugi dzień przyszedłam na Ruską 5. Została stróżowa: „Helunia, Helunia. Będziesz tutaj razem z nami”. Powiedziałam, że wujek żyje i przyjedzie. Byłam u niej jakieś 2, 3 dni, aż poszłam do żydowskiego komitetu. Spotkałam tam znajomych z Izbicy [między innymi] pracowała [tam] Stela, bardzo ładna panienka. Jak mnie zobaczyła: „Helunia, Helunia, ty żeś się została”. Bardzo się cieszyła. „Gdzie ty jesteś tutaj?”. Powiedziałam, że u stróżowej. „Nie, ty nie będziesz u stróżowej, ty będziesz razem z nami”. Z nami to znaczy różne Żydy, co zostali, mieszkali na Kowalskiej 4. To był dom Blank[a]. Blank był [właścicielem] garbarni w Izbicy. Były tam kobiety i mężczyźni, wszyscy żeśmy się znali. Ja byłam jedno dziecko. [Potem] byłam w sierocińcu, bo powiedziałam: „Chcę być razem z dziećmi”. Po jakimś czasie ten dom dziecka przeszedł na Krakowskie Przedmieście 50. Gerrate die jidische kinder in Lublin 1945 roku. Hela Arbeiter, Basie Szerman, Fela Szechter, Fela Ferewajecz, Regina Hefgot, Rozisza Szpigel, Sonia Hebensztrait, Henia Rapaport, Hela Sztrasberger, Sabina Balladas, Dina Fajnszmidt, Rachel Brimbojm, Rachel Haller, Inka Szprecher, Janka Alperrandt, Sala Reznig, Rynia Rachenszwald, Hela Fajnhajn, Basia Hellman, Mania Kopel, Rachel Gewerc, Dora Zalczman, Etki Rechenszwald, Szyfra

R E L A C J E

Mekler, Bella Węgierska, Henia Zandberg, Marysia Lis, Marusia Latersztajn, Fela Rachel, Sabina Klejman, Jasia Ostrowska, Hela Ostrwajecz, Stepcia Zakawer, Renka Laskawska, Ester Wirmbojm, Lusja Zylbersztorm, Zbyszek Klank.

Z Iną Szprecher spotykam się do dzisiaj tego dnia. Urodzona we Lwowie, mieszka w Hajfie. Została [przeżyła] razem z babcią. Babcia już nie żyje.

Ten sierociniec nam dał dużo. Pierwszy raz poszłam do szkoły, do czwartej klasy. Podczas wojny mamusia wzięła do mnie nauczycielkę, co mnie uczyła pisać, czytać po polsku. Wzięła też nauczyciela żydowskiego, żebym umiała czytać i pisać po żydowsku, ale to był bardzo krótki okres. [Mówiłam więc], że już znam tabliczkę [mnożenia]. To była powszechna szkoła na nowym przedmieściu [Krakowskim Przedmieściu], nie tylko dla żydowskiego sierocińca. Chodziliśmy z Polakami.

Z Lublina jechałam do Chorzowa, tam w 1935 [1945] roku otworzył się nowy sierociniec i wysłali kilka dzieci. W Chorzowie do powszechnej szkoły zrobili nam egzamin, w Lublinie poziom był wyższy niżeli w Chorzowie, więc postanowili, że [pójde] do szóstej klasy. Zachorowałam na [szkarlatynę], byłam w szpitalu. [Jak] wyszłam, organizowała się grupa na wyjechanie do Izraela. Z tą grupą przeszedłam do Zabrze. W Zabrzu był dom, żeśmy się nazywali kibuc. Wtedy uczyliśmy się po hebrajsku, chcieliśmy się zdobyć [dostać] do Izraela. W grudniu 1945 roku na Boże Narodzenie wyjechaliśmy z Polski do Czechosłowi [Czechosłowacji]. [Podawa-

no], że jesteśmy z Grecji, bo nie wolno było wyjechać Polakom. Nielegalnie przyjechaliśmy do Czechosłowacji [Czechosłowacji]. [Potem] nielegalnie przyjechaliśmy do Niemiec, nielegalnie do Francji i nielegalnie do Izraela. Anglicy nas złapali, to był już 1947 rok i wygnali na Cyprus [Cypr]. W grudniu 1947 roku przyjechałam tutaj do kraju [do Izraela].

W Majdanku babcia, dziadek byli. Stróżowa pisała nam do Izbicy, że oni zostali wygnani do Majdanku. Dziadkowi jakoś udało się napisać list do tatusia, że on jest w Majdanku. Stróżowa mi powiedziała, że ona od czasu do czasu podchodziła, by im dać coś jedzenie. Zaraz po wojnie poszłam na Majdanek, w 1944 roku. Wiedziałam, że dziadek i babcia tam była, chciałam zobaczyć gdzie. Wszystko śmierdziało, ten zapach... był okropny. Mam jedną pieśń, zawsze sama dla siebie śpieję [śpiewam]: „Pamiętam jeszcze ten po-

nury dzień, gdy mama tobie dała bułki dwie i do pociągu szła za mną jak cień. I bardzo rozplakała się, rozplakałam się mamó, do Ciebie wrócić chcę mamó, wysłuchaj moich słów mamó. I ciężko będę tam pracował, sam się będę wychowywał. Mamó, do Ciebie wrócić znów, ominęły 19 lat, objechałem prawie cały świat, przyjechałem prosić ją na ślub, a mnie każą dziś iść na jej grób. Mamó... przy Tobie jestem znów mamó... wysłuchaj moich słów mamó. Choć majątek mam ogromny, Ciebie mamó nie zapomnę, mamó, na wieki żegnaj Cię”. To jest obraz mój.

LOS Y ZNAJOMYCH PO WOJNIE

Byłam razem z jednym, który został po wojnie przy życiu, [przeżył] Sobibór [jak] Tojwi Blatt. On się nazywał Blank. Pobrał z jedną,

co była urodzona w Krasnymstawie, podczas wojny była w Izbicy... Estelusia... piękna dziewczynka. Jasny błękitne oczy. [Arie] pojechał do Żółkiewki, chciał sprzedać... nie wiem, co on tam miał, ale chciał sprzedać. Sprzedał, [ale] gdy [wrócił do Lublina] śladali [tropili] za nim AK. Czuł, że się śladają za nim. Prędko wszedł do domu i zamknął drzwi. Oni chcieli wyjść [wejść], on siłami trzymał drzwi, oni strzelali poza drzwiami. Zastrzelili go. To była okropna, okropna rzecz. On był z tych ludzi, co zostali się po wojnie z Sobiboru. Był... przewodnik Sobiboru.

Potem słyszałam, że jeszcze ktoś został zastrzelony. Ja to przeżywałam, ja mieszkałam razem z nim na Kowalskiej 4. Została się też z Izbicy Hanan [Halin] Lifszyc. Spotkałam też G. i jego żonę. Żona była ubrana w kostium mojej mamusi. Wtedy on mi tylko powiedział: „Danka, ja wiedziałem, że ty przeżyjesz”.

D E U T S C H

Hela Boudough, geborene Sztrasberger, wurde 1932 in Lublin geboren. Als sie ein kleines Mädchen war, zogen ihre Eltern nach Izbica um. Weil in Izbica vor dem Krieg viele Juden lebten, wurde es auch „Judenstadt“ genannt. Während des Krieges wurden immer mehr Juden nach Izbica transportiert. Bald begannen dort die Aktionen gegen Juden und die Deportationen. 1940 besetzte kurz die russische Armee Izbica und bot den Juden die Flucht in den Osten an. Hela Boudoughs

Vater nahm dieses Angebot an, kehrte aber kurze Zeit später wieder zurück. Die Eltern organisierten verschiedene Verstecke und gefälschte Ausweise, für Hela auf den Namen Danuta Sobieraj. Ein bestochener Pole nahm sie nach Lemberg mit, wo sie bei Frau Olejnik unterkam. Nach einigen Monaten aber brachte Frau Olejnik sie nach Izbica zurück. Hela versuchte dann selbst ein Ver-

R E L A C J E

steck zu finden und bat fremde Leute um Hilfe. Sie stahlen aber ihr Geld und ihre Sachen. Hela überlebte das Kriegsende in Lemberg. Nach dem Krieg kehrte sie nach Lublin zurück, wo sie in ein Waisenhaus kam. Von ihrer Familie hat niemand den Krieg überlebt. Später wohnte sie für einige Zeit in Chorzów, und wanderte 1947 nach Israel aus. Hela erzählt auch von ihrem Freund, Blank, der kurz nach dem Krieg von polnischen Partisanen ermordet wurde.

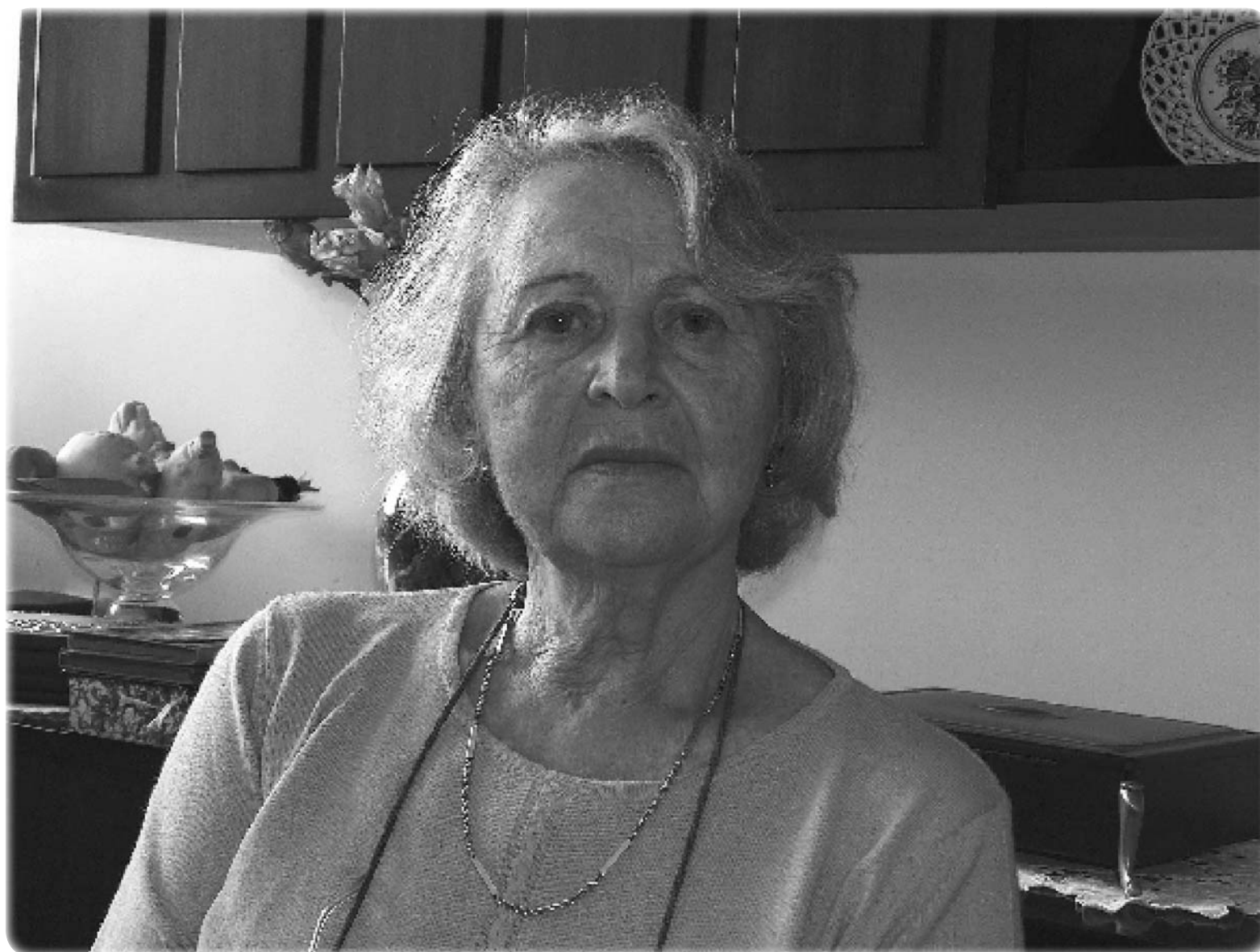
E N G L I S H

Hela Boudough, née Sztrasberger, Holocaust survivor, was born in 1932 in Lublin.

At the outbreak of war, Hela was seven years old. The bombings of the city began on the day when Hela was supposed to go to school for the first time. Izbica became a “Judenstat”. More and more Jewish families were transported to the city and lodged in flats together with their original owners. Round-ups and removals started to occur. In 1940, for a very short time, the Red Army came to Izbica. They offered Jews there, the opportunity to move to the East, but Hela’s parents did not want to go. For a short period of time, her father left, but as

soon as he found out about the hard living conditions in Izbica, he came back. When the round-ups started once again, Hela’s parents prepared many makeshift shelters. They also forged documents for Hela under the name Danuta Sobieraj, and even paid a Pole from Krasnystaw to help her move elsewhere. She ended up in Lviv with Mrs. Olejnik. After a few months, however, Olejnik brought Hela back to Krasnystaw and from there, back to Izbica. Hela tried to find somebody who would help her, and was traveling from village to village and sleeping in haystacks. Hela relates how a person she gave money to eventually did not help her out of fear. When she was once again

in Krasnystaw, two young Poles caught her and threatened to turn her in if she did not give them her money and her coat. She returned to Lviv, where she worked as a housekeeper, but constantly changed her living place. When the war ended, she disclosed her nationality and with a group of Jewish survivors, returned to Lublin. No one from her closest family survived. She was placed in children’s homes, first in Lublin, later in Chorzów. From this place, through Czechoslovakia, Germany, France and Cyprus, she eventually arrived to Israel. She also relates a story about some guerrillas who after the war, murdered her friend Blank.



01

01

01

Hela Boudough, Haifa, Izrael, 15 grudnia 2006.

■ Hela Boudough in Haifa, Israel, am 15. Dezember 2006. ■

Hela Boudough, Haifa, Israel, December 15, 2006.

ROK 1921

JAKÓWKI JAKÓWKI URODZENIA

RELACJE

MARIANNA WACHOWIEC

Marianna Wachowiec, urodzona 1921 roku, mieszkałam w Jakówkach. Chodziłam do szkoły w Jakówkach, pierwsza, druga, trzecia, czwarta klasa. Do piątej chodziłam w Konstantynowie, 3 kilometry na wschód od Jakówek. Tam skończyłam 7 klas i tyle było mojego wykształcenia. Później byłam w domu. Nas było ośmioro, ja byłam najstarsza, 2 lata młodszy brat, później siostry.

W O J N A

I w 1941 roku zmarł mój tato. A wujek, mamy brat [Mikołaj] Iwaniuk, był starszy od mojej mamy. Znany był, koło Janowa mieszkał, w Romanowie. Tam Żydzi znali się z nim, taki dobry człowiek. Jak już nachodził ten kryzys, że tak prześladowali, on ich dużo przetrzymywał. Nawet w gazecie było napisane, że około 40 przeszło przez jego... podwórze. Romanów to tak więcej pod lasem, nie było tam trasy. Mógł łatwiej przechować. Później rozdawał. Dla nas dał ich 3 mężczyzn i jedną dziewczynę.

Ż Y D Z I

Było dwóch braci, siostra i ich sąsiad. Z Janowa byli. Ta siostra nazywała się Perla Rodzynek [tak się nazywała po mężu, po wojnie, rodowe nazwisko jej i braci było inne], na stałe nie mieszkała u nas. Przyjdzie, tydzień pobędzie...

W Romanowie ich było dużo, w Wólce. Mój wujek po znajomych ludziach porozsyłał tych Żydów. A mój brat ją prowadził, tamtych chciała odwiedzić. Po nocy nie zajdzie, bo nie znajdzie, nie zna terenu, a w dzień nie można. W nocy ją przemycał. Tu odwiedzi, to tam odwiedzi znajomych. Miała w Romanowie swego przyszłego męża. Później [po wojnie] on się z nią ożenił.

Myśmy ich nazywali polskimi imionami: Janek, Mietek, Władek. Były małe dzieci, żeby się gdzieś coś nie wygadało dziecko.

Był u nas Wolf Englander, on był najmłodszy i bardzo ładny.

Rodzice Englandera mieli piekarnię w Janowie na ulicy, co idzie prosto od kościoła na Wygodę. [Po wojnie] jeszcze tam mieszkał.

A Perla mieszkała przez drogę. Jeszcze nieraz gadał: „Jak to mogło być, że oni [rodzina Perli] byli biedni i ich cała rodzina przechowała się, a on...” [Perli i braci] rodzice z młodszymi dziećmi przed wojną zdążyli wyjechać do Izraela, mieli paszport. Później dowiedziałam się, jak przyjechali [po wojnie]. Englander mówił, że wyskoczył z pociągu. Jechała tym pociągiem jego siostra z mężem i dzieckiem. Już ich wywozili. Mały chłopczyk był, nazywał się Kubuś. I Kubuś [zawołał]: „Wujku, weź mnie ze sobą!”. Nie chciał wziąć, bo myślał, że zdradzi się z dzieckiem. Później żałował, płakał, czemu nie wziął tego chłopczyka.

Wpierw myślałam, że rodzice zostawili ich specjalnie, Perłę i 3 starszych synów. Na początku jeszcze tak strasznie nie wywoziło się, nikt nie wiedział, że tak okropnie będzie. Ludzie nie wierzyli, że to takie coś może być. W mieście może coś było więcej wiadomo, a nie na wsi. Myślałam, że oni ich zostawili na razie, żeby domu pilnowali... [Ale]

oni już paszportu nie dostali. Rodzice zdążyli wyrobić, a już dla nich nie dali wyrobić.

PIERWSZA KRYJÓWKA

Za 200, 300 metrów był zakręt i szła droga do Romanowa. Tam jeszcze przed wojną tato postawił drugą stodołę. 4 ich było [stodół]. Jak nosiliśmy jeść... Jedzenie przywiązywało się do kija czy miotły i podawało się. Młodzi to spuści się trochę i dostanie [dosięgnie] jedzenie.

Początkowo [Żydzi] byli w tej stodole za wsią. Tam była później [dalej] droga, myśmy chodzili na pole. Jedni [sąsiedzi] mieli działki bliżej Wólki [sąsiedniej wsi], a inni bliżej stodoły. [Sąsiadowi] pasowało na pole naszą drogą chodzić. [Pewnego razu] przychodzi on do mojej mamy... „Kumo, ja wiem, co tam u was jest. Żebyście nie żałowali, bo oni mogą całą wieś spalić”.

Mój brat, młodszy dwa lata ode mnie. [Mama powiedziała mu], że tu byli i partyzanci, i ekspartyzanci, i bandy. Zgłosił do jakiejś władzy [partyzantów], że [sąsiad] może wydać tych ludzi mieszkających. Podobno jemu trochę przykazali, że jeżeli coś się dla nas stało to oni [rodzina sąsiada] pierwsze... cała rodzina... pójdzie pierwsza na rozstrzał. I on się później uspokoił.

DRUGA KRYJÓWKA

W domu nie można było trzymać. Myśmy trzymali ich w oborze. Obora była drewniana. Tam dół wykopaliśmy. Czasem ona przychodziła do braci porozmawiać...

Obora była stara, mała, nie bardzo wysoka, nie [było] fundamentów, tylko kamienie duże na podmurówce. Pomiedzy kamieniami wydłubali trochę dziurki, że [by] było powietrze świeże i żeby światła trochę mieli, jak się im jedzenie zanieś. I w takim dole mieszkali. Przegrodziliśmy ten chlew w poprzek. Myśmy [w tej stodołę] owce trzymali. Owca lekka, mało moczu oddaje, nie narzekali, żeby do nich przeciekało. Mieli powietrze, mieli trochę słońca i mieli widok na nasz dom, widzieli, co na drodze się dzieje. Żeby nie rozmawiać chociaż wtedy głośno, żeby nie płakać, bo mówili, że płakali.

Dobrego jeszcze mieliśmy sąsiada, że nas nie wydał. Bo oni jak w nocy, jak nie ma już takiego ruchu, to wychodzili na powietrze. A nawet wychodzili na strych, nie była wysoka obora. Na strychu w dzień siedzieli na słońcu jak ciepło, jak mróz to nie. Sąsiad słyszał, jak rozmawiali, słyszał, jak się modlili... płakali. On mnie później powiedział, już po wojnie. Ale taki dobry, nie wydał nas. Wiedział, co nam grozi.

Po drugiej stronie nie było zabudowań.

Mieliśmy strach. Małym dzieciom nic nie mówiliśmy. Nosila jeść przeważnie mama. Ja to już musiałam pracować w polu, trzeba było orać, siał, kosić. Toż nie nosiło się 3 razy na dzień, tylko chociaż raz czy 2 razy, jak spokój we wsi.

Człowiek młody to jakiś taki odważny. Nie przeżywałam, jak Niemiec idzie jaką rewizję robić.

A wtedy oni byli u nas.

R E L A C J E

R E W I Z J E

Dali zabić świnię, ale trzeba było zgłosić do odpowiedniej władzy. Trzeba było jakąś część oddawać mięsa, zboża, kartofel, mleka.

Była rewizja, przyszedł Niemiec, zresztą było kilka rewizji w tym czasie. U nas był ręczny młyn, w każdym domu były takie żarna, co mełło się pszenicę na mąkę. To było jeszcze jak tato żył. Tato pobiegł do stodoły, żeby te żarna schować. Wziął i trzyma. A Niemiec drzwi otwiera: „A, młyn, młyn... nikt... nie”. Tak trochę gadał po polsku. Mówi: „Pan, wrzuć tam”. Tam słoma była. Wziął, słomę przerzucił i już nie... „A młyn, młyn niech będzie”. Nie miał pretensji, inny by się mógł ucześcić.

A później, to już Żydzi byli, przyszedł [Niemiec] rewizję robić. Babcia chora leżała na łóżku. Nas było ośmioro, 3 łóżek w mieszkaniu. Pokój był dosyć duży. Kiedyś ludzie sieniowników nie mieli, słomy naścielim, na spodzie deski. [Niemiec] wszystko do dna zarzucił. Babei kazał wstać. Były 2 spiżarnie. W jednej była odzież, były 2 duże kufry, w jednym była odzież letnia, świąteczna, a w drugim zimowe: kożuchy. Szukał do samego dna. Piec w kuchni odsunął i tam świecił baterijką [latarką – chachłacki]. W jednym ręku rewolwer, a w drugim baterijka. Zajrzał na strych. I teraz idzie do chlewa, na podwórze, do ula dochodzi. Myśmy, jak zabili świnię, to w wia-drze zakopali pod tym ulem. A to była zima, ziemia zamrznięta, grudki. Myślę, jak on zobaczy, że ziemia się rusza koło ula... Stanął. Z uli wszystko siano wyciągnął. Ule sianem są na zimę zabezpieczone. Siano wyciągnął i wszystkie pszczoły zmarzły. Popatrzył na podwórze. I wrócił się. Poszedł na drogę.

W Y Z W O L E N I E

Pod koniec wojny tu front przechodził. Długo tutaj się bronili, chyba ze 3 tygodnie. Niemcy trzymali się mocno. W samym Pratuliniu, na Bugu, mówili, że 3 razy przeszli w tę stronę Bugu Sowieci i Niemcy znowu ich gnali. Odparli i znowu. A tu nad nami krąży samoloty i strzelają.

P O W O J N I E

Englander był później taki hardy. Wyjechał do Izraela. A Perla była bardzo przyjemna. Jak wyjechali, to jeszcze do nas pisała. Bracia nigdy nie pisali. Ona pisała w imieniu braci. Bo oni nie umiały po polsku dobrze pisać i nie chcą, żeby ktoś później kpił z nich, że nie napisane ładnie po polsku.

[Julianna Mironiuk oraz jej syn Józef i córki Anna, Marianna, Stanisława otrzymały medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1989 roku.]

D E U T S C H

Marianna Wachowiec, geborene Mironiuk, wurde 1921 in Jakówki geboren. Sie erzählt, wie ihr Onkel, Mikołaj Iwaniuk aus Romanów, ungefähr vierzig Personen gerettet hat. Zu Marianna Wach-

wiec brachte er vier Juden. Zwei Brüder (Mosze und Szlomo Goldszept), ihre Schwester (Perla) und ihren Nachbarn (Wolf Englander). Anfangs versteckten sich die Vier in einer etwas vom Haus abgelegenen Scheune. Nachdem eine Nachbarin das er-

fahren hatte, mussten die Juden sich unter einer Treppe im Kuhstall verstecken. Die Versteckten überlebten und wanderten nach dem Krieg nach Israel aus. Einige Zeit lang blieben sie mit Marianna Wachowiec in Kontakt.

E N G L I S H

Marianna Wachowiec, née Mironiuk was born in 1921 in Jakówki. Marianna recounts how her uncle, Mikołaj Iwaniuk from Romanów hid throughout the war about forty Jews. At first, four Jews turned up at Marianna's

house through the agency of Mikołaj Iwaniuk: two brothers (Mosze and Szlomo Goldszept), their sister (Perla) and a neighbor (Wolf Englander). At the beginning, they hid them in the attic, in their barn some distance away from the house. When the neighbor

found out about them, the Wachowiec family built a hide-out under the barn for them. They all survived and moved to Israel. They were in touch for some time.



01

Dyplom.
Das Ehrendiplom.
The diploma.



02

W środku Julianna Mironiuk, matka Marianny Wachowiec i Weroniki Stefaniuk.
W górnym rzędzie w środku Marianna Wachowiec, w dolnym rzędzie po prawej stronie Weronika Stefaniuk.

Julianna Mironiuk, die Mutter von Marianna Wachowiec und Weronika Stefaniuk (in der Mitte). In der oberen Reihe steht in der Mitte Marianna Wachowiec. Weronika Stefaniuk kniet in der unteren Reihe rechts.

In the middle Julianna Mironiuk, mother of Marianna Wachowiec and Weronika Stefaniuk. The back row Marianna Wachowiec in the middle. The front row on the right Weronika Stefaniuk.



FRANCISZKA OLESIEJUK

Nazywam się Franciszka Olesiejuk, a panną miałam nazwisko Iwaniuk. Jestem z 1924 roku. Mam w tej chwili 84 lata, mieszkam w Romanowie przy rodzinie. Do szkoły chodziłam do samej wojny i rok jeszcze w wojnę. Skończyłam 7 klas. Miałam chorą mamusię, miała 42 lata. Dużo lat leżała sparaliżowana, całą wojnę.

WERONIKA STEFANIUK

Ja urodziłam się w 1931 roku w Jakówkach. Nas było rodzeństwa ośmioro. Zaraz w wojnę umarł nam ojciec. Była jeszcze babcia, mama ojca. Mielśmy gospodarstwo 50 morgi ziemi, ale zaraz po wojnie najstarszy brat poszedł do wojska, a my, same dziewczyny, gospodarzyłyśmy. Wyszłam za mąż w 1950 roku. [Mam] pięcioro dzieci.

O EWIE SARNECKIEJ

FRANCISZKA OLESIEJUK: Ewa Sarnecka przeżyła w partyzantce, w Puszczy Kozienickiej. Tam była ranna.

WERONIKA STEFANIUK: Przechowała się w lesie.

FRANCISZKA OLESIEJUK: Była z Białej Podlaskiej, [jej] rodzice byli bardzo zamożni. [Podczas] jej studniówki, weszedł Niemiec i kazał wychodzić. Rodziców wyprowadzili i wieźli do Lublina, na Majdanek. W Lublinie ich rozdzielili: ojca do innego szeregu, matkę do innego. [Ewa] mówiła czyściutko po polsku, po żydowsku do śmierci nie umiała. Stała razem z dziewczynami i zaczęła liczyć tych Żydów. Już tam odliczyli. Ona gdzieś ukryła się, zaplatała między polskie dziewczęta. Tak ocalała. Poszła do partyzantki. W Lublinie koło zamku w krzakach przeżyła dzień czy dwa. Później poszła do lasu. I tam był oficer starszy i z nią ożenił się. Wyjechali do Belgii. Przyjechali do Polski, do Warszawy. Jej brat stryjeczny, Noah Rodzynek, przeżył u nas.

WERONIKA STEFANIUK: Mówiłam po wojnie Ewie, że gdybym dzisiaj miała decydować, to bym się nie zdecydowała pomagać Żydom, ryzykować, jak moja mama. A Ewa: „A wiesz, że ja też nie?”.

My ją poznaliśmy... Jeszcze jej baraninę wozila, bo oni po wojnie byli koszeri. Jak u nas byli [Żydzi] to jedli wszystko. A i tego mieli za mało.

FRANCISZKA OLESIEJUK: Nie, Gedali Rydlewicz nie jadł [wszystkiego].

W O J N A

WERONIKA STEFANIUK: Wojna u nas zaczęła się w 1939 roku, a Żydów wywozili w 1942, już likwidowali. [Na początku wojny] ich posegregowali od razu. W szkołach im nie było tak słodko. Żyd to był... ja wiem? Jak teraz Cygan. Napiętnowany. Co robi się teraz w szkołach... Tak samo wtedy był Żyd. Uciekali z getta. Było getto w Białej [Podlaskiej],

125

w Sworach nie, w Kaniwoli było dla pełnych, Sowietów. Nie było getta w Janowie.

FRANCISZKA OLESIEJUK: Nie było. Wszystkie okoliczne wsie spędzili. To się nazywało stójka. Wszystkich ładowali na wozy, wieźli do Białej do getta. A w Białej ich segregowali i wywozili do lasu, i ich strzelali. W Białej też strzelali, był okropny rów. Ten Gedala tak opisuje – matkę najpierw i żonę [zabili], syn był z nimi jeszcze w ukryciu, ale wyszedł kupić jeść i też złapali i zabili. On został sam. Pochodził z Janowa [Podlaskiego] i taki drugi Rydlewicz u nas się przechowywał. Nie wiem, gdzie on potem wziął się. Był w stodole. One nawet nas nie pytali, tylko jedne drugich ciągnęli. Bo pytali [ludzie po wojnie] czy ja była w kryjówce kiedy. Mówię, że nie, oni z nikim nie rozmawiali i nikogo nie wpuszczali. Gar kartofli czy chleba bochenek, co tam mogli dać jeść, to my podali, ale oni nigdy żadnych tematów nie nawiązywali, tylko słuchali, co się dzieje.

Mąż Perli [Noah Rodzynek] był w gecie. W gecie była pompa na ulicy i on z drugim Żydem z Janowa [Finkielsztajnem, znajomym Iwaniuka] nosili wodę. Jechał mój ojciec wozem i ten z Janowa poznał: „O, pan Mikołaj Iwaniuk!”. Skoczył na wóz i [Noah] skoczył na wóz, i zaczęli jechać. Do rynku dojechali, a tam już pędzą się [ludzie], że: „Jude, jude, Żydy!”. Ojciec zeskoczył z wozu, a oni skęcili w stronę Brześcia, na Terespol. Daleko pojechali, może 15 kilometry, do Woskrzenic aż. Do lasu zajechali. Tam w lesie, już koń pewnie nie dałby rady jechać, to Noah przyszedł do wioski. Na tej trasie znał ludzi. Opowiedział, że są w lesie, koń nie ma co jeść, do drzewa uczepiony. Człowiek w nocy dał jeść i koniowi. A ojciec wrócił się

pieszo do Romanowa i przyszedł w nocy. My czekali: „Tatusia nie ma, Boże!”. Matka chora, sparaliżowana, my koło mamy. A ojciec wchodzi tak plecami. Potem odwrócił się. Chory? „A już nas zabiją” – mówi. Zaczął płakać. Wziął nas za głowę, objął. I mówi, że jechał w Białej, skoczył Finkielsztajn na wóz i drugi jakiś Żyd, on zeskoczył. Ale jest na wozie tabliczka: „Mikołaj Iwaniuk, Romanów”. Cały adres. Nie wiadomo, co robić. My płaczem.

Przed południem wjeżdża na podwórko wóz, koniem nie naszym. Ojciec wychodzi na podwórko. „Pan Iwaniuk?”. „Tak”. „Konie pan ma?”. „Mam. W oborze”. Konie nie było. On mówi, że „...mnie przysłał”. Ojciec nie wie, kto to Noah Rodzynek, wie tylko, że drugi to Finkielsztajn z Janowa. „Dwóch Żydów przyjechało do lasu. Przyszedł w nocy jeden... Teraz niech pan jedzie ze mną i ich zabierze”. A jak zabierze? Ojciec siada z nim na wóz [i] mówi do nas: „Dzieci, ja jadę”. Pojechał. Troszkę słomy położyli, oni pokładli się i na to nawalili słomy i gałęzi, i przywiązali sznurkami. Leżąc, że o mało się nie podusili, przywiózł ojciec tutaj. Co teraz z nimi zrobić? Noah zaczął płakać, że on nikogo nie zna. I poszedł do kryjówki. A tego drugiego [ojciec] zaprowadził do kuzyna. [Kuzyn] przychodzi [i] mówi: „Zabieraj, bo moja żona chora. Że Żyd jest w chliwku, ona widziała”.

Potem znajomy ojca z Wólki Polinowskiej powiedział, że przyjmie. I przeżyli [Finkielsztajnowie]. Jego żona gdzieś na stadninie [w Janowie się przechowywała]. Chcieli ją zabić.

R E L A C J E

Jakoś uciekła. Wyjechali do Izraela. Ale nigdy się nie odezwali.

A Gidala Rydlewicz był nauczycielem w Kraśzewskim [gimnazjum] w Białej. Rydlewicz był malarz, uczył rysunków i gimnastyki.

W J A K Ó W K A C H

WERONIKA STEFANIUK: Jeden był u Ruseckiego, Wolf Engländer – Władek. [Rusecki] miał dwór. Ale u niego zawsze Niemcy. To on [Rusecki] zaprowadził go do sołtysa do Jakówek. [Ten] podtruwał tego Żyda. Podtruwał, podtruwał i on uciekł. W czerwcowy dzień, w deszcz, w kożuchu długim.

A Perli bracia później byli [u nas], byli na robocie w Małaszewiczach.

Najpierw Niemcy zabierali młodych na robotę. Fachowców, a Mietek [Motel] był krawiec. Trzymali takich, co im byli potrzebni. Później on się zorientował, że... wywożą stopniowo. Już ich odliczają i do Grabarki. Tam zabijają.

Mietek, Motel Goldszept, jak siedział w dziurze, to i nas obszywał.

Janek nie miał zawodu, młody jeszcze, dzieciak. 17 lat miał. Janek to był Szloma Goldszept.

Myśmy nie wiedzieli, jak [Żydzi] przychodzili. Jak jeden przyszedł, to był już owies w stodole, więc to już sierpień musiał być. I drugi zaraz przyszedł. A trzeci przed Bożym Narodzeniem. Mietek przyszedł przed Bożym Narodzeniem.

U nas był dom jeden obok drugiego, tak że strzechami [się stykały]. Oni byli na podwórzu. Tylko naprzód było zrobione takie... w zbożu, ale ktoś ich wykrył i obrabował.

Zabrali, że gołych zostawili. U nas nie było męskiego ubrania, był szynel sowiecki, wujek dał, a Paulina [córnica Iwaniuka] dała pantofle na wysokim obcasie. To Englender w takich pantoflach był.

Była obora, wykopali jamę, tam zrobili sklepienie. Świnie na nich stali, wejście było korytem zastawione. Na wieczór chodziła mama tam ich odmykać i oni sobie siedzieli na wierzchu.

Oni nic nie mieli i my nic nie mieli. Mama nam szyła z krośnowych dywanów sukienki. Toż to prawie 5 lat wojna była. Nic nie było. U nas na podwórzu była studnia. Kiedyś z cembrowin rzadko kiedy się [spotykało]. U nas cembrowina była w dole, a dalej z bali. Tatko konie trzymał, krowy. My mieliśmy 50 morgów ziemi. U nas była zdrowa woda i Niemcy zrobili kuchnię koło naszej studni, a za drogą był ładny dom. Właściciele wyjechali przed wojną do Ameryki. Tam niemiecki sztab był. Żołnierzy było sporo, bo tu granica była.

Byli Niemcy, co nie chcieli tej wojny. [Niemiec] przynosi nam soczewicę z tej ich kuchni i prosi o masło, jajka. Chłopcy, moi bracia, byli mali jeszcze. Przyjdzie [Niemiec], głaszcze po głowie i płacze. Mówi, że ma takie same dzieci. Cukierka przyniesie. Żony z Niemiec przysyłali im paczki żywnościowe. Były podłe Niemcy, były. Ale i naszych podłych było. Jak już front poszedł...

U K R Y W A N I E

WERONIKA STEFANIUK: Mieli to w sobie, że wierzyli, że wojna się skończy. Mówili: „Już się wojna skończy. Jak skończy się wojna...”. A my bali się, że nie dożyjemy końca wojny.

My nie mówiliśmy młodszym dzieciom, że ukrywamy Żydów, jak któreś zauważyło, to mówiliśmy: „A, to sąsiad z Peredyła [Peredyło – wieś] przyszedł”.

A jak wojna miała się skończyć, to wszędzie było dużo Niemców u nas [w Jakówkach]. W Romanowie nie, bo ta wioska oddalona i [Niemcy] bali się partyzantów.

Mama od nas poprowadziła ich na Romanów. Umówili się – jeden niósł płachtę ziela, drugi kosę i grabie, a trzeci trochę słomy. I mama z garkami z obiadu. Niby od żniwa idą, od roboty. Ale księżyc świecił. Było daleko widać. Wychodzą, jak droga idzie do Pawłowa. Dwóch poszło naprzód, mama szła z najmłodszym na ostatku. Patrz, a tam Niemcy jadą na koniach. [Niemcy] mieli pepeszaki. Mama z tym drugim gdzieś w krzakach. Oni [Niemcy] dojechali do grebli i dawaj strzelać.

Rano mama zachodzi do wujka [Mikołaja Iwaniuka]. „Ty żyjesz? My myśleliśmy, że was zabili”. „Nie, naszych nie zabili, tamtych zabili. Nasi w stodole siedzą”. Cała noc strachu.

FRANCISZKA OLESIEJUK: My to mieli taki problem, [że] do nas przychodził ojca szwagier, wścibski, dopierdliwy. „A co wy tak dużo gotujecie, was tak mało jest?”. „Bo my dużo jemy, wujku” „Taki duży garnek, i fasolę?”. Przeważnie fasolę gotowali. Jak sześcioro [Żydów] siedzi, to trzeba duży garnek. A on codziennie przychodzi i siedzi do obiadu, i my nie możemy jeść, i im nie można zanieść. Narazie my mówim: „Niech wujek nie przychodzi, bo mama chora, denerwuje się”. Jak

R E L A C J E

on nam dokuczał, Boże. Dopiero jak wyjdzie, to my wiadro, jak się niesie świniom do obory. Część [Żydów] było w stodole, a dwóch w drwalni.

Jak Niemcy przyjechali na rewizję, to z psami. Mieliśmy uczepionego psa na podwórku. Pies [Niemców] ich wyczuł. [Niemiec] pokazuje, że to do naszego. [Niemiecki pies polecał w stronę obory, czując ludzi – Żydów, żołnierz pomyślał, że jego pies tak zareagował na uczepionego psa Iwaniuków, i nie sprawdzał zbyt dokładnie zabudowań].

Jakby ich znaleźli, to by zabili. Nas też.

To było 22 miesięcy [ukrywania], nie tydzień ani miesiąc.

P E R I A

FRANCISZKA OLESIEJUK: Pojawiła się rano. Przyszła z koszykiem na rękę, kartofli idzie zbierać – tak się maskowała. Zapytała o ojca. Mówię, że nie ma, w polu. Z Janowa oni nas znali. A ona mówi, że chce do wieczora, bo pójdzie do Janowa, do swoich znajomych. To ja jej mówię, żeby się schowała. Ale toż nie było co dać jeść. Kawy, chleba jeszcze w serwetkę zawinęła, w rękę nie niosła. I poszła do Janowa. A jak odchodziła... Dzierżawili [może jej rodzina przed wojną] sad u księdza. Jak odchodziła, zęgnęła się z księdzem, a tera przyszła i opowiedziała: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Ksiądz odpowiedział: „Na wieki wieków, amen”. Uklękła na kolana, pocałowała w nogi i zapytała, czy może do wieczora posiedzieć w chlewku. A on ją wziął za kołnierz i mówi:

„Idź, idź, moje dziecko, bo mnie zabiją za ciebie!”. Wyszła na ulicę. Od razu znajomy któryś zaczął: „O, Perla, Jude, Jude!”. Gnali ją w stronę stadniny [janowskiej] na Wygodę [wioska za Janowem]. Ale ona bardzo była sprytna, młoda i leciała. W bagno wskoczyła. I tam przesiedziała. Na Wygodzie miała znajomych i tam się skryła. A potem przyszła nazad. Nigdzie nikt nie przyjął, tylko każdy wygnał, bo zabiją. Taka była sytuacja – nie więzień [w znaczeniu więzienie] tylko śmierć. Jakby Perlę u mnie zastali...

Jak Perla przyszła z kryjówki umyć głowę, to siostra moja mówi: „Niemcy idą”. Dwóch Niemców z karabinami, idą prosto do mieszkania. Coż z Perlą zrobić? Piecyk był, ona na ten piecyk, a ja trzydrzwiową szafę nasunęła i wylatuję z pokoju do kuchni. Kłaniam się dla Niemców. A oni od razu biją w podłogę i krzyczą: „Jude!”. Ja mówię: „Jude?”. Prędzej [biore] coś na szyję i: „O! Wieszać Jude!” – pokazuję. „Gut, gut, panienska!”. Ale oczywiście chodzili po całym domu, szukali. Jak wyszli, już nie dam rady tej szafy odsunąć, już omdlała płacząc. [Perla] wylazła. My pobrali się i płakali.

Perla chodziła od jednej kryjówki do drugiej, wiadomości przносиła, kontaktowała się, kogo gdzie przeprowadzić. Też po polsku bardzo ładnie mówiła.

P O W O J N I E

FRANCISZKA OLESIEJUK: Rydlewicz wyjechał do Ameryki i napisał. Były napisane życzenia. I rewanż, że się przechował – jednego dolara nam na pamiątkę [przysłał]. Więcej nigdy się nie odezwał. Ożenił się tam, umarł

dawno. Nie o nim nie wiemy. W [194]4 wyszli. W samo żniwo [było wyzwolenie]. W sierpniu. Gidała wyjechał w 1949 roku.

Kaufman, taki mały, też u nas [był]. Jak wyjechał, to nigdy już... Jak był w Janowie, to zaraz wstąpił do policji, był taki ważny. Wyjechał do Paryża czy gdzieś. Nigdy nie dał wiadomości.

WERONIKA STEFANIUK: A nasz Wolf Engender... Jak Perla zaczęła tu przyjeżdżać [po wojnie], to dała adres i moja siostra napisała do niego: „Przysłałbyś pocztówkę chociaż na Boże Narodzenie, za to, że ja ciebie karmiła, tobie koszule prała”. Wspaniałomyślnie odpisał: „Nie mam za co tobie dziękować, bo ty mnie tak karmiła, że 36 kilo ważyłem, koszuli nie miałem”. Perla przyjechała następny raz i moja siostra rozżalona przyniosła ten list. Ona złapała ten list: „Nas dużo zginęło, ale jednego za mało!”. Nie oddała tego listu i się skończyło.

Jak ja za mąż szła, toż to nędza była w 1950 roku, napisałam, bo wtedy adres był do niego, żeby przysłał dla mnie koszulę, bo za mąż idę. To przysłał jednego dolara. „Sprzedaj i kup koszulę”. Za dolara nie było koszuli.

Jak mój brat był [w USA], to trochę mieszkał u Janka, a do Mietka zajechał. Była tylko żona. Powiedziała, że „w tej chwili męża nie ma, ja pana nie znam, a [mąż] jest na karcie”. [Brat] obraził się. I tak to się skończyło.

FRANCISZKA OLESIEJUK: Jak Perla wyjechała po wojnie, to najpierw do obozu. Oni nic nie mieli! Nas bili [ludzie we wsi, ale chyba niedostojnie bili] za to, że złoto żydowskie...

R E L A C J E

Perla miała w chusteczce od nosa – tyle miała bogactwa co w rękę.

Wyjeżdżali z Polski najpierw do Niemiec, a stamtąd do Ameryki. Na granicy, przy rewizji, książeczkę do nabożeństwa... Mój ojciec bardzo wierzył, że Pan Bóg tylko ocalał ich i nas, że nie zabili i kapliczka stoi tu wymurowana. Modlił się i ona się modliła. A na granicy znaleźli książeczkę do nabożeństwa. I nie puścili.

Potem pojechali do Ameryki. On [mąż Noah Rodzynek] pracował na budowie. Perla, jak wyjechała, to paczki przysyłała, listy. Sześć razy była w Polsce. W 1975 przyjechała pierwszy raz.

A N T Y S E M I T Y Z M

WERONIKA STEFANIUK: Prokurator [w Lublinie] nas wypytывał, my opowiadamy, a potem pytamy: „Na co to wam?”. A on mówi, że „Świat protestuje [dziwi się], że my pozwoliliśmy wybudować te obozy – Treblinkę i inne”. „A kto pytał nas? Toż naszych też mordowali”.

My podpisałyśmy z siostrą te zeznania, a on mówi: „Dobrze, że panie podpisały”.

2 rodziny przechowały 2 Żydówki, ciotkę z siostrzenicą. Było chyba więcej Żydów w tej wiosce. To było koło Lublina. Niemcy otoczyli [wieś], ale ktoś dał im [Żydom] cynk, że szykuje się łapanka. [Niemcy] spalili wieś, a te Żydówki uciekły, schowały się. Potem powróciły, i bardzo ta [Polka ukrywająca je] płakała, że im spalili Niemcy zabudowania, a [Żydówka] mówi: „Nie martw się, ja po wojnie was odbuduję”. Ale zaraz niedługo wojna się skończyła. Ona już wyszła, po-

gnała się z nami, wyszły obie [Żydówki]. Za 2 czy 3 dni przychodzi sąsiad i mówi: „Słuchaj, twoje Żydówki tam pozabijane w kartoflach leżą”. A prokurator pyta się: „To kto ich zabił? Przecież nie Niemcy, bo już Niemców tydzień nie było”.

Prokurator tłumaczył: „Mam zbierać wiadomości o Żydach. Nie tylko [Polacy ich] mordowali, ale byli ludzie, co pomagali im przeżyć”. Ta pani nie chciała podpisać, mówiła, że nigdy nie podpisze, że tam jest napisane, że Niemcy zabili. A przecież nie było już Niemców.

A jak z Janowa do Białej wywozili Żydów, co się uratowali, w lesie była zasadzka. Wybili ich. Dwóch uciekło i jeden ubowiec.

Młynarza zabili. Miał Polkę, kobietę i dziecko. I też zabili. Już Niemców nie było ze 2 miesiące albo i więcej. Byli [Polacy], co pomagali im żyć, a byli i tacy, co pomagali ich niszczyć.

Perla przysłała mi paczkę i chustkę. Zachodzę do swojej teściowej, szwagier był, a teściowa już wiedziała, że u nas przechowywali się [Żydzi], już można było [powiedzieć], mówi: „Pewnie to tobie tam z Ameryki przystali”. „Tak”. Józiek, szwagier: „A kogo ty tam masz w Ameryce?”. Teściowa: „A toż Żydów Weronki mama przechowywała”. „Tak? Ja nie liczę ich za człowieka, ja by Żydów kroił i solił!”. Gówniarz, nie nie wiedział o Żydach, bo był jeszcze mały [w czasie wojny]. Pytam: „A co oni tobie zrobili, katoliku jeden? Co zrobili tobie?”. „No, mi nie nie zrobili, ale ja ich tak nie cierpię, jak nie wiem co!”. Toż on ich w życiu nie widział. My to mogli ich kochać, mogli my ich nienawidzić, ale taki gówniarz, co był mały, jak było to wszystko! I on mi mówi w oczy... Ale jeszcze podkreślił: „A nie tylko Żydów, ale i tych, co Żydów przechowy-

wali”. Ja mówię: „To ty i mnie możesz zakatrupić”. Mówią, że ci co ratowali... przestępcy, jednym słowem przestępcy.

W każdym razie nie mamy się czym szczycić, byli co ratowali i byli... Potem się jeszcze na nas znęcali.

Jak już Żydzi zaczęli wychodzić z dziur to... Sąsiad do mnie: „No co, żydowskie wycieruchy?”.

Stefaniuk [mąż pani Weroniki]: Ja u Żyda uczył się na krawca [zaraz] po wojnie... I przyszli te partyzanty całe, żeby się za 2 tygodnie wynieśli wszyscy Żydzi. Ale oni nie wyjechali. I ten mój mistrz, co ja się u niego uczył, wyjechał, przed tym dniem [wyznaczonym przez partyzantów] 2 dni wcześniej. Dali 2 tygodnie terminu, żeby oni wyjechali. Ale oni nie wyjechali. Tylko ten mój mistrz wyjechał i jeszcze jeden wyjechał. Bendlery. Oni w Janowie mieszkali. To fryzjer był jeden, a ojciec był lekarzem.

FRANCISZKA OLESIEJUK: Judkę zabili, Herszka zabili, Pereca zabili, Chaima zabili. Judka to był w Rosji, przyjechał odwiedzić Rydlewicza. A drugi to przechował się w Werchlisii. Jak przyszedł [Judka], przyszli jego odwiedzić i one wszystkie zginęły. I Perec Rydlewicz [nie mylić z Gedalą Rydlewiczem], co u nas się przechował też. I Herszek, i Judka. To było zaraz po wojnie. Już jak wyleźli z dziur. **WERONIKA STEFANIUK:** Ale oni odważni, że nie boją się żyć w Polsce. Po tym wszystkim.

[Mikołaj Iwaniuk oraz córki Paulina, Franciszka, Danuta otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1989 roku.]

R E L A C J E

JAN TOMASZ GROSS:
STRACH. ANTYSEMITYZM
W POLSCE TUŻ PO
WOJNIE. HISTORIA
MORALNEJ ZAPASCI.
KRAKÓW 2008.
ZEZNANIA GEDALI
RYDLEWICZA

„Po wyjściu Niemców wróciłem do Białej Podlaskiej i zacząłem pracować w gimnazjum państwowym im. Kraszewskiego jako malarz i szklarz. Na moje szczęście wrócił właśnie wtedy dyrektor gimnazjum państwowego p. Stanisław Damrosz, który był zawsze bardzo dobry dla Żydów i pomagał im. Dał mi od razu pracę w swoim gimnazjum i wyrobił mi jako pracownikowi gimnazjalnemu wszystkie ulgi pracownika państwowego. Miał z tego powodu wiele przykrości, ale mimo to przeciwstawił się tym, którzy protestowali przeciwko pracy Żyda [...]”.

(str. 112–113)

„Oprócz Antosi Wyrzykowskiej i Karolci Sapetowej jeszcze jedną postać prostego człowieka i katolika chciałbym na stronach tej książki wspomnieć, postugując się świadectwem żydowskiego szklarza Gedalego Rydlewicza, spod Janowa Podlaskiego: W tym czasie dowiedziałem się, że w okolicy mieszka jeden, którego nazywają »świętym«. Nazywa się Mikołaj Iwaniuk. Jest wdowcem, mieszka pod lasem z dwiema córkami. Nazywają go świętym, bo prowadzi bardzo bogobojne życie i pomaga wszystkim biednym i nieszczęśliwym.

129

A w tym czasie najniezwyklejszymi byli właśnie Żydzi. Więc im najwięcej pomagał. Odszukałem Iwaniuka i ukrył mnie u siebie. Byłem u niego osiem miesięcy aż do przyjazdu Rosjan [...]. Iwaniuk trzymał u siebie wielu Żydów [...]. W sumie 60 Żydów przewinęło się przez ten czas przez jego dom [...]. To był naprawdę święty [...]. Dostawa-

łem tam całodziennie utrzymanie. Jego córki gotowały i przynosiły nam jedzenie. Te córki były także bardzo delikatne, zupełnie jak panny z miasta z najlepszych domów. Pracy tym biednym Żydom ich zawżone koszule i wszystkie najgorsze roboty robiły [...]. Żli ludzie ciągle go denuncjowali i na skutek tego miał wciąż rewizje żandarmów [...], ale

nikogo nie znaleźli [...]. Iwaniuk wierzył, że człowiek musi ratować człowieka, że to Chrystus mu kazał tak postępować. Układał religijne poematy i błogostawił nas wszystkich. Opowiadał nam, że ukazała mu się Najświętsza Panienka i powiedziała »ratuj ludzi«. (ŻIH, 301/466).

(str. 303)

D E U T S C H

Franciszka Olesiejuk, geborene Iwaniuk, wurde 1924 geboren. Weronika Stefaniuk, geborene Mironiuk, wurde 1931 geboren.

Während des Krieges half die Familie von Franciszka Olesiejuk – der Vater Mikołaj Iwaniuk, die Mutter, die Schwester (Paulina) und Franciszka – vielen Juden. In ihrem Haus in Romanów, in der Nähe von Janów Podlaski, versteckten sich unter anderen: Gidala Rydlewicz, Noah Rodzynek und Izrael Kaufman. Mikołaj Iwaniuk brachte andere Juden auch bei Verwandten und Freunden unter.

So beteiligte sich auch seine Schwester, Julianna Mironiuk, die Mutter Weronika Stefaniuks, an der Hilfe für Juden. Julianna Mironiuk wohnte mit ihren acht Kindern in Jakówki, in der Nähe von Janów Podlaski und nahm Mietek (Motel Goldszept), Janek (Szłoma Goldszept) und Władek (Wolf Engländer) bei sich auf. Perla Goldszept, die Schwester von Motel und Szłoma, versteckte sich gleichzeitig in verschiedenen Häusern.

Franciszka Olesiejuk und Weronika Stefaniuk erzählen auch vom polnischen Antise-

mitismus nach dem Krieg. Viele Juden, die den Krieg überlebt hatten, wurden später von Polen umgebracht. Familie Iwaniuk blieb nach dem Krieg mit Perla Goldszept, ihrem Mann, Noah Rodzynek, und Noahs Cousine, Ewa Sarnecka, die den Krieg in einer Partisanengruppe im Kozieniecki-Wald überlebt hatte, in Kontakt. Gidala Rydlewicz arbeitete nach dem Krieg an der Hochschule in Biała Podlaska. Zu den anderen Überlebenden hatte die Familie nur selten Kontakt.

E N G L I S H

Franciszka Olesiejuk, née Iwaniuk was born in 1924. Weronika Stefaniuk was born in 1931.

Both of them tell stories of the Jews saved by the Iwaniuk family. Mikołaj Iwaniuk, Franciszka's father, his paralyzed wife and

daughters (Franciszka and Paulina) helped many people. Mr. Iwaniuk also sent Jews to hide with his distant relatives and friends.

R E L A C J E

The Iwaniuk family sheltered among others: Gidala Rydlewicz, Noah Rodzynek and Izrael Kaufman. Mr. Iwaniuk's sister, Julianna Mironiuk, lived with eight children, one of whom was Weronika Stefaniuk. Weronika's family sheltered the brothers: Mietek (Motel Gold-

szeft) and Janek (Szloma Goldszeft) and also Wladek (Wolf Englander). Motel and Szloma's sister Perla Goldszeft who after the war, took the name, Rodzynek was also sheltered in several houses within the village during this time. Franciszka and Weronika recall that

many Poles were anti-Semites who after the liberation, killed Jews who survived the war. The Iwaniuk family kept in touch with Perla Goldszeft, her husband Noah Rodzynek and Ewa Sarnecka, Noah's cousin, who survived the guerrilla ambush in the Kozienice Forest.

After the war Gidala Rydlewicz worked as a teacher in a secondary school in Biała Podlaska. Most of the other rescued Jews occasionally contacted the Iwaniuk family. From some, they have not heard anything, following the liberation.



01

Dwaj uratowani przez rodzinę Iwaniuków w towarzystwie Franciszki Olesiejuk.
Zwei von Familie Iwaniuk Gerettete mit Franciszka Olesiejuk.
The two men rescued by the Iwaniuk family, in company with Franciszka Olesiejuk.



02

Wezwanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.
Die Vorladung der „Hauptkommission für die Untersuchung der hitlerischen Verbrechen“.
A summons from the Central Commission for the Investigation of Nazi Crimes.



03

04

Stoją od lewej: David Finkelsztajn, Mikołaj Iwaniuk, Gedali Rydlewicz.
Siedzi Wolf Englander.

Von links, stehend: David Finkelsztajn, Mikołaj Iwaniuk, Gedali Rydlewicz.
Sitzend: Wolf Englander.

Standing from the left: David Finkelsztajn, Mikołaj Iwaniuk, Gedali Rydlewicz.
Sitting Wolf Englander.

Górny rząd trzeci od lewej: Noah Rodzynek.

Dolny rząd trzecia od lewej: Perla Rodzynek z domu Goldszept. Dolny rząd druga
od lewej: Franciszka Olesiejuk. Fotografję wykonano w 1988 roku.

Noah Rodzynek in der oberen Reihe, (Dritter von links). Perla Rodzynek
(geborene Goldszept) in der unteren Reihe (Dritte von links). Franciszka Olesiejuk
in der unteren Reihe (links), 1988.

The back row, third from the left Noah Rodzynek. The front row, third from the left,
Perla Rodzynek, née Goldszept. The front row, second from the left, Franciszka
Olesiejuk. The photograph taken in 1988.

ROK 1944 SIENNICA NADOLNA RELACJE SIENNICA NADOLNA URODZENIA STEFANIA WÓJCIK

Jestem z 1 maja 1944 roku, Stefania Wiesława Wójcik, z domu Sadlak. Moi rodzice i dziadkowie mieszkali Siennica Nadolna, koło Krasnegostawu. Moja mama była z 1923 roku, a tato z 1919. Mama umarła w 1992 roku, a tato rok po mamie.

ŻYDÓWKA

Ona nazywa się Michael Abramowicz po mężu. Przypuszczam, że jest z 1930 roku. Uciekła z obozu z Chełma. A może z Borku, bo tam przy ulicy Rejowieckiej był obóz dla Żydów. W obozie była z matką i siostrami. W każdym razie uciekła. Sama. Była dzieckiem. Mogła mieć 10, może 11 lat. I wtedy ktoś jej powiedział, że zna na wsi dobrych ludzi, dobrego gospodarza. „Słuchaj, dziecko, idź do Wrony przed Krasnymstawem, oni cię nie wygonią tylko cię przetrzymają”. Szła na piechotę. Chowwała się. Najlepiej jak był las, to jej nie było widać. Nie wiem, jaka to była pora, ale

ona doszła. Tamten człowiek jej powiedział: „Jak miniesz Rejowiec, będzie góra, potem Krupa, Kastjent i w Kastjanie pytaj o Siennicę Nadolną; w Siennicy każdy ci już powie, gdzie mieszkają Wrony”.

Dziadek się nie pytał. Nikt się nie pytał. Wszyscy od razu wiedzieli, że to jest Żydówka, małe dziecko, że ma na imię Micha. Od razu nazwali ją Janinka. Ona do dziś w listach podpisuje się Janinka, a przecież ona nie ma Janinka. Ją po prostu nazywali tak, żeby wszyscy myśleli, że to ktoś z rodziny.

Była u moich dziadków. Ale dziadek miał dużo ziemi, był dobrym gospodarzem, miał stawy, ryby, dorosłych synów. Jakaś partyzantka, spotkania. To znów obcy z miasta przychodzili po karpie. I zaczęli mówić, że tu Żydówka. Że „to Żydówka, że to Żydówka”. To była wojna, ale ludzie na wsi żyli normalnie. Nie to co w mieście. Wieś ta pozbawiona była tragedii, jak niektóre wsie przeszły. Także tam się normalnie żyło.

Mama mówiła, że była krótko u dziadka. Może miesiąc. Natychmiast ją dziadek z babcią odesłali do mojej mamy. Moja mama wte-

dy już była mężatką, miała 18 lat, własną chatkę od dziadkowej oddaloną może z kilometr. Z tym, że tam nikt do mamy obcy nie przychodził. Ona tam była u nas cały czas. Był brat starszy mój, o 3 lata, i ja się urodziłam. I ona się mną zajmowała. Miałam takie zdjęcie, jak mnie trzyma na rękach. Ja urodziłam się w 1944 roku i ona była cały czas.

Ona opowiadała, że nieraz mama ją budziła i ona uciekała na łąki. Wieś była bardzo malowniczo położona. Na wzgórzu były stawy. Chowwała się w trzciny. Mówiła, że nawet parę razy w zimie uciekała, bo szli Niemcy, bo była jakaś akcja partyzantów. Lecieli ludzie i walili w ścianę: „Niemcy jadą, Niemcy jadą”. I kto tam coś miał, to uciekał. Ona nieraz chowała się gdzieś na łąkach albo w trzinach. Miała schowek. Jak ktoś przyjeżdżał, to ona

wiedziała, że ma natychmiast schodzić, gdzieś schować się. Jeśli coś poważnego, to na stawach. Wiem, że były budowane pomosty w trzcinach, deski w wodzie poukładane, że to na wodzie nie było. Potem bracia mojej mamy też nieraz się tam chowali.

Dom dziadka był duży, czy do piwnicy, czy do komory. To ona w jednej sekundzie. Jej nie musiał nikt mówić. Ona sama wiedziała, że ona ma zejść.

U mamy była do końca. Potem mówiono, że to jest siostra mojej mamy. Bo moja mama była czarna i ona była ciemna.

Raz jacyś ze wsi się napili i zaczęli gadać, że u Wronów Żydówka jest. „U Wronów – mówią – była, a teraz poszła do Mancii”. Moją mamę nazywali „Mancia”. „I jest tam dalej”. Ktoś się zaczął przysłuchiwać. Przecież to był wielki strach. Zaraz mamie ktoś powiedział i znów ją gdzieś na tydzień schowali. A temu kto gadał, partyzanci wypruli flaki. Ona po tygodniu przyszła. Uspokoilo się.

WYJAZD DO IZRAELA

Nie wiem, w którym roku zbierali tych Żydów. Mama mówiła, żeby ona nie wyjeżdżała. Nie miała nikogo. Odkąd uciekła z obozu, nie widziała więcej ani matki, ani sióstr. „Zostań, ty jesteś sama, gdzie ty pojedziesz? Co będziesz robiła? Gdzie wy coś znajdziecie? Przecież tutaj żyłaś cały czas”. Mama była przeciwna. Mówiła: „Będziesz z nami i nie zginiesz. Do szkoły pójdziesz”. Ale jakoś tak chciała do swoich widocznie. Mamy najstarszy brat namówił ją. Może i ona chciała, może myślała, że kogoś spotka swojego. W każdym razie, wziął ją wuj,

mamy brat najstarszy, i gdzieś ją zawiózł. Nie wiem, gdzie oni tam się zbierali. I ona pojechała do Izraela. Płynęła na statku. Nigdzie ich nie chcieli przyjąć. I od razu była w wojsku. Na tym statku podobno była w wojsku. Ciężko jej było. Tam bieda była na pewno.

Ona przeżyła młodzieńczą, podlotkową miłość u nas do sąsiada. Jej ciężko było wyjeżdżać. Może ona miała już 14 lat. Ciężko jej było. Ona sama była przecież. Pielęgniarską szkołę skończyła i właśnie wtedy ktoś ją polecił pewnemu panu. Ona się nie zakochała. Wyszła za męża za starszego mężczyznę. Był rok 1959 [wtedy już mieszkała w Niemczech].

KONTAKTY

Pisała do nas cały czas. Ona nam nigdy nie nie pomogła, broń Boże. Bo ona była sama biedna. Jak wyszła za męża, to owszem, on był jubilerem, jeździła po świecie, ale to było krótkie małżeństwo.

Ona do nas pisze cały czas. Nikt tam u niej nie był, chociaż ona zapraszała, żebym przyjechała. Bardzo zżyta była z mamą, bardzo.

ODWIEDZINY

Później ona nas odwiedziła w 1972 roku. Samolotem przyjechała i ja po nią wyjechałam z mężem, mama została z moimi dziećmi. Po

RELACJE

znałam ją od razu, ze zdjęcia. Była u mamy. Mama mieszkała na ulicy Hrubieszowskiej. Ona była dość długo, do dwóch miesięcy. Ciągłe nam dziękowała, że żyje tylko dzięki nam. Dlatego, że dziadek jej nie wygonił. Jakby ją wygonił przecież, to by nie była i u mojej mamy. No i tyle.

Jej rodzice przed wojną nie byli bogatymi ludźmi. Dlaczego? Ona pokazała nam, gdzie mieszkała. Na Lubelskiej, po prawej stronie przed parkiem w jednym z tych niskich drewnianych domów. Ona nawet tam poszła. Nie była mile przyjęta. Także to nie była jakaś kamienica, absolutnie.

Pojechała też z nami na wieś, do Siennicy i zastała tam wszystkich żyjących, tych z którymi była – dziadka, moją mamę, mamy rodzeństwo. Mówiła, że ona poznaje drzewa, które mijała, jak szła do dziadka.

Zawieźliśmy ją też do Sobiboru i na Majdanek, i do Krakowa. Szukała nazwisk. Wszędzie czytała nazwiska. Ale nigdzie nie znalazła swoich śladów.

Ona nie miała lekkiego życia.

Wyjechała. Bała się najwidoczniej, taka była propaganda, że ją mogą nie wypuścić, bo to nie dzisiejsze czasy. Ale ona zawsze do nas pisała. Zawsze. Po polsku oczywiście. Po polsku i podpisuje się „Janinka”, tak jak była nazywana przez mojego dziadka.

Wiem tylko tyle, jak ona szła, jak się strasznie bała. Jako dziecko, na piechotę. Często musiała uciekać, bo to jaką akcję partyzanci robili, gdzieś tam jakieś tory wywalili, coś na moście kolejowym. I zaraz wieś: „Już jadą, już jadą”. Czasem jechali, czasem nie. Ona jedna z tej rodziny ocalała. Przyszła na piechotę. I tylko jedna się uchowała.

Miała syna jednego chłopca, Emanuel.

O M E D A L U

Myśmy w ogóle o tym nie nie wiedzieli. Ona nie nie pisała, że się o coś stara. Dostałam

telefon. Rodzice już nie żyli. Ona pisała do nas listy, ale w nich nie pisała, że się stara o jakiś medal dla moich rodziców. Absolut-

nie. W 1994 roku w zamku w Lublinie odebrałam medal za mamę i za dziadków.

D E U T S C H

Stefania Wójcik, geborene Sadlak, wurde 1944 geboren. Ihre Familie wohnte in Siennica Nadolna, in der Nähe von Krasnystaw. Sie berichtet von dem jüdischen Mädchen Michael Abramowicz, das aus einem Lager in Chełm geflohen war. Das Mädchen wurde Janinka genannt. Einen Monat lang war sie

bei den Großeltern Stefania Wójciks, Familie Wrona und danach lebte sie bei der Mutter Stefania Wójciks.

In gefährlichen Situationen versteckte Janinka sich am Teich oder auf den Wiesen. Manchmal musste sie dort einige Tage lang warten. Janinka entschied sich nach dem Krieg nach Israel auszuwandern, obwohl Familie

Sadlak ihr angeboten hatte zu bleiben. Noch immer stehen sie in Briefkontakt. 1972 kam Janinka zu Besuch nach Polen. 1994 hat Stefania Wójcik die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ in Vertretung ihrer Großeltern und Eltern erhalten.

E N G L I S H

Stefania Wójcik, née Sadlak was born in 1944. Her family lived in Siennica Nadolna near Krasnystaw. She tells the story how her grandparents hid for a month a Jewish girl. Her name was Michael Abramowicz and she came from Chełm. They called her Janinka. Later, until

the end of the war, she was sheltered by Stefania's mother. When endangered, she would hide by the lakes or meadows in the area, sometimes not returning for several days. After the war, despite Stefania's mother trying to persuade her to stay with her, Michael decided to emigrate. She lives

in Germany. They are still in touch by mail. In 1972 Michael came to visit Stefania in Poland. In 1994, Stefania Wójcik received the medal "The Righteous Among the Nations" posthumously awarded to her grandparents and parents.



01

02

03

Rodzice Stefanii Wójcik.
Die Eltern von Stefania Wójcik.
Parents of Stefania Wójcik.

STEFANIA WÓJCIK

Michael, przechowana Żydówka.
Michael, die versteckte Jüdin.
Michael, the rescued Jewish woman.

Oni byli może 2 tygodnie, a może i więcej. Zanim te rowy wykopali. To jest Bzite i Wincentów. Koło torów byli. Tam biedni ludzie mieszkali, były chyba 3 chałupy. I tam oni w starej stodole mieszkali. I stamtąd ich wywieźli. Ale gdzie powieźli, to pan Bóg święty wie. Może czeskie Żydy były? Bo po polsku nie rozumieli. Człowiek sam widzi, że goły, zimno, że głody jest, trzeba dać jeść. Samo serce mówi. Żydów zagranicznych wywieźli. Nie wiem gdzie. Czy na Majdanek? Nawet i tu, na Majdanku też wszystkich nie wybili, nie wybili. Jakaś część zawsze musi zostać i opowiedzieć swoje życie. Zawsze jest tak. Niech najgorzej cierpi, ale przeżyje, przyjdzie i powie, opíše wszystko. Taka prawda święta.

Chciałam, żeby do mnie Bronka przysłała, Żydówka. Chciałam, bo to sąsiedzi byli nasi. W naszej oborze krowę trzymali przez zimę. Jak wszystko sprzedaliśmy, budowałam się, to nam Żyd krowę przyprowadził. „No, Pawłowa, weź krowę i dój. Niech dzieci mleko piją”. To byli dobrzy Żydzi. U nas były 3 rodziny. Herszek był w wojsku polskim. Niemcy złapali Szłomę. Szłoma nie chciał gnoju trząść. „Mam się ukrywać i męczyć, to niech mnie Niemcy złapią”. Siadł na miedzy. Niemcy podeszli. „Jude?”. Przyprowadzili do nas na podwórek (tato był soltysem). Mama mówi do Niemca, że da im mleka się napić, tym dwóm Żydom. Bo jeden to sąsiad, drugi też na wiosce naszej mieszkał. Ale „Nein”. I mama odeszła. Tylko tym Niemcom postawiła mleko.

Ale to byli szlachetni Niemcy, bo jak mama powiedziała: „Napijcie się mleka”, Niemiec powiedział: „Nein. Tu czworo dzieci jest. Nein”.

Herszek gnój trząst. I Niemcy go nie ruszyli. A Bronka prosiła, żeby jej dowód zrobić polski. Mówiłam mamie: „Ona powiedziała, że ma tyle złota. Walizkę złota, że będą dzieci, wnuki i prawnuki mieli z czego żyć. Bo jej to Niemcy zabiorą”. I zabrali. Mi się zdaje, że ktoś jej dał dowód polski. Czy to ktoś z tamtej stodoły, co tam Żydzi mieszkali?

Ostatni raz mama zaniósła chleb. Coś mamie dał ten Żyd. Niemcy zabrali ciotki chłopca. Czekałam na łąkach z krową. Już tam Żydów nie było. Czekałam na ciotkę. Ale już słońko zachodzi, tak się robi jak to w jesieni. Ponuro, mgła pada. Patrzę, idzie przez torfowiska moja Bronka, Żydówka. Mówię do niej: „Bronka, chodź do nas”. A ona: „Zosi, ja do was nie pójde”. „Bronka, chodź do nas, my cię schowamy. Na górce”. „Zosi, ja do was nie pójde, bo u was cały dzień ludzie przychodzą. Ja do was nie przyjdę. Mama mi kazała szybko do domu”. I poszła, ale nie chciała powiedzieć, gdzie jest, u kogo. Najprawdopodobniej była na Zakręciu. U Jonka. Chodziłam się bawić, a ona przez okno patrzyła na górce. Siedzieli na górce i pióra darli. Skarżyła się: „Zosia się bawi, a ja się z nią nie mogę bawić. Tylko muszę siedzieć na górce”.

Ktoś potem przyskarżył. Niemcy przyszli i okrzykli. Jedną Żydówkę zabrali. Reszta uciekła. I Bronka uciekła. Chłopak, który ja

przetrzywał, potem się z nią ożenił. Szybko umarł.

E G Z E K U C J A

I potem tych Żydów zabili Niemcy. Buty im [Żydzi] wyczyścili, i zabili. I tych dwóch, co złapali na polu. Zabili ich koło mostu. Jeden z tych, co kopali rowy, powiedział: „Jeśli wrócę, zakopię złoto. W tym miejscu”. Pokazał gdzie. Zaznaczył mi. Zakopie złoto. W walizce to się nie zepsuje przez lata. „Jak będę żył, wrócę po nie. A jak ja nie będę żył, ty wykop”. Dobrze. Dziś nie mogę tam pójść, bo to nie moja łąka. Nie mam prawa.

W Y Z W O I E N I E

Tu gdzie mieszkaliśmy, Stężyca, front poszedł. W 1944 już Ruski zabrał Ukraińców na Ukrainę. A to było jeszcze w 1943 roku. W 1943, może w 1942. Gdzieś w tych dwóch latach. W 1945 wyszłam za męża, a stężycków Ukraińców w 1944 wywieźli za Bug. Ruskie powiedzieli, że w Polsce nie ma Ukrainy, tylko Polacy są. I wywieźli ich.

Jak na wsi byłam, wszystkich karmitam, starszych ludzi i dzieci miałam ośmioro. I dałam radę. Mąż do pracy, a ja zawsze sama. Wyszłam za męża za młodych lat i jakoś przeżyłam tyle lat. I niby jestem chora, ale to nie. Bo zawsze mi się przypomina, że nakarmiłam głodnych i to za to jest podzięką.

D E U T S C H

Zofia Świdnik, geborene Waremczuk, wurde 1928 in Steżycza geboren. Sie erzählt, wie sie den Juden, die wäh-

rend der Besatzung Wassergräben graben mussten, Essen brachte. Sie erinnert sich an ihre jüdische Nachbarin Bronka, der sie ein

Versteck bei sich zu Hause einrichten wollte. Bronka wollte sich aber nicht bei ihr verstecken, weil es zu viele andere Bewohner gab.

E N G L I S H

Zofia Świdnik, née Waremczuk was born in 1928 in Steżycza. She recounts how, during the occupation, she carried food for the Jews who

were used as forced labour, compelled to dig ditches. She also mentions her neighbor Bronka whom she offered a hideaway. Bronka refused this because many people

visited Zofia's house as her father was a village leader.

ROK NIEZNANY

BOŻA WOLA BOŻA WOLA

RELACJE

BOŻA WOLA BOŻA WOLA

JULIANNA WERESKA

URODZENIA

Wereska Julianna, [z domu] Kędra, córka Jana i Katarzyny. Mieszkaliśmy we wsi Boża Wola, gmina Zakrzówek, powiat Kraśnik, województwo lubelskie. Myśmy się urodzili na Woli Studzieńskiej, a później ojciec nam pobrał mieszkanie w Boży Woli i tuśmy z bratem prześli w 1940 roku. Ojciec zmarł w 1933 roku, a mamusia w 1940.

ŻYDZI

Nie pamiętam daty, kiedy przyszły te Żydy. Byłam młoda jeszcze wtenczas. [Miałam] 13 lat. A brat miał niecałe 20. Siostrę starsząśmy mieli, ale już była żonata na boku. Prosiłam brata: „Nie bierz, bo to jest niebezpieczne”, a on powiedział: „W Boży Woli co druga chałupa Żydów trzymają, cicho, cicho”. Przyszli wieczór. Była już jesień. [Przyszło] pięcioro ludzi: dwoje rodziców – już takie staruszki – i troje dzieci. Chłopak najstarszy miał 14 lat, dwoje było młodszych. Przyprowadził ich najstarszy syn,

[ale] on nie mieszkał u nas. Ukryliśmy ich na górze... Przeszło 2 miesiące byli, może 3. To była jesień, już się zimno [robiło]. Listopad i grudzień byli. A w styczniu już... Fisiel, Żydy nazywali się Fisiel. Fiszel czy Fisiel. Jakiś Motek, Rajza, takie były ich imiona. Pochodzili z Woli Studzieńskiej. Oni byli znajome Żydy i brat ich przyjął. Nie było co dawać jeść, ja nie bardzo miałam chęci, byłam młoda. [To] był mój bardzo ciężki obowiązek – pięcioro ludzi trzymać pod strachem na górze, w słomie.

KRYJÓWKA

[Trzymaliśmy ich] na górze uborzany [obory], na chlewach, w słomie – tam były snopki i tamśmy zrobili im dziurę. Nosiłam im zawsze 3 razy dziennie jeść. Oni nie chcieli jeść, bo ja im kroiłam słoninę, bo nie miałam cemu, ale to dla ich życia było.

RELACJE

WYKRYCIE

Ten najstarszy syn gdzieś poszedł i nie przychodził nigdy. Ale 5 stycznia 1943 roku przyszedł do nas, na Trzech Króli. Duży śnieg upadł, że były ślady, jak ktoś szedł. Przyszli we troje, młoda dziewczyna, ten syn [ukrywających się] i jeszcze jeden Żyd. Tylko: „Dziń dobry” i ci dwaj mężczyźni siedli pod oknem przy stole i zajęli się patrzeniem w zegarek, bo im się zegarek zepsuł. Mój brat patrzył, jak oni ładują, ciekawy był. A Żydówka wzięła druty i robiła sweter.

Nie wiem, o czym z bratem rozmawiały, ja ich nie słuchałam, zajęłam się kuchnią. Jakśmy się spojrzeli, mówię: „Cóż to tyle ludzi idzie?!”. Szły Polacy z Kolonii Studzieńskiej, przeważnie chłopcy. Mówię: „Co te chłopcy idą, dlaczego?”. Szło ich z dziesięciu, może więcej. I na mojego brata: „Żydów trzymasz”. Obstąpili nasz dom i do mieszkania naszło się, bo z Boży Woli znowuż [za] jakieś parę minut drugie chłopcy przyszły. Myśmy mieszkali na kolonii, na polu, za cmentarzem – było tam 4 mieszkań tylko

naszej kolonijki. I oni zaczęli rzucać słomę wszędzie, trzęść za Żydami. Jak znaleźli Żydów – wszystkich do mieszkania pościągali, dzieci i rodziców. Żydy chciały uciekać, ale [chłopi do nich] z pałami – broni nie mieli tylko pały te chłopcy nasze. Krzyczały, że brat złodziej, że bandyta, że chodzi z Żydami. On nigdzie nie chodził. Wtenczas dawali 2 kila cukru za jednego Żyda – Niemcy tak im obiecali. Nie wiem, czy im słodko było, bo nam nie. Jak oni [posłali] furę po policję do Zakrzówka, Żydy chciały ucieknąć. Wtenczas z Woli Studzieńskiej był pogrzeb – moi babci brat zmarł i szedł pogrzeb. Wypadłam z tego domu i troje tych Żydów. Te mocne, młode, dwóch mężczyzn i dziewczyna, zaczeni uciekać. Uciekali do sąsiedniej wioski. [Wtedy] mężczyźni pognali [za nimi] przez drogę na pola. Ta dziewczyna zapadała się, przewracała, ale podrywali ją te mężczyźni. Wtenczas nadszedł kundukt żałobny tego dziadka i ja się wmieszałam na pogrzeb. [Zdążyłam] powiedzieć bratu: „Uciekaj, bo Żydy uciekaju i ty uciekaj”. Ale on nie uciekł. Mężczyźni nie puścili go. Późni się dowiedziała starsza siostra, przyleciała do kościoła: „Co tam się stało?”. Mówię: „Żydów znalazły”. „Tadek uciekł?”. „Nie wiem, nie wiem, czy Tadek uciekł”. „Ty nie przychódź do domu, bo mogą dom rozwalić, mogą spalić”. Już nie przyszłam. Tyle brata widziałam.

Tylko dwóch Żydów uciekło. Fisiel i ten drugi, a dziewczynę, tą Żydowicę, jakieś 17 może 16 lat miała, złapali. Mojego brata – późni mówili sąsiedzy – skutą do tego czternastoletniego Żyda, w kajdanki. Przyjechała policja z Zakrzówka. Zabrała dwoje starszych Żydów, czternastoletniego Żydzia z moim bratem skutego i dwoje malutkich i tę panienkę, która przyszła rano 5 stycznia. [Wzięli ich] na wóz i zabrała [ich] policja z Zakrzówka. Chłopy pojechali, nie wiem dokąd. Ja już się w ogóle nie pokazywałam, bo się bałam. Jak odjeżdżał brat – mówili sąsiedzy – skutą był, ni mógł ucieknąć. Cieszyły [pocieszały] go [chłopi], że go wykupią: „Nie bój się, my cię wykupimy”. Jakie wykupienie było, do dzisiaj nikt... Już nie żyją ci ludzie, co go oddali do Niemców. Tam był J., dużo [było], [ale] on najwięcej krzyczał, największą pałę miał, w tych drzwiach [stał i] nikogo nie chciał wypuścić. Ignac D. z Bożej Woli... Już nie żyją.

B R A T

[Brata trzymali] na zamku [w Lublinie], bo późni poszukiwaliśmy go. W Zakrzówku policja powiedziała, że odstawili go, [ale] nie powiedzieli, gdzie. Poszukiwała go siostra przez Czerwony Krzyż, przyjeżdżała do Lublina do zamku. Jakaś kobieta powiedziała

[jej], [że] naczelnik poczty na Krakowskim [Przedmieściu] miał znajomość z naczelnikiem więzienia na zamku. Siostra tam poszła i naczelnik [poczty] jej powiedział [co dzieje się z bratem]. Wysyłała mu paczki przez Czerwony Krzyż, nosiła do Zakrzówka na pocztę. [Brat] przysłał nam karteczkę: „Jestem zdrowy”, ale z tego papieru uklejona była koperta cośmy chleb opakowywali i list jakimś ołówce [napisany]. 5 tygodni szedł ten list. Nie do rozczytania – taki był wytarty, że trza było się dobrze przyglądać tym literkom. „Jestem zdrowy, przyslij mi gotowanego i bieliznę. Paczki otrzymuję, jak przysyłasz, tak przysyłaj”. Ale już myśmy otrzymali weźni [informację] od naczelnika poczty, że [brat] nie żyje, że już umarł. Nie wierzyliśmy, siostra [pojechała do naczelnika poczty, a ten] kazał iść do grabarza: „Zobaczysz, gdzie je pochowany, grabarz pokaże, tam dwóch je”. [Ten drugi chłopak] z Batorza był. W tej samej mogile co mój brat. Nazywał się Kędziora. Ale to dowiedziała się od grabarza. I na tem się skończyło. Siostra już nie żyje. Myśmy [później] nie szukali.

Zawiadomienie o śmierci brata dostałam od naczelnika poczty, z Krakowskiego.

D E U T S C H

Julianna Wereska, geborene Kędra, wurde 1930 in Wola Studzieńska geboren.

Während des Krieges lebte sie mit ihrer Mutter und ihren Geschwistern in Boża Wola, in der Nähe von Kraśnik. Sie erzählt, wie eines Tages eine jüdische Familie

mit drei Kindern zu ihnen kam. Ihr Name war Fisiel oder Fiszal. Die Mutter kannte die Familie schon vor dem Krieg. Sie versteckten sich auf dem Dachboden des Kuhstalls. Am 5. Januar 1943 kamen noch drei andere Juden hinzu. Kurze Zeit später kamen einige Polen, die alles durchsuchten. Sie trieben die

Juden zusammen, um sie den Deutschen zu übergeben. Die Juden versuchten zu fliehen, doch gelang das nur zwei von ihnen. Alle anderen wurden ermordet. Der Bruder von Julianna Wereska wurde festgenommen und in das Lubliner Schlossgefängnis gebracht. Dort ist er gestorben.

E N G L I S H

Julianna Wereska, née Kędra was born in 1930 in Wola Studzieńska.

She recounts how five Jews, parents and three children, came to them. Their name was Fisiel or Fiszal, and they knew her parents from before the war. Ju-

lianna's family hid them in the attic, in their barn. On January 5, 1943 three more Jews came to their house and right after them, a dozen or so Poles from the neighboring villages. They searched the farmyard, gathered all the Jews who were hiding, intending to

turn them in to the Nazis. The Jews started to run away but only two of them managed to escape. The rest was given to the Nazis who killed them. Julianna's brother was also arrested. He ended up in the prison at the Lublin Castle, where he was killed.

ROK 1949 KRAŚNIK KRAŚNIK RELACJE KRAŚNIK KRAŚNIK U R O D Z E N I A JAN MACIEJEWSKI

JA nazywam się Jan Maciejewski, jestem synem Adolfa Maciejewskiego. Jestem rocznik 1949, urodziłem się w Krasnymstawie, tam służbowo ojca przeniesiono. Ale nasze korzenie są w Kraśniku i okolicach.

JAK PRZYSZLI

Ci dwaj panowie Seidmanowie, J. i D., nie wiem, jakie ich imiona były, zgłosili się do dziadka. Dziadek mój, Wincenty Maciejewski, przed wojną był działaczem Komunistycznej Partii Polski. Miał wyrobiony prestiż, zaufanie wśród społeczeństwa. Z nim się ludzie liczyli. I do niego z różnymi poradami przychodzili. Dziadek służył 17 lat u cara. Był na wojnie japońskiej, chińskiej. Do niego każdy ze wszystkim szedł. Miał młyn, wiatrak. On lubił pomóc. Właśnie do niego zostali skierowani. Ale w jaki sposób, nie wiem. Ci dwaj Żydzi zostali ulokowani u dziadka w mieszkaniu. Siedzieli około

dwóch lat. Kilka dni temu rozmawiałem ze stryjenką, potwierdziła – około dwóch lat. Znajomi? Raczej nie. Oni pochodzili z Potoka. To jest jedna parafia. Parafia była duża. Rodzice mieszkali na początku. Odległość była pięciu kilometrów. Potok to jest kolonia. Także oni nie byli znajomi. Bo ta dwunastka, to znajomi byli.

WARUNKI

Tu jeszcze była ich siostra. Najmłodsza. To troszkę wstydlivy temat, bo tą siostrę oni oddali... Tłumaczyli, że ze względów higieny. Są dwie wersje – albo oddali ją do Kraśnika, albo do Zaklikowa. Stryjenka mówi, że do Zaklikowa. Ja słyszałem, że poszła do Kraśnika do getta. Bracia ją zaprowadzili. Dziadek, jak się dowiedział z ojcem moim i ze stryjem, to niesamowicie byli źli na nich. Mało ich tam dziadem nie prze tego. Pytali: „Dlaczegoście to zrobili?”. „Ze względu higieny”. Tak się tłumaczyli. Nie wiem, czy to powiedzieć. Często siedzieli na strychu, góra

była wysoka, jak to na wsi, były plewy. Jak trzeba było się załatwić, to chłop przez dziurę, szparę. A ona miała problemy. Tłumaczyli, że miała problemy. Musiała się załatwiać w ocieplenie, w te plewy, a to było później znać na suficie. Jak ktoś by przyszedł, to od razu by się kapnął. Można było ten temat całkiem inaczej zrobić. Tak się stało, jak się stało.

Obaj przebywali tam dwa lata. To nie było ścisłe przebywanie, że siedział tylko w dziurze, nie. Oni chodzili, wieczorami chodzili, przychodzili. W jeden dzień poszedł, na drugi dzień przyszedł. W zimie częściej siedzieli.

Najwięcej opiekowały się nimi dzieci – stryj Czesław, mój ojciec i siostra Janina. Ona dostarczała jedzenie. I tak przeżyli całą wojnę. Do nich przychodzili koledzy. Być może któryś z tych ze zdjęcia też. Przychodzili, szli razem na Zarajec. „Gdzie idziecie? – stryj opowiadał – „Idziemy tam” – „A wy gdzie?” – „A my tu siedzimy”.

I tak to było.

Na Zarajcu to byli i inni, o których później będę mówił – o dwunastu Żydach. Bardzo

143

dużo czasu tam spędzili. Na Zarajcu było ściśle grono, że jeden drugiego nie wydawał. Tam nie wolno było. Jeden drugiego wydał, jeden drugiego oskarżył, to było złe. Tam oni mieli bardzo dobrze. Nawet do tego stopnia, stryj mówił, do tego stopnia pozwalali sobie, że już chodzili po wsi. Nie bardzo się kryli. Tam siedzieli dłużej. Tak było do zakończenia wojny.

J E S Z C Z E J E D E N

Był jeszcze jeden, który był dosyć blisko pod koniec wojny. Chyba przez rok, pod koniec wojny był w Kraśniku, w getcie przy bożnicy. W getcie znajdowali się Żydzi przeważnie fachowcy: krawcy, szewcy, złotnicy. Stryjek mówił, że oni dobrze zapoznali się z niektórymi Niemcami. I żyli. Jak przyszedł rozkaz „zlikwidować wszystkich”, parę dni wcześniej część Niemców powiedziało im o tym. I nakazali, żeby, jak mogą, niech szukają sposobów ucieczki. To uciekło, nie mogę dokładnie powiedzieć, czy siedem, czy dziewięć osób. Tylko. Bardzo mało. Między innymi uciekło... Nazwali go Olejarz, bo to był olejarz. Wysoki chłop, podrudawy. Nikt nie wie, jak się nazywał, jak miał na imię. Olejarz był gdzieś z Poznańskiego. Doszedł do Polichny do Podlasu, prosił o pomoc. Skierowali go do Maciejewskiego. „Oni ci mogą udzielić pomocy”. Przyszedł do nas. Poprosił o pomoc. To wiem dokładnie, bo i ojciec opowiadał, i stryjek. I dziadek go przyjął. „Co – mówi – z tobą zrobić? Z czym ty przetrzymasz? Masz jakieś pieniądze, żeby komuś dać, żeby ktoś cię przetrzymał?”. Miał 100 dolarów. Tylko tyle. Ale w całości. To trochę

złe. „Za 100 dolarów czy za 50, jednakowo ktoś cię będzie trzymał. „Chłopi chcieli albo jedzenia, albo dolarów. „Ja cię skieruję, tylko te dolary trzeba gdzieś rozmienić, żebyś dwa razy miał”. Dziadek wysłał mojego ojca do właścicielki młyna do Polichny, żeby ona rozmieniła dolary. Pani Babiczowa, mówiło się na nią „Babiczka”, pani Babiczowa rozdarła się na niego. „Uciekaj stąd!”. Nie chciała słyszeć o dolarach. „Co ty chcesz, żebym zginęła?”. Wiadomo było, jak były dolary, znaczy, że Żyd gdzieś był niedaleko. Nie chciała się wcale zgodzić. Dopiero jak wytłumaczył jej, kim jest, że go przysłał dziadek, Wincenty Maciejewski, ach, no to dobrze, chodź. Rozmieniła, ale już mu nie kazała iść przez wieś tylko za wsią przez pola.

Olejarz był na Zarajcu przechowywany. Raz za 50 dolarów 3 miesiące czy ileś, później drugi raz. Dożył do końca wojny. I odszedł. Nie przyszedł na pożegnanie. I też o nim nie wiemy, co dalej.

P O W O J N I E

Po wojnie Seidmanowie odeszli. Jeden gdzieś w Polichnie, niedaleko, około kilometra od nas, wynajął mieszkanko, kącik, maszynę zdobył i szył. Zajmował się krawiectwem. Niedługo. Przez kilka miesięcy. A drugi pojechał do Janowa [Lubelskiego] i tam zginął. W niewyjaśnionej sytuacji. Miał prośbę, żeby nie jechał. Dziadek nie kazał. „Nie jedź, mówi, nigdzie. Wszystko

R E L A C J E

się uspokoi. Jest wszystko zawczas, mówi, poczekaj parę lat”. „Nie, nie, nie”. Pojechał. Dziadek, ojciec mój i stryj, mówili, że tyle się męczyli, a on pojechał i...

Ten pierwszy prawdopodobnie później pojechał do Austrii. Tyle o nim wiemy, że pojechał do Austrii. I nic. Żadnego kontaktu do dzisiaj z nim nie było. Nic. To tylko to zostało [pokazuje zdjęcia]. Tamten zginął w Janowie [Lubelskim]. Z tą dziewczynką to samo. Nie ma kontaktu.

D W A N A Ś C I E O S Ó B

12 osób to z Polichny, oni rodem pochodzili z Polichny. Tam mieli mieszkanie. Mieszkanie zostało chyba zbombardowane czy spalone, nie wiem. Byli znajomymi sprzed wojny. Utrzymywali z dziadkiem kontakt. Tak, porządne ludziska. I przyszedł czas, kiedy trzeba było im pomóc. Ale nie można było ich przetrzymać. Było ich za dużo. U nas nie było budynków gospodarczych, bo dziadek więcej przebywał poza granicami. Był tylko wiatrak. Trzeba było wynaleźć dobre, bezpieczne miejsce. Były przypadki, ktoś komuś przekazał, a tamten później wydał. Trzeba było sobie wziąć na głowę, żeby oni przeżyli. A tutaj tak nie bardzo miał kto. Dziadek miał zaufanie wśród ludzi, dziadek i stryjek. Stryjek przed wojną już miał tokarnię w Lublinie na Lubartowskiej. Kupił u Żyda. To była ręczna tokarnia. Stryjek dużo rzeczy chłopom wyrabiał, lemiesz klepał, ostrzył, toczył. Ludzie bardzo go szanowali. Dzięki temu miał wyrobione znajomości. A tam na Zarajcu dziadek miał kolegę. Nazywał się Skarbucha... Skrabucha. I właśnie oni się

podjęli. Dłuższy czas ich utrzymywali. Dwa razy się zdarzyło, że przyszli ci gospodarze i dawali nam znać, żeby zabierać se ich gdzieś dalej, albo skombinować jedzenia. Oni sobie gdzieś tam sami kombinowali trochę. Ale to wszystko nie zabezpieczało. Dziadek wysłał ojca i stryjka do Pastusiaka na Józefowie prosić o zboże, o worek pszenicy. Ten mu dał. Zaniesły worek pszenicy. Później ten worek 2 czy 3 dni musieli przy żniwach odrabiać. Więcej warta ta odróbka niż pszenica.

2 przypadki były donoszenia im jedzenia.

Na ostatnie 9 miesięcy wojny ukryli ich u mojej cioci we wsi Popielarnia, koło Potoka, blisko lasu. Chyba do dzisiaj stoi ten dom. Tam już nie bardzo kryli. Moja mama kilka razy zaszła do cioci, to mówi, widziała ich, jak drzewo rąbali, piłowali pod szopą. Dopiero jak ktoś wszedł na podwórze, jak już się ich zobaczyło, uciekali. Tam przesiedzieli do końca wojny.

Po wojnie przyszli do Kraśnika. Ojciec dostał mieszkanie służbowe na ulicy Gęsiej, teraz to jest ulica Ogrodowa. Dwa duże pomieszczenia żydowskie. Poprosili i przyjął ich do siebie. Jeden pokój oddał. Myśmy w jednym pomieszczeniu, a oni w drugim mieszkali. To było już po wojnie.

Siedzieli z nami do 1949 roku.

Topka, ich mama, pomagała przy siostrze. Siostra urodziła się w 1946 roku. Pomagała przy kąpieniu, przy przebieraniu. W 1949 roku zaczęli odchodzić. Jedni wyjechali do Argentyny, do Brazylii, później do Izraela. W tej chwili są w Izraelu, w Argentynie, w Brazylii, a Luiza, najmłodsza, chyba w Stanach Zjednoczonych.

Mam z nimi kontakt.

K O N T A K T Y

Od 1949 roku czy 1950 jak wyjechali, tak się już nie odzywali do nas. Wspominali nieraz rodzice, ciekawe co z nimi, ciekawe co tam. Dopiero w 1981 roku dali o sobie znać pierwszy raz. Mężczyzna z Kraśnika pojechał do Izraela. Chodziło o jakieś stosunki handlowe, pomagali mu. Oni zapytali, czy zna Maciejewskich i czy oni żyją. Mówi, chyba żyją, jak pojedę, to się zorientuję i dam wam znać. Przyszedł do mnie. Pamiętam, jak przyszedł. Wypytał się i zaraz powiadomił ich. Kilka miesięcy trwało i przyjechał jeden z tej dwunastki – pan Józek. Był Józek, Szymek, Ryfcia, Luiza, jeszcze ktoś. Przyjechał Józek, posiedział kilka dni, rozejrzał się. Byłem na przywitaniu. Bardzośmy się uściskali. Józek obiecywał, że w niedługim czasie wszyscy przyjadą. I tak się stało, chyba rok upłynął, czy troszkę lepiej. Przyjechali wszyscy: 12 osób. Już nie wszyscy żyli, rodzice nie żyli. Dzieci przyjechały. Spotkanie było tu u mnie. Dwa lata temu przyjechała Rywcia z mężem i synem. Teraz nie mogę się z nimi skontaktować, bo zgubiłem adres, telefon. Chciałem ich powiadomić, że stryjek nie żyje. Oni tak chcieli wiedzieć, takie ciekawe.

M E D A L

W 1985 roku ojciec próbował powiadomić Instytut Yad Vashem. Jeździł często do Lublina do Związku Ociemniałych Żołnierzy.

R E L A C J E

Był opiekunem kolegi, ociemniałego pułkownika. Tam spotkał się z panem pochodzenia żydowskiego. Ojciec opowiadał mu i tamten pan się zdziwił okropnie, że jeszcze tu nie ma. I on był, pamiętam, taki zdenerwowany. Kazał przynieść wszystko. Nie wiem, czy jakąś książkę pisał. Już nie żyje. Pamiętam tylko, gdzie mieszkał. Może bym do mieszkania nawet trafił. Na Lubartowskiej, od strony ulicy Hanki Sawickiej, miał warsztat parasolek. Tam też byłem u niego. Ten pan nadał bieg sprawie. Ale umarł. Później nie miał kto tego pociągnąć.

Myśmy powiadomili tamtych naszych, co z nimi żyjemy i oni przyjechali później. W dowód wdzięczności chcieli kogoś zabrać. Chcieli, żebym pojechał na pół roku do nich. Ale ja wtedy nie mogłem, bo w wojsku służyłem. Zgodziła się młodsza siostra. Pojechała. Wtedy jeszcze przez Rumunię się jechało. Była tylko 3 miesiące i wróciła. To był dowód wdzięczności, uznania.

Wszystko wystaliśmy. Ale trzeba było do tego Instytutu pójść i potwierdzić wszystko. Powiadomiona została nasza znajoma, żeby to zrobiła, ale odmówiła. Najprawdopodobniej już nie chciała się tym zajmować. Późniejśmy rozmawiali, powiedziała, że nie wiedziała, jak to zrobić. „Jeśli ja bym poszła tam, to nie tylko tobie, Adolek, musiałabym potwierdzić, ale i tym na Zarajcu i cioci Wiktorii też, ale oni się nie starali znowu”. A pamiętam jeszcze, jak mówiła, że to byłby za duży koszt dla Izraela. „A wy, mówi, toście się powinny starać od tych dwóch. Tak, tak, mówi, bo bezpośrednio myśmy u was nie byli. Wyście pośrednio nam pomagali. Bezpośred-

nio to tym dwóm”. Ojciec się zdenerwował, wszystko zwinął i przestał się starać. Za rok umarł. Wszystko tak zostało do dzisiaj na niczym.

Siostra wzięła odbitki. Rywcia kazała po-przywozić. Zostały wmurowane na jakimś wzgórzu za szkłem w Izraelu. Tam jest jakieś wzgórze, gdzie są zdjęcia. Jest ślad. U nich. A u nas nie.

Rywcia, słaba tak ostatnio. Bardzo dobrze po polsku mówi. Jej mąż bardzo dużym szacunkiem nas darzy. On pochodzi z Zaklikowa. I wszystko to właściwie dzięki niemu. Nazywa się Josef Levensz.

D Z I Ś

Polska zesłała na złą drogę. Nie ma autorytetów. Nawet i dzieci czasami mi wspominają

„tato no i co z tego, i co z tego”. Faktycznie i co z tego. Drugi raz to i by się nikt nie podjął tego, jakby przyszło. Później są przykrości.

To było duże ryzyko. Czasem słucham, w telewizji któryś z tych nowych kombatanatów mówi, jak przeżywał, jak niósł dwie ulotki. Ile to on miał strachu, pełne portki strachu. Niósł dwie ulotki w stanie wojennym, za co najwyżej mógł być internowany w dobre miejsce.

A ja myślę: „Człowieku, a jak ty byś był w takiej sytuacji 2 lata, jak ty byś dzisiaj wyglądał? Co ty byś robił?”.

Przyszedł czas, że jeszcze zabrali ojcu dodatków kombatanek. Ojciec po wojnie najpierw był w milicji. Takie były czasy, ktoś stworzył to państwo, ktoś nakazywał, były rozkazy. Nie można wszystkiego wlać w jeden worek. Trzeba każdy przypadek indywidualnie obejrzeć. Po wojnie nie było pewne, czy ty

będziesz czy nie będziesz żył, czy odmówisz rozkazu czy nie odmówisz, czy można odmówić, czy można powiedzieć nie. Niektórzy dostawali nakaz. Ojciec był oficerem, 3 lata pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa. Później się dowiedzieli, że pochodził z rodziny ziemiańskiej, to go przerzucili. Przyszedł rozkaz do KBW [Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego]. Nawet nie żałował. Ale to takie były czasy. Na siłę.

Dzisiaj, po 50 latach, kto tam wyjdzie w telewizji i mówi: „ja bym to, ja bym zrobił tak, a było tak”. Dobrze się mówi, jak już jest ciepła posada, ciepłe stanowisko, bezpiecznie. Wtedy można wojować. Można wygrywać wojny, można uciekać.

D E U T S C H

Jan Maciejewski wurde 1949 geboren. Sein Vater, Adolf Maciejewski, dessen Geschwister und Vater Wincenty, haben sich während des Krieges engagiert, um Juden zu helfen. Wincenty Maciejewski war ein Mitglied der Kommunistischen Partei Polens und ein angesehener Mann in Kraśnik. Zu ihm kamen die jüdischen Geschwister Seidman. Sie versteckten sich zwei Jahre lang auf dem Dachboden. Maciejewskis vermuten aber, dass die

Geschwister vorher ihre Schwester in das Ghetto gebracht hatten. Das nahm die Familie den Geschwistern sehr übel.

Maciejewskis halfen auch einem Ölmacher ein Versteck zu finden. Er hat überlebt, blieb aber nach dem Krieg mit der Familie nicht in Kontakt.

Jan Maciejewskis Großvater und sein Onkel organisierten auch Hilfe für zwölf bekannte

Juden aus Polichna. Die Gruppe war zu groß um sie im Haus unterzubringen. Die Zwölf kamen also erst bei einem Bekannten und später bei einer Cousine unter. Alle haben überlebt. Nach dem Krieg lebten einige der Juden bei Familie Maciejewski bis sie auswanderten. Sie halten bis heute Kontakt. Einer der Brüder Seidman wurde nach dem Krieg in Janów Lubelski ermordet. Der andere Bruder wanderte nach Österreich aus. Er hat den Maciejewskis nie geschrieben.

R E L A C J E

E N G L I S H

Jan Maciejewski was born in 1949. Jan is the son of Adolf Maciejewski, who with his siblings and father Wincenty were involved in helping Jews. Wincenty Maciejewski, was a pre-war activist in the Communist Party of Poland, and was a well-respected citizen of Kraśnik. Perhaps for this reason, the Jewish siblings named Seidman, came to the Maciejewski family. The Seidmans

lived in the attic for over two years. At the beginning of the difficult times, the Seidman brothers probably gave their younger sister to a ghetto. The Maciejewski family were angry because of this. They also helped to hide a man nicknamed "Oilman" because of his occupation. He survived, but has never contacted the Maciejewski family. Jan's grandfather and uncle organized help for twelve Jewish friends from Polichna.

The group was too numerous to stay at Maciejewski's house, so they were sent to Jan's grandfather's friend and then to Jan's aunt. All of them survived. Some of them lived together with the Maciejewski family till the moment of their emigration to Israel. They are still in contact. After the war, one of the Seidman brothers was killed in Janów Lubelski, the other emigrated to Austria and has never contacted Jan's family.



Leonarda Kazanecka, urodziłam się w 1909 roku. Rodzice mieli Stanisław i Franciszka Siwkowie, z Woli Skromowskiej.

Było nas ośmioro, 5 córek i 3 synów. Mieliśmy spore gospodarstwo, zawsze musieliśmy być ładnie ubrani, chodziliśmy do kościoła, a później w pole i jeszcze wszyscy

z nas przykład brali. U nas było kilka stodół, parę hektarów ziemi. Tacy biedniejsi sąsiedzi przychodzili nam pomagać. Matka co tydzień upiekła chleb. Było jak trzeba. Tacy byli stolarze, nazywali ich Gdale, Żydzi, budowali mieszkania. Mąż się dowiedział i zawołał tych dwóch braci, młodych chłopaków, tacy po 18 [lat]. [Mąż] poszedł,

zaprosił tych starych, żeby im drzwi zrobili. Przez trzy dni przychodzili. To było dopiero rok, jak Niemiec przyszedł. Przychodzili na skróty, dwóch chłopaków i dwóch ojców. Trzy dni przychodzili, nie nocowali, tylko jedli. I tak jakoś się zakończyło to.

147

Ż Y D Z I

Niemcy wysiedlali Żydów do Łukowa do getta. Ci zostali jako ostatnia tura. Spotkał [męża] ten jeden syn, dwadzieścia lat miał, porządny chłop i powie, żeby Kazanecki kupił od niego garnitur, bo już ostatnia tura jego jedzie do Łukowa, do Siedlec do getta. Mąż nie miał wszystkich pieniędzy i kupił ten garnitur. Zawsze miał w myśli, że nie dość, że tanio kupił, to jeszcze nie dał mu wszystkich pieniędzy. Ale wiedział, gdzie on mieszkał. Później kto miał konia, trzeba było do Łukowa z nimi, bo z boku wypalali numery. Mąż pojechał z tym koniem i powiedział: „Trzeba sobie wziąć parę złotych, bo nie dość, że tanio sprzedał, to jeszcze ja mu nie dopłacił”. Pojechał, załatwił z koniem. Rozglądał się, zobaczył, że Żydzi szli z łopatami. Mąż podszedł i spytał, czy znają Gdałę. „Niech on przyjdzie, bo ja mu winien parę złotych i chcę mu oddać”. [Żydzi] narobili krzyku: „Mi się należy, mi się należy!”. I poszli do getta. Przyszedł Gdała. Mąż obiad miał – chleb i gotowane jajka, taki sobie obiad zrobił. I tak mi później opowiadał. Przyszedł ten Gdała, oddał mu te parę złotych, obiad zjedli, rozpłakał się i poszedł do getta. Mąż musi wytłumaczyć, gdzie my mieszkamy. Bo tak to skąd oni by przyszli?

To było za Niemców. Jeszcze rok Niemcy byli. Rok i parę miesięcy.

Mąż przyszedł, położył się na łóżku i leży. Już było ciemno, ale jeszcze można było dojrzeć coś. Zrobiłam obrządek, krowy wydoiłam, a mąż leżał. Patrząc, drzwi się rozłożyły, wszedł jeden, stanął koło drzwi, ale nic nie mówił. Jeszcze ten nie zamknął drzwi i drugi wszedł. I później trzeci.

Trzeci zamknął drzwi. I stoją wszyscy. Ani słowa. Podeszłam, jakbym wiedziała, że mąż nie spał i mówię: „O, żydowskie chłopaki do nas przyszły”. Ładni, czysto ubrani, jak polscy. A ten Janek [Grzebień], jak on ładnie wyglądał, do dzisiaj nie mogę zapomnieć. 18 lat, chłopaczek, ale niewyrośnięte, tak na 16 wyglądali. Podeszłam i mówię: „O, żydowskie chłopaki przyszły”. Dwa razy powiedziałam. A oni nic. „Skądście się tu wzięli?”. A oni mówią: „Myśmy z getta z Łukowa uciekli”. To było 40 kilometrów. Byłam trochę niezadowolona. „A jakście przyszli?”. „W nocy śmy szli, a w dzień śmy w lesie siedzieli”. „To tyle mieszkań przy szosie i łańce do mnie przyszli?”. Zaczęli płakać, łzy im tak szły. Blachę ciasta miałam, to Zielone Świątki, drugi dzień Zielonych Świątek. Nakrajałam ciasta, mleka im nalałam i mówię, żeby jedli. Nikt nic nie mówił. Mąż śpi. Ja nic nie mówię, bo co powiedziałam, to oni płaczą. Wstali po cichutku ładnie. Stanęli i mieli iść. Ukrajałam jeszcze ciasta po kawałku i dałam każdemu jednemu. Włożyli sobie do kieszeni. A ten Janek mówi tak: „Pani, niech nam pani da siekiery i piły”. I poszli. A mąż się w ogóle nie odezwał. Przyszłam do męża i mówię: „Chcieli siekiery to dałam im siekiere”. A on nic.

Za 2 dni chłopaki są na podwórzu. Wszystkie trzy. Mąż z nimi rozmawia: „Nie przeżyjcie wojny, nie przeżyjcie wojny”. Myślę, co on ich tak straszy... „Jak nie będziecie gotowanego jedzenia jeść, to nie przeżyjcie. Przychódźcie 2 razy w tygodniu i dostaniecie jedzenia”. Ugotowałam kartofli garnek,

kwaśne mleko, ugotowałam żółtej kaszy na mleko i zaniósłam za stodołę. Tam czekali. Jedli i nikt nic nie mówił.

Ja im mówiłam, żeby nie przychodzili, prosiłam ich. A oni mówią: „Pani, nie się nie stanie, my ostrożnie. Niech mnie pani zawsze roztworzy, jak ja powiem Janek”.

Jesień się zrobiła, a oni do męża: „Może by się tutaj gdzieś do tych budynków wpakować?”. A mąż mówi: „O, to, to nie. Jak wy przyjdziecie w nocy, to ja w dzień wyjadę do Kocka. Nie będę z wami razem mieszkał”. Bo przecież była kara. Jak ktoś się dowiedział, to spalili, zabili. Ale o tym nie myśleliśmy. I o tak sobie przychodzili.

Janek się rozchorował. Przyszedł do nas i mówi: „Pani, jak wasza religia wskazuje? Widziałem [we śnie], matka była u mnie, głaskała mnie po głowie”. Z dawna ludzie widzieli nieboszczyków i mówię: „Umarli wiedzą. Ci, co widzą nieboszczyków, wszystko wiedzą. Matka była u ciebie i przeżyjesz wojnę”. To on się patrzy, był zadowolony, że przeżyje wojnę.

Jego matka zginęła w Treblince, a jej mąż w Łukowie.

Później Janek cały czas wstępował. Pieklam raz ciasto wieczorem. Przyszli. Zaraz dałam im blachę ciasta i powiedziałam, żeby uciekali. Jeszcze im z blachą dałam, bo bez blachy pogniecie się wam. Mówię: „Mleko w studni na sznurku, w bańce. Jak wam trzeba, zawsze sobie bierzcie”.

I tak przychodzili.

Nadeszła chwila, że wojna się kończy. Mąż to należał widać do partyzantki; do Batalionów Chłopskich. Zawsze mnie zostawiał, a sam uciekał. Raz mówili, że Ukraińcy ludzi mordują, to już później było, jak Niemcy poszli.

R E L A C J E

Do nas przyszedli dwóch w kozuchach, była zima. Maszynowe karabiny mieli. Postawili sobie koło drzwi. Mężowi kazali jeszcze jedną okiennicę zamknąć. Powiedzieli, żeby spisywał, ile samochodów koło nas przejeżdża. Raz męża nie było to ja porachowałam i było siedemdziesiąt, kolumny całe jechały. Pytają się męża, co on chce, może świnie, mięsa, pieniędzy. A mąż powiedział tak: „Nie nie chcę od was, bo wy ze sobą nic nie przywieźliście. Musicie komuś wziąć i mi dać”.

P O W O J N I E

Przyszli ci chłopcy, wojna się już skończyła. Oni może tego by nie przeżyli, tylko w Kocku mieli kontakt z Żydami.

Raz przyszli we trzech z karabinami [inni Żydzi]. Mąż w okno spojrział, już szaro było. „Z karabinami idą”. Bał się bardziej niż ja. Przyszli, otworzyli drzwi i mężowi podali rękę. „Myśmy słyszeli, jak pan mówi do żony, że idą z karabinami. Niech się pan nie boi, tylko niech im [tym trzem Żydom, którzy do nich przychodzili] pan powie, żeby przyszli tam, gdzie żeśmy kury jedli”.

Syn piekarza [jeden z tej trójki] przyszedł do mnie i powiedział: „Szymańczyk kupił ode mnie garnitur, ale nie zapłacił. Tylko tak dane mu było do przechowania. Pójdziemy w nocy, to przyniesiemy i pani mężowi damy”. A ja mówię: „Niech Bóg broni, żebyście tam szli. Mi nie trzeba [ubrania] i wam nie trzeba. Jak przeżyjecie, to wam się przyda, a jak

nie, to nie”. Powiedziałam, żeby wcale tam nie chodzili, bo tam jest partyzantka i ich zabijają. Potem przyszedł i powiedział: „Pani, może sam Szymańczyk by nas zabił, bo nie chciał dać garnituru tylko dał parę złotych”. Pojechali gdzieś do Lublina. Ten Janek to 7 klas skończył, tak ładnie pisał. Napisał do nas, że jest w milicji. Potem pojechali do Izraela. [Dostaliśmy] list od Janka. Taki śliczny: „My po waszej ziemi chodziliśmy, wyście nam tak pomogli, przyjęli, jak własni rodzice”. To napisane było wierszem. Chyba Janek tak sam nie napisał, tylko jakiś pisarz, poeta.

K O N T A K T Y

Przyjechali tu jacyś Żydzi. Syn miał piętnaście lat. Zawołał ich i ten list oddali. Może ich tam znajdują w Izraelu... Nie było wiadomości, później napisał Janek. Przyśłał pomarańczy. Porozdawaliśmy trochę, mówiliśmy, że to od Żydów. I wszyscy mówili, Żydów trzymali. A ci wszyscy ludzie, to się cieszyli, że Żydów nie ma, bo oni w ich mieszkaniach mieszkali, mieli gdzie mieszkać, ci wszyscy biedni ludzie.

Znowu do nas napisali, paczkę przesłali. Mąż im nie odpisał.

Raz przyjechał brat [Janka Grzebienia]. Przechodzę przez zagon, idę do domu, a oni lecą we trzech. I powiada tak: „Pani, czy pani jest żoną po Czesławie?”. Mówię, że tak. A on mówi, że są z Izraela. „Janek Grze-

bień?”. „Zgadza się”. „Pani, Janek to jest mój brat”. Ja mówię: „Panie, on nigdy nie mówił, że ma brata w Izraelu. Nawet pan nie podobny”. A on wyjmuję 50 dolarów i mówi: „Mój brat kazał pani dać 50 dolarów”. Wzięłam te pieniądze i mówię: „Z jakiej racji mi dajecie? Przecież wy u nas nie mieszkaliście? Chodźcie do mieszkania”. Weszli do kuchni, ale tam nie było krzesła. Mówię: „Myśmy tu nie mieszkali. Myśmy mieszkali na polu”. A ten drugi mówi: „My wiemy, gdzieście mieszkali”. Czyli to był jeden z tych, którzy przychodzili, tylko się nie przyznawał. A on wyjmuję 20 dolarów. „Pani, ja sam od siebie dam pani 20”. Wyszłam na ulicę, szła [ta], co w aptecę [pracowała]. Pokazałam jej dolary i mówię: „Żydzi byli u nas”. Inni to by schowali, co?

Przyjechał Janek, białe włosy, wysoki, jak jakiś profesor, laseczka, trochę kuleje. Zdjęcie sobie ze mną zrobił, dał 50 dolarów. Chyba dwóch synów miał. „Janek, te wszystkie pieniądze poszły na pomnik [grób Kazanecckiego]”. 200 złotych jeszcze mi dał. Podziękowałam.

Później przyjechał z żoną i ona mówi: „Niech pani opowie, jak to było, bo on nie pamięta wszystkiego”. Opowiadałam, jak przyszli we trzech.

Później dwa razy z żoną jeszcze był.

[Leonarda i Czesław Kazaneccy otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 2004 roku.]

D E U T S C H

Leonarda Kazanecka, geborene Siwek, wurde 1909 in Wola Skromowska geboren. Im Frühling 1943 kamen drei junge Juden, die aus dem Ghetto in Łuków geflohen waren, zum Haus der Familie. Ei-

ner von ihnen war der achtzehnjährige Janek Grzebień. Leonarda Kazanecka machte ihnen Essen. Die Drei kamen danach noch öfter und bekamen etwas zum Essen. Dank der Hilfe Leonarda Kazaneckas überlebten

sie den Krieg. Sie wanderten nach Israel aus und blieben mit der Familie in Kontakt. Janek Grzebień besuchte Leonarda Kazanecka in Kock. Ihr wurde 2004 die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Leonarda Kazanecka, née Siwek was born in 1909 in Wola Skromowska. In Spring 1943 three Jews arrived at the Kazaneckis' house: eighteen-year-old Janek Grzebień and two other young

Jews who escaped from the ghetto in Łuków. Leonarda provided them with food. They often came at odd times, always finding food prepared especially for them. They managed to survive the war and emigrated to Israel.

Janek Grzebień returned to visit Kock a few times. Leonarda received the medal "The Righteous Among the Nations" in 2004.



01

01

01

Medal.

Die Medaille.

The medal.



02

03

04

Mezuza na drzwiach domu Kazaneckiej.
Die Spuren der Mesusa im Türrahmen des Hauses
Familie Kazaneckis.
Mezuzah on Mrs. Kazanecka's door.

LEONARDA KAZANECKA

Dowód osobisty.
Der Personalausweis.
Identity card.

ROK 1929 ABRAMÓW ABRAMÓW RELACJE ABRAMÓW ABRAMÓW URODZENIA EDWARD CYGANIEWICZ

Urodziłem się w Dratowie pod Lublinem, 20 maja 1929 roku.

W lutym 1942 roku przyszła do nas Żydówka Sara Reis. Sarę znaleźliśmy od zawsze, od „głębokiej przedwojny”. Początkowo ukrywała się na wsi, w której mieszkała. Była ochraniana przez rodzinę Marciniaków. Ale tam zaistniał pogrom. Jak powiedziała nam Sara, rodzina Marciniaka została poddana eksterminacji. Wymordowano wszystkich z powodu ukrywania Żydów – rosyjskiego jeńca i całej 7-osobowej rodziny Reisów. Zdążyła zbiec tylko Sara, która przyszła do nas z Rachowa do Abramowa, oraz jej siostra Rachela, która uciekła do bezdzietnych gospodarzy w okolicy Łańcuchowa. Mój ojciec był przerażony, bo niedaleko nas był posterunek granatowej policji, a część tej policji była skorumpowana. Do gminy zaś przynajmniej trzy razy w tygodniu przyjeżdżała żandarmeria niemiecka. Powstał więc wielki popłoch. Wszyscy byli przerażeni, co będzie dalej. Matka płakała, a ojciec łapał się za głowę. Ale mama jakoś ubłagała ojca, żeby coś radził. Pamiętam,

jak ojciec wtedy powiedział: „Jaśka, nie martw się, jakoś Sarę ochronimy”. Ustalono wtedy, że będzie przebywała u nas jako daleka krewna. Ponieważ matka była chora, więc że ona niby przyjechała zaopiekować się nią i dziećmi.

Sara była u nas 8 miesięcy. Sąsiedzi nie nie wiedzieli. Wiedziało jedynie kilka osób z konspiracji. Ale koledzy tatusia w gminie, bo ojciec to był taki dobry Wojtek, który chciałby całej ludzkości dobrze zrobić, go podkablowali. Jan G. i Aleksander J. Doniesiono do granatowego policjanta Franciszka N., który przybiegł zaraz do ojca z ostrzeżeniem, że wybiją całą rodzinę, Żydówkę i jego także, bo co z niego za policjant, skoro nie wie, co mu się dzieje pod nosem. Ojciec już był z nożem na gardle. Dodatkowo był jeszcze wtedy w konspiracji, w AK. A w AK była już sekcja „Żegota”, ochraniająca Żydów. [Franciszek N.] zaproponował ojcu, że wy-

prowadzi się Żydówkę za stodołę, zastrzeli, zakopie i będzie w porządku. Więc ojciec mu mówi: „Panie komendancie, niech pan tego nie robi. Pan wie, z jakiej organizacji ja jestem. Jeżeli pan to zrobi, to pan też zostanie zlikwidowany. Ja panu obiecuję, że ona zniknie”.

Wiedzieli dalsi koledzy z konspiracji, bośmy bardzo starannie to ukrywali. Z tymże dla mnie to chyba było najcięższe, bo dla takiego chłopaka, proszę sobie wyobrazić, jaki się w tym wieku ma ózór. Ale dzieci miały wtedy trochę inną mentalność i wiedziały doskonale, co mogą powiedzieć, a czego nie. Ojciec był starym biuralistą i nie było dla niego problemem fałszowanie wszelkiego rodzaju dokumentów. Wtedy jednak jeszcze nie dysponował fałszywymi pieczętami. Nie mając wyjścia, musiał wypełnić w gminie specjalny blankiet o zameldowanie Sary pod obcym nazwiskiem jego krewniej i wysłał go do starosty niemieckiego w Puławach razem z innymi dokumentami. [Starosta] podpisał i to pismo przyszło z powrotem do nas. Tym sposobem Sara została

zaopatrzona w fałszywy dokument. Ojciec porozumiał się wówczas z pewną znajomą akuszerką w Warszawie – Kazimierą Ziębą i Sara została odwiedzona przez ojca do Klementowic, a stamtąd pojechała do Warszawy. Tam się „przechowała” do chwili wyzwolenia. Wyszła „na powierzchnię”, kiedy Rosjanie dotarli do Wisły.

W momencie kiedy Sara Reis zawitała do naszego domu, miałem 13 lat, a moja siostra 11. Siostra bawiła się jeszcze lalkami. Natomiast ja już byłem taki „wyroślak”, którego już bardzo interesowało wszystko, gazetki, pistolety, granaty i amunicja. Ojciec nawet dawał mi broń do przechowywania. Mówił wtedy do mnie: „Edek, jak mi dadzą w tyłek, to będę mógł mówić z czystym sumieniem, że nie wiem”. Były to oczywiście bajeczki. Jakby mu dali wycisk, to... Więc ja sobie absolutnie zdawałem sprawę i przez całe te 8 miesięcy się bałem. Bałem się. Jak się latało z chłopakami, szło się do szkoły, to ciężko było. Już sama świadomość, że trzeba trzymać język za zębami [dla] takiego chłopaka to był ogromny wysiłek. Mogę powiedzieć, że przez te 8 miesięcy w kółko się bałem. Taka

była prawda. Tym bardziej, że jeszcze przez specjalne megafony Niemcy ogłaszali, co czeka ludzi w razie wpadki.

P O W O J N I E

Po wojnie Sara wróciła do Lublina, wyszła za mąż za Żyda, który też zdołał się uratować. „Przechował” się w Zawieprzycach. Siostra Sary, Rachela, która ukrywała się pod Łańcuchowem, też przeżyła wojnę i również wkrótce wyszła za mąż. Zamieszkały na Lubartowskiej. Przyszły na świat ich dzieci. W 1948 roku zmarła moja matka, i ojciec z naszą dwójką, czyli ze mną i moją siostrą Heleną przeniósł się do Lublina. Byliśmy w kontakcie z „naszymi” Żydami. W Lublinie nastroje do Żydów były bardzo różne. Nawet zdarzały się rzeczy brzydkie, pojedyncze morderstwa. Ojciec jednak dalej przyjaźnił się z naszą przyszywaną żydowską rodziną. Ostatecznie oni zdecydowali, że wyjadą do Izraela. Wyjechali gdzieś w 1950 bądź 51 roku. Mimo wyjazdu, kontakty utrzymywa-
liśmy nadal.

M E D A L

W 1953 roku parlament izraelski, Knesset, podjął uchwałę, żeby uhonorować ludzi, którzy przyczynili się do ratowania Żydów. Uhonorowano całą naszą rodzinę, ponieważ cała nasza rodzina, wszyscy przyczyniliśmy się do uratowania Sary i tak też potraktował to parlament. W 1978 roku Instytut Pamięci w Jerozolimie Yad Vashem podjął uchwałę na wniosek Sary Zylbersztajn z domu Reis, że całą rodzinę należy uhonorować medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Mam medal i dyplom, posiadam wszelką dokumentację. Szkoda tylko, że odznaczenie dla ojca przyszło 9 dni po jego śmierci. Nie zdążył go nawet zobaczyć. Dla upamiętnienia naszych dokonań zasadzili nam drzewko w Alei Sprawiedliwych numer 889, mam nawet zdjęcia z tego sadzenia. Bodajże w 1989 roku zostaliśmy zaproszeni przez Sarę do Izraela. Ponieważ nie wszystkich Sprawiedliwych ujawniono, jest także w Yad Vashem pomnik „Niezanego Sprawiedliwego”. To jest piękny gest w stronę tych ludzi.

D E U T S C H

Edward Cyganiewicz wurde 1929 in Dratów, in der Nähe von Lublin, geboren. Im Februar 1942 kam die bekannte Jüdin Sara Reis zur Familie Cyganiewicz. Vorher hatte sie sich bei Familie Marci-
niak versteckt. Die Nazis hatten davon erfah-

ren und ermordeten die polnische Familie und die versteckten Juden. Sara und ihre Schwester Rachela konnten rechtzeitig fliehen.

R E L A C J E

Acht Monate lang half Familie Cyganiewicz der Jüdin Sara, bis sie von zwei Polen bei der Polizei verraten wurde. Aber der polnische Polizist, der kam, um Sara zu erschließen, wurde überredet sie

153

freizulassen. Sara besorgte sich gefälschte Dokumente und versteckte sich dann in Warschau. Dort blieb sie bis zum Kriegsende.

Saras Schwester, Rachela, hat den Krieg auch überlebt. Sie versteckte sich in der

Nähe von Łańcuchów. Nach dem Krieg lebten beide Schwestern in Lublin. Anfang der fünfziger Jahre wanderten sie nach Israel aus. Sie halten immer noch Briefkontakt mit Familie Cyganiewicz. 1989 besuchte Familie

Cyganiewicz sie in Israel. 1978 wurde der Familie die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Edward Cyganiewicz was born in 1929 in Dratów.

In February 1942 a Jewish acquaintance Sara Reis came to his house in Abramów. She had been hiding at the Marciniaks' family house before. The Nazis learned about this and killed all the Poles and Jews at the Marciniaks'. Only Sara and her sister Rachela managed to escape. Ed-

ward's parents helped Sara for eight months, then two Poles informed on the Cyganiewicz family to the police. A Polish policeman offered to shoot Sara himself. However, they managed to persuade him to allow her to escape and hide elsewhere. They got false documents for her and hid her in Warsaw where she lived until the end of the war. Rachela, Sara's sister, who was hiding near

Łańcuchów also survived. After the war, the sisters lived in Lublin. At the beginning of the 50's, they emigrated to Israel, but they keep in touch with the Cyganiewicz family who visited them in Israel in 1989. In 1978, the family received the medal "The Righteous Among the Nations".



01



01

01

Medal.

Die Medaille.

The medal.



02

02

02

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



04

04

04

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



EDWARD CYGANIEWICZ



05

Sara Zyjbiersztajn (Raiss) w środku i Edward Cyganiewicz (po prawej)
w Izraelu pod Drzewem Pamięci rodziny Cygan.
Sara Zyjbiersztajn (Raiss) (in der Mitte) und Edward Cyganiewicz (rechts)
vor dem Baum, der an Familie Cygan erinnert.
Sara Zyjbiersztajn (Raiss) in the middle and Edward Cyganiewicz on the right
in Israel, under the Tree of Remembrance of the Cygan family.



06

Sadzenie Drzewa Pamięci w Izraelu przez uratowane.
Überlebende pflanzen einen Baum in Israel.
The rescued are planting the Tree of Remembrance in Israel.



PREZYDENT MIASTA LUBLINA

Sz. P. Edward Cyganiewicz

Gratuluję otrzymania

*Honorowego obywatelstwa
Państwa Izrael.*

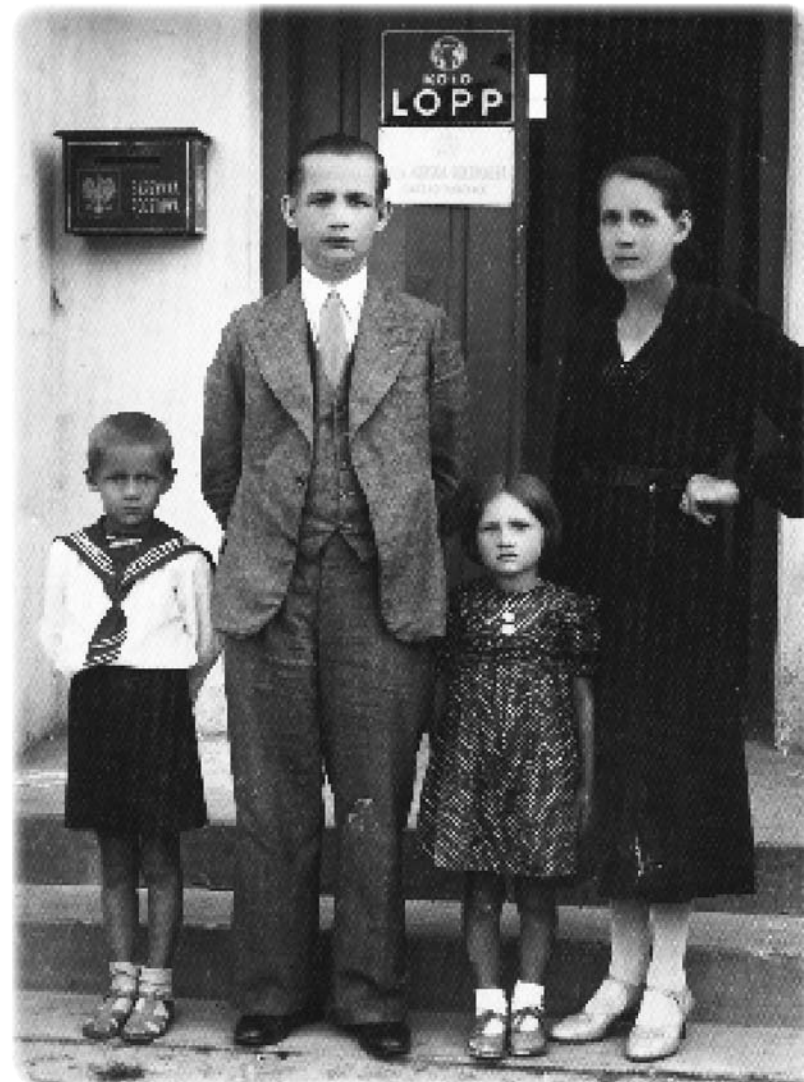
*Jest to wyjątkowe wyróżnienie, przyznawane ludziom,
o niezwykłych zasługach dla narodu
żydowskiego i polskiego.
Służy budowaniu więzi przyjaźni, tolerancji
i zrozumienia między Polską a Izraelem.*

*Złączam serdeczne życzenia z okazji
Nowego Roku, Wieku i Tysiąclecia.*

Andrzej Przykowski

Prezydent Miasta Lublina

Lublin, 9 stycznia 2001 r.



List gratulacyjny od Prezydenta Miasta Lublina.
Der Gratulationsbrief vom Lubliner Stadtpräsidenten.
The congratulatory letter from the President of Lublin.

Bohaterowie historii Franciszek i Janina Cygan z dziećmi: Heleną i Edwardem,
Abramów 1937 rok.

Die Helden der Geschichte, Franciszek und Janina Cygan, mit ihren Kindern,
Helena und Edward in Abramów, 1937.

The characters of the story, Franciszek and Janina Cygan with children:
Helena and Edward, Abramów 1937.

ROK 1920 BYSTRZYCA NOWA RELACJE BYSTRZYCA NOWA URODZENIA WANDA MICHALEWSKA

Urodziłam się w 1920 roku. Moje pierwsze wspomnienie wojenne to ucieczka z Lublina na wieś. Mnie zabrala ciocia na wychowanie. Mieszkałam u cioci na Kunickiego.

W Polsce przed wojną, z tego co ja zapamiętałam, wszyscy żyli wspólnie i zgodnie. My dzieci razem się bawiliśmy, nie było żadnego wytykania, że ten czy tamten to Żyd. Nie było żadnych różnic. W Lublinie mieszkało dużo Żydów, ale na mieście, a ja na obrzeżach się wychowywałam na Kunickiego i tak często w tamtej części się ich nie widywało. Pewnego dnia przyszła do naszych sąsiadów jakaś kobieta z dzieckiem. Nie wiem, ile ona tam u nich przebywała. Pewnego dnia poprosiła mnie, żebym z nią poszła na Majdanek. Ona [miała] tam jakieś interesy do załatwienia, ja w tym czasie przypilnuję jej córeczki, [a] ona mi za to da na cukierki. Wzięła dziecko i mnie ze sobą. Bardzo się ucieszyłam, skoro dostanę na cukierki, to idę, czemu nie. W ogóle nie zdawałam sobie sprawy, nie wnikałam, czy to są Żydzi, czy nie, nie wiedziałam. Poszłam z nią. Ona mi

opowiedziała po drodze, że jechała z mężem z Zamościa do Lublina i tu chcieli gdzieś zamieszkać, ale złapali jej męża i on jest teraz na Majdanku. Ale ma kogoś znajomego, więc go uratuje.

Weszła za bramę obozu i więcej już nie wróciła. Do wieczora przestałam z tym dzieckiem pod bramą. Przeplakałam parę godzin. Nie wiedziałam, co mam robić. Ona nie wróciła i już więcej jej nie zobaczyłam. A dziecko zostało. Wieczór się zrobił, bałam się. Poszłam do cioci. A ciocia na mnie z krzykiem: „Ty wiesz, coś zrobiła? Odprowadź ją, gdzie chcesz!”. Ciotka zgodziła się nas przenocować, ale rano musiałyśmy wracać do mamy. Ciotka dała nam parę groszy na bułkę i poszłyśmy 30 kilometrów na piechotę do domu. Od mamy też dostałam, bo nas było kilkoro dzieci bez środków do życia. [Mama] powtórzyła to samo pytanie: „Ty wiesz, coś ty narobiła?”. Ja sobie z niczego sprawy nie zdawałam. Dzisiaj to więcej ta świadomość istnieje, są radia, telewizory, prasa, a wtedy, jak ktoś nie miał gdzieś ukrytego radia, to nie wiedział nic.

Dziecko u nas zostało. Miała bardzo żydowski wygląd, jeszcze jak była mała, to mniej to było widać, ale z czasem coraz bardziej można było poznać w niej typową Żydówkę. Niestety nie było możliwości jej gdzie ukryć i to dziecko tak rośło z nami. Chodziła nawet do szkoły. Nie [była] ukrywana ani jednego dnia. Ludzie owszem gadali, ale żeby mama nie cieszyła się dobrą opinią u wszystkich, to by to dziecko sprzątnęli nawet Polacy. Zrobiliby [to] za kilka groszy. Ale jakoś się udało. Pamiętam, jak mieliśmy czasem odrobinę mleka, a to nie zdarzało się często, to jej jako malutkiej zawsze dawało się najpierw. Czasem my starsze musiałyśmy obejść się smakiem. Mama nam tłumaczyła, że ona przecież najmłodsza. Na początku w ogóle nie umiała jeść chleba, karmiona była butelką dotychczas i jak pierwszy raz jadła z nami, to strasznie pokaleczyła sobie język. Musieliśmy karmić ją kaszką lub grysikiem, tylko skąd to wziąć? Potem już się nauczyła [i] wyglądała jak pulpecik.

161

Ona u nas pojawiła się zaraz na początku 1940 roku i była u nas przez całą wojnę i kilka lat potem, bo zdała już do czwartej klasy. Chodziła do szkoły, w ogóle się nie ukrywała, a miała do szkoły przeszło 3 kilometry, przez pola trzeba było chodzić. Bliżej nigdzie nie było szkoły z pierwszymi klasami. W czasie wojny była malutka, miała jakieś 3 i pół roczku. Myśmy, ja i moje rodzeństwo, mieli nakazane mówić, że to jest nasza siostra cioteczna po siostrze mojej matki, która była zza Bugu. Ja wystarałam się dla niej o metryczkę, bo byłam bardzo sprytna, pod tym nazwiskiem była zameldowana i chodziła normalnie do szkoły.

I tak z nami biedowała całą wojnę. Bo myśmy biedowali okropnie. Nie było z czego żyć. Póki brat żył, to trochę pracował i mama też trochę dorabiała to tu to tam, po gospodarstwach. Ale bieda była straszna.

Początkowo w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że grozi mi śmierć za zatrzymanie tej dziewczynki. Dopiero później, z czasem, coraz bardziej to sobie uświadamiałam, gdy z każdym stukaniem do drzwi czuliśmy wszyscy wielki strach. Długi czas kompletnie nikt nie wiedział. Mama była czarownicą, ona też, więc jakieś podobieństwo istniało. Ona zawsze chodziła z nami na majówki pod figurkę Matki Boskiej, jak to na wsi, pięknie śpiewała, modliła się, więc nikt niczego nie podejrzewał. To była bardzo mądra i piękna dziewczynka. Sama doskonale wiedziała, że musi być ostrożna. Raz przyszli do nas Niemcy. Brat za nią zgi-

nął, bo jacyś głupi ludzie donieśli. Szukali u nas Żyda i brata zabrali. A ona się razem z nami bawiła i w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. To dziwne, ale ona przez cały ten czas, kiedy była u nas, nie zapytała ani razu o swoich rodziców. Była na tyle mądra, że o nie nie pytała i nigdy się nie przyznawała, że jest Żydówką.

Działałam w ruchu oporu. Ale oni też nic nie wiedzieli, że u nas się chowa dziecko żydowskie. Później zaczęto mówić, że ukrywamy Żydówkę, ale wszyscy sprawdzali nasze malutkie mieszkanko i nikomu nie przyszło do głowy, że ona się nie ukrywa. Nikt nie myślał, że możemy być tak zuchwali i trzymać ją „na widoku”. A myśmy po prostu nie mieli jej gdzie ukryć, więc musiała mieszkać z nami. To jeszcze było dobre, że jej nikt po kryjomu nie odwiedzał, nie utrzymywał z nią kontaktu, nie sprawdzał nocami, co u niej się dzieje.

P O W O J N I E

W 1949 albo 1950 roku, jak był zbiór wszystkich dzieci, przyjechali po nią. Mama nie chciała jej oddać, a i ona nie chciała za nic w świecie od nas wyjeżdżać. Chciała się utopić, próbowała wskoczyć do studni, żeby jej nie zabierano, więc odjechali bez niej. Po jakimś czasie, może po trzech miesiącach, może trochę krócej przyjechała pani przebrana, że to jest jej ciocia z Izraela, nazwisko miała takie samo. Dotąd walczyli, aż otrzymali pozwolenie i ją zabrali. Ona napi-

R E L A C J E

sała do nas wkrótce list, że ten stryjek ją zabrał. Była u niego tylko jeden miesiąc, bo mieli czterech albo trzech synów [i] ona tam u nich bardzo źle się czuła, i uciekła. Zabrano ją do kibucu do ochronki.

W 1950 roku, kiedy zbierali wszystkie sieroty żydowskie, trochę nas oszukali, ją oszukali i nas oszukali, bo my byśmy nigdy jej nie oddali. Ale oni mówili, że jej tam będzie dobrze, że będzie u swego stryja, będzie chodzić do szkoły. Potem się okazało, że to był zaledwie kuzyn daleki jej ojca. I ona do nas napisała list, że musi uciekać od stryjenki, bo okropnie jej niedobrze u tych stryjów. Po dwóch pierwszych listach zupełnie przestała się odzywać, przestała używać polskiego i go po prostu zapomniała. Już jak tam u niej byłam [po 20 latach], to znała tylko parę słów.

Pracowałam w sklepie, w spółdzielni inwalidów. Tutaj u nas pracowali jeszcze Żydzi, którzy jeździli do Izraela. Kto jechał, zawsze dawałam adres z jej listów i prosiłam, żeby za wszelką cenę [dowiedział się], czy ona tam mieszka. Nie chcieliśmy od niej nic, tylko chcieliśmy wiedzieć, czy ona żyje i czy jej w życiu dobrze się powiodło. Obiecałam matce, jak umierała, że przekonam się, czy jej dobrze w życiu. Szukałam jej przez 20 lat. Pewnego razu wyjeżdżała tu od nas wycieczka, a wśród nich mój znajomy Kuperman, [jechał] do Izraela na stałe. Dałam mu adres. Odnalazł najpierw jej ciotkę, a później dostał adres do niej. I ja zaczęłam się starać, żeby mi przysłano zaproszenie do nich. Ale to załatwiła mi znajoma, której cioteczna siostra przechowywała całą wojnę u siebie Żyda, potem wyszła za niego za mąż i z nim wyjechała do Izraela. To ona mi

przysłała zaproszenie. Poleciałam przez Rumunię. Na swój koszt.

M E D A L

Medal otrzymałam bardzo szybko. Myśmy się nie starali w ogóle o niego. Dostaliśmy

po prostu zawiadomienie, że mamy przyjechać do Warszawy na wręczenie odznaczenia. Byłam w Izraelu, sadziłam osobiście drzewko.

Teraz już się prawie nie kontaktujemy [z nią]. Jej nie ma kto pisać po polsku. Do tej pory był tam pan, co jej tłumaczył moje listy, ale teraz już nie ma kto pisać i tłumaczyć.

Przykro mi czasem, że ona chyba nie ma do tej sprawy takiego stosunku jak my. Jak byłam u niej w Izraelu, to jej przyjaciele mieli mi za złe ten przyjazd. Pytali się, po co ja właściwie przyjechałam, chyba tylko, żeby rozkrwawić jej stare rany. I to było bardzo przykre. Ale i tak mam satysfakcję, że ludzkie życie zostało uratowane. Nie zmarnowało się.

D E U T S C H

Wanda Michalewska wurde 1920 in Lublin geboren. Sie hat gemeinsam mit ihrer Mutter ein jüdisches Mädchen gerettet, das eine unbekannte Frau vor dem Tor zum Lager Majdanek in ihre Obhut gab. Diese Frau kam aus dem Lager nicht mehr zurück. Das Mädchen lebte normal in der Familie. Ob-

wohl es ein jüdisches Aussehen hatte, wurde das Mädchen als die Tochter einer Cousine ausgegeben.

Ungefähr 1950 meldete sich eine jüdische Organisation, die das Mädchen später abholte und nach Israel schickte. Dort lebte sie zuerst bei ihren Verwandten und dann in einem Kibbuzwaisenhaus.

Nach vielen Jahren stellte Wanda Michalewska den Kontakt zu dem geretteten Mädchen wieder her. Sie blieben einige Zeit in Briefkontakt. Wanda Michalewska wurde die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Wanda Michalewska was born in 1920 in Lublin.

Wanda with her mother saved a Jewish girl. An unknown woman asked Wanda to keep an eye on the girl by the gate to the concentration camp at Majdanek. The woman never returned from the camp. The girl, despite her Semitic

appearance, lived with Wanda's family as Wanda's sister's daughter from beyond the Bug River. She survived the war, and around 1950, a Jewish organization asked for the girl. Though unwilling, the girl emigrated to Israel where after a short stay at

her distant relatives' home, she was sent to a kibbutz orphanage. After many years, Wanda, thanks to the help of her friends from Israel, found the grown-up woman she had saved. For some time, they kept in touch by mail. Mrs. Michalewska received the medal "The Righteous Among the Nations".

R E L A C J E

163



01

Wanda Michalewska w młodości.
Wanda Michalewska als junge Frau.
Wanda Michalewska in her youth.



02

Tekla Dudziak, matka Wandy Michalewskiej
i Władysławy Słotwińskiej (1939).
Tekla Dudziak, die Mutter von Wanda Michalewska
und Władysława Słotwińska, 1939.
Tekla Dudziak, the mother of Wanda Michalewska
and Władysława Słotwińska, 1939.





WANDA MICHALEWSKA



Gal-On, 10.8.78

Drogi Władku, Wanda, Mariśia i Janek:

Chętnie wyobrazić w słowach jak się cieszyliście waszym listem.

Chcę was opowiedzieć co się z nami stało od czasu kiedy musieliśmy opuścić wasz dobry dom, i wami się pożegnać.

Przejeżdżaliśmy całą Europą która była jeszcze w wojennym stanie. Ja i wiele dzieci w moim poleceniu w Francji czekał nam okręt, który był za namy dla wszystkich którzy chcieli jechać do Izraela (wtedy Palestyna).

Blisko brzegów Palestyny nastankowi nad ^{określenie Angielskie} i zabrali nas do Pa kilku miesiącach zostaliśmy zwolnieni i pojechaliśmy do Izraela do kibucu, i tam ja żyję do dzisiaj. Cyru.

Jestem żoną i mam 4 dzieci, córka 21 lat, i trzech synów 19, 14, 5 lat.

Ja zawsze opowiadałam moim dzieciom o was, i listy wasze są dla mnie ze wszystkim naprawdę przytęskam.

Mam nadzieję że kiedyś się dowiedzą o was więcej i o was się zajmujecie?

A ja się postaram w następnym liście napisać więcej o sobie.

Czekam na odpowiedź wasz list był w drodze 24 miesięcy, szkoda że tyle czasu.

Mam nadzieję że wróciła do wasz kochana wiadomość od was.

Serdecznie was pozdrawiam.

Jeśli będzie możliwe. Przyśłać zdjęcia będą bardzo wdzięczna.

Shoshana Golan (Róża Bejman)

05

06

List od Shoshany Golan (Róża Bejman).
 Ein Brief von Shoshana Golan (Róża Bejman).
 A letter from Shoshana Golan (Róża Bejman).

Tablica pamiątkowa przy Drzewie Pamięci rodziny Dudziak.
 Die Gedenktafel für Familie Dudziak an dem Baum.
 A commemorative plaque by the Tree of Remembrance of the Dudziak family.



07

08

09

Wanda Michalewska z Shoshaną Golan (Róża Bejman) i jej synem podczas wizyty w Izraelu, 25 kwietnia 1985 roku.

Wanda Michalewska und Shoshana Golan (Róża Bejman) mit ihrem Sohn während eines Besuches in Israel, am 25. April 1985.

Wanda Michalewska with Shoshana Golan (Róża Bejman) and her son during the visit to Israel. April 25, 1985.

Kobieta po lewej stronie w jasnym płaszczu to Janina Chromezak (Dudziak), siostra Wandy i Władysławy, córka Tekli Dudziak, także odznaczona Medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

Janina Chromezak (Dudziak), die Schwester Wandas und Władysławas und Tochter von Tekla Dudziak, in hellem Mantel auf der linken Seite. Auch ihr wurde die Medaille „Gerechter unter den Völkern” verliehen.

The woman in a light-colored coat on the left is Janina Chromezak (Dudziak), sister of Wanda and Władysława, daughter of Tekla Dudziak, also decorated with the medal “The Righteous Among the Nations”.

Wanda Michalewska sadi Drzewo Pamięci
Wanda Michalewska pflanzt einen Baum.
Wanda Michalewska planting the Tree of Remembrance.

ROK 1927 BYSTRZYCA N O W A RELACJE BYSTRZYCA N O W A URODZENIA WŁADYSŁAWA SŁOTWIŃSKA

Nazywam się Słotwińska Władysław, jestem z 8 kwietnia 1927 roku. Urodziłam się w Bystrzycy Nowej, to jest wioska jakieś 20 kilometrów od Lublina.

Zaraz po wojnie mieszkałam w Gdańsku. Później z Gdańska śmy wrócili, z powodu choroby dzieci i wtedy zamieszkaliśmy w Lublinie. Tuśmy se postavili domek, tuśmy od 1970 roku zamieszkali.

[Po wojnie] miałam sklep GS-owski w domu.

Szkoły dużej nie skończyłam. Ojca nie znałam, zmarł bardzo młodo. Urodziłam się 3 miesiące po śmierci ojca. Nas było 4 siostry. Była gospodarka, ciężkie warunki i ja jako najmłodsza skończyłam 4 oddziały. Musiałam chodzić do szkoły 3 kilometry. Do Bystrzycy. Musiałam też pomagać na gospodarce mamusi. Najstarsza siostra była od razu w Lublinie, pracowała u kogoś. Ja zostałam przy mamusi. Musiałam pracować. Później szkołę zamknęto, bo była wojna i już do szkoły trzeba było 6 kilometrów iść.

Trochę zmarnowane było moje życie.

W O J N A

Pewnie, że pamiętam. Miałam już lat 14. Przykro nawet opowiadać. Niemców się najechało. Myśmy się bali bardzo. Przychodzili do nas za wszystkim, za kurami...

Ż Y D Ó W K A

To był przypadek rzeczywiście. Oni się nazywali Bejman. Mieszkali w Lublinie. Chyba gdzieś na Staszica. Ojciec miał młyn w Parczewie i lasy. Drzewem handlował. Bogaci to byli ludzie. Mi się wydaje, że ciocia u nich sprzątała. [Ciocia nazywała się] Karolina Dworeczyk.

Ta matka zrobiła sobie w Krakowie dowód polski i chciała męża tam zawieźć. Podobno [pani Bejman] przyszła do cioci i prosiła, żeby dziecko dopilnowała. I zostawiła u niej. To była szkoła, byli Niemcy blisko. Jak pojechali do Krakowa, to [ciocia] się bardzo bała. [Podobno] jak wracali, w ciągu ktoś poznał, bo on był bardzo podobny

jako Żyd. Zabrali go. Ona była bardzo zrozpaczona. Chciała go wykupić od Niemców. Facet, który pracował w tej szkole poszedł i prosił [Niemców]. Oni obiecali, kazali pieniądze przynieść i że wypuszczą. A później mówią, żeby i ona przyszła. Jak przyszła żona, to oboje... Ona mogła się uratować, gdyby była nie poszła. Ciocia bała się, bo tam Niemców było bardzo dużo, więc do siostry trzeba na wieś. I przyjechała. Powiedziała, że bomba zabiła jej [Rózi] ojca i nie ma kto się zająć. Dopiero aż pochowała, przyjdzie i zabierze. I mamusia tydzień, 2, 3, nie ma, nie ma. Pojechała do siostry, a siostra mówi: „Kochana, to jest Żydóweczka. Ja nie mogę, bo tutaj Niemcy. Nie wiem, co zrobimy”. A mamusia: „Nie nie zrobimy, będzie u mnie. Nie ma u nas rozkoszy, ale my tego dziecka nie oddamy nikomu. Tylko nie przyznaj się, że to jest Żydóweczka. [U nas] nikt nie wie. Myśmy od razu mówili, że to rodzina”. Zresztą przecież nie wiedzieliśmy, że to Żydóweczka. Mówiło się, że bomba zabiła ojca, a matka chce pochować i dopiero wróci. A późniejszy powiedzie-

li, że matka się wyrzekła, bo cośmy mieli powiedzieć. Taka była dobra, myśmy ją tak kochali. Ona ze mną tyle lat była, spała ze mną, nauczyła się modlitwy, śpiewała różne religijne pieśni, jak majówka u nas była, to nie było dnia, w którym ona by nie była [na modlitwie]. „Idziesz?”. Jak nie idziesz, to już sama poszła. Nikt nie mógł uwierzyć, że to jest Żydóweczka. Była pojętna i przeżyła dzięki Bogu.

Pamiętała swoją matkę. Nieraz opowiadała. Mówiła: „Wiesz, jak mnie mama karmiła, to wymiotowałam, a mama mnie biła”.

Przyszła w 1942 albo 1943 roku. Miała chyba 5 lat. Jadzia myśmy ją, na imię miała. Moja mamusia bardzo ją kochała. Bardzo ją lubiłam, a ona mnie. Gdzie tylko szłam, to ona za mną.

Była jednak do swojego ojca podobna, podobna do Żydóweczki. Ona take mowę miała po polsku, dlatego myśmy ją nawet pół godziny nie ukrywali. Myśmy do wszystkich ludzi mówili, że to rodzina. Ale ludzie niektórzy wraz mówili, że to jest Żydóweczka. Jak na wioskę przychodzili Niemcy, to zawsze [mój przyszły mąż, partyzant] dawał nam znać. Przychodził i mówił, że będzie łapanka, że będą Niemcy. Mamusia krowy wydoiła, mleka nam w butelki ponalewała, jaki chleb, kocyk i my obie z Rózią poszliśmy. Cały dzień i wieczór czasami siedziałyśmy. Mamusia po nas wyszła, a jak nie, tośmy się skradali do domu, czy tam żyjo. Wracaliśmy dopiero [na] wieczór.

Baliśmy się, bo każdy się bał. Myśmy wiedzieli, co nas czeka, przecież by zabili, spalili.

Ubieraliśmy ją po wiejsku, żeby nie miarkowali. Ona do nas przyszła to tylko w jednych

ciapeczkach, w jednych sandałkach, skarpeteczkach, z krótkim rękawem sukieneczce. Nic absolutnie żadnego sweterka, żadnego ubranka, absolutnie nic nie miała. Wtedy lato było. Na nas mówiła po imieniu. A mamusi to mówiła „ciociu”.

[Sąsiedzi] może i wiedzieli, ale nikt taki podły nie był. Był jeden człowiek na wsi, który nawet odsiedział za Żydów, bo rękę przyłożył, ale on nas [się] nie czepiał, bo to było troszkę dalej i jakoś do niego nie dotarło. Może by i nam próbował zaszkodzić.

Akcja była Niemców. Wtenczas mamusia nie wiedziała, to było jakoś na początku. „Ubierajcie się i uciekajcie! Idź z nią do siostry” – powiedziała mamusia. [Siostra mieszkala] w drugiej wiosce. Myśmy obie poszły. Siostra nas przyjęła, nakarmiła. A tu już Niemcy na podwórku. [Siostra] mówi: „Weź ją za rękę i wokoło okna, żeby ona nie patrzyła się na Niemców”. Zaczęłam jej pokazywać kwiatek, rozmawiać z nią. Niemcy do domu wchodzi, a ona chce na piec. Ja ją ściagam za nogi, za rękę, a ona chce się schować. Ja mówię: „Nie wolno ci tego robić”. A Niemiec zobaczył, że dziecko drży. Zaczął ju głaskać i mówić, że i on takie dziecko w domu zostawił. A to się telepało, ja się telepałam, wszyscy się telepali w tym domu. Kto żywy był. Bo my wiedzieli, co to by było. Pogłaskał i nie absolutnie się nie pomiarkował.

R E L A C J E

DRUGA ŻYDÓWKA

Jeszcze była taka sprawa, nie wiem, czy mogę opowiedzieć. Brałam udział w pomocy innym Żydom, Żydówce. W tej samej wiosce miała sklep, kiedyś przed wojną. Mamusia u nich na kredyt brała. Żyła, znała się dobrze. Nie byli bogaci, tyle że sobie radę dawali. Później, jak Niemcy czepili się, to ona, nie wiem, co się stało z jej mężem, ona miała dwie piękne dziewczynki, kędzierowate włoski, czarne oczki. Śliczne te dzieci były. I uciekła do lasu. Wykopała sobie norę w tym lesie, słomy skądś naciągnęła, poduszkę i tam zamieszkała z tymi dziećmi. Przez całe lato ja tam chodziła raz dziennie, nosiłam jej jedzenie. Ja i tacy z drugiej wioski, Krzyżaki się nazywali. Oni też przynosili jedzenie. Jak nam Niemcy kazali krowę zaprowadzić, to ona mówiła, że całe noc się modliła, żeby nam tych krów nie zabrali. Bo i ona mleko dostanie. Ale później ten podły człowiek wyciągnął te dzieci i jo. Zawiózł jo do gminy i zabili Niemcy. Mówił, że ona by nie przeżyła zimy. Ludzie pluli na niego. Tak go znienawidzili, że on nie miał już co we wsi robić. Odsiedział 10 lat. W więzieniu umarł za te dzieci.

Imię miała Ewka. Bała się. Ludzie mówili, przecież to ludzkie życie było. Jak mógł wziąć i wywieźć, żeby zginęły? Nazywał się B.

TRZECIA ŻYDÓWKA

Szykowaliśmy się do kolacji [wigilijnej]. Ktoś zapukał. „Pani Dudziakowa, ja jestem w takim kiepskim [stanie], nie mam co jeść, jestem głod-

171

na, poratuj mnie, przecież my dobrze żyli”. Mamusia mówi: „Wchódź”. Weszła, nakarmi-
liśmy. Była ze dwie godziny. Oknaśmy poza-
słaniali. Mówi, żeby poszła przenocować do
obory. Tam ciepło. Daliśmy jej kożuch długi
do przykrycia. Mówiła, że rano, jak wstanie-
my, to jej [już] nie będzie. I tak było. Rano
odeszła. Mówiła, że jest u jakiegoś gospo-
darza. Prosiła, żeby się usunęła, bo [mieli]
mieć gości.

[Nazywała się] Ślamina. Z Bystrzycy [była].
[Po wojnie] pojechała do Izraela i jej syn
pojechał. On się uratował na naszej wiosce.
Ukrywali się we dwóch u Niezgody na górze.

C Z W A R T A Ż Y D Ó W K A

[Była też] Żydóweczka. Przyjechała z lasu,
oni tam chyba mieli kryjówkę i mieli towary.
Panienka, zakolegowała się z nami, przyno-
siła nam chustki na głowę, to były modne
takie szalinówki. Chciała, żeby nie płacić
pieniędzmi tylko żywnością. U nas [na wsi]
była wdowa, mieszkała z dwojgiem dzieci
i ona tam do niej się sprowadziła. Zawsze
tam nocowała i handlowała. Przyjeżdżała
więcej niż rok. Później ktoś ją zabił, jakaś
banda. Jak była u tej wdowy, to wyciągnęli
i zabili... Nikt nie sprzątał ciała... leży taka
zabita. Wykopaliśmy w lesie dół, mąż mój
i taki drugi. Włożyliśmy ją na taczkę, bo była
ciężka, okręcili w jakieś prześcieradło i za-
sypali. Przyjechali później po wojnie, chyba

z jej rodziny, wypytali się i zabrali ją stamtąd.
Nie pamiętam, jak myśmy na nią wołali...

P O W O J N I E

Po wojnie nigdy byśmy nie chcieli jej oddać.
Wszystkie moje starsze siostry wyszły już
za mąż, usunęli się z naszego domu, tylko-
śmy we trzy w domu byli. I wtedy mamusia
dowiedziała się, że jest komitet żydowski
w Lublinie. Pojechała z zamiarem, że nigdy
jej nie odda. Myśmy po wojnie jo sobie na
nas chcieli przepisać i ochrzcić. Żeby mój
mąż nie poszedł na wojnę, to chyba byśmy
jej nie oddali.

Ale tak się czepił mamusi stryj [Rózi], żeby
oddała, żeby oddała, żeby oddała. Raz po-
wiedziała, że za nic nie odda, drugi raz dali
paczkę słodyczy, zapraszali, żeby od czasu
do czasu przychodzić. Dawali paczuszkę dla
dziecka. Później, jak mamusia drugi i trzeci
raz pojechała, to namawiali: „Pani nie da jej
wykształcenia...”. Ona [Rózia] powiedziała,
że ucieknie do nas, że ucieknie gdzie by nie
była. Gdyby ją zabrali, to ucieknie i wróci.
Jak mamusia wróciła, tośmy całą noc płaka-
li, żeśmy oddali. Żałuję do dzisiejszego
dnia, że to dziecko się oddało. Ten stryj miał
się opiekować, miał ją wykształcić, myśmy
z tego powodu ją oddali. Bo może nas nie
będzie stać wykształcić. Było ciężko po woj-
nie. A ona była zdolna. Zdawało się nam,
że ją można było dać na studia, żeby jakąś

przyszłość miała. Ona została w kibucu,
tam pracowała, żadnej szkoły nie skończyła.
Miała żal. Jak siostra raz tam była, to się
dowiedziała, że żadnego kontaktu nie ma
z tym stryjem.

K O N T A K T

Pisała do nas jeszcze po polsku. Później to
pisała, że już nie umie po polsku, że z pamię-
ci nie może. Kiedyś, nie pamiętam, w którym
roku, dzwoniła do mnie ze 2 razy. I jeszcze
listy miałam. A teraz się urwało. Tyle wie-
my, że wdowu została.

[Mama] zawsze bardzo czekała na list.

M E D A L

Medal przyszedł do Warszawy i myśmy się
nie zgłaszali po [niego]. Po jakimś czasie pan
Rychalski, też Żydek, powiedział: „Czemu nie
chcecie? Trzeba wziąć ten medal”. I myśmy
pojechali. Ale już tego medalu nie było. Tylko
dawała nam pismo. Myśmy powiedzieli, że
jak będzie medal, to weźmiemy i to pismo. Po
jakimś czasie Jadzia, Rózia zaprosiła do sie-
bie. Siostra tam pojechała. Medal przesłali.

[Tekla Dudziak oraz jej córki Wanda, Jani-
na, Władysława i Maria otrzymały medal
„Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”
w 1979 roku.]

D E U T S C H

Władysława Słotwińska, geborene Dudziak, wurde 1927 in Bystrzyca Nowa, in der Nähe von Lublin geboren. Während des Krieges wurde ihre Tante Karolina Dworczyk von der Jüdin Frau Bejman gebeten, ihre fünfjährige Tochter aufzunehmen. Frau und Herr Bejman wurden kurze Zeit später umgebracht. Władysława Słotwińskas Tante brachte das Mädchen Róża zu Familie Dudziak, aufs Land. Die Familie nannte sie Jadzia und behandelte sie wie ein eigenes Kind.

Władysława Słotwińska erwähnt außerdem die Hilfe für eine andere jüdische Familie. Eine Mutter versteckte sich mit ihren zwei Töchtern im Wald. Den ganzen Sommer über brachten Familie Słotwiński und ihre Nachbarn ihnen Essen in den Wald. Später jedoch verriet ein Pole die Drei und die Deutschen ermordeten sie.

Władysława Słotwińska erzählt auch von der Jüdin Ślamina. Heiligabend kam sie zu ihnen und fragte nach Essen. Sie aß und versteckte sich danach in der Scheune. Den

Krieg überlebte sie schließlich in einem Versteck bei den Nachbarn.

Nach dem Krieg musste Władysława Słotwińskas Familie Jadzia in ein Lubliner Waisenhaus bringen. Von dort fuhr sie nach Israel. Einige Jahre blieb sie mit der Familie in Briefkontakt. Familie Dudziak wurde 1979 die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Władysława Słotwińska, née Dudziak was born in 1927 in Bystrzyca Nowa near Lublin. Władysława recounts how during the war a Jewish woman Mrs. Bejman came to her aunt Karolina Dworczyk for help. She asked her aunt to protect her five-year-old child. Soon after, Mrs. Bejman and her husband were killed. The girl Róża (called Jadzia) went to Władysława's mother to the country. The family told everyone that

Róża was a family member. Władysława also talks about helping another family: three Jewish women, a mother and her two daughters, who were hiding in the forest. Władysława and members of another family provided them with food for the whole Summer. However, a Pole from the neighboring village informed on them and the women were killed by the Nazis. Władysława also recounts that on Christmas Eve, a Jewish woman Ślamina, came by asking for

food. She stayed with them, ate and spent the night in their barn. She left the next day. Another family from the same village helped her to survive the war. After the war, Władysława's family had to give Róża away to a Jewish orphanage in Lublin. Later Róża went to Israel. They were in touch for a few years. Władysława's family received the medal "The Righteous Among the Nations" in 1979. Her sister went to Israel at Róża's invitation.



01

02

Zdjęcie rodziny Dudziaków z przyjaciółmi, w środku mała Róża.
Familie Dudziak mit Freunden. In der Mitte steht die kleine Róża.
A photograph of the Dudziak family with friends, in the middle, little Róża.

WŁADYSŁAWA SŁOTWIŃSKA



Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



04

Dyplom.
Das Ehrendiplom.
The diploma.



05

Władysława Słotwińska (Dudziak) w młodości (stoi z lewej).
Władysława Słotwińska (Dudziak) als Jugendliche (auf der linken Seite stehend).
Władysława Słotwińska, née Dudziak in her youth, standing on the left.

ROK 1897 LUBLIN LUBLIN RELACJE LUBLIN LUBLIN URODZENIA KAZIMIERZ BOGUCKI

Kazimierz Bogucki, urodzony 20 lipca 1897 roku w Skarżysku-Kamiennym. Miejsce zamieszkania – Lublin. Uczestnik pierwszej wojny światowej, drugiej wojny światowej, oficer rezerwy, członek ZBoWiD-u [Związek Bojowników o Wolność i Demokrację], odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

WOJNA

W Lublinie znalazłem się już w styczniu 1937 roku, opuściwszy Zamość, gdzie sprawowałem obowiązki szefa handlowego tamtejszej okręgowej elektrowni. I przez to, że miałem nieporozumienie z burmistrzem miasta, zostałem zwolniony z odpowiednim odszkodowaniem. Na drugi dzień Urząd Wojewódzki uznał za stosowne zaangażować mnie do tworzącego się wówczas Międzykomunalnego Lubelskiego Związku Elektryfikacyjnego. W 1939 roku, na kilka dni przed rozpoczęciem ostatniej wojny, otrzymałem wezwanie

do stawienia się do Komendy Miasta Lublin, gdzie wyznaczono mi zadanie – ochrona mostów i obiektów kolejowych. Pełniłem te obowiązki do siedemnastego września włącznie. Gdy już gaszeniem pożarów nie można było się zajmować, bo wróg stał u wrót miasta, przed świtem szesnastego września w towarzystwie trzech innych oficerów udaliśmy się ich samochodem w kierunku Lwowa, gdzie, jak dowiadrywaliśmy się, trwały jeszcze walki. Benzyny niestety wystarczyło nam tylko do Kowla, ale tam na szczęście była wytwórnia spirytusu i wódek. U żołnierzy, którzy rozładowywali fabrykę spirytusu, wyprosiłem 20 litrów spirytusu i z pełnym kanistrem poszedłem do wozu i co kilka kilometrów dolewałem do zbiornika. Przed Zbarażem spirytus nam się skończył i musieliśmy zanoć, czekając na okazję wydobyć skądś kilku litrów benzyny. O świcie siedemnastego września ja, który podjął się dyżuru przez noc, słyszałem charakterystyczny jęk dużych, bardzo dużych silników. Domyśliłem się, że to są tanki.

Obok przejazdu kolejowego i kościoła bronowickiego prowadzili grupy aresztowanych albo więźniów. I mnie się zdarzyło raz czy drugi widzieć takie grupy. Tam rosły morwy, akacje. Ci żołnierze [radzieccy jeńcy] wycieńczeni, wymordowani, wypychali sobie do ust zielone liście. Szedł obok nich co kilka kroków uzbrojony niemiecki konwojent. Na drodze ich marszu przy skřęćie w ulicę, która prowadziła do Majdanka, zaobserwowałem furmankę, na której znajdował się mężczyzna, rolnik, prawdopodobnie ze swoją połowicą. Mieli ładunek kartofli i jabłek. Ludzie, wzruszeni widokiem liści zrywanych z drzew, przeżuwanych przez jeńców radzieckich, wiedzeni odruchem, rzucili parę jabłek w tłum jeńców. Oczywiście to spowodowało zamieszanie, do którego się włączyli konwojenci. [Niemiec] przedostał się do rolnika i karabinem, kolbą karabinu uderzył w głowę rolnika. Ten upadł na wóz. Jego żona podniosła alarm, wrzask. Krzyczała: „Zabijcie i mnie”. Do dziś przeżywam tę scenę... Odwróciłem się,

177

ale przysięgłem, że każdego napotkanego Niemca będę traktował jak wroga... ludzkości... nie tylko Polaków. A że wiedziałem, że oni już się znęcają nad Żydami... że każą im środkiem ulicy chodzić, kłaniać się...

Ż Y D Ó W K A

Gospośia nasza, Marysia, nie pamiętam nazwiska, typowa dziewczyna ze wsi, któregoś dnia podnosi alarm: „Oj, proszę pana, tam taka dziewczynka, takie ciężkie wiadro z wodą... To jej musiałam zanieść, bo ona nie mogła udźwignąć. Jak się zapytałam, gdzie ona to niesie, to powiedziała: Do takiej jednej pani, co ona u niej nocuje. A kto to ta twoja pani? A to cudza pani, tylko tu ja zostałam, mnie tu zostawili na szosie i ja nie miałam gdzie nocować i poszłam do jednej pani, która mnie w komórcie takiej pozwoliła spać. Za to ja jej wodę noszę i dziecko bawię”.

– „Tak? A czy ona nie głodna może? A jak ona ubrana?”

– „Proszę pana, brudniutka taka i poszarpane ma sukienki, i pewnie głodna, bo ledwo to wiadro niosła, więc ja jej zaniósłam. Wzięłam ją za rękę, powiedziałam: Chodź do mnie na chwilkę, ja ci coś powiem, coś ci pokażę”.

I przyprowadziła ją do nas. Żona niedługo zastanawiając się, zabrała się do kąpieli tego dziecka. Dziewczynka miała 6 lat. Postarała się o jakieś ciuszki dla niej. Sukienkę [zrobiła z jednej] ze swoich [sukieniek]. I zaplotła jej warkoczyki, wzięła za rękę i poprowadziła do sióstr urszulanek, w których gimnazjum lubelskim sama się wycho-

wywała. Bo ta dziewczynka nie знаła pacierza. Nic też o religii katolickiej nie słyszała. Domniemywałem, że to było żydowskie dziecko, które prawdopodobnie mądzy rodzice wypchnęli z tego tłumu, licząc, że ktoś o dobrym sercu się nią zaopiekuje. I miała rację, bo i ta kobieta, co jej udzieliła noclegu, i moja żona zasługiwały na to, żeby o nich powiedzieć... życziwe słowo.

Przemileczałem, żona nie od razu się poznała, że to dziecko żydowskie. I może lepiej, bo ja wołałem, że żona nie będzie wiedziała. W razie jakiejś wyspy, przez nieostrożność, mogła jedna drugiej pani powiedzieć: „A to żydowskie dziecko ktoś tam zabrał, ci ludzie co tam na Strażackiej mieszkają”. Tego rodzaju informacje mogłyby Niemców zainteresować. Zresztą nie tylko Niemców, ale [też] tych, co uważali, że Niemcy postępują słusznie, gnębiąc Żydów w Polsce.

Dziewczynka miała już, okazuje się, metrykę z Kazimierza nad Wisłą, w której było imię i nazwisko polskie, wręcz wiejskie. Nazywała się Regina Dziedzio. To już było dużo na naszą obronę. Zamieszkała oczywiście u nas. Była wspaniała, szybko biegała, każde życzenie nasze spełniała błyskawicznie. Żonę uważała za ciocię, a mnie za wujka.

Doczekaliśmy szczęśliwie przyjścia wojsk radzieckich.

P O M O C D I A G E T T A

Z gettem utrzymywałem stosunki. Jak przyszła pora zelektryfikowania pierwszego

R E L A C J E

miasta powiatowego, które nazywało się Lubartów, to Związek Elektryfikacyjny nie miał pieniędzy na zapłacenie tysiąca liczników [...]. Więc pojechałem i uzyskałem kredyt od pana Konerta [właściwe nazwisko: Kohn], kogoś prawie jak przyjaciela. Byliśmy w stosunkach handlowych i pomagaliśmy sobie wzajemnie. Ten bez wahania podpisał się pod poleceniem w fabryce, żeby przystali liczniki na nasz adres, a ode mnie wziął weksle.

Jak się dowiedziałem, że Konert też jest i ma już łączność zapewnioną kanałami z ulicą Zielną, tam był wylot jednego z kanałów, [dokładnie w miejscu, gdzie] była firma elektrotechniczna, prowadzona przez byłego Żyda, przechrztę, udzielił mi azylu w swojej firmie. Przechowywałem [tam] silniki, co było pretekstem do odwiedzania firmy. Wtedy włączałem się do rozmów z tymi, którzy o coś do getta prosili. Zorganizowałem, jak ja to nazywam, małą szajkę inżynierów z firmy Szpotański i ze Związku Elektryfikacyjnego. Składaliśmy się na drobne narzędzia do prac elektrotechnicznych: przewody, rurki przewodowe. Kupiłem z tuzin grzałek elektrycznych do herbaty, bo o to prosili. Jeden z polskich policjantów, którzy tam chodzili na dyżury... Poznałem go, przyjrzawszy mu się dokładnie, uprosiłem, żeby wziął jedną grzałkę i takiemu a takiemu więźniowi na ulicę taką a taką wręczył. I ten numer powtórzyliśmy z 6 albo 7 razy. Marek Konert, szef firmy, był nam za to bardzo wdzięczny. Marek Konert był wspaniałym fachowcem. Wystarczyło podać [mu] jakiś drobiazdek z przyrządów elektrotechnicznych, on spojrzął, obejrzał i mówił: „A to jest detal od silnika olejowego, takiej a takiej mocy, do

transformatorów takiej a takiej mocy”. Imponował nam wszystkim, którzy w energetyce pracowali.

Ja i ta szajka inżynierów składała się na pomoc dla warsztatu, który pracował w getcie. Więźniowie sądzili, że to im pozwoli dłużej przetrwać. To trwało ze 2 lata.

K O I E J N A Ż Y D Ó W K A

W międzyczasie z Warszawy przywiozłem jeszcze jedną osobę pochodzenia żydowskiego, studentkę architektury, która uciekła konwojowi w drodze do getta warszawskiego. Grupa przeszła, a ona została sama. Do mieszkania bała się wrócić, bo [Niemcy] mieli spis lokatorów tego domu.

W pierwszych tygodniach, kiedy się porozumieliśmy z Markiem, ten mając do mnie zaufanie i wierząc, że ja będę mógł jego prośbę spełnić, poprosił, by uratować jego kuzynkę, która się przechowuje. Postarałem się o widzenie z tą niewiastą i przyrzekłem jej, że przywiozę ją do Lublina.

Ona wprawdzie mogła wyglądać na Żydówkę, ale biegle знаła język niemiecki. Szybko ukułem plan, że przywiozę ją do Lublina, pobędzie u nas w mieszkaniu, dopóki nie wymyślę jakiejś posady, żeby jej niemiecki mógł się przydać.

Trzeba było ją przewieźć tylko wozem niemieckim, bo wszystkie cywilne furmanki były starannie przez Niemców na różnych skrzyżowaniach sprawdzane, legitymowane. Zdarzały się wypadki. Wyszadzali pasażerów i sprawdzali ich przeszłość. Wśród [Niemców] są Ślązacy. Ale jak odróżnić Ślązaka? Pójść się pytać? Nie! Parking wozów woj-

skowych mieścił się na placu dworcowym dawniejszej kolei warszawsko-wiedeńskiej. Z walizką, z płaszczem na ramieniu, jakoby ten, który przybył pociągiem i rozgląda się za znajomym, względnie – środkiem komunikacji, przysłuchiwałem się szwargotowi kierowców niemieckich. Na drugi czy trzeci dzień udało mi się usłyszeć: „O, pieruna!”. Myślę: „Jestem w domu!”. Podchodzę do tego wozu: „Panie, słyszałem pańskie «pieruna» to taką mi przyjemność zrobiło. Myślę – muszę podejść do tego pana i poczęstować go dobrym papierosem. Pan pałacy?”. „Jo, jo pałę, przeca”. Mało mu się na szyję nie rzuciłem. „Jak pan trafił do wojska?”. „Ano, panie przykazali i koniec”. „Ma pan rację, trzeba”. „Ano tak, tak to jest na tym świecie”.

Odszedłem na chwilę, żeby nie narzucać się od razu. „Taki pan sympatyczny. Myślę, że pan Polakowi, jako krajanowi, pomoże”. „No, co ja mam zrobić?”. „Proszę pana, ja do Lublina muszę się dostać. Nie wiem, czy taki wojskowy wóz może wziąć? Pociągi chodzą nieregularnie, a taki prywatny kosztuje drogo. Ja trochę znam niemiecki, w razie czego będę się tłumaczył. Ja mam dobre papiery, bo pracuję w energetyce. Jestem potrzebny Niemcom, tak samo jak wy tutaj jako kierowca. Jakby tak chciał mnie zabrać ze sobą”. Nie odpowiedział. Pokiwał głową, że ostatecznie nie jest taka rzecz nie do zrobienia. „Długo pan tu będzie?”. „A bo ja wiem?”. „A mogę przyjść jutro dowiedzieć się, czy pan jest jeszcze?”. Uśmiechnął się: „Jak mnie nie będzie, to pan mnie nie zobaczy przeca!”.

R E L A C J E

„No tak, głupstwo powiedziałem. Skłonny byłby pan mnie zabrać? Tak przyjemnie się z panem rozmawia!”. „Przyjdź pan jutro, bo dziś nie mogę [nierozumiem]”. Przeszedłem [następnego dnia]. Stoi. „Jedziem na wschód, panie. Czy to Lublin?”. „Właśnie! Bez [przez] Lublin. Inaczej na wschód nie pojedziecie, jak nie zahaczycie o Lublin. To jest moje miejsce zamieszkania. Tam się zatrzymamy. Ja pana poproszę do domu. Moja żona ugości pana jako Ślązaka. A nikt się nie będzie temu dziwował, że kierowca niemiecki, bo wiadomo, że Polacy też służą w wojsku niemieckim”. „No fajno, przyjdź pan jutro”.

A coś mi się zdarzyło, że pomyliłem godziny. „Panie, ja tu cekam i cekam, a pana nie widać. Jo już muszę zapuszczać motor”. „A co, mogę siadać?”. „Siadaj pan!”.

Jedziemy Marszałkowską ulicą. Umówiłem się z tą studentką przed firmą „Erze Futra”. Każdy Polak w Warszawie znał firmę „Erze” na Marszałkowskiej. Już naszykowałem jej rozmowę. Ma się przywitać i kiwać głową, kuzynka do nas jedzie. Jak ja mam zostawić ją tukej. Tukej – po ślasku z nim rozmawiam. Jej krewni gdzieś daleko za Lublinem. Choćby do Lublina się dostała, to już tam trafi dalej. Taką sobie mowę przygotowałem.

Jedziemy Marszałkowską, ja go za ramię: „Stop!”. On się przestraszył: „Co chceta?”. „Wybaczta, kuzynka moja stoi, chcę się z nią przywitać, tak dawno jej nie widziałem”. „No dobra, ale rychło, rychło”. A jeszcze nie powiedziałem mu, że chcę ją zabrać. Podchodzę do niej: „To pani jest pani Czaplńska?”. „Tak, to ja”. „Na pewno?”. „Na pewno”. „To

uściśnijmy się, bo ja powiedziałem szoferowi, że pani jest kuzynką”. Ona już rozumie o co chodzi. Ja niby taki rozochocony, pogodny, szczęśliwy, że tutaj krewną spotkałem, biorę ją pod pachę i mówię do niego: „Słuchajcie, kuzynka chce właśnie jechać do Lublina. Nie wiem, jak mam prosić, czy by nie można jej było zabrać z nami”. Wszystko załatwione, usiadła w tej budzie. Przejechaliśmy przez punkt kontrolny. Nikt nas nie sprawdził. Przywiozłem ją do Lublina. Kierowcę zaprosiłem, ale nie przyjął zaproszenia, bo późno już było. Proponowałem mu: „Może trochę pieniędzy, może co...”. „Oj, nie, panie! Jo ni wezmę”. „Może na drogę chociaż trochę jedzenia?”. „No, jak mata przygotowane, to mogę wziąć”. Pożegnałem się z nim serdecznie, on pojechał i więcej się z nim my nie widzieli. A studentkę Jankę Czaplinską ulokowaliśmy u siebie w domu. Mieszkała u nas pół roku. W międzyczasie zdołałem przekonać komisarza energetyki, że przydałaby mu się sekretarka. Wprawdzie miał Niemkę, ale przydałaby mu się taka, która zna polskie stosunki, zna biegle język niemiecki. „Jeśli to moja protegowana, nikogo złego panu nie doradzę, bo pan komisarz ma odpowiedzialne zadanie i nie może pan swojego urzędu narazić na jakieś nieporozumienie”. On już był do mnie przekonany, więc po paru miesiącach, kiedy miał jechać do Krakowa, przychodzę do niego i mówię: „Chciałem panu przedstawić, kuzynka mojej żony, świetnie znająca niemiecki, a to może będzie najlepiej w drodze”. Nam by się w polnische Restaurant przydała [komisarz Drabent często zagadywał łamanym polskim kelnerki, zdradzając, że jest Niemcem i ściągając na obu niebezpieczeństwo]. „Nie

musiałby pan zwracać się per «panenka» do kogo innego tylko właśnie do sąsiadki obok pana siedzącej”. Jechaliśmy we trójkę. Po drodze tłumaczyłem: „Panie Drabent, ja mam wobec pana wyrzuty sumienia, teraz je wyłuszcze. Pan ma odpowiedzialne stanowisko. Pan potrzebuje odpowiedzialnych współpracowników, ale takich, na których się pan nie zawiedzie. Jeśli są pana współpracownikami, to muszą wykonywać pana polecenia. Jeśli jest tam z pana punktu widzenia coś cennego, to żeby ona nie poszła z tym na ulicę i nie rozgłosiła całemu światu. I to będzie lojalny pracownik. Bo powiem panu otwarcie, że pana obecna sekretarka, Niemka, już pierwszego dnia, jak ktoś telefonował do pana komisarza, to słyszałem jak ona po niemiecku powiedziała, że tutaj więcej nie będzie mówione po polsku. „Zaprzysięgłem sobie tej babie zemstę. Oczywiście taką zemstę opartą na prawie. Więc chciałem ją trochę odsunąć, a wprowadzić tę znającą niemiecki studentkę architektury”. On się zgodził: „Keine Wort”.

Studentka przydała mi się. Do komisarza przychodzili wojskowi, lotnicy albo inni w sprawach służbowych, na przykład, żeby Związek Elektryfikacyjny przedłużył sieć od jakiegoś miasteczka czy osady do pewnego lasu, tam będzie utajony magazyn benzyny, lotniczy. Lotnisko było jedno pod Chełmem, a drugie pod Krasnymstawem. Benzynę chowali pod lasem.

Jak stała się sekretarką, była podczas rozmów, kiedy wojskowi rozkładali mapy wojskowe. Już myśmy wszystko wiedzieli.

R E L A C J E

Janka miała zawsze bibułę, którą wycierała usta. Jak wychodzili, Janka jedną ze swoich bibulek kładła na sztabówkę i odrysowywała całą sytuację. Oddawała bibułę mnie, a ja Józiowi Kotowskiemu. Nadharemistrz Polskiej Rzeczypospolitej. Rekordzista przebywania w więzieniach niemieckich.

Żony się pytał ktoś. Może ktoś, kto się nie interesował tym specjalnie, tylko znów przesłany przez kogoś: „A co to za panienka sympatyczna często was odwiedza?”. Ona u nas pół roku mieszkała. Ja miałem obowiązek i prawo podejrzewać każdego, co pyta naiwnie... Ponieważ była tak zadomowiona, a on [Drabent] się do niej przyzwyczaił. Był zwyczajnym Niemcem, miał żonę i dzieci. [Ktorego dnia] do niego przychodzę i mówię: „Panie Drabent, chcę pana przeprosić, ale ta pańska sekretarka nowa... Ja ją zaprotegowałem, ale widzę, że pan ma tu spotkania, a to jest kobieta, która się w arkanach sztuki wojennej zupełnie nie orientuje. Może koleżance swojej chlapnąć coś niepotrzebnie i to może okazać się wcale niepomocnym panu. Bardzo pana proszę, niech pan ją zwolni, a ja jej się postaram o co innego. Rzeczywiście dla niej za wysokie progi pod tym względem”. Pokiwał głową: „Haben Sie Recht, Herr Bogucki, Haben Sie Recht, ja też myślałem o tym. A co pan myśli... czy ona nie ma jeszcze drugiej posady?”. Ja mówię: „Nie, jeszcze nie, pójdziemy do Arbeitsamtu”. „A co by pan powiedział na temat elektrowni zamojskiej?”. Tam też był komisarz, Niemiec, który akurat nie miał sekretarki. „A może my ją tam pošlemy?”. „A przyjmą ją tam?”. „O, jak ja mu każę, to przyjmie, bo on jest mnie podległy!”. Ja mówię: „No to świetnie, dziękuję panu”. Przychodzę do niej

i mówię: „Przechodzi pani do Zamościa na tę samą funkcję”. Uspokoilem się trochę, bo rzeczywiście robiło się niebezpiecznie.

P O W O J N I E

Czaplińska po wojnie skończyła architekturę i wyjechała do Holandii, Renia Dziedzio mieszka w Warszawie, ukończyła studia wyższe, zajęła się ogrodnictwem, jest szefem zieleni w hucie warszawskiej. Żona Marka, który w Poniatowej zginął, mimo że przygotowałem mu ucieczkę i pomógł mi ten przerobiony przez nas na folksdojeza monter Lewicki z Grudziądza, przeżyła. Potem

się tak trafiło, że temu Konertowi posyłałem... bo on tam z dzieckiem swoim trafił, z dziewczynką... posyłałem lekarstwa. Poza tym posyłałem ciepłą bieliznę. Bo przyjeżdżał raz na tydzień jako monter z naszego polecenia, materiały zabierał.

M E D A L

Ja, skromny człowiek, mam kilkanaście uratowanych osób na sumieniu, w tym kilku Żydów. „To niech pan nam to napisze” [powiedzieli w ŻIH-u]. Nawet mam jeszcze kopię tego wniosku, gdzie wymieniłem wszystkich: począwszy od Reni, poprzez Jankę,

pana Drzała, oficerów, przez kursy własowca, co przychodził do mnie po lekarstwo dla więźnia w Trawninkach. Trzy lata to trwało. W 1979 roku byłem u nich. Po trzech i pół latach dostaję z centrali ZBoWiD-u zaproszenie do stawienia się na uroczyste odznaczenie, dekorację medalem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”. Tu, w Warszawie na Alejach Ujazdowskich. Zostałem odznaczony w 1983 [wg metryczki Państwowego Muzeum na Majdanku i Yad Vashem data otrzymania medalu to 1981 rok].

[Kazimierz Bogucki otrzymał medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1981 roku.]

D E U T S C H

Kazimierz Bogucki wurde 1897 in Skarżysko-Kamienna geboren. Seit 1937 lebte er in Lublin. Während des Krieges hat er gemeinsam mit seiner Frau die sechsjährige Jüdin Regina Dziedzio (so ihr polnischer Name) versteckt. Kazimierz Bogucki half auch einer Architekturstudentin aus Warschau, Janina

Czaplińska, die er nach Lublin brachte. Er vermittelte ihr auch eine Arbeit im Deutschen Vorstand eines Energiebetriebs, zuerst in Lublin und später in Zamość. Kazimierz Bogucki hatte auch Kontakte zu Marek Kohn (Konert), der im Lubliner Ghetto war. Er brachte ihm Werkzeuge für seine Werkstatt im Ghetto.

Nach dem Krieg wohnte Regina Dziedzio in Warschau und Janina Czaplińska wanderte in die Niederlande aus. Marek Kohn wurde im Lager in Poniatowa ermordet. Herrn Bogucki wurde in den 80er Jahren die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

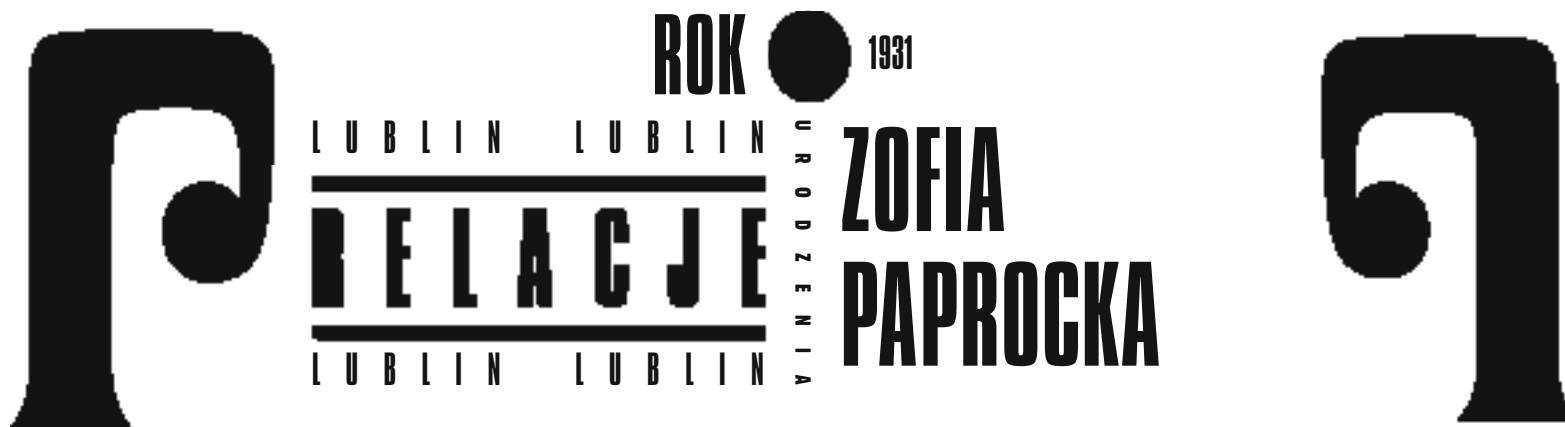
E N G L I S H

Kazimierz Bogucki was born in 1897 in Skarżysko-Kamienna.

In 1937 he moved to Lublin. During the war, Kazimierz and his wife were hiding a six-year-old girl named Regina Dziedzio (a false "Aryan" surname). He also helped Janina Czaplińska from War-

saw, a student of architecture. Kazimierz took her to Lublin and arranged a job for her as secretary to the manager of the German run Energy Board. Mr. Bogucki also kept in touch with Marek (Kohn) Konert who was in the ghetto. Kazimierz and other engineers delivered the necessary tools for the ghetto

workshop. After the war, Regina Dziedzio moved to Warsaw, while Janina emigrated to Holland. Sadly, Marek Kohn was killed in the camp in Poniatowa. In the 80's, Kazimierz was awarded the medal "The Righteous Among the Nations".



Nazywam się Zofia Paprocka. Urodziłam się 13 czerwca 1931 roku w Jakubowicach, niedaleko Lublina. Obecnie mieszkam w Lublinie.

Skończyłam Liceum Vettera, a później studia na Akademii Rolniczej budownictwo, mechanizacja, elektryfikacja wsi. Pracowałam jako inżynier. Później wyjechałam do Stanów [Zjednoczonych]. Tam byłam 10 lat. Dzieci miałam troje.

Moi dziadkowie? Mój tatuś, jak się żenił, nie miał już ani ojca, ani matki. To był rok 1928, a ja się urodziłam w 1931. W ogóle swoich dziadków nie pamiętam.

Tatuś został mistrzem rzeźniczo-wędliniarskim. Z bratem prowadzili biznes. Sklep mieli, zakład wyrobniczy, przetwórstwa konkretnie. Jak miałam 6 lat, tatuś mnie ukradł od mamy, bo nie byli w zgodzie z teściami. I byłam z ojcem. Ojciec mnie prowadził, aż do dorosłości. Mieszkaliśmy u cioci Walerii

Szyszkowskiej na Ponikwodzie. W Trześniowie byłam 6 lat. Przez okres szkoły podstawowej. A po szkole wynajęli nam stancję w Lublinie. Ja i moja kuzynka, stryjeczna siostra, chodziłyśmy do szkoły, do gimnazjum. A w Rynku mieszkaliśmy przed wyjściem za mąż. Tatuś kupił z panem Kieszką i jeszcze z kimś całą kamienicę, oczywiście od Żydów. Mam nawet akt notarialny. Wiem, że od jednego Żyda kupili, bo przecież dawniej Stare Miasto było żydowskie.

W O J N A

W roku 1939 byłam z ojcem na wsi, w Nasutowie. Tato był u swojego brata. Tam miał drugą siostrę. Byłam trochę u tej cioci, bo [tata] nie wiedział, co ze mną zrobić. Dzieci czasami bywają okrutne, bardziej dokuczają jak starsi. I dokuczali, więc tato zabrał mnie do cioci [na Ponikwodzie].

Wielką tragedię przeżyliśmy, bo Niemcy spotkali się na wsi Nasutów. Jeden Niemiec zginął w zamachu partyzanckim, to dwudziestu Polaków zostało wymordowanych. Najmłodszy stryjecznej siostry rodzony brat, 5-letni, uratował się. Niemiec powiedział: „Uciekaj”. Jeden jedyny z całej gromady ludzi. A tamtych dwudziestu wszystko za jednego Niemca poszli do grobu. Takie były ciężkie czasy.

Ż Y D Z I

Od 1940 roku mieszkam w Lublinie. Mieszkaliśmy na Ponikwodzie u cioci. Ale tylko przez podstawową szkołę. Do 1944 roku, do końca wojny. A później tato się ożenił. Zamieszkałam na Lubartowskiej z ojcem i z macochą. Zostało trochę Żydów, dlatego że niektórzy pożenili się z Polkami. Nie wszyscy byli stąd wyrzuceni. Byli tacy, którzy mieli, mieszane były rodziny i tam były dzieci i normalnie z polackimi dziećmi chodziliśmy do szkoły. Nie było żadnego odizolowania, tylko razemśmy wszyscy chodzili. To, to dla nas nie było ważne, czy to Żydówka czy Polka, to było wszystko jedno.

Z nami do szkoły chodzili Żydówki, bardzo przyjemne dziewczyny. To było na Lubartowskiej tutaj u Hessego. Później [Niem-

cy] zbombardowali, to myśmy chodzili na Czwartek. Także one z nami chodziły, dziewczęta, Żydóweczki bardzo ładne i bardzo miłe. Do jednej klasy z Hanką [chodziłam]. Ona to może nawet pamięta. Tylko rok była z nami. Niemcy wyrzucili ich [jej rodzinę], zabrali im dom, sklep, wszystko im zabrali. Nosili opaski z gwiazdą. Normalnie przyjacielskie były stosunki. Myśmy się bardzo lubili, bawiliśmy się razem. Myśmy nie były zarażone antysemityzmem. Bo myśmy Niemców nienawidzili i Ruskich, ale nie Żydów. Nasi rodzice mieli z nimi różne biznesy. Pamiętam, szłam do szkoły i wypędzali Żydów z mieszkań. Zabierali im wszystko. To była straszna rozpacz. Najgorzej było w okresie zimy. Strasznie ich prześladowali. Chodziłam do drugiej klasy podstawowej. Widziałam trupy na jezdni. Bodajże w maju były pierwsze bombardowania. We wrześniu. Jak były naloty, tośmy uciekali ze szkoły na Ponikwodę, do cioci.

Jak się z Ponikwody do szkoły na Lubartowską szło, mijało się po lewej stronie kierkut, cmentarz żydowski, a po prawej polski. Myśmy, żeby sobie skrócić drogę, szczególnie w okresie zimy, tośmy biegali po cmentarzu. Nieraz groby były wykopane, ale śniegu było pełno i myśmy wpadali.

Jak [Niemcy] wymordowali gdzieś po drodze, czy na ulicach, czy w mieszkaniach, na cmentarz wywozili. Tutaj chowali. Myśmy to widzieli. Były duże groby wykopane, olbrzymie. Śmy widzieli, jak nieboszczyki jeden za drugim leżały rzędami. Później Polacy musieli to zakryć.

R E L A C J E

U cioci [na Ponikwodzie] było dobrze. Ciocia miała krówkę, świnkę. Do tego jeszcze hodowała pod szkłem warzywka. Nieraz musieliśmy je zrywać, w pęczki układać i ciocia woziła to na rynek. Jak jej były potrzebne produkty, to kupowała w mieście.

Ż Y D

Pamiętam, jak poznałam pana Kawę. Na Lubartowskiej nasi rodzice mieli sklepy. Na Lubartowskiej, na Biernackiego. Pan Kawa stracił żonę i dzieci na Majdanku. Wymordowali mu. A ja byłam w takim wieku jak jego dzieci. Mówił: „Wiesz co? Będę wyjeżdżał do Izraela. Jak będzie możliwość tylko, chciałbym, żebyś pojechała ze mną”. Mówię, że nie mogę, ja mam tatusia, chodzę do szkoły. Nie mogę nigdzie jechać. A on: „Bo byś mi przypominała moje dzieci”. Tyle stracił.

Kawa ukrywał się u cioci. Ciocia naprawdę dbała o niego. Znali się [przed wojną]. Jakieś małe handle robili ze sobą.

Dwóch było braci Kawa. Tego drugiego nie znałam. Ten był, bo spał ze mną w jednym pokoju. On był potężnym mężczyzną, przystojnym, wysokim, barczystym. Ciocia miała kilka pokoi. Nawet później prześladowali naszych rodziców Niemcy, dlatego że się spotkali z partyzantką. Później bardzo byli ostrożni. Przy dzieciach wiele rzeczy nie mówili. Po prostu kazali nam wyjść.

Nie pamiętam, kiedy przyszedł. Możliwe, że był wtedy, kiedy myśmy byli w szkole. Na pewno nie tak oficjalnie z uwagi na nas, żebyśmy gdzieś coś nie powiedzieli w szkole.

Ciocia powiedziała, że to jest nasz przyjaciel i tutaj będzie mieszkał, dlatego że on ma dom zbombardowany. Zawsze bajki jakieś ciocia musiała nam naopowiadać. Z wielkim współczuciem śmy go traktowali. Nie przyszło mi do głowy, żeby robić sobie z tego żart. Absolutnie! Przecież rodzice by nas dobrze pasami nabili.

On nas na kolana wziął, pogłaskał, przytulił. Jak już miał dzieci troje. Musiał mieć, na pewno koło 40 [lat], tak mi się wydaje. Powiedział, że Niemcy zabrali jego rodzinę na Majdanek, że bardzo jest smutny. Przed wojną mieszkał na Lubartowskiej.

Ja u niego w mieszkaniu nawet byłam. Rozmawiał z nami. Jeszcze jak w tym czasie na początku. Jak jeszcze do szkoły chodziłam tutaj, jak jeszcze normalnie Niemcy byli. Po prostu nas wziął. Mówi: „Zosia, jak będziesz szła, to dam ci kanapkę, dam ci czekoladki. Przyjdź, porozmawiam z tobą”. I wtedy właśnie ze mną rozmawiał: „Słuchaj, ja się wybieram, może wyjadę, czy ty byś nie chciała ze mną pojechać?”.

Wrócił do swojego domu po wojnie, może tylko był coś zlikwidować, trudno mi powiedzieć. Nie pamiętam dokładnie, który to był rok. Później wyjechał do Tel Awiwu.

Nie, ciocia mi nic nie mówiła [że ktoś jeszcze trzymał Żydów]. Ludzie to trzymali w wielkiej tajemnicy. Gdyby byli złapani, zginęliby od razu. Także nie każdy Polak się odważył, a jeśli tak, to musiał naprawdę bardzo być dyskretny, tajemniczy. Wiem, że ciocia dostarczała mu jakieś jedzenie, to z całą pewnością. Polak też Polaka się bał.

K R Y J Ó W K A

On spał w tym pokoju co ja. Nawet mu dawałam swoją poduszkę, bo uważałam, że ma za nisko, dałam mu swoją i wzięłam sobie mały jasieczek. Pamiętam go jak dziś. Wieczorem, mam wrażenie, gdzieś go ciocia kryła. Oni mieli gospodarstwo, przy gospodarstwie była stajnia, obora i jakieś pomieszczenia, komórki. Bardzo możliwe, że ona go tam gdzieś chowała. Ale ciocia nigdy by nas nie dopuściła tam, żebyśmy mogły zobaczyć. To było miejsce nie dla dzieci. Powiedziała, że jeżeli nawet przyjedzie przyjaciel, to mamy nie mówić. Raczej dorośli izolowali dzieci, bo to były rzeczy za poważne, żeby przy dzieciach, dzieciom mówić, tłumaczyć. Ciocia mówiła: „Nie, nigdy, z nikim nie

rozmawiajcie, że tam do nas czasami przychodzi ten pan, bo to jest nasz przyjaciel”. Myślę, że u nich był ze 2 lata.

R E F L E K S J E

Żydzi nie byli naszymi wrogami, tylko naszymi braćmi i dużo im zawdzięczamy, bo wnieśli dużą kulturę i naprawdę dużo dobrego zrobili dla Polski. Żałuję, że musieli tutaj opuścić, bo to był tak samo ich kraj, jak nasz. Myśmy ich przyjmowali. Oni byli po prostu jak nasi bracia. Nie powinno być antagonizmu. Tylko młodzież później przez komunistów wykształcona może miała inne zdanie. Dla mnie każdy człowiek to jest dobry. Wszystkich uznaję, Żydów, nawet i do dobrego Niemca, bo oni też nas na rękach nosili i głaskali. Byli tylko żołnierzami i byli normalni.

Dom na Ponikwodzie prawdopodobnie stoi do dzisiaj. Sama bym chciała się do niego pojechać kiedyś, zobaczyć. Chciałabym pokazać, w którym pokoju był Kawa i jak to było.

[Waleria i Antoni Szyszkowscy otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata w 2008 roku.”]

D E U T S C H

Zofia Paprocka wurde 1931 in Jakubowice in der Nähe von Lublin geboren. Während des Krieges lebte sie bei ih-

rer Tante im Lubliner Stadtteil Ponikwoda. In ihrer Wohnung versteckte sich ein guter Bekannte der Tante, Herr Kawa, ein vierzig-

jähriger Jude. Seine Familie wurde in Majdanek ermordet. Nach dem Krieg wanderte er nach Israel aus.

E N G L I S H

Zofia Paprocka was born in 1931 in Jakubowice near Lublin. During the war, she lived at her aunt's in the Ponikwoda

district in Lublin. She recounts how for two years, they were hiding in their flat, a forty-year-old Jew named Kawa, who knew Zofia's

family before the war. His family were killed in the concentration camp at Majdanek. After the war Kawa went to Israel.



01

02

Chaim Kawa (przechowywany) Tel Awiw, Izrael.
Der Gerettete Chaim Kawa in Tel Aviv, Israel.
Chaim Kawa, the hidden, Tel Aviv, Israel.

ZOFIA PAPROCKA

ROK 1931

HELENA ZAGRODNICZEK

U R O D Z E N I A

L U B L I N L U B L I N

R E L A C J E

L U B L I N L U B L I N

Nazywam się Helena Zagrodniczek, urodziłam się w Nasutowie, 15 sierpnia 1931 roku. Mieszkam w Lublinie.

Skończyłam gimnazjum imienia Wacławy Arciszowej, ogólnokształcące. Pracowałam w delikatesach, przez lat 11.

W O J N A

Takich biednych Żydów pamiętam, jakśmy jechali z Lublina przez Rudkę do Nasutowa, był barak i tam biedota żydowska była. Siedziały dzieci, dużo dzieci i ci Żydzi. Ja siedziałam na wozie.

To było tuż przed samą okupacją.

Rodzice mieszkali w Nasutowie, mieli sklep. Był też kawałek ziemi. Wszystko trzeba było opuścić po tym wypadku, kiedy się spotkali partyzanci z Niemcami i kiedy Niemcy wymordowali nam dużo osób z rodziny. Wtedy właśnie ojciec nas wywiózł do cioci. Tam było nas dziewięcioro, sześcioro przygarbiętych – ja, mój starszy brat Władysław,

młodszy ode mnie o rok brat Zdzisław, stryjeczna siostra Zofia Paprocka, brat stryjeczny, któremu Niemcy tego dnia kiedyśmy uciekali zabili ojca i matkę. Był jeszcze jeden kolega, Zygmunt Bartosik. Do tego ciocia miała swoich troje. I zdecydowała się jeszcze wziąć pod opiekę, na przechowanie tego Żyda Kawę, o czym ja się dowiedziałam dopiero za rok, kiedy ojciec po wyzwoleniu nas zabierał. Wtedy powiedział, że to Żyd. Ja nie wiedziałam, że to Żyd. Dzieciom się takich rzeczy nie mówiło, zwłaszcza że zaraz za zabudowaniami cioci mieszkał w pałacu Niemiec, którego partyzanci zastrzelili przez okno. Ja nawet byłam na jego pogrzebie na ulicy Lipowej.

Także myśmy o tym nie wiedzieli.

Mój tatuś i moja mama ukrywani byli przez Armię Krajową, przez partyzantów Armii Krajowej w Stróży, za Lublinem. Tylko tatuś nas odwiedzał.

Pod lasem w Nasutowie, nazywali ten pas niwką, tam byli Żydzi przechowani w piwnicy. Ktoś usłużny, jak to zawsze się znajduje, powiedział, że tam są Żydzi. Przyjechali

Niemcy, suka niemiecka. Rzucili granaty. Wybili wszystkich. Dom spalili. Wszyscy zginęli. Nawet nie wiem, jak się nazywali, nie pamiętam nazwiska. Strasznie myśmy przeżyli, że oni wybili Żydów z dziećmi i tych ludzi, którzy ich przechowywali.

K R Y J Ó W K A

Jemu wybili całą rodzinę. Było widać po nim, że przeszedł wielką tragedię. Nie był nic podobny do Żyda. Żyd mi się zawsze kojarzył – broda, mycka, chałat. A on był wygolony, wysoki i właśnie nie z takich drobnych, niskich, jak to przeważnie, tylko wysoki, potężny mąż[czynna], barczysty. Tak go pamiętam.

Zastanawiałam się, gdzie ten Żyd się ukrywał? Myśmy go nigdy nie widzieli w dzień, tylko wieczorem. Trudno było dzieciom mówić takie rzeczy. Była ściana w pokoju i była zrobiona druga ściana z desek. Przy tej ścianie sta-

187

ło łóżko. Jak tatuś przyjeżdżał nas odwiedzać, to właśnie na tym łóżku przysypiał. Jak ktoś obcy wszedł do domu, widziałam, że mój tatuś przekręcił się i wpadł za łóżko. Była ruchoma kłapa, może na jakimś rzemieniu. Jak się przekręcił, to wpadał za łóżko – ściana była normalna i łóżko normalne, a ojca nie było. I tam też ukrywał się ten Żyd. Jak mój tatuś był, to jego tam nie było. Gdzieś indziej ciocia go ukrywała. Dopiero w 1944 roku, jak tatuś jechał z nami do domu, jakśmy wracali, powiedział, że ciocia ukrywała Żyda. Nazywał się Kawa. To był wysoki, przystojny mężczyzna. Siostra Zosia mu gazety kupowała. On później nam ciastka jakieś fundował. Jeszcze chciał inaczej za to później wynagradzać, ale ona [Zosia] się nie zgodziła. Myśmy nie wiedzieli, o co to chodzi, byłyśmy za małe i za głupie na to.

Jak byłam u cioci, chodziłam do szkoły na Lubartowską, mówiło się Hessego, do szóstej klasy. Właśnie jak byłam u cioci na Trześniowie. [Rok] 1943 do 1944. A wcześniej w Nasutowie, normalnie chodziłam do szkoły. Czy Żydzi chodzili, tego nie wiem. Myśmy chodziły przez kirkut do szkoły, to raz tam rozstrzelali Żydów. Nie mogłam tam podejść. Mówili, że się ziemia rusza. Nie podchodziłam, tylko słyszałam, jak dorosli mówili. To było tuż przed wyzwoleniem. Niemcy! Niemcy, tylko Niemcy [strzelali], a kto inny?

Mieliśmy dużo zdjęć, na przykład jak Żydów po Lubartowskiej gonili. Ze strachu wszystkie te zdjęcia mój tatuś zebrał i spalił. Bał się, że może coś się stać, jak się dowiedzą, że my takie zdjęcia mamy. Polacy byli podzieleni. Byli Polacy, co chętnie by na każdej

rzeczy zrobili jakiś interes, albo po prostu by skrzywdzili człowieka. To nie było takie proste.

O J C I E C

Mój tatuś był na zamku uwięziony. Przed wyzwoleniem. Może 1941 rok. Chodziłam na łąki i patrzyłam w te okienka, czy go zobaczę. Niemcy zaraz krzyczeli i trzeba było uciekać. Chodziłam na widzenie z tatusem. Byłam raz czy dwa razy. Nosiłam paczki. Mamusia szykowała jakiś tłuszcz z cebulą i z czosnkiem.

Polak, autochton ze Śląska, pan Gwiszcz, uratował ojca. Już byli go przewieźli na Majdanek. Gwiszcz mieszkał na Szopena, w mieszkaniu, [z którego] wyrzucono Polaków. Mamusia przyszła i powiedziała: „Mam troje dzieci. Niech mi pan pomoże”. Płakała. Otworzył szufladę biurka. W szufladzie był krzyżyk. „Nie martw się kobieto. Ile będę mógł, to ci pomogę”. Udało się. Po wyzwoleniu zwrócił się z prośbą do nas, bo jego wzięli, że on z Niemcami współpracował. Mój tatuś był prostym człowiekiem, ale dobrym i mądrym. Poszedł do adwokata i opowiedział wszystko. Pismo wysłane zostało na Śląsk. I pan został zwolniony. Wielka była radość, że mógł się tatuś odwdzińczyć. Jak tatuś wrócił [z więzienia], nie poznałam go. Zawsze był przystojny, z wąsem, w maciejówce, w sztywniakach butach, bryczesach, elegancki. A jak wrócił, miał brodę.

HELENA ZAGRODNICZEK

ŚWIETLA W CIEMNOŚCI SPRAWIEDLIWI Wielko mądrość Światła

Później jeszcze raz był w więzieniu, ale już z innego powodu, za cud lubelski. Dostał 4 lata.

P O W O J N I E

Całe zeznanie moje jest w Yad Vashem wysłane. Wszystko napisałam. Zosia napisała, że prawdopodobnie Kawa wyjechał z Anną Steinfinkiel. Ja nie wiedziałam, z kim on wyjechał. Wiem tylko, że do Izraela.

My wróciliśmy do swego domu, ale tatuś już nie miał zamiaru tam żyć. Za dużo tam było śmierci. Kupił w Lublinie dom i tuśmy się sprowadzili. Ja już byłam w Urszulanach, w internacie. Tam spotkałam siostry Czartoryskie, Dusię Zapolską, Ewę Sachs, z naszych szlacheckich rodów dziewczyny. Myśmy tam przez rok były. Później rodzice sprowadzili się do Lublina. Zamieszkałam na Biernackiego.

Jak już byłam w gimnazjum, miałam koleżanki Żydówki – Hanię Hubermann, która wyjechała później do Izraela, chodziła do jednej klasy, mam nawet zdjęcia z nią. Bardzo miła dziewczynka. Nie przyznała się nigdy, że wyjedzie. Był moment, że Żydzi wyjeżdżali i wtedy ona również wyjechała. I była Fryśówna, ale nie w mojej klasie. Jej mama była dentystką. Mieszkała na Lubartowskiej. Chodziłam do jej mamy zęby sobie leczyć. Bardzo miła dziewczynka. Oni też wyjechali. Tego się nie wiedziało. Chodziłam do niej do domu, ona do mnie przychodziła. Pewnego dnia przychodzi, ale ich już nie ma.

Hania Hubermann nigdy się nie odezwała, nigdy nie napisała. Były jeszcze dwie Ży-

dówki w naszej szkole, bliźniaczki. Sprytne, która wiedziała, to ta się zgłaszała. Chodziłam do Hani Hubermann. Weszłam raz i patrzę, stół nakryty ogromnym czerwonym aksamitem. Była pod tym poduszka podłożona i ogromna księga. Jej dziadek siedział, miał na głowie mykę i się modlił. Hania Hubermann otworzyła drzwi i mówi: „Ja ci pokażę, jak się modli”. Zajrzałam i widziałam, że on się modli.

Miała bardzo piękne dwie ciotki, bardzo przystojne. Patrzyłam na nie. Były takie urocze. Pięknie umalowane, pięknie uczesane, czarne, ładne.

REFLEKSJE

Należy wyzbyć się nienawiści, wszelkiej nienawiści, oczywiście i rasowej, żeby lu-

dzie byli dla ludzi ludźmi. Uważam, że człowiek powinien mimo wszystko być człowiekiem, niezależnie od tego, jaka partia i jak żyje. Miałam koleżanki Żydówki. Nigdy się tego nie wyparłam. Nie wstydziłam się tego nigdy. Przecież one takie same serca miały jak i ja. Miały matki albo nie miały, może zamordowane. Hania moja nigdy o matce nie mówiła.

DEUTSCH

Helena Zagrodniczek wurde 1931 in Nasutów geboren. Sie erzählt, wie ihre Eltern sie am Anfang des Krieges, nach den ersten Kämpfen zwischen Partisanen und Deutschen, von Nasutów zu einer Tante nach

Lublin geschickt haben. Dort traf sie Herrn Kawa, der sich bei ihrer Tante versteckte. Erst nach dem Krieg erfuhr Helena Zagrodniczek, dass er ein Jude gewesen ist. Herr Kawa wanderte nach Kriegsende nach Israel aus.

Helena Zagrodniczek erzählt auch von einer Familie in Nasutów, die Juden bei sich versteckte. Sie wurden aber verraten und das Haus der Familie wurde von Deutschen durch eine Granate zerstört. Dabei sind alle Bewohner getötet worden.

ENGLISH

Helena Zagrodniczek was born in 1931 in Nasutów near Lublin. She recounts how at the beginning of the war, after clashes between guerrilla fighters and the Nazis, her par-

ents took her from Nasutów to her aunt in Lublin. In the house where she lived, a Jew called Kawa was hiding. However, only after the war, did she find out about his nationality. Kawa went to Israel. Helena also

mentions the murder of a Polish family who harboured a group of Jews in Nasutów. After they had been turned in, Nazis came and threw grenades into the house. Everyone died.



HELENA ZAGRODNICZEK

ROK 1907

LUBLIN LUBLIN URODZENIA

JAN PODDĘBNIAK

RELACJE

LUBLIN LUBLIN

ŻYDÓWKI

Były dwie siostry Marie, szarytki. Jedna na ulicy Bonifraterskiej, kierowniczką sierocińca, była bezradna. Dała im [Żydówkom] od czasu do czasu jeść. Mnie nie znała. Druga siostra Maria, nazwisko Gulbin, litewskiego pochodzenia, przez kurię biskupią została wyznaczona do opieki nad bezdomnymi, nad biedotą lubelską. Miała zakład, [który] do dnia dzisiejszego istnieje na ulicy Dolnej Trzeciego Maja 2a. [Był tam] dom starców – 50 sztuk, który wspólnieśmy utrzymywali. Niemcy chcieli zlikwidować, myśmy nie dali. Jak było trzeba pieniędzy, włożyłem na ambonę w kościele Wizytek, prosiłem społeczeństwo, koszyk pieniędzy śmy uzbierali i tych starców śmy przetrzymali do końca. Niezależnie od tego [siostra Maria] miała hafciarnię. W pracowni haftów kształciła młode dziewczyny. Siostra wszelki margines społeczny wyławiała. Dziewczyny, które już poszły na złą drogę wyławiała, dawała zawód – albo krawiectwo albo hafciarstwo, wydawała za

maż. Pożyteczną robotę robiła. Cały Lublin ją znał, cały Lublin szanował, zwłaszcza potentaci pieniężni. Jak jej pieniędzy brakło, szła do dyrektora banku – była bezczelna: „Panie, ja nie mam co ludziom dać jeść. Panie, daj pan pieniędzy”. I wszyscy jej dawali. Siostra Maria Gulbin.

Ta siostra mnie całą tą robotę wsadziła. Byłem prokuratorem w tym czasie, mieszkalem w seminarium. Trafiła bomba. Rozbiła kuchnię, mieszkania. Wtedy mnie siostra [Maria] do siebie zaangażowała, żebym każdego dnia dla jej personelu odprawiał mszę świętą. Dawała mi jeść. I ona przysłała mi te dwie Żydóweczki. Żydóweczki trafiły od siostry Marii ze szpitala Bożego Jana – szarytka szarytce przekazała. Zostałem wtedy wpłątany w całą tą sytuację, zrobiłem se kłopotu, ale szczęśliwie się wszystko złożyło.

Muszę podkreślić, że te dwie dziewczyny miały jakąś łaskę bożą, że przyszły do mnie w tym czasie, kiedy Lublin śmierdzał palonymi ciałami. Strzelali, do rowów pakowali, na wierzchu kładli trupy, przekładali drzewem, oblewali benzyną i palili. Tutaj było

zniszczenie Żydów. Dziennie 18 tysięcy szło. To były tak zwane żniwa niemieckie – oni to Erntefest nazwali.

Jak przyszły do mnie Żydóweczki, byłem bezradny. Każdy się bał, każdy uciekał. Nikt się tego nie chciał dotknąć. Był czas, że ich nikt nie chciał. Szarytki powiedziały im: „Jak ksiądz będzie chciał, to wy będziecie żyć”. One się tego zdania czepiły. Przyszły do mnie do kurii. Byłem w cywilu, nie w sutannie. Często, jak szło gestapo, myśmy oknem skakali we dwóch – nas dwóch było w kurii, chowaliśmy się.

Przyszły [Sara i Lea]. Niemcy prawie każdego dnia do nas przychodzili. Władzą było gestapo, więc przychodzili do nas [dowiadować się], kto do kurii przychodzi. Z kurii właściwej [nas] wyrzucili. Kurię [i] seminarium zajęło wojsko niemieckie, a nam w drodze łaski dali chałupkę, która stoi do dzisiaj jeszcze przy kościele Wizytek. Ciasnota była. Czasami interesantów w sionce się przyjmowało. Jak Niemcy przyszli, szukali różnych adresów

191

księży, nie tylko z naszej diecezji, [ale] z całej Polski. Ciągłe byłem pytany, czy ja tego znam, czy ja tego znam. W pewnym okresie był jeden łobuz – użyję tego wyrażenia – ksiądz, czeski rzymskokatolicki ksiądz... Jak [Niemcy] zajęli Czechy, ten ksiądz przyjął służbę w gestapo. Ten drań znał przepisy prawa kościelnego i strasznie mnie podciął, bo już nie mogłem cyganić, bronić się w pewnych wypadkach prawem kościelnym. [Wcześniej] jak coś żądali, mówiłem: „Proszę panów, przecież wiecie, że religia ma swoje prawa”. Jak ten drań wszedł do gestapo, byłem podejrziwy. Musiałem kołować na najrozmaitsze strony. Najwyżej mówiłem: „Nie znam, nie widziałem, nie słyszałem”. A on mi ciągle groził: „Ty kłamiesz”. Mówię: „Proszę mi to udowodnić”. On się C. nazywał. Drań nie z tej ziemi, gorszy od gestapo. Z gestapowcami ja się prędzej dogadałem jak z nim.

W Y J A Z D

Bałem się, że jak przyjdą Niemcy – a te dwie dziewczyny są podobne do Żydówek – z niej-sca [je] wezmą [i] jak będę wyglądał? „Z kurii wzięto dwie Żydówki”. Dlatego mówię: „Panie kochane, uciekajcie stąd, bo tu Niemcy przychodzą, poznają was od razu. Widzicie, co się na świecie dzieje. Nie mam żadnych [możliwości], żebym mógł wam pomóc w tej chwili”. „Nam siostry powiedziały, że jak pan ksiądz będzie chciał, to my będziemy żyły”. Jak im powiedziałem, że nie nie zrobię, buchnęły płaczem... To się nie da powiedzieć, taki płacz... „Proszę księdza, nam wszystko jedno, czy nas wezmą stąd, my same musimy się zgłosić na spalenie, same, bo nas nikt

nie chce”. Ja wtedy szalony krok – czapkę na głowę i mówię: „Chodźcie, schowajcie się. Tutaj nie możemy gadać. Schowajcie się do mojego mieszkania. Tylko jak was z ulicy złapią, nie miejcie do mnie pretensji. Ja was nie zdradzę. Jakby Niemcy szli, wchodźcie do bramy, nie uciekajcie, bo to byłby ślad, że jest źle. Do sklepu wejdźcie, zapytajcie o coś, [byleby] ich minąć”. Szczęśliwie przeszliśmy przez ulicę Kapucyńską i przez Krakowskie Przedmieście na ulicę Zieloną. Moje mieszkanie było na ulicy Zielonej, na pierwszym piętrze. Panienki do swojego mieszkania wprowadziłem, zamknąłem i mówię: „Siedźcie spokojnie, ja po urzędowaniu, po godzinie trzeciej przyjdę i wtedy dopiero będziemy myśleć”. Poszedłem na obiad do siostry Gulbin, zwymyślałem ją: „Dlaczego mi siostra rano nie powiedziała, żebym był nastawiony, żebym wiedział!? Dlaczego siostra przesłała tylko bilecik ‘proszę te dwie panienki jakoś uratować?’”. „Proszę księdza, co ksiądz ze mną się kłóci, ksiądz ma bardzo łatwe wyjście”. Nie wiedziałem, że mój znajomy [jest] dyrektorem Arbeitsamtu. „Przecież on jest księdza kumplem”. On się skompromitował. Zdradził polskość i przeszedł na folksdojczy. Do niego [zgłaszała się] każda osoba, która [chciała wyjechać] do Rzeszy. Musiał dać dokument, że jest upoważniona. Sama metryka chrztu i urodzenia nie wystarczyła. Metryki chrztu [Sara i Lea] otrzymały z parafii świętego Pawła – w kościele Bernardynów. Z tym trzeba było iść do dyrektora Arbeitsamtu. On przeegzaminował – pancerza pytał, różne prawdy wiary pytał i na

R E L A C J E

tej podstawie dopiero dawał zaświadczenie, że taki i taki może jechać do Rzeszy. Na drugi dzień [po rozmowie z siostrą Marią] poszedłem do niego i zagrałem w otwarte karty: „Panie, przyszedłem do pana z bardzo ważną sprawą. Mam wielki kłopot, głupstwo zrobiłem. W obawie, żeby z kurii nie zabrali Niemcy dwóch dziewczyn, Żydówek, kazałem im się schować w moim mieszkaniu. I są”. [On] mówi: „To nie kłopot, to fakt”. Chwylił za telefon: „Poślę zaraz i wezmą je z księdza mieszkania”. Wyjąłem mu telefon z ręki: „Czekaj bracie, uważaj, uważaj, bo jużes jedno głupstwo zrobił, folksdojczem się zrobiłeś. Całe podziemie wie. Przyszedłem do pana z wiadomością z podziemia. Pan mnie może w tej chwili sprzedać. Od razu. Dostanę kulę w łeb razem z tymi Żydówkami. Ja pana nie szachuję, nie straszę, tylko podziemie o tym wi. Wie pan, co będzie dalej. Pan nie ma pewności, czy Hitler wojnę wygra. Pan działa na szkodę Polski, a nie liczy się z tym, co będzie jutro. Dlatego radzę panu ostrożnie działać, oglądać się do tyłu, bo jest wojna. Nie wiadomo, jak się to wszystko skończy”. On wtedy zgasił i zaczął ze mną rozmawiać łagodnie: „Szukajmy wyjścia. Niech ksiądz dokumenty da, żeby miały metryki”. Mówię: „Już mają”. Pyta, czy są podobne na Żydówki, klasyczne Żydówki. „Muszą do mnie przyjść”. „Panie kierowniku, nie muszą przychodzić. Nie będzie ich pan oglądał. Nie potrzebuje ich pan egzaminować. Przyjdą dwie dziewczyny, aryjki”. Imiona i nazwiska podałem. Zapisał: Stanisława Gorczyca i Maria Taracha. Mówi: „Wszystko będę miał przygotowane na jutro, aby tylko dziewczyny przyszły. Dam im do ręki”. I tak się stało, załatwił [sprawę] z miejsca.

Jak już miały prawo wjazdu do Niemiec, do Reichu, wtedy wyszła druga sprawa. Podła sprawa. Dyrektor mówi: „Proszę księdza, one muszą stanąć na komisję, bo są robotnikami. Ochotniki, ale płatne robotniki – jak chory, to go się nie przyjmie. Tam jest doktor Niemiec i doktor Polak”. Jak mi powiedział, że jest doktor Polak, mówię, żeby on był diabeł z piekła, muszę się z nim dogadać. „A może mi pan powiedzieć, kto jest ten Polak, doktor?”. „Antoni O.”. Ja temu człowiekowi ślub dawałem, [on] był pułkownikiem, dyrektorem szpitala wojskowego na Krakowskim Przedmieściu. Tam go zastała wojna i stamtąd go Niemcy wyrzucili. Poszedłem do niego do mieszkania na Narutowicza 25 i powiedziałem mu jak i co. „To przecież od razu załatwię. Tylko niech one nie idą do Niemca. Musisz im pokazać, kto jest Niemiec”. Jak poszliśmy na badanie zdrowia, ukloniłem się. Doktor już czekał, kiwnął głową. Ja im pokazałem: „Do tego pana idźta”. On ich nie badał, od razu bez niczego napisał, że zdrowe. Na trzeci dzień im kupiłem 3 kilo kiełbasy [i] 2 bochenki chleba [na drogę]. Każdego dnia odchodził wagon ochotników. Podstawiano pod barak wagon. Wsiadali i jechali, zależnie gdzie było zapotrzebowanie silnych, młodych do pracy. Dnia, kiedy myśmy wszystko załatwili i byli pewne, że jadą, zawiozłem ich na ulicę Krochmalną [na] dworzec kolejowy towarowy. Poszły do baraków, a ja ciekaw, gdzie pojadą, zrobiłem przeskoczenie z Krochmalnej na Dworzec Główny, który pociąg idzie w tej chwili i gdzie. W tej godzinie odchodził tylko jeden pociąg – pociąg pospieszny na Berlin. Ony poszły do baraku. Podstawiono wagon osobowy. Zapotrzebowanie akurat było na

robotników do fabryki wagonów kolejowych pod Berlinem. Adres później miałem. Pisały do mnie – KdF Wagen bei Berlin [fabryka samochodów – dziś Volkswagen].

W N I E M C Z E C H

[Jeszcze] w Polsce w 1939 roku Stasia zrobiła [kurs] pielęgniarstwa. Ta druga była w szóstej klasie, ale siostra siostrę ciągnęła i oboje zgłosiły się [w Niemczech] jako pielęgniarki. Zapotrzebowanie było i nie poszły do ciężkiej roboty.

One były dziwne. Później ich zwymyślałem, bo pisały na niemieckich odkrytkach. Jedna odkrytka przyszła: „Dziękujemy panu księdzu. Wiemy, co pan ksiądz dla nas zrobił”. Mój Boże kochany, jakby Niemiec takie coś przeczytał. Śmierdzi podejrzeniem. Dlatego odpisałem: „Zmieniam miejsce zamieszkania. Gdzie będę pracował, nie wiem. Proszę do mnie nie pisać, aż ja napiszę do was [i] dam wam nowy adres”. Tak się ich pozbyłem na cały okres ich pobytu [w Berlinie]. Bałem się, że głupie dziewczyny młode, z serca to chcą robić, ale...

Przetrwały. Różnorako miały. Stasia to był roboczy człowiek. Ta druga jest odmienna od Stasi. Miałem z nią rozmowę w Antwerpii. Do parku śmy poszli i ja jej powiedziałem: „Dlaczego pani nie pisze, nie przyjedzie”. Ona: „A po co ja pojedę do Polski? Polska mi krzywdę zrobiła, ja Polski nie uznaję”. Mówię: „Polska pani zrobiła? Ja pani krzywdę zrobiłem?”. Ona się wtedy zorientowała,

R E L A C J E

że głupstwo powiedziała, zarumieniła się. Mówię: „Pani myśli, że panią Amerykanie uratowali czy ja? Czy Polacy, czy Polska?”. Ona przy swoim trwała. Należy do organizacji Syjon. Tam haczyk połączyła i Polaków, Polski nie uznaje.

P O W O J N I E

Skończyła się wojna. Jak Amerykanie nasze panny wyzwolili, Sara – zawsze była inteligentna – napisała pismo do papieża Piusa XII, do Rzymu. Opisała, że „ksiądz polski uratował nam życie. Nie wiemy, gdzie on jest. Prosimy o pomoc, żebyśmy się dowiedzieli, gdzie jest, bo chcemy mu za wszystko podziękować”. Ciekawa rzecz. Listu papież nie zlekceważył. Zachował. Po wojnie w Belgii był zjazd rektorów katolickich uniwersytetów z całej Europy. Wtedy [rektorem] naszego Uniwersytetu Lubelskiego [KUL] był ksiądz profesor Marian Rechowicz, późniejszy biskup lwowski. Jak się zebranie rektorów rozpoczęło, legat papieski wywołał: „Czy z Polski jest rektor? Niech się natychmiast stawi do mojego gabinetu”. Ten się przestraszył. [Legat] mówi: „Papież dał mi list. Ma ksiądz znaleźć w Polsce księdza i na ten adres odpisać, czy żyje, gdzie jest, żeby te panie [wiedziały]. Rektor mówi: „Nie będę szukał. Codziennie go widzę”. Od razu adres dał. Za kilka dni otrzymałem list. Na odkrytce [napisały]: „Wiemy, co panu księdzu zawdzięczamy. Teraz cały świat do nas należy”. Przedtem toście płakały, a teraz taki pyszny list. Ten list

zginął gdzieś. Z księdzem prałatem Dziubińskim, z którego kościoła one metryki miały, zakopaliśmy w jego ogrodzie. Ktoś widział chyba, jak żeśmy zakopywali. Zakopaliśmy 2 listy, jeden dotyczył ich [Żydówek], a drugi

księdza, który kończył razem ze mną seminarium. Jan Wolschneger [fonet. Wolszneger] z Bydgoszczy rodem. Przyznawał się, że Niemiec, miał hakenkreuz [swastyka]. Kpiliśmy z tego, ale on swoje robił.

[Jan Poddebniak otrzymał medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1986 roku.]

D E U T S C H

Priester Jan Poddebniak wurde 1907 geboren. Während des Krieges lebte er in Lublin. Ende 1943 brachte eine Nonne, Schwester Maria Gulbin, zwei jüdische Mädchen, Sara und Lea Bas, zu ihm. Weil die Ku-

rie und das Priesterseminar oft durchsucht und kontrolliert wurden, versteckte er die Mädchen bei sich zu Hause. Er besorgte ihnen gefälschte Dokumente und half, dass sie als „freiwillige“ Arbeiterinnen in einem Betrieb in der Nähe von Berlin überleben konn-

ten. Nach dem Krieg fanden ihn die beiden durch die Vermittlung des Vatikans wieder. Sie bedankten sich bei ihm für die Rettung des Lebens.

E N G L I S H

Father Jan Poddebniak was born in 1907. During the Second World War he lived in Lublin. He recounts how at the end of 1943, a Sister of Charity, Maria Gulbin, placed two

Jewish girls: Sara and Lea Bas in his care. Since the Curia and the Seminary were being constantly searched at that time, he hid them in his house. Father Jan helped them get falsified documents and certificates en-

abling them to find work in a factory near Berlin. Both girls survived the war. Later, thanks to the Pope's help, they managed to find him and thank him for saving their lives.

ROK 1929

LUBLIN LUBLIN

RELACJE

LUBLIN LUBLIN

EUGENIA WŁODARCZYK

R O D Z I N A

Nazywam się Włodarczyk Eugenia. Urodziłam się Tomaszów Lubelski. 20 kwietnia 1929 roku. Przed wojną mieszkałam na Równiej [Kośminek], a w czasie wojny na Majdanku. Numer 118. Po wojnie mieszkałam jeszcze na Majdanku, a potem pobudowałam się tutaj koło cukrowni, na Dzierżawczej. Dzierżawna 16i. Szkołę powszechną skończyłam na Bronowicach. Skończyłam krawiecką zawodową, krawiecką. Pracowałam w spółdzielni „Moda”.

Tatusia rodzice to byli rolnicy, gospodarze za Łęczną. Wioska nazywała się Szpica. Tatuś był z bogatej rodziny. Dziadkowie nazywali się Gnyp. Rzekomo tatuś nie chciał pracować w roli, nie dostał nic, bo przyszedł do miasta. Przyszedł do miasta, uczył się na stolarza. Mamusia się nazywała Mycek z domu. Tatuś miał warsztat stolarski, a mamusia prowadziła dom. Na Kuśminku tośmy mieszkali jako lokatorzy. Tatuś miał warsztat. Tatuś zmarł w 1941 czy 1942,

1940... Już nie pamiętam. Przyszedł kuzyn i mówi: „Oj, wujęciu, tutaj jesteś, chodź, u nasz jest plac, będziesz bliżej rodziny”. Bomba upadła i cały róg [domu] obcięła. To było trzeba poprawić. Sąsiady mówiły: „Niech pani nie idzie, pani Gnypowa, my pomożemy. Tam dali całkiem rozwalone jest. Weźmiem cegłę i zamurujemy”. Ale „nie, nie, nie”. I w to bagno nas przeprowadziła. Rodzeństwo miałam. Dwóch braci. Stanisław i Józef. Stanisław pracował w warsztacie, prywatnie. A Józef do tej pory pracuje, warsztatik ma.

Ż Y D Z I

Jak się urodziłam, to u babci mieszkałam w Tomaszowicach.

Na Równiej [jak mieszkaliśmy] to już miałam 4 lata [zamieszkałam tam w 1933 roku]. Dom był parterowy, jednospadowy. Gospodarze miały pokój z kuchnią, a myśmy miały pojedynczy. Oni dzieci nie miały, tylko miały króweczkę. Gospodarz Pałyska.

Na Kuśminku sklep miały [Żydzi]. Kazarma była, duża. Tą kamienicę [nazywali] kazarma. Wszystkie domki były jednorodzinne, [a ta była] wysoka, dwu, trzypiętrowa kamienica czerwona, cegła i kazarma. Za kazarmą był sklep żydowski. Spożywezy. Chodziłam, ogień im podpalałam w sobotę. Za to dostawałam rybki [cukierki]. Co sklep tutaj miały, to były bliźniaki: chłopiec był Icek i Salka [dziewczynka]. Oni im dokuczały, to ja się biłam za to... Nie pamiętam żadnych nazwisk.

G E T T O

W 1934 wyprowadziłam się na Majdanek. Getto. Kiedyś to było pole gospodarzy z Tatarów. Na ulicy Majdanek krótko mieszkalam. Parterowy dom. Dwa pokoje z kuchnią. Tylko myśmy do geta nie należały. Geto było od Lotniczej. Zagrodzone, a tu była bardzo duża przestrzeń. Także już nie ciągnęli w nasze druty.

195

10 domków było luźno. Ogrodzenie było – kolezaste druty. Niemcy z karabinami – taka ochrona chodziła w koło, policjanci.

Wszystkich widziałam Żydów. Rano wstawałam, leciałam na Zadębie, kupowałam mleko [w] bańki 5-litrowe. Zadębie jest koło fabryki samochodów. 10 litry mleka i biegłem do gietu. Patrzyło się, czy już przeszły, przeszedł [Niemiec] i pod drutami się wsunęło, poszło się, zaniósł. Ja handlowałam. Nie pamiętam [ich nazwiska]. Jeszcześmy na Kuśminku mieszkaly. Miałam koleżankę i kolegę. Jeszcze na Łęczyńskiej stoi ich dom z czerwonej cegły. Mieli sklep na Łęczyńskiej [z] naftą. Musi tam być zbiorniki z naftą i jeszcze skład z paszami. Ten chłopiec ze mną do szkoły chodził. W jednej ławce śmy siedziały.

JEDZENIE

Jak się nosiło im... Tam były 3 Żydóweczki ładne, wspaniałe. Niemcy do nich zachodzili. Jak poszłam zanieść im [jedzenie], Niemcy [do nich szli], Boże... Nie wiedziały, gdzie mnie [ukryć]. [Jedna z nich] mówi: „Eugeni, nie denerwuj się. Ja będę do ciebie mówić, a ty pomału powiedz «jo, jo, jo, jo, jo»”. Nauczyła mnie „jo, jo, jo”.

Pani Banaszkowa wiedziała... [Przez] okno [widziałam], że ja jestem w gecie. Do niej przychodziły niewolniki, Żydzi mieszkali, w biedzie, u pani Banaszkowej.

Jak się kupiło, to się tam też zaniósł. To ta poprosiła, to dzieci. Jej nie można było zanieść. Sprowadzili, przyprowadzili, to mam na sumieniu, ale Boże ratowałam, nosiłam, co chciały. Mleko, kury, jaj... Rano wstawałam. Mamusia: „Już gdzieś polazła!”. A ja rano wstałam i pomiędzy zbożami. Z Majdanku z lagrów reflektory. Już widziałam, jak się wykręca reflektor, to się kładłam i leciałam pod fabrykę samochodów do Zadębia po mleko, jajka. Nie jadłam. Dostawałam ładne nagaszki, też im przynosiłam. Kontakty miałam. Opaszkę sobie [z] gwiazdą wzięłam i poszłam. Ale bita byłam od mamusi: „Oj, jak cię złapią, to nas wszystkich wymordują”.

[Żydzi] mogli wychodzić [z getta], jak miały przepustki. Ale nie wolno było im opasek zdejmować jako jest Żydówka. Ona szła do miasta, nie wolno jej było zdejmować.

Mogli wносить jedzenie do getta. Mogli mieć pieniądze, tak. I tam sklep też był. Spożywczy. Czy to Hachman prowadził ten Niemiec...

Tam same byli Żydzi szewce, krawce. Jak nosiłam to tak, płaciły mi za mleko, jajka, kurę.

Na Lubartowskiej dłużej było [getto]. Później tutaj [Majdanie Tatarskim] zrobiły gieto, gdzieś na wiosnę, a na jesieni już ich sprzątnęli. Rozwiązali. Wszystko wywiozły na Majdanek.

Później, jak rano się wstało, obstawili cały Majdanek i wszystkich zabrali do lagrów, do obozu.

EGZEKUCJA DZIECI NA ŁĘCZYŃSKIEJ

Tam była kopalnia piachu. A dalej była huta szkła. Dlatego ulica Hutnicza jest. Tam przywiozły samochodem. Nie dowiozły na Majdanek. Było ciepło. Czerwiec, maj? W maju. Wtenczas z wózeckiem jechałam. Patrę – dwa samochody, Niemcy. Kowal zaczął mnie wołać. Skręciłam do niego. Ony tam podjechały i już prosto miały jechać [do obozu, ale] cofnęły do tej kopalni. Tamoj wybiły, zasypali, drugie zasypały, wsiadły i pojechały.

Dwa. Dwa samochody ciężarowe. I to z dziećmi. A Niemców? Ośmiu ich było. [A dzieci były] same, bez rodziców, bez nieczego.

[Moment] strzelania? Widziałam. I skąd bym mogła powiedzieć? Karabin maszynowy. Żywe, nieżywe... Koło trzydzieścioro [dzieci] mogło być, do czterdziestu. Jedno drugie na rękach niosło. Szło i goniły, goniły te dzieci, żywe, nieżywe... Tam wpadło, może mógł ktoś uratować.

Poszłam zobaczyć. A co widziałam, jak się dzieci jeszcze ruszały... krwi pełno... W tym miejscu jest dom postawiony, blok stoi. Nie wiem, czy jak kopali pod blok, to może ciało wyciągnęły i wywiozły. Zdaje się, że wywiozły na Kalinę, na cmentarz.

D E U T S C H

Eugenia Włodarczyk, geborene Gnyp, wurde 1929 in Tomaszów Lubelski geboren. Während des Krieges lebte sie in der Nähe von Majdanek. Der

Bauernhof ihrer Familie befand sich in der Nähe des Ghettos in Majdan Tatarski. Eugenia Włodarczyk brachte Essen in das Ghetto, handelte Waren mit den Menschen und half

ihnen. Im Frühjahr 1942 wurde sie Zeugin der Exekution von über hundert Kindern aus dem jüdischen Waisenhaus.

E N G L I S H

Eugenia Włodarczyk, née Gnyp was born in 1929 in Tomaszów Lubelski. During the war, she lived in Lublin near the concentration camp at

Majdanek. Since their farm bordered the ghetto area, she brought food to the prisoners, traded with them and helped as much as she could. In the Spring of 1942, she was

a witness to the execution of over a hundred children from a Jewish orphanage.

ROK 1911

RELACJE

URODZENIA

HENRYKA ŻÓRAWSKA

Henryka Żórawska, urodzona w lutym 1911 roku w Rzeszowie. Rodzice nazywali się Andrzej Bytnar i Ewa Bytnar. Matka z domu [była] Pacyna.

ŻYDÓWKA

Po skończeniu prywatnego gimnazjum Władysławy Arciszowej w Lublinie, poszłam na dwuletnią pedagogikę. Po skończeniu dwuletniego podagogium, dostałam zezwolenie na pracę w szkołach podstawowych. Pierwszą moją pracę [dostałam] w Kraśniku. Tam mieszkaliśmy razem z koleżanką, Żydówką, Safir Fryderyką. To była kobieta bardzo elokwentna, sprytna. Bardzo ładnie po polsku mówiła, bardzo czysto. Nie była podobna do Żydówki i miała akcent czysto polski. Sposób mówienia miała bardzo dobry. W ogóle była bardzo dobrą polonistką. Może dlatego, że była Żydówką. Oczywiście nie przestrzegała jedzenia jak Żydzi [...]. Śmieszne, bo jak myśmy mieszkali razem, ja lubiłam na wiosnę zieloną cebulę, a ona mówiła, że nie

lubi: „Z bratem myśmy sobie zaprzysięgli”, że nigdy cebuli nie będą jeść.

Myśmy mieszkali razem 4 lata. Bardzośmy się zaprzyjaźnili. W tamtych czasach niektórzy mieli za złe, że mieszkam z Żydówką, ale myśmy się jakoś... Ja na to nie zwracałam uwagi, ponieważ ona była bardzo nie-Żydówką. Była raczej asymilantką.

Po czterech latach dostałam się do Lublina. To było bardzo trudne – dostać się do Lublina. Dostałam się ze względu na pracę w harcerstwie. Tośmy się wtedy rozstali, ale utrzymywaliśmy stały z sobą kontakt. Potem, jak wybuchła... jak przyszli Niemcy, ona oczywiście była dyskryminowana. Jakiś czas [była] w Kraśniku. Niemcy TEGO [eksterminacji] nie zrobili od razu. Ona nawet przez jakiś czas uczyła dzieci gdzieś pod Kraśnikiem. A jak już było źle, przyjechała do nas.

LUBLIN

Mieszkaliśmy [z rodzicami] na Krakowskim Przedmieściu 59, ale nas Niemcy oczywi-

ście wyrzucili z tego mieszkania. To było małe mieszkanie, 2 pokoiki z kuchnią, ale bardzo się Niemcom spodobało, bo było czyste. Wtedy żeśmy się przeprowadzili do mojego [mieszkania] na ulicę Łęczyńską 14. Ona razem z nami z tego mieszkania poszła. Byłam już mężatką. Mąż miał na imię Wacław. Myśmy mieszkali tak na kupie, bo i brat męża przez jakiś czas tam mieszkał, bo z Równego uciekł.

Mieszkała 2 lata, 2 i pół. Ona nie była gdzieś w ukryciu, tylko tak u nas mieszała, razem z nami żyła, pomagała w gospodarstwie mojej matce. Ja uczyłam w szkole w czasie okupacji.

P R A C A

Po przeniesieniu się z Kraśnika pracowałam w Szkole Podstawowej nr 1, przy ulicy Bychawskiej, teraz Kunickiego. W Lublinie rozpoczęłam pracę 1 września 1936 roku i pracowałam do 30 grudnia 1939 roku. Potem uczyłam w szkole nr 9. Mieściła się

w budynku obecnego Domu Strażaka, na Szczerbowskiego. Za niemieckich czasów była tam szkoła nr 9. Potem w szkole nr 15 na Kośminku. Tam uczyłam do 30 grudnia 1944 roku.

Dzieci chodziły do szkoły. To było ważne. Może nauka nie była pełna, ale zawsze uczyły się czytać, pisać i kontakt był z dziećmi, jakieś oddziaływanie na nich było.

Dużo koleżanek uczyło potajemnie. Ja nie uczyłam ze względu na małe dziecko w domu.

Bardzo ciężko wtedy było uczyć. Bardzo marne wynagrodzenie. Dostawaliśmy raz na jakiś czas pół litra wódki na przykład, żeby sobie sprzedać i za to coś kupić. Były kartki. Dostawało się marmoladę na kartki, chleb na kartki. Kto nie pracował, kartek nie dostał. Czasem mąki się dostało. Chodziło o to, żeby pracować. Wyrzucali wszystkich z Lublina, którzy nie pracowali. Wyrzucali poza Lublin. Kto miał do czego wrócić, to wrócił.

Getto zostało zamknięte. Coraz bardziej Żydów ściskali. Potem zostawili Żydów dobrych, na przykład dobry krawiec... kostium jakiś nosiłam... Mnie akurat się dziecko, w 1940 roku w styczniu, urodziło, córka. Więc mąż, czym mógł to handlować. Miał jakiś patent na handel obnośny. Jakimiś materiałami, mydełkami [handlował]. Każdy jak mógł, to się czepiał, żeby jakoś żyć.

Potem wszystkich, nawet niepracujących, na roboty do Niemiec [wywieźli]. Poszłam z nią do Arbeitsamtu, potwierdzić, że pracuję i że potrzebna [mi] jest pomoc w domu. Nie bardzo chciałam, ale ona miała wycucie, powiedziała, żeby koniecznie. I poszłyśmy. Akurat pracowała jej znajoma, znajoma z widzenia, która mieszkała niedaleko

nas. Polka. Dała zaświadczenie, które było ważne krótko. Potem wszystkich zabierali. Dała nam to poświadczenie, nie wiedząc, że Fryderyka jest Żydówką. Specjalnie nie była podobna. Może się można było trochę rysów dopatrzeć, ale nie bardzo.

Materialnie było ciężko. Czasem baliśmy się. Jak wyszły zarządzenia o śmierci tych, którzy przechowują, jeszcze jakiś czas była [Fryderyka] u nas. Już nie pamiętam, w którym to było roku. Myśmy się bali i ona się bała. Przecież nie chciała nas narażać, prawda? Dlatego wyjechała. I dzięki tej kenkarcie, którą Kołczewska... się uratowała. Jak by się mogła z getta wydostać? Kołczewska, koleżanka z Kraśnika, nawiązała kontakt z AK. Była w AK. Przez to [Franciszka] dostała kenkartę.

W Y J A Z D

Ukazały się niemieckie afisze, że za ukrywanie Żydów to śmierć nie tylko tego, co ukrywa, ale całej rodziny. Afisze, że Żydzi to wesz, tyfus, bo tyfus plamisty wtedy panował. Wtedy i ona już wiedziała, że nie może być u nas dłużej. Dużo osób do nas przychodziło, które wiedziały, że ona jest Żydówką, więc nie chodziło tylko o nas.

Powiedziała, że pojedzie do swojej rodziny. I pojechała. Na stację się ją odprowadziło, brat męża chyba ją odprowadził, [może] nawet odwiózł ją do Przemyśla. Tam miała znajomych. Ale w Przemyślu nie bardzo się mogła ukryć, bo tamci znajomi też byli Żydzi,

R E L A C J E

też im groziło... Pewna śmierć. Chyba potem poszli do getta. [Wtedy] ona pojechała do Tarnopola. Była tam jakiś czas. Sprzątała u Niemców.

Z Przemyśla pojechała do Tarnopola, ale stale miała z nami kontakt, stale z nami korespondowała. Kołczewska wtedy wysłała jej kenkartę. Kupiła grubą książkę. Między oprawę włożyła kenkartę. I posłała na nazwisko Michalewskiej Teresy.

[Franciszka] w Tarnopolu nawiązała kontakt z Polakami. [Jedna z Polek] jej dała swoje nazwisko i imię. I pod tym nazwiskiem podczas okupacji korespondowały – pod Michalewską Teresą. Potem ona stamtąd się wykradła i pojechała do Krakowa. Tam miała znajomych. Zaczepiła się do dzieci. Ponieważ była bardzo dokładna, pani hrabina Bistingowa [wzięła] ją do siebie. Była bezpieczniejsza, bo oni [Niemcy] już tych hrabiów nie prześladowali. Tam zajmowała się dziećmi, szczególnie najmłodszym chłopcem. A potem ci państwo wyjechali do Szwajcarii. Jeszcze pomagała im się pakować.

P O W O J N I E

A potem pojechała do Szwecji. Nawet raz przyjechała do Lublina, przed wyjazdem do Szwecji. Tam była przez długi czas. Ze Szwecji przeniosła się do Ameryki. Tam miała jakiś krewnych. Jak to ona mówiła – miała krewnych bogatych i biednych, i do tych biednych zajechała, i to ci biedni jej pomagali, a ci bogaci właśnie nie. Wyszła za mąż. Za Polaka-Żyda.

Z Ameryki znowu do mnie pisała listy. Nie mam tych listów, mam [tylko] te ostatnie. Wszystko popaliłam. W tych listach było, jaka ona jest wdzięczna, jak myśmy jej pomagali, że mój ojciec był też dla niej dobry, jak mógł, to jej pomagał, matka... Bardzo serdecznie cały czas pisała. Aż wreszcie umarła. Była ode mnie starsza o jakieś 6, 7 lat.

REFLEKSJE

To było bardzo niebezpieczne... Jak człowiek młody, to tak sobie nie zdaje sprawy z niebezpieczeństwa. Jak stary, to bardziej podejrzliwy. Bardziej doświadczony... Wie, jakie są możliwości.

MEDAL

Nie myślałam o odznaczeniu. Jak ją wtedy ukrywałam, to z serdeczności, z życzliwości. Bardzośmy się lubiły.

Myśmy się w ogóle nie starali. Było w prasie, że Polacy wydawali Żydów, że są podli i tak dalej. Mój mąż [stwierdził]: „Słuchaj, ogłosili w sądzie, żeby się zgłaszać”. Nie miałam ochoty iść tam, ale mąż mówi: „Trzeba, bo co mają Polaków oskarżać”. I poszliśmy. Bardzo sympatyczny sędzia na emeryturze zrobił z nami wywiad i na tym się skończyło. Po długim czasie dostaliśmy list, żeby zgłosić się do ambasady izraelskiej. I żeby im przedstawić jakieś listy od tej osoby [uratowanej], żeby nasze zeznania były notarialnie potwierdzo-

ne. Odpisałam, że nie będę przez notariat się starała. Bym się wstydziła jej [Fryderyki] powiedzieć, że takie rzeczy robię. Ale mogę im podać numer telefonu do Ameryki. Byłam pewna, że to już koniec. A potem znowu dostałam papier z ambasady. W tym roku [1995] przyszło pismo, żeby się zgłosić jedenastego o czternastej. Napisałam, że przyjdę. Poszłam i dostałam odznaczenie. Mój mąż też został odznaczony. Jest zapisane: „Henryka Żórawska i Wacław Żórawski”.

A z Kołczewskich nagrodzona jest Mieczysława Kołczewska. Jej mąż wtedy już nie żył.

[Henryka i Wacław Żórawscy otrzymali medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” w 1992 roku, po śmierci pani Fryderyki Safir.]

DEUTSCH

Henryka Żórawska wurde 1911 in Rzeszów geboren. Vor dem Krieg war sie Lehrerin in Kraśnik. Dort freundete sie sich mit einer Jüdin, Fryderyka Safir, an. Sie wohnten vier Jahre lang zusammen. Später zog Henryka Żórawska nach Lublin um. Bei Ausbruch des Krieges wohnte sie zusammen mit ihren

Eltern, Andrzej und Ewa Bytnar, in der Krakowskie-Przedmieście-Straße in Lublin. Die Deutschen ordneten allerdings ihren Umzug in die Łęczyńskastraße an.

Als die Verfolgung der Juden begann, kam auch Fryderyka Safir nach Lublin. Sie wohnte zweieinhalb Jahre lang bei Henryka Żórawskas Familie. Als der Familie damit

Gefahr drohte, verließ Fryderyka Lublin. Mithilfe von gefälschten Dokumenten überlebte sie den Krieg. Nach dem Krieg wanderte sie nach Schweden und weiter in die USA aus. Henryka Żórawska und ihr Mann, Wacław, bekamen 1992 die Medaille der „Gerechten unter den Völkern”.

E N G L I S H

Henryka Żórawska was born in 1911 in Rzeszów. After graduating from a two-year teaching practice scholarship, Henryka Żórawska became a teacher in Kraśnik. There, she became friends with a Jewish woman, Fryderka Safir, with whom she stayed for four years, after which Hen-

ryka moved to Lublin. At the outbreak of the war, she was living with her parents (Andrzej and Ewa Bytnar) in a pleasant flat near Krakowskie Przedmieście Street, from where the Nazis expelled them to Łęczyńska Street. When the persecution of Jews began, they hid Fryderyka who came to them from Kraśnik. She stayed with them for two

and a half years. When the Nazis started to threaten to kill anyone who sheltered Jews, Fryderyka left. She managed to survive thanks to forged documents. After the war, she moved first to Sweden, and then to the USA. Henryka and her husband Wacław were awarded the medal "The Righteous Among the Nations" in 1992.

ROK 1931 PŁOUSZOWICE PŁOUSZOWICE RELACJE PŁOUSZOWICE PŁOUSZOWICE URODZENIA JÓZEF MAZUR

Nazywam się Mazur Józef. Mieszkam Płouszowice numer 9. Tutaj się ożeniłem. Przyszedłem z Kolonii, dwa kilometry stąd. W lutym będę miał 76 lat. Wtedy [w 1944 roku] miałem trzytnasty rok.

RODZINA

To było 9 osób, siedmioro dzieci i rodzice – Jan i Wiktoria, liczna rodzina.

ŻYDZI

To była rodzina Goldbergów. Sąsiady moich rodziców, od przedwojnia. Żyli w dobry sposób, w zgodzie. Przed wojną jak to Żyd – przeważnie handlowali, ale mieli i rolnictwa trochę. Sąsiady polem. 1942 rok to już była likwidacja Żydów. Rodzina Goldbergów pracowała w Jastkowie, we dworze. Ale już wiedzieli, że koniec się z nimi robi i dogadali się z rodzicami, żeby kryjówkę zrobić. Do-

szli do zgody i w 1942 roku jesienią, to był może listopad, może grudzień, było zrobione. Weszli tam na zimę. Przebyli 1943 i 1944 do lipca, bo wyzwolenie przyszło, wolność.

Było 3 siostry: Gitwa, Aidwa, Sara i brat – Berek. I mężowie: Gitwa miała, Aidwa i Sara – to już mamy 7 osób. I dwóch synów Aidwy przeżyło, to jest 9. I jeszcze trójka, która weszła gdzieś po roku, rodzina Rubinów. Widocznie oni nie mieli gdzie dalej żyć i weszli do kupy. Rubin pochodził z Nasutowa, ale tutaj się obijał, tutaj się ukrywał i do kompletu wszedł. Już jedna racja, jak jedyn Żyd, a dziesięć – to jedna odpowiedzialność była. Już wtedy niektórzy byli po 40-tce, jak Berek, Mosiek mąż Sary. Mąż Aidwy to może 50 lat, bo jego syn byłby starszy ode mnie. Także już ładny wiek mieli. Wiem, że już nie żyją. Jeszcze Gitwa [uratowana, z którą pan Mazur miał kontakt po wojnie] pisała, kto zmarł z tych rodzin.

Miedzy nami normalnie po polsku mówili, ale też dużo znam słów po żydowsku. Starszy brat dobrze po żydowsku mówił. Przed bratem jak coś miały Żydy, jakiś interes, to

już się ukrywali z tematem, bo wiedzieli, że ich rozpozna w gadce. On z nimi handlował. Nieraz te furmanki, woził towary, z niemi operował. Jeszcze przed wojną i w czasie okupacji. 10 lat ode mnie starszy. Stanisław miał na imię, a Bolesław był mówiony. W sumie wziąć wszystko do kupy to w schowku-kryjówce i nas było 20 osób. A jeszcze jak dopakowały partyzanty 15–18 osób, to masa ludzi.

Ciasno było na kominie, bo przecież raz na dzień czy dwa trza było zjeść bynajmniej, a to na jednym kominie się odbywało. Warunki były ciężkie, ale cóż. Przeżyło się. Były czasy, trudno uwierzyć, że takie coś mogło być.

KRYJÓWKA

Kryjówka była wykopana na zewnątrz, za oborą, pod fundament podkopana. Wchodziło się z obory. Był wykop zrobiony, a na wierzch nakładzione okrągłaków grubych; na to poszła ziemia i równo z ziemią, że tam nie było nic widać.

Ta kryjówka była robiona wspólnie, Żydzi dla siebie zrobili. To było nocą robione – przychodzili i pomagali. To nie było łatwe, wykopać taki dół. W sumie weszło tam 13 osób. Przebywali tam półtora roku, cały rok 1943 i 1944 do lipca.

To duże nie było. Jeden koło drugiego miał legowisko ze słomy. Miały pościel. Cały pobyt takie warunki były do życia.

W ciągu dnia, jeżeli było spokojnie, to sobie chodzili do obory, tam gdzie było bydło – trochę luzu było. Potrzeby fizjologiczne załatwiali nie w kryjówce, tylko na oborę. A jak była sytuacja niebezpieczna, to się ostrzegło ich i oni już się do tego dostosowali. Tak to płynęło z dnia na dzień. Lato to jeszcze względnie, bo ciepło, trochę wyszły na powietrze. Były krzaki niedaleko domu, to trochę objęły się, ale zima to już trza było w tej norze siedzieć. Zima była najgorsza.

Na Kolonii nie było blisko budynków, najbliższy to może kilometr, więc czasem kobiety przychodziły do mieszkania, prały i gotowały. W ten sposób sobie wszystko uzupełniali.

Do nich też się chodziło, siedziało, w karty graliśmy. Tam było dwóch Goldbergów, jeden chłopak młodszy ode mnie, a drugi starszy.

ZAGROŻENIE

Najgorsze były sytuacje niebezpieczeństwa. Niemcy przeważnie chodzili za kontyngentem – wchodzili do obory, zabierali bydło, świnie. Żydzi byli powiadomieni, że będzie taka sytuacja i czekali.

Nie zawsze było tak różowo. To było wielkie ryzyko. Najgorsza była raz taka sprawa: był

luty 1944 rok, godzina dziewiąta, dziesiąta z rana, patrzymy w okno – idzie trzech Niemców, nieoczekiwanie. Z pola przyszły. Maszynowy karabin rozstawili, we trzech stanęli przy drzewach – dwie wiśnie było, a od tego bunkru, od tej kryjówki, od Żydów może było 10 metrów. Rozłożyły maszynowy karabin, stoju. Oni do mieszkania nie przychodzą, my nie wychodzimy do nich. W ogóle cisza. Żydzi nie wiedzieli, że Niemce stoją. To trwało godzinę. Patrzymy w okno, palą się budynki. Myśmy odczuli, że to pewnie jest związane z tym pożarem. I tak było. Postali jeszcze 20 minut, zabrali się, poszli i koniec na tym było.

PARTYZANTKA ŻYDOWSKA

To było ściśle tajne?! Kto wiedział? Była grupa żydowskich partyzantów, oni wiedzieli. Z bronią chodzili. Dowódca nazywał się Egert. Nieraz te partyzanty przyszli i też dobę czasu przeżyli, przebyli. Przychodzili w nocy i w nocy odchodzili. Mieli punkty – nie tylko u nas, kilkanaście na terenie gminy, może dwóch gmin. Przychodzili – dwudziestu, piętnastu, to trza było dzień przetrzymać, dać jeść, i poszli dalej. Część była też i znajomych Żydów z okolicy.

KARY

Był jeden dołek dla wszystkich, i dla Żydów, i dla Polaków. Jeden dołek.

RELACJE

Syn Goldberga nazywał się Berek i brat poszedł w inną grupę, w Sieprawkach się umieścił czy w Sieprawicach. Niemcy to jakoś wytropili i wybili. I tych właścicieli wybili...

MORDERSTWO

Na Kolonii były przechowywane – tak to ludzie mówią – Żydy. Właściciel, co ich przechowywał, zabił, wyciągnął pod słomę i tam leżały. Ale wtedy kto o Żyda się pytał. Zabity, koniec.

Późni uciekł na Zachód, bo się czepiali go za to.

Wziął pieniądze, Żydy mu nie były potrzebne, to trza zabić. Takie były czasy.

POWOJNIE

Przeżyli wszyscy. Po wyzwoleniu w 1944 roku Goldbergowie umieścili się w Lublinie, łączność była. A Rubin jak poszedł, tak ślad zagubił o sobie. W ogóle się nie odezwał.

Goldbergowie umieścili się w Lublinie, ale długo nie mieszkali. Chcieli dostać się do Izraela – tam mieli brata. Pojechał jeszcze przed wojną. Jakoś dostali się do Szwecji. W latach 60. dali o sobie znać. Korespondencja już była. Później, jak zmarli matka i ojciec, ja ją przejąłem.

To była taka ogólna korespondencja, jak tutaj żyjemy, jak oni tam, jak to się wszystko układa. Pisali po polsku, bo tu w Płuszwicach chodziły do szkoły polskiej.

Gitwa swoje młode lata wspominała, pytała się nieraz o kogoś. Początkowo pisali wszyscy, ale stopniowo zmarli i tylko ona została, i ostatnio to z nią tylko miałem kontakt, z Gitwą. Na pewno już nie żyje do ty pory. Gitwa miała syna. Syn na pewno jeszcze żyje. Razem się przechował w tym schowku. Był młodszy ode mnie ze 4 lata. O 4 lata star-

szy syn Aidwy też powinien jeszcze żyć. Ale czy żyją, nie wiem.

M E D A L

Ten medal to mi załatwiła Gitwa. Napisałem do niej. Ona zebrała dokumenty, bo

przecie to od nich zależało. Ona zdaje się do Warszawy, do ambasady te papiery przysłała. W latach 90. dostałem medal. Na Majdanku nadawali. Wręczenie, parę słów uznania. W ten sposób to się odbyło.

D E U T S C H

Józef Mazur wurde 1931 in Kolonia Płuszwowice geboren. Seine Eltern versteckten auf ihrem Bauernhof einige Leute. Darunter waren die Nachbarfamilie Goldberg, Familie Rubin aus Nasutów und ein paar Leute aus der Widerstandsbewegung. 1942 hat Familie Mazur gemeinsam mit den benachbarten Juden ein Versteck unter dem Kuhstall vorbereitet. Die Juden verbrachten dort die ganze Zeit.

Am gefährlichsten wurde es, wenn Deutsche den Bauernhof nach Fleisch oder Getreide durchsuchten. Glücklicherweise haben die Soldaten niemanden entdeckt. Józef Mazur erzählt aber auch von einem Mann aus dem Dorf, der Juden ermordete, nachdem er von ihnen Geld für seine angebotene Hilfe bekommen hatte. Nach dem Krieg blieb Familie Mazur mit den Goldbergs, die nach Israel ausgewandert

waren, in Kontakt. Eine besonders enge Verbindung gibt es zwischen Józef Mazur und Gitwa Goldberg. Dank ihres Einsatzes wurde Familie Mazur die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen.

E N G L I S H

Józef Mazur was born in 1931 in Kolonia Płuszwowice. Józef recounts that many Jews hid in his parents' house, amongst these were: the Goldbergs (Gitwa, Aidwa, Sara, Berrek and Mosiek), the Rubins from Nasutów, and several other people associated with the

guerrillas. The Mazur family and the Goldbergs were neighbors before the war. In 1942, the Jews and the Mazur family prepared a dug-out under the cowshed. They spent most

R E L A C J E

of their time there, occasionally leaving the hideout in daytime. Time and again, Germans searched the houses looking for hidden meat and grain. The most dangerous encounter took place in February 1944. Fortunately, the soldiers did not find the Jews and everyone survived. However, in the same village,

a Pole who offered to help some Jews, took money and killed them. After the war, the correspondence between the Mazurs and the

Goldbergs who emigrated to Israel was animated. Józef has especially fond memories of Mrs. Gitwa Goldberg who stayed in touch for

the longest, and who was the person responsible for honouring the Mazur family with the medal "The Righteous Among the Nations".



01

01

01

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



JÓZEF MAZUR



JÓZEF MAZUR

ROK 1922

RELACJE

MARIANNA OSTROWSKA

URODZENIA

Nazywam się Marianna Ostrowska, jestem urodzona 22 sierpnia 1922 roku w Radawczyku. Tutaj zamieszkałam.

Rodzice moi wywodzili się z Babina. Ojciec nazywał się Stanisław Wojtaszko, a mama Stanisława z Bartoszczów była. Oboje pracowali na roli. Ojciec miał pasiekę, 60 uli. Tuśmy się urodzili i tuśmy pracowali. Do szkołyśmy chodzili w Radawczyku, a potem do piątej, szóstej klasy to w Babinie, tu już nie było większej szkoły.

Myśmy się pobrali z mężem w 1942 roku, w czerwcu i tuśmy się zaczęli budować [obok rodziców].

PRZED WOJNA

Tutaj nie było tyle co teraz ludzi. Tylko 3 gospodarstwa były przed wojną po sąsiedzku – ojca gospodarstwo, stryja i wuja, mamusi brata. Wkoło tych kolonii nie było. Najbliżsi sąsiedzi za rzeką byli – Niemcy. Do kościoła chodziliśmy do Konopnicy.

W szkole mieliśmy jedną tylko panią – Maria Niezgodzianka. Płuca miała chore, więc zabrali ją do Zakopanego. Klasy były łączone. Dzieci było w klasie kilkanaścioro. Chodziliśmy do pierwszej klasy, do drugiej. [Potem] każdy, czy miał piątki, czy miał dwójki, siedział w trzeciej klasie 2 lata, bo do 14 lat musowo było być w szkole. A potem kto chciał, szedł dalej.

Do szkoły w Babinie było 5 kilometrów prawie. Dysciplina była w tej szkole, szacunek do nauczyciela. [Nauczyciele] byli bardzo stanowczy. Szkołę w Babinie skończyłam w 1936. Dalej dzieci wiejskie nie miały warunków na naukę. Rodzicom pomagałam. Często spotykało się Żydów. Prawie codziennie przychodzili z Bełżyc. A Bełżyce 8 kilometrów, 9 może. Przychodzili, handlowali, a to ciele kupić, a to wosk, kasze, mak. Jak ktoś miał więcej sadu, kupowali sad na 2 lata. W lecie [Żyd] przyjeżdżał, przywoził żonę z dziećmi. Robili sobie namiot, budę ze słomy. Siedzieli, zbierali jabłka. Żyd miał konia, wywoził gdzieś, sprzedawał. Kręcili się tutaj po wsi.

Przyjeżdżał taki jeden Szmul, drugi Szajas. Fersztmani cielećkami handlowali. Pośredniczyli dla dworu. Małka chodziła z cukierkami. Jeden taki był młody, może 15–16 lat miał, Szlamka, chusteczki sprzedawał po wsi. Trudnili się, czym mogli. Mechel w Bełżycach na okolice robił buty elegancie. Wszystkie chłopaki buty od Mechla miały.

[W Bełżycach] jedna najbogatsza Wajsbrot się nazywała, Żydówka. Miała dwoje dzieci. Miała sklep, jak kiedyś się przed wojną mówiło łokciowy. Sprzedawała materiały ubraniowe i to drogie. Szlamianka na nią mówili. Nie mówili po nazwisku. Mam wrażenie, że mężowi było Szlama. Ale on nie żył, jego nie znałam. Syn z nią pracował. Cóрка wyszła do Lublina i nazywała się Cygielman. Matka nie przeżyła, ale oni przeżyli oboje, ci młodzi. Nie wiem, gdzie tam przeżyli. Po wojnie ufundowali dla szpitala w Bełżycach aparat rentgenowski. Ale potem gdzieś wyjechali. Tu nie ma nikogo.

Ona [Cygielman] w wojnę miała trochę materiałów i przyniosła tutaj do ojca. Gdzie

ona była, nie wiem, gdzieś nie bardzo daleko. Przychodziła w biały dzień.

W O J N A

1939 rok był tragiczny dla nas. W kwietniu umarła nasza mama. W sierpniu chłopak u stryja służący był na ćwiczeniach w wojsku. Już wszyscy mówili, że będzie wojna. Pamiętam te wezwania – niebieska kartka. Na drugi dzień mobilizacja koni. U nas było 4 konie, 2 młode. Zabrali 2, 3 dni przed wybuchem wojny. A później rano 1 września już mówił, że Niemcy uderzyli na Polskę, wojna. To był piątek pierwszy wrzesień, a w sobotę rano zbombardowali Lublin. Radio było u stryja na słuchawki, to tam cokolwiek my słyszeli. 8 września przyjechali z Lublina, bo co piątek się jeździło do Lublina z masłem, z nabiałem, mieliśmy swoich klientów. Przyjechali z Lublina ojciec mój i stryjenka. Po południu zaczęli bombardować. Leżeliśmy pod czereśniami. Ojciec gdzieś pojechał. Braci miałam dwóch, trzeci pojechał do kolegów. A my z siostrą zostaliśmy w domu. Wypuściłam krowy w pole.

Później na drugi dzień przyszedł do nas uchodźcy gdzieś ze Śląska. Jak szli ludzie, to drogami jak procesja. Przyszło dziecię osób w wieczór, słomy brat przyniósł, w kuchni pościelał. Ojciec mój mówi: „Gdzie wy idziecie?”.

Na drugi tydzień chłopaki orać, młodsze wygonili krowy, a ja poszłam do rzeki, len miałam namoczony. Wyjmuję. Stałam. Patrzę, a tu leci lustreczko jedno, drugie, trzecie, czwarte. Nie wiedziałam, co to jest. To były kule zapalające. Niemcy. Zaraz my

wszystko w domu spakowali do piwnicy. Ojciec zasypał ziemią lucht [luft] do piwnicy. Za tydzień może byłam na podwórzu, przyjechał motor z koszem. Przywieźli afisz, żeby broń zdawać.

Ś L U B 1942

Czasy niebezpieczne, a na co było czekać? Jak miał kto zginąć, to zginął. On miał już 26 lat, ja miałam prawie 20.

Było wesele. 120 osób, rodzinę żeśmy mieli sporą. Podawali na stół rosół, wędlina była, bigos, placki drożdżowe. Orkiestra grała w dzień, w nocy już się rozchodziło wszystko.

Ż Y D Z I

W 1941 roku oddawało się zboże, mleko, podatek się płaciło. Ale jak szli na Rosję w czerwcu, to pełno było w Radawczyku [Niemców] pijanych. W 1941 roku jeszcze nie było nic. W 1942 roku już zaczęli Żydów prześladować. Opowiadali, jak ich wyganiali. Podobno Niemcy przychodzili rano, wyganiali wszystkich Żydów z domu na rynek do Bełżyc. [Jeden Niemiec] chodził z kaskiem na biżuterię, złoto. Nieraz pół kasku nazbierał. Polacy, co byli w Bełżycach, widzieli. Obiecał, że ich puści. Puścił. Niektórych. [Niemcy] jak ich [Żydów] strzelali, to robili to w Bełżycach. Teraz jest tam Dom Kultury, plac. Wcześniej była bożnica. Wykopali dół i na stos, i na stos, i wapnem przysypywali.

R E L A C J E

Poleżało to podobno parę dni, posoka zaczęła cieknąć z tych ciał, zaczęły się rozkładać. Było kilku ludzi, co lubieli wypić, nie bardzo odpowiedzialnych, [kazali im] na wozy [ładować ciała] i wywozili na kirkut.

Tam był taki Lejzor, krawiec męski. I on szył, pamiętam, ojcę burkę. Mnie wysyłali wszędzie, ojca i chłopaków nie, bo kto się kręcił, to na roboty wywozili do Niemiec. Mnie wysłał ojciec. Bogaci musieli być ci Francuzi [Lejzor prawdopodobnie był Francuzem]. Złote oprawki do okularów, złote zegarki. Siedziałam musi ze dwie godziny, nim skończył burkę. Mieszkanie było 4 na 5 metrów, pokój. Dwoje dorosłych i 3 córki. Ciasnota. Wszystkich ganiał na pociąg do Lublina. Mokra jaseń była. Strasznie ci ludzie szli. Co kto wyszedł za rów, zaraz strzelali. Dzieci pięcio, sześciolatek, małe, wszystko się przewracało. Jak się przewróciło, zastrzelił. Oficer miał rewolwer i psa. Co kilkadziesiąt metrów oficer z psem. Strzelali ich.

W 1942 roku na jesieni mało ich [Żydów] już było. Tutaj była rodzina Fersztmanów – dwoje rodziców i dwoje dzieci, dwóch już było w Palestynie od 1936 roku. Mieli córkę, Masza, zamężna była za Goldiner, Szlomo Goldiner nazywał się jej mąż. Był rzeźnikiem w Bełżycach. A syn młodszy, krawiec, był z 1916 roku jak mój mąż. Wrócił z wojny, był na froncie, potem zabrali go do odgruzowywania Warszawy. Jak przyszedł, szył u stryjenki. Ona tak lubiała przerabiać [ubrania]. Przyproceedziła krawca do domu. Potem, jak już było strasznie w Bełżycach, [krawiec] przyprowadził tutaj swoją rodzinę. Matkę gdzieś zabili w Bełżycach. Ojciec został

i siostra ze szwagrem. Zaraz za stodołą był lasek i sterta, i oni w tej stercie wyskubali dziurę. Prawdopodobnie byli tydzień. Myśleli, że tu przetrzymają zimę. Śnieg nasypał świeży, stryj zobaczył ślady. Pyta się: „Co to jest? Przecież ty nas zgubisz!”. Potem jakoś śniegi zginęły, bo to było w listopadzie. Stryj przyprowadził ich do nas. Myśmy z mężem akurat pamiętam przy księżycu słupki różnej, płot śmy grodzili. Przyszli i chcą żeby... Nalegali. Była kara śmierci za to. Odezwałam się: „A co będzie, jak przyjdzie tyfus?”. A Moszek: „Będziemy dół kopać głębiej i grzebać”. Na razie nic żeśmy się nie dogadali. Na drugi wieczór przyszli znowu. Mnie nie było. Mąż zdecydował, żeby ich wziąć. Trzeciego grudnia przyszli.

K R Y J Ó W K A

Dom był postawiony, okna deskami zabite. Wykopali dół. Myśmy to nazywali dziura. Były 2 pokoje, a tutaj była kuchnia, spiżarnia z drugiej strony. Mieszkanie [miało] 5 metrów na długość, a 3,5 na szerokość. Wykopali dół, piwnicę. Wyrzucili ziemię z piwnicy. Wykopali trochę pod spiżarnią. W środku wybili słomą i deskami. Dobrze mieli, bo u nas wtedy już było światło. I sprowadzili się. Na razie przyszedł on [krawiec] z siostrą, szwagrem i z ojcem. Szmul miał już 77 lat musi i taki był chłop ze 180 [centymetrów] wzrostu, pochyły. Na jednym oku miał bielmo. Później sprowadził się jeszcze stryjeczny brat [krawca], też Fersztman się nazywał. Jego ojciec był zamożny. Miał warsztat krawiecki, ludzi kilkoro pracowało. Szol był z 1909 roku, już trochę starszy. Żonę miał, Hela

było jej na imię i synka mieli, 6 lat, Symek. Jak przyszli, z początku była swoboda. Wieczorem, jak szłam doić krowy, te panie, Hela i Masza szły ze mną do obory. Oborę śmy mieli nową. W połowie obory było słomy nakładzione. Ten chłopiec fikał w tej słomie. [W kryjówce] z podmurówki dwie cegły były wyjęte i był lucht [luft]. Przez dziurę patrzyli na świat. Jeszcze potem przyprowadził Szłomę, łuckiego Żyda. W wojsku razem [z krawcem] służyli. Ale on był niesympatyczny. Podobno komunista. Po wojnie wyjechał do Paryża, potem pojechał do Włoch i niedługo zmarł. A tutaj zgodzili się do 29 maja. Stolarz był zgodzony i miało się robić okna i podłogi. 29 maja to była sobota. Poszłam w wieczór krowy doić. Przyszedł mój ojciec. [Żydzi] wszystko burzyli, chcieli zasypać. Ale nie mieli gdzie pójść. Poszli do ojca do stodoły na trochę. Mój brat najstarszy zobowiązał się, że ich przez miesiąc przypilnuje, dostarczy żywność.

Raz poszedł mąż na pole kosić i słyszy: „Tadek, wody nam przynieś”, a on mówi: „Cicho”. Mąż usłyszał i poszedł do nich, a oni: „Panie Stachu, umieramy z głodu”. Przyszedł mąż do mnie i mówi: „Nie mają wody, nie mają nic”. W domu była macocha. Wszyscy wiedzieli, siostra wiedziała, bracia młodszy wiedzieli. A ona nie wiedziała. Wzięłam kartofli wiaderko, wstawiłam w fajerkę. Ugotowały się. Wzięłam soli, śmietany trochę. Z łupinami jedli te kartofle. Żał było patrzeć. Ciepło było, czerwiec. Oni siedzieli. Głodni byli i pić się chciało. W końcu ojciec przychodzi i mówi, że: „Tak mnie dokuczają te

R E L A C J E

Fersztmany, koniecznie żebyśmy ich wzięli od nowa”. A u nas już robił stolarz. Na Zielone Świątki odjechał z robotnikami, a [Żydzi] wygarnęli wióry, wyrzucili na pola słomę i kopali. Kopali całe dwa dni. Ręce do krwi im poodłaziły. Już mieli szalunek robić, wyleciał kamień. U nas jest może z metr ziemi, a potem piach. Piach się oberwał. Wyleciał kamień jak pół stołu. Wszystko się oberwało. I znów pracowali. Wykopali głębiej. Kamień stoczyli głęboko. Skończyli, słomę zrównali. Już nie chcieli być w stodole. Przyszli do nas na oborę na strych. Zaczynał się lipiec. Miesiąc byli u brata. Poszli na oborę. Jeszcze każdy ze stodoły od ojca snopek słomy wziął, żeby miał na czym spać, bo tu były gołe deski. I przesiedzieli na tej oborze... już musi wrzesień się zaczynał. Takie byli opalune. Co wieczór chodzili do studni, wodę brali, wiadro kartofli, 4 litry mleka. Wszystkie inne artykuły spożywcze mąż kupował w Lublinie, bo tu przecież nie można było nic zrobić, żeby ktoś z sąsiadów nie zobaczył. A potem poszli pod ziemię. Wstawił do tej dziury maszynę do szycia i tam szyl. Światło było, każda rodzina miała swoją maszynkę elektryczną. Gotowali sobie. Hela była bardzo złośliwym człowiekiem. Kłóciła się z Mośkiem o byle co. Jak na tej górze byli, to tak się kłóciła, że było słyhać na dworze. W kryjówce mieli zrobiony stół duży z desek, prycze. Byłam tam parę razy, musi ze 3 razy. Nie było potrzeby. Prali sobie. Jak uprali grubsze, spodnie, bluzy, przynosili tutaj i na strychu wieszałam. Pierwszej zimy. Potem już i tego nie można było. Bo coraz tam się kręcił zawsze ktoś.

Na jesieni Moszek przyprowadził jeszcze swojego stryja – Berek Fersztman, najmłod-

szy, może czterdziestoparoletni, z córką. Maszka ze 16 lat miała, ładna blondynka. Przesiedział tydzień czasu. Nie mógł wytrzymać, tylko: „Pójdę zobaczyć, co w Bełżycach, pójdę zobaczyć, co w Bełżycach”. Masza, jak odchodziła z Bełżyc, miała jednoroczną córeczkę, Hanię. Ich dom jeszcze stoi w Bełżycach. W tym domu mieszkała Śliwińska [najprawdopodobniej chodzi o Mariannę Turek z domu Wiślińską]. Rodzina była kilkoro dzieci, on szewcem był, pijaczną. Śliwińska mieszkała w domu Fersztmanów. W komornie u nich siedziała. Oni odeszli, a ona zostawiła to dziecko w tym domu i tam wychowało się. Rok miało dziecko, jak Maszka odeszła z Bełżyc. Roczne dziecko zostawiła. Płakało i nie mogła zabrać pod ziemię. Tylko ten chłopak Symek urodził się w obozie. Później wychowali go pod Bełżycami u Chęciów. Później zabrali go i do Paryża pojechał, a potem do Holandii chyba wyjechał. Symek był jedynym dzieckiem, jakie się u nas przechowywało.

Śliwińska miała w tym samym wieku [co Hania] synka, razem rodziły. I chowała oboje. Może wiedziały sąsiadki, bo nie wie-rzę, żeby nie wiedziały. Pośrednikiem ze Śliwińską był ojciec. [Jak] jechał do Bełżyc, [Maszka mówiła]: „Panie Wojtaszko, niech pan zobaczy, co tam u Śliwińskiej”. A Śliwińska: „No cóż, dają na to dziecko, ale nie za dużo, a ono wiecznie chce jeść”.

A Berek poszedł i nie wrócił. Zagarnęli go Niemcy, oblawa była w nocy. Maszka płakała niemożliwie. Przeplakała musi ze 2 tygodnie. Później zgodzili się, żeby poszła. Zgodzili się, ale im przysięgła na Torę, że nie powie, gdzie była. I poszła. Ślad po niej zaginął. Jak wyzwolenie przyszło, gdzieś

w Czechosłowacji była w jakimś obozie koncentracyjnym.

D Z I E C K O

W grudniu 1942, 3 grudnia przyszli, a ja miesiąc w ciąży byłam dopiero. [Urodziłam] 22 lipca. Siedzieli wtedy na górze na obo-rze. Płakało mi jakoś to dziecko, już miało z tydzień czy ze dwa. Wzięłam w niedzielę w becik i wyszłam. Chodziłam. Dziecko płakało. Usłyszała Masza. Podobno strasznie płakała, że aż się trzęsła – swoją [córkę] zostawiła w Bełżycach. W wieczór Moszek przychodzi: „Pani Maria, niech pani nie wychodzi z nią. Myśmy mieli kłopot. Masza już nie przeżyje, tak płakała strasznie”. Płakałam na dworze, bo dziecko mi chorowało, a ona płakała na górze, bo swoje zostawiła. Ona tak strasznie się spłakała, że się rozchorowała.

Jedną [córkę] miała. Potem urodziła syna, już w Izraelu.

Ż Y C I E W K R Y J Ó W C E

Boże Narodzenie to nie, ale Wielkanoc to oni bardzo obchodzili. Młodzi to może nie tyle, ale ten cały Szmul mógł pościć cały Post Wielki – do Paschy się szykował. Na dzień miał szklankę wody przegotowanej, kromkę chleba i jedno jajko na twardo. Całe siedem tygodni na tym przeżył. Nic więcej. A jak się modlił.

R E L A C J E

Oni mieli gospodarstwo, mieli wszystko, naczynia, gotowały wodę. Gospodarzyli sobie, dlatego mieli dobrze. Nieraz słyszałam, gdzieś za szafą przechowali jakieś dziecko, a to jakaś była kanapa nierozsuwana i tam dziecko trzymali. Jakie to było życie, jak to dziecko cały dzień leżało, albo za szafą siedziało? U mnie to normalnie.

Mąż mówi kiedyś, że grochu im się chce, bo taki zielony na tyczkach, żebyś im urwała. Mówię: „Nie mam czasu, dzień na polu, w wieczór trzeba dziecko wykapać. Powiedz im, niech sobie urwą”. Przychodzi później: „Chodź, coś ci pokażę”.

Wszyscy byli w tym grochu, opaleni. Pomyślałam: „Sądny dzień”. Tak fajnie wyglądali wtedy. Takie na mnie wrażenie to zrobiło. Rozczuliłam się, jak rwali sobie grochu, mało co go zostało.

[Nieczystości] wynosili w wiadrach. W zimie, jak był śnieg, wynosili do obory, zakopywali w gnoju. A jak lato było, na pole.

Wychodzili na wieczór. Szło się, pukało w podłogę i otwierali od środka. Raz partyzanci przyjechali. Całe dwie doby nie [wyszli].

50 litrów wody brali codziennie. Mieli bańkę 40-litrową i jeszcze wiaderko. Potem trzeba było to wynieść. Myli [się] i prali. Potem byli pod stodołą. Jak wyszli, byli tacy bladzi.

Zostawili wszystkie rzeczy, ubrania. Nie, nie ruszaliśmy, wszystko zatechło. Miała Hela piękne kostiumy, miała. Mieli pretensję, żeśmy nie wynieśli. Po co było wynieść, jak Sowieci kradli wszystko, co tylko było.

Masza kiedyś chorowała trochę.

Przyszedł pytać się Moszek, czy mam sok malinowy, bo Masza chora. Mówię, nie mam, ale pójdę do siostry, a nie – to nie.

Nie wszystkich [było na to stać]. U nas okoliczności były, żeśmy byli dalej od wsi. W gęstej wsi nie łatwo chyba by było. Była gdzieś jakaś kobieta. Przyszedł do niej Żyd, nastoletni, chusteczki sprzedawał. Zaprowadziła go na posterunek do Niedrzwicy. Zaprowadziła go do Niemców. Obowiązek był ciężki, ale ludziom się zdaje, żeśmy zrobili kokosy. Ale oni byli niezamożni. Szol chodził, handlował cielećkami, to on miał majątek? Tę chałupinę tylko mieli i Moszek tak samo. Wszystkie produkty do życia... Mąż jechał do Lublina, kupował na targu. Rozliczali się co tydzień. [Gdyby nie mieli pieniędzy] nie wiem. Nie było takiej sytuacji, ale jak myśmy się podjęli, to trzeba było dać jeść. Najwyżej by tej umowy nie przedłużyli. Ale oni nie mieli gdzie, zresztą byli tacy świadomi.

R O S Y J S C Y P A R T Y Z A N C I

Partyzanci, oddział Ruskich, Fiodor. Nie wiadomo, kiedy zajechali na podwórze. To było w lutym 1944 roku. Miałam zapalenie płuc, leżałam w łóżku. Oni [Żydzi] brali wodę, mąż był z nimi. Nie było śniegu, tylko szron. Moszek i jego szwagier Szlomo zostali na dworze. Schowali się. Przyjechali Sowietci, wódkę mieli. Było ich ze dwudziestu. Zakąskę żeby im dać, będą pić. A tamci [Żydzi] siedzieli pod tyczkami [od fasoli]. Ciemna noc była. Nie zakastał żaden. Warta była przy koniach. Partyzanci zawsze zostawiali wartowników przy koniach. Zobaczyli ser, do sera się przyczepili. Wypili wódkę, może z godzinę siedzieli. Mąż jak na szpilkach, nie mi nie mówił. Dopiero jak pojechali, powiedział, że Moszek i Szlomo

na dworze byli. Udało się. Ale różnie bywa. Raz, to było w kwietniu 1943 roku, Moszek, że ciepło było, maszynę wyjął z podziemi i szły w stodołę. A myśmy wywozili obornik do kartofli. I przyszedł Niemiec. Niepoczytalny był trochę, „głupi Adolf”. Przed wojną służył po ludziach, u Niemców, w Babinie u Wójtowicza służył za parobka. W mundurze przyszedł. Patrzymy, idą jacyś ludzie z pola, trzech, w pelerynach czarnych z parasolami. A on mówi: „Stachu schowaj mnie”, „No gdzie cię schowam”. „Do stodoły mnie schowaj”. Przecież go do stodoły nie schowa, bo w stodołę siedzi Moszek. Ale on [Moszek] schował się. Tamci [w pelerynach] to byli partyzanci.

W Y Z W O L E N I E

Potem jak wyzwolenie już przychodziło, nie wyłazili bardzo, bo było bardzo partyzantów dużo i Niemcy się kręcili. Moszek pilnował przy jednej furtce, mąż przy drugiej, żeby ktoś nie zeszedł. Przeczekali. 25 lipca we wtorek do nas przyszli Sowietci, a oni do 29 do soboty zostali. Zawołali nas do tego ich schronu. Moszek przyniósł butelkę wódki. Grzyby miał marynowane, chleba wzięłam.

P O W O J N I E

Posiedzieliśmy, wódkę rozpiliśmy. Poszli. A oni poszli do Bełżyc, a na drugi dzień pojechali do Lublina. Jedni mieszkali osobno,

R E L A C J E

drudzy osobno. Za tydzień przywiózł Maszkę i koleżankę. Ona z Czechosłowacji się dostała. „Pani ich przetrzyma tu trochę. Nie ma z nimi co zrobić”. Pracowite były. Maszka umiała szyć. Miała [roczną] córeczkę. Przyjechały, dziecko bawiły. Bluzkę miałam. „Niech pani da coś starego, to my jej uszyjemy”. I raz-dwa z bluzki sukieneczkę, kapelusik i buciki temu dziecku zrobiły. Te 2 dni darmo nie siedziały. Pojechała, nie wiem gdzie.

Potem jak oni poszli, powstanie w Warszawie było, stryj miał radio głośnikowe. To radio wsadzili u nas tam do dziury. Zawsze o godzinie 5.15 po południu był dziennik z Londynu, o Warszawie, powstanie warszawskie, rozpaczliwe „ratujcie nas”, „ginimy”, „dusimy się”. 15 minut to trwało.

Szol z żoną i z synkiem [Helą i Symkiem] wyjechali do Paryża, a tamci pojechali do Izraela. Potem pisali listy i zaproszenia przesyłali, żeby mąż pojechał w 1958 roku do Izraela. W piątek pojechał pozałatwiać, zdjęcie robić do paszportu. W niedzielę przyszła trąba powietrzna, zawałiło stodołę, oborę i już nie pojechał. Przecież nie zostawi, żniwa się zbliżały. Potem drugi raz przysłali zaproszenie, dla mnie. Stan wojenny był. Nie pojechałam, bo nie pozwolili. Pisała listy bez przerwy, mam to wszystko. Zdjęcia przysyłali, życzenia na każde święta Bożego Narodzenia czy na Nowy Rok. Maszka była szczęśliwa. Umarła w 1986 roku, raka miała na płucach. Stary umarł wcześniej.

W końcu przyszedł list od niego [od Moszka]: „Pani Maria, przyjadę ja z żoną”. Przyjechali do Lublina. Zadzwoiła jego żona, Moszkowa: „Pani Maria? Jesteśmy już w Lublinie i chcieliśmy się z panią zobaczyć, ale Moszek płacze. Nie może iść do telefonu. Kiedy

pani może przyjechać?”. U nas wozili siano wtedy, myślę sobie – w dzień nie pojedziemy, a o szóstej w wieczór... Pojechaliśmy z synem. Już stali, czekali przed wejściem. Jakśmy siedli do rozmowy, jak zaczęliśmy rozmawiać, to do godziny dziesiątej.

Syn pojechał rano po nich. Przyjechali tu, wypili kawę. Poleciał jeszcze do Janka – stryja – gdzie się zaczęła jego gehenna. Pojechali do Bełżyc. Chciał do domu, sfotografować wewnątrz, książkę pisał. Śliwińska już nie żyła, a jej dzieci gdzieś się porozjeżdżały. Poszedł. Rzucili się na niego, chcieli bić. Zdenerwował się, rozplakał. Jakiś stary mieszczanin w Bełżycach poznał go, przyszedł i rozgonił to wszystko. A on nie wszedł do tego mieszkania. Potem pojechali na kirkut. Żyd [Moszek] spłakał się. Nogę założył na mur, chciał wejść [na kirkut]. Jeszcze gorzej się rozżalił. Przyjechali tutaj do domu, obiad śmy zjedli.

Przechowało się 8, z tym że jeszcze wszedł Berek na trochę i Maszka. W sumie przewinęło się 10 osób.

Najstarszy był Szol, 79 lat. Jego żona 12 czy 14 rocznik. Moszek był 16.

Przyszli: Fersztman Szmul mu było na imię, miał 77 lat, później był w kolejności jego brataniec Szol z 1909 roku, 34 lata musi

miał. Moszek był z 1916, Masza jego siostra była chyba z 1914 roku, Goldinerowa. A jego szwagier starszy był od niej, ale nie wiem, z którego roku był. Żyd Łucki był z 1916, tak jak Moszek, bo razem w wojsku służyli. Byli zgrani. Wszystko zawsze obmyśleli, obkombinowali, wszystko im się udawało. Potem był jeszcze Symek, Symeon. 6 lat miał, jak przyszedł. Dorósł, studiował medycynę w Grecji, lekarzem jest.

Jeszcze jedna tutaj była z ich rodziny, siostra Szola, w obozie urodziła, w Bełżycach. Dziecko trzytygodniowe jej mąż pod Bełżycę do znajomych [zaniósł]. I to dziecko wychowali, Misz... Michał musi, Miszek go wołali, Miszek. Była tam Marysia, 13 lat dziewczynka. Ona to dziecko wychowywała. Po wyzwoleniu Szol zabrał to dziecko. Chłopiec miał już blisko 2 lata. I nie chciał się zaadoptować u nich. Wzięli tą dziewczynę [Marysię] do Lublina. Musi była ze 3 miesiące jeszcze u nich za niańkę. Ja przez to ich poznałam, ona też była odznaczona medalem. Później jakoś psychicznie się załamała. Wcześniej dostała [medal], w 1991 roku.

Do Bełżyc [do Śliwińskiej] chodziłam często. Ale raz poszłam, drzwi były zamknięte. „Niech pani się nie tłucze, ona się boi”. Kiedyś przyjechał do Bełżyc Żyd, nie znałam go.

Powiedział, że był u niej. „Niech pani nikomu nie mówi, żeby ci z Bełżyc się nie dowieździeli, bo ja się ich boję”.

M E D A L

[Medal] dostałam w 1992, w listopadzie. Dostałam zawiadomienie. Pojechaliśmy. Na zamku czekaliśmy trochę. Później przyszli dziennikarze. Potem przyjechał ambasador izraelski z Warszawy. Była jeszcze jakaś delegacja. I był prezes „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”, Mazur Stefan. On [już] nie żyje. Przemówienie wyczytał. Taka urzędowa sprawa i tyle.

K O N T A K T Y P O W O J N I E

Ci nasi bez przerwy coś przesyłali. Lekarstwa. Chorowałam ciężko, mąż napisał list. Trzy dni szło do Paryża i z powrotem do tej Heli.

„Kto ratuje jedno życie, jakby świat cały ratował”. Nie zastanawiałam się nad nim. Jednostki były, nie cały świat, ale jak trochę się takich zbierze, to może uratowało sporo tych ludzi.

D E U T S C H

Marianna Ostrowska wurde 1922 in Radawczyk geboren. Während des Krieges wohnte sie mit ihrem Vater, Stanisław Wojtaszko, in Radawczyk, in der Nähe von Bełżyce. 1942 heiratete sie. Das junge Ehepaar wohnte zuerst bei Marianna Ostrowskas Vater und begann in der Nähe ein Haus zu bauen.

Marianna Ostrowska erzählt von der Verfolgung der Juden, die seit 1942 immer grausamer wurde. Ende 1942 gab es nur noch wenige Juden in der Gegend. In dieser Zeit kam Familie Fersztman zu Marianna Ostrowska und versteckte sich in einem Heuschobers. Als es begann zu schneien, musste die Familie ein neues Versteck suchen. Marianna Ostrowskas Mann wollte ihnen zuerst nicht

helfen, nach ein paar Tagen entschied er sich aber, es doch zu tun. Sie gruben ein Loch unter dem neu gebauten Haus und richteten dort ein Versteck ein. Dort kamen Frau und Herr Fersztman mit ihrem Onkel Szmul und ihrem Neffen Szol, seiner Frau Hela und seinem Sohn Symek unter. Später kam noch Szlomo aus Łuck dazu.

Am 29. Mai 1943 mussten alle das Versteck verlassen, weil ein Tischler im Haus arbeitete. Die Juden versteckten sich vorübergehend in der Scheune von Marianna Ostrowskas Vater und konnten nach einem Monat wieder in das Haus zurückkehren. Später kamen noch eine junge Jüdin, Masza, und ihr Vater, Berek, ins Versteck. Masza hatte ein kleines Kind, das sie in die Obhut einer polnischen Familie

in Bełżyce gab. Als Berek und Masza das Versteck verließen, wurde Berek bei einer Aktion gegen Juden ermordet. Masza entkam.

Die anderen Juden verließen das Versteck am 29. Juli 1944.

Masza bekam später in Israel wieder einen Sohn. Szol wanderte mit seiner Frau Hela und seinem Sohn Symek nach Paris aus. Die Anderen gingen nach Israel und blieben mit Marianna Ostrowska in Kontakt, schickten ihr Briefe und Pakete. Nach vielen Jahren kam Moszek, der Bruder von Masza, nach Lublin und Bełżyce und besuchte Familie Ostrowski.

Familie Ostrowski rettete insgesamt neun Personen. Im November 1992 bekam sie die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“.

E N G L I S H

Marianna Ostrowska was born on August 22, 1922 in Radawczyk.

Upon the outbreak of the war, Marianna Ostrowska lived with her father Stanisław Wojaszk in Radawczyk near Bełżyce. Her mother Stanisława Wojtaszko, née Bartoszcze died in April 1939. Marianna Ostrowska got married in 1942. She and her husband settled down near her parents and started building a house. Marianna remem-

bers the persecution of Jews. She recounted that people of Jewish origin were regularly caught and killed, beginning in 1942 and continuing until liberation. A considerable number of these captives were shot in the synagogue in Bełżyce. The rest of them was driven to freight cars and transported to Lu-

blin. Those who collapsed along the way or who attempted to escape, were shot. At the end of 1942, there were not many Jews in the area. In that year, the Fersztman family: Mosze Fertszman, his daughter Masza, her husband Szlomo Goldiner and her brother, knocked on the door to Maria Ostrowska's house. For a while, they hid in a haystack, but when it snowed, they had to move. At first, Marianna's husband didn't want to

R E L A C J E

help them, but after a few days, they decided to do so. In their newly-built house, they dug a hole and arranged a hiding place. They hid the Fersztman family, their uncle Szmul and a nephew Szol, his wife Hela and son Symek. Later, Szlomo from Łuck, joined them. On May 29, 1943, they had to leave their hideout because a carpenter was to start work in the house. The Jews hid in the barn of Marianna Ostrowska's father, and after a month, they moved back to Marianna's house. They lived in the attic above the barn, until Fall, then they stayed in this basement hiding

place. Later, a young Jewish woman Masza and her father Berek Fersztman joined them. Masza had a little child who was given to a Polish family in Bełżyce for the time being. The father left the hideout and soon was caught and killed. Masza also left the hideout, and also was caught (probably ending up in a concentration camp in Czechoslovakia) but she managed to survive the war. After the war ended in Israel, she gave birth to a son.

The other Jews eventually left the hideout on July 29, 1944. Szol went to Paris with

his wife Hela and son Symek. The rest went directly to Israel. They wrote letters, sent invitations and parcels with medicines. Marianna's family could not go for personal and later political reasons. Many years later, they met with Moszek who came to Lublin and then to Bełżyce.

In total, the Ostrowskis hid nine people. In November, 1992 they received the medal "The Righteous Among the Nations."



01

01

01

Na terenie tej nieruchomości ukrywano Żydów,
Radawczyk, 12 października 2007.

Das Gelände in Radawczyk, auf dem Juden
versteckt wurden, 2007.

The property in which Jews were hidden,
Radawczyk, October 12, 2007.



02



03



04

Hela i Szol Fersztmanowie, Paryż, 15 marca 1950.
Hela und Szol Fersztman in Paris, am 15. März 1950.
Hela and Szol Fersztman, Paris, March 15, 1950.

Symeon Fersztman (syn Szola Fersztmana) ze swoją
rodziną, Paryż, 22 stycznia 1985.
Der Sohn von Szol Fersztman, Symeon Fersztman mit
seiner Familie in Paris, am 22. Januar 1985.
Symeon Fersztman, son of Szol Fersztman with his
family. Paris, January 22, 1985.

MARIANNA OSTROWSKA



05

05

05

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



06

07

Mosze i Chaja Fersztmanowie, Radawczyk.
Mosze und Chaja Fersztman in Radawczyk.
Mosze and Chaja Fersztman, Radawczyk.

Szlomo Goldiner z żoną Maszą (z domu Fersztman).
Szlomo Goldiner mit seiner Ehefrau Masza, (geborene Fersztman).
Szlomo Goldiner with his wife Masza, née Fersztman.

ROK 1928 UNISZOWICE UNISZOWICE UNISZOWICE UNISZOWICE RELACJE URODZENIA STEFAN KRUSIŃSKI

Nazywam się Stefan Krusiński, zamieszkuję Jakubowice Murowane, urodziłem się 20 listopada 1928 roku w Uniszowicach pod Lublinem i tam mieszkalem z rodzicami.

Ukończyłem szkołę średnią zawodową w Lublinie. Pracowałem u prywatnego majstra wędliniarza jako wędliniarz. Później poszedłem do pracy do zakładów mięsnych. Przebywałem w wojsku ponad 3 lata. Przedłużyli nam rok, 2 lata się należało, bo była wojna w Korei. [Z wojska] wróciłem w 1952 roku na jesieni i poszedłem do pracy do zakładu. Pracowałem cały czas, do emerytury, do 1982 roku.

Moi rodzice przed wojną pracowali na roli, mieli około 4 hektarów w kolonii Uniszowice. Matka pochodziła z Konopnicy, ojciec z Uniszowic. Ojciec Jan, mama Antonina. Było nas trzech z rodzeństwa – starszy brat Henryk, ja i Wacław, najmłodszy. Henryk był starszy ode mnie o rok, a Wacław o 9 lat młodszy. Mój dziadek zginął na wojnie w [19]20 roku. Babcię tylko znałem i z babcią żeśmy żyli. [Babcia nazywała się] Kru-

sińska Feliksa. Mieszkała [w domku] na naszej działce.

Uniszowice to była nieduża wioska, a my jeszcze od wsi to tak z kilometr na kolonii mieszkaliśmy, tam było kilka domów. Przed wojną szkoła podstawowa była tylko 4-oddziałowa. Pokój jeden wynajmowano u bogatszego gospodarza, uczyło się na zmiany 4 klasy. Rano dwie – trzecia i czwarta, a później pierwsza i druga. Jedna nauczycielka uczyła wszystkich przedmiotów. W trzeciej klasie trzeba było 3 lata przebywać. I w czwartej klasie można było 3 lata, i szkoła była skończona. A jeżeli ktoś chciał iść gdzieś dalej się uczyć, szedł do innej szkoły. Ja z bratem żeśmy chodzili do szkoły do Konopnicy, niecały rok. Od nas to było ponad 3 kilometry. Chodziło się przez pola. Były ciężkie mrozy, do 30 stopni, po 30 już się siedziało w domu.

Żydzi przeważnie zajmowali się handlem, ale na wsi u nas nie było ich, to była mała wieś. Jedynie co, przyjeżdżali latem i kupowali sady. Budowali sobie budę, zrywali jabłka i wywozili [jabłka] do miasta. Kra-

wiec był, co chodził po wsi i reperował, przerabiał.

Mój ojciec trzymał z Żydami. Przychodzili do nas, kupowali cielaka, kurę. A jeżeli chodzi o tych, co później u nas mieszkali, to oni byli ze stron mamy, z Konopnicy. Przed wojną tam wynajmowali przy oborach mieszkanie i robili buty. Ja ich dopiero zobaczyłem, jak do nas przyszli.

WOJNA

Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, tylko nie pamiętam daty. Pasłem krowy, naleciały samoloty niemieckie... Jeżeli szły bombowce, to tak huczały mocno, a kukuruzniki [kukuruzniki], zwiadowce, osłaniały ich wkoło. Jęk tych bombowców... Nalecieli na stację Motycz i tam zrzućli kilka bomb. Strasznie to przeżyłem.

Mówione było, że Niemcy już wydali wojnę. Myśmy wszystko już mniej więcej wiedzieli, bo radio było na słuchawki.

219

Z gazetami były trudności – trzeba było iść do Motycza na stację, tam kiosk był, a nie, to do Lublina jechać.

Jak Niemcy weszli, to zajmowali wszystkie stanowiska, zmieniali wójta w gminie, urzędników. Byli Polacy, ale pod panowaniem niemieckim. Na chłopów nakładali kontyngenty różne – zboże musiał oddawać, mleko, mięso. A jeżeli nie oddawali, to rewizję zrobili. Jak nie znaleźli, wzięli na zamek do więzienia. Musiał gdzieś wydobyć, żeby to oddać. Jak już wszyscy pooddawali, to jeszcze rewizję robili na wsi, czy jeszcze coś nie ma. Czepiali się Żydów. Żyd miał nakaz nosić gwiazdę, z materiału uszytą, że on jest Żydem. Takiego Żyda Niemiec kopnął, za brodę pociągnął, popchnął, a jak się coś opierał, to wziął go zastrzelił. Jak popychał, to widziałem, jak zastrzelił, to nie.

Krawiec co chodził po wsi, jak Niemcy przyjechali na wieś, to oj oj gwiazdy nie ma, gwiazdę szyje prędko, bo on musi mieć gwiazdę. Później zaczęli tworzyć getta i już później było ogłoszenie, żeby Żydzi się zgłaszali. Każdy chciał przeżyć i do swoich znajomych szedł, prosił, żeby go przetrzymać, bo wojna może się niedługo skończyć? I może jakoś przeżyją.

Jak kraśnicką szosą Niemcy jeździli, to [Żydzi] uciekali do nas, do Uniszowic, na to bezludzie, daleko od traktów. Trudno było tam spotkać Niemca, chyba że po coś na wieś przyjechali, tak to nie jeździli.

Ż Y D Z I

[Przyszli] w 1940 roku, gdzieś na jesieni, w październiku czy listopadzie, mam zapisane.

Rano się dopiero zobaczyło. Babcia przyszła do nas i rodzice rozmawiali o tym. A może wieczorem? W dzień nie chodzili, tylko pod osłoną nocy.

Ukrywali się w stodole, ale chwilę, może dzień, dwa. Ta pani jeszcze przychodziła do domu, bo to przymrozki były. Z dzieckiem w domu przesiedziała. Mieszkanie [miliśmy] jednopokojowe, jak to dawniej i kuchnia, a było nas parę osób. Nie było miejsca na postawienie łóżka.

[To] byli znajomi, u dziadków [w Konopnicy] mieszkali. To był pan z żoną i dziecko mieli 2,5 roku chłopczyk, i dwóch takich czeladników miał, bo oni robili buty. Dobrze mówili po polsku. A ta pani jak ładnie pisała po polsku, tylko... On, Paweł Rocznej, był podobny do Żyda, niski, tęszszy, łysy, tak gdzieś 28, koło 30 lat. Ta pani, Sonia Rocznej, nikt by nie powiedział, że to Żydówka – czarna, wysoka, ładna dziewczyna była. A ten chłopczyk, Moniek, Moniusz ładny był też, blondynek. Abram, brat Pawła [jeden z czeladników] włosy miał czarne, nos garbaty – prawdziwy Żyd. A Moniek Lederman [drugi z czeladników] to tak jak my, normalnie, nikt by nie powiedział, że to Żyd.

Było niemożliwe [żeby ich trzymać], bo ojciec był sołtysem, ludzie różni przychodzili. Nie można było, żeby ktoś zobaczył, że tam ktoś w stodole jest. Sąsiad to nieraz sam przyszedł do stodoły, coś potrzebował i coś sobie wziął. Była niemożliwość schowania. Przyszła babcia, co mieszkała w domku [na podwórzu], zrobili naradę, mnie i brata wzięli, ten najmłodszy miał 3 lata, to

R E L A C J E

on jeszcze nie wiedział o tym, żeby ich jakoś uchronić, schować. I poszli do babci, i tam byli.

K R Y J Ó W K A

Zrobili sobie później schron. Bez schronu by nie przeżyli. Kopali we trzech nocami. Ziemię wynosili na pole. Rano trzeba było pójść tą czarną ziemię przesypać, żeby ktoś nie zauważył. Był właz. Babcia duży szaflik, balię na tym włazie [stawiała], ziemią równała, bo nie było podłogi drewnianej, tylko ziemia, klepisko. A wylot powietrza był za domem – dziura wykopana. Jak spali, to im było ciepło nawet zimą. A w lecie, jak było spokojnie, ten właz był otwarty. Babcia zamykała na noc, jak było coś niebezpiecznie, a jak było wszystko w porządku, to było otwarte. Sami sobie porobili legowiska, słomy przynieśli. Chodziłem tam zaglądać.

W komórcie, przedsionku, było wiaderko i oni tam sobie chodzili [za potrzebą]. A rano [jak] było jeszcze szaro, to sami wylali na kompostownik.

Na tamte czasy warunki mieli dobre. Otaczało się [ich] opieką. Nikt tam nie przychodził [obcy]. Wszystkie wiadomości o wojnie chodziliśmy i opowiadali im. Na bieżąco byli. Jakbyśmy byli razem rodzina. W jednej izbie z babcią [mieszkali]. Ta pani gotowała sobie jedzenie na kuchni babci. Wieczorem dopiero mogli sobie wyjść gdzieś na dwór, powietrza złapać. A później, jak już chodziło o partyzantkę, to musieli schron sobie zrobić na noc. Mieli pieniądze, bo mieli możliwość, żeby sobie zarobić. U innych, jak przetrzymywali, trzeba było im gotować, dawać, nosić. My-

śmy takich rzeczy nie [robili]. Przeważnie ci chłopcy przynosili żywność ze wsi. Abram i Moniek Lederman [mieli] po 20-tce. Przyносили zamówienia. W domku [babci] utrzymywali się częściowo. [Cała piątka] utrzymywała się z pracy, robili buty, reperowali, różnie. Oni [Abram i Moniek] jednocześnie się ukrywali, zbierali zamówienia, wykonywali pracę. Ich nieraz nie było i 2 tygodnie. Może oni w partyzantce byli, też była żydowska partyzantka. Nie wiemy. Tylko jak już długo ich nie było, to ta pani bardzo się martwiła, nieraz płakała, że ich nie ma, że gdzieś może w zasadzkę jaką weszli albo coś. Ale myśmy nie widzieli żadnej broni przy nich, normalnie się zachowywali. Jak byli tutaj, to pomagali temu [Pawłowi] buty robić. Żaden klient tu nie przychodził, tylko ci młodzi chodzili. Łącznikami byli, przynosili kury, ta pani gotowała rosół, makaron robiła, taki żółciutki z jajek.

Na świętach nigdy nie byli u nas. Babcia przychodziła, a oni sami zostawali. Modlili się po swojemu, nikt im nie zabraniał. Żyli tak jak u siebie, tylko że nie mieli kontaktu ze światem.

Najmłodszy [brat] nie nie wiedział, bo dziecko mogłoby się wygadać do kogoś. Starszy [brat] kupował smołę, dratew, igłę, co oni potrzebowali, do tego gazetę jakąś.

U nas nikt nie nie wiedział, nawet kolega, co siedział ze mną w ławce, nie wiedział. Nikt nie mógł wiedzieć, bo jeżeli by wiedział, to przychodzili nocą i mordowali ich – partyzantka, nie partyzantka, niby w celu, że oni chronili gospodarzy, żeby gospodarz nie zginął, jeżeli Niemcy znajdą Żyda, bo to było zagrożone karą śmierci. I oni tak niby, że to za gospodarzem, a likwidowali.

Jak później chodziłem do szkoły do Motycza, to jak jechali Niemcy w stronę Uniszowic, to ja do domu od razu nie poszedłem. Jak wracałem ze szkoły, do kolegi pytać się, gdzie byli tu Niemcy, czy byli czy nie byli, czy pojechali gdzieś? Trudno było powiedzieć, co mogło się dziać. Mogli wybić, wymordować ludzi, rodziców, a ja na ten czas mogłbym wejść.

Nawet żydowska partyzantka chodziła, ale nigdy nie przyszli do nas. Ojciec pytał się naszych Żydów, czy jakby przyszli ci partyzanci Żydzi, można o nich [ukrywających się] powiedzieć, że oni tu są. Nie chcieli, powiedzieli, że nie chcą się spotykać z tymi ludźmi. To przychodzili, wiejska partyzantka, gospodyni kazali coś ugotować w nocy, zjedli mięso, czy nawet jakąś słoninę, jakiegoś tłuszczu, wzięli i poszli. Oni niby chronili ludzi, żeby Niemcy nie wkroczyli. Przychodzili z bronią, musowo było mu dać [jeść], nie było mowy, żeby nie.

Byli raz w nocy tylko [u babci], ale [Żydzi] byli schowani. Wypyтали tylko i poszli. Później już dali spokój, już nikt nie przychodził. Później Niemcy zaostrzyli sytuację, że u kogo trzeba wydać Żyda i jeszcze polecenie sołtysowi dali, że u kogo jest, to żeby szedł do getta. Było zagrożone później już karą śmierci całej rodzinie. U nas były 2 miejsca, co się ukrywali Żydzi, ale to ci nocni przyszli wymordowali ich, nie Niemcy. W jednym miejscu u Maja. Przyszedł chłopak zapłakany. W Motyczu był Żyd, nazywał się Szlama, nazywali go tak i miał córkę, 18 lat, żony już nie miał. Córką była niepodobna do Żydówki w ogóle. Szlama przychodził

do ojca wcześniej, kiedy można było. On nie był podobny do Żyda, bardziej do Polaka. I przyszedł do nas, żeby go ukryć, ale już u nas byli ci. Ojciec mówi: „Nie, nie da rady”. Ale przyszedł Maj, sąsiad, i on ich zabrał. Tam podobno jeszcze z innej rodziny dwoje w oborze u niego byli. Przyszli w nocy ci niby partyzanci i załatwili. Ciąła kazali zakopać. Ale gospodarzom nic nie zrobili. Chronili gospodarzy. Całą rodzinę mogli Niemcy zabić, jeżeli znaleźli Żyda, bo było takie zarządzenie. A ci partyzanci niby chronili tych gospodarzy. Taka przystuga.

Niemcy w nocy nie przyszli nigdy. Niemcy się bali nocą, bo partyzantka, a nocą grasowała banda. Między sobą się bili partyzanci. [Byli też] partyzanci, którzy pociągi wykolejali, wysadzali. Na wieś się poszło to nieraz się spotkało, normalnie w mundurach z bronią, kwaterowali nieraz na wsi. Gdzieś zasadzkę jakąś robili.

Strach to cały czas był, aby się Niemca zobaczyło gdzieś, to już był strach. Raz, ja żem poszedł do tego Moniusia, bawiliśmy się i ojciec mój przyszedł porozmawiać. Śnieg, zima, na czerwono słońce zachodziło. Wychozimy z ojcem z tego domku, a niedaleko, może 50 metrów, dwóch Niemców: „Halt. Hände hoch”. Ojciec podniósł i mówi: „Podnoś ręce!”. Obydwaj żeśmy podnieśli ręce. A ta pani [Sonia] jak zobaczyła: „Spojrzałam w okno, pozamieraliśmy. Nie było mowy, żeby się schować. Koniec by był, gdyby weszli do

R E L A C J E

221

domu”. [Niemcy] doszli do nas, coś tam mówili. Ojciec nie rozumiał nic, więc kazali iść, żeśmy poszli. [Niemcy] widzieli, że [my] to nie żadni partyzanci.

F O I K S D O J C Z

Przy trasie kraśnickiej leży Konopnica. Przed torami w Konopnicy kuźnia stała, był kowal, Buchał się nazywał, Niemiec. Jak Niemcy weszli, już skrzydełka zaczęły rosnąć tym Niemcom polskim. W Konopnicy tworzyła się partyzantka, między innymi mój wujo, mojej mamy brat też [do niej należał]. Pewnego razu Niemcy już z listą przyjechali i wyłapali tych chłopaków – jedenastu partyzantów [w tym] mojej mamy brata. W Majdanku zginęli. Po jakimś czasie przyjechało dwóch motorem do tego kowala. Wyczytali mu wyrok i zastrzelili go w tej kuźni, wsiedli na motor i pojechali. Na drugi dzień oblawa, najechało się Niemców, otoczyli wsie okoliczne, łapali mężczyzn, wszystkich, gdzie kogo znaleźli. Jechał chłop z kobietą na wozie, to chłopca na samochód, a kobiecie jechać [kazali]. Złapali stu. Wywieźli do Radawca do lasu i tam ich wybili. Tak się cenili Niemcy: stu za jednego. [To było] w 1942–43, gdzieś o tak. [Ja też] uciekałem. Ojciec kazał uciekać do stryja do Motycza Leśnego. Z bratem żeśmy uciekli. Ojciec został. Nie wiem, czy gdzieś się skrył.

W Y Z W O I E N I E

Niemcy jak uciekali... wkroczyło do nas polskie wojsko razem z ruskim, ale później. O Warszawę bitwa była, powstanie w War-

szawie. Rosjanie długo stali na lewym brzegu Wisły, tak jakby pomagali Niemcom, żeby się Warszawa wykrwawiła, żeby tych powstańców jak najwięcej zginęło.

Lublin był wyzwolony, PKWN [Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego] powstał 22 lipca, to ci dwaj młodzi [Abram i Moniek Lederman] powiadomili wojsko rosyjskie i przyjechali samochodem, i ich zabrali. Ja byłem gdzieś w szkole, rodzice nawet nie wiedzieli. Dopiero babcia przyszła i mówiła, że przyjechał samochód i ich zabrali. Nie było żadnego pożegnania. To jeszcze nie było zakończenie wojny. Zakończenie wojny to dopiero na przyszły rok, w maju [w 1945 roku]. Dopiero żeśmy się dowiedzieli, jak przyszedł list do ojca, gdzie oni są.

[Po wojnie] nie było rozmowy [z sąsiadami o przechowywanych Żydach]. Myśmy się spodziewali, że... bliscy sąsiedzi byli w partyzantce i myśmy już nie mówili. Nikt się nie przyznawał do niczego. Nikt nie pytał ojca, ojciec nic nie opowiadał. [Najmłodszemu bratu powiedzieliśmy] później, jak już pojechali. On zareagował tak, jakby wiedział o tym. Może coś się gapnął. Oficjalnie nie wiedział.

Ojciec zmarł w 1986, a mama w 1987 roku. Nikt nie żyje, najstarszy [brat] zmarł i ten młodszy też [już nie żyje].

K O R E S P O N D E N C J A

Oni [Paweł i Sonia Roczna] w 1944 roku wyjechali do Australii. Ta pani pisała do

R E L A C J E

mnie, ona mi załatwiła dla rodziców ten medal. Oświadczenie przysłała. Jak ojciec zmarł, to znalazłem list od nich u ojca. Ojciec napisał, że babcia zmarła, co razem mieszkali. Ją [też] nazywali babcia. Oni już nie żyją, ten pan był na wózku inwalidzkim, a ci młodzi [dwaj czeladnicy] zapomnieli całkowicie, nawet znaku życia. Pytałem się listownie, czy mają kontakt. Brat [Abram] był we Francji, a Moniek Lederman do Izraela wyjechał i teraz żadnej wiadomości od niego. Dopytywałem się tej pani, ale ona pisała mi w każdym liście to samo prawie. Nigdy się nie dowiedziałem, gdzie ten Moniek jest. Napisała, że w Izraelu, ale czy się ożenił, czy rodzinę ma?

Do tej pory pisze do mnie [Moniusz, dziecko Pawła i Soni Roczna]. W tym roku jeden list przyszedł. On umiał po polsku. Teraz nie umie i bez [przez to] to trudności są, bo po angielsku pisze. On już starszy, żona jego nie żyje. Nie wiem, czy żyje, na razie nie mam żadnej wiadomości.

M E D A L

To się zaczęło dawać dawno. Jak ojciec zmarł, znalazłem list z adresem, wysłałem i przyszedł list od tej pani: „A skąd ty wiedziałeś nasz adres?”. I zaczęła opisywać to tamto: „Stefan, co ci przysłać?”. A ja [napisałem], że nie. „To ja ci coś załatwię”. Oświadczenie przysłała, urzędowo napisane i [dopisek]: „To złożysz do Warszawy do Instytutu”. Bardzo długo czekałem. W 1997 roku w Trybunale [w Lublinie] na moje ręce otrzymałem dyplom i medal po rodzicach. Przyjechał ambasador Izraela. Jedenastu osobom chyba wtedy wrę-

czali. I tym, którzy żyją i tym, którzy już nie żyją. Moi rodzice już nie żyli wtedy. Byłem bardzo wzruszony. Wtedy pomyślałem sobie, że warto było, że teraz taki medal dostali. Ojciec to by się naprawdę cieszył. W Jerozolimie na tablicy jest nazwisko. Jest radość z tego medalu, jak się dostanie, ale przeżyć ten czas, to nie jest takie łatwe.

Życzyłbym, żeby młodzi w ogóle nie doczekali takich czasów, żeby była wojna. Nieraz zadaje sobie takie pytanie. Dlaczego [rodzice pomogli]? Ludzie byli religijni, a to znajomi byli, przyszli, prosili. A później jak już zaszła decyzja, że za ukrywanie Żyda kara śmierci, to już wtedy nie było odwetu, już trzeba było tak pilnować, tak ochraniać,

żeby broń Boże ktoś się nie dowiedział. Nie było wyjścia wtedy już. A były takie przypadki, nieraz słyszałem, że jak złapali Żyda, gdzieś się ukrywał, to przyprowadził do tego gospodarza Niemców. Bo pytali: „Gdzie się ukrywałeś?”.

D E U T S C H

Stefan Krusiński wurde 1928 in Uniszowice geboren. Er wohnte mit seinen Eltern, Jan und Antonina, und seinen beiden Brüdern auf einem Bauernhof. Neben ihrem Haus stand das Wohnhaus ihrer Großmutter Feliksa Krusińska. Im Herbst 1940 kamen zu ihnen Bekannte aus dem Nachbardorf. Es war die Familie des jüdischen Schuhmachers Paweł Rocznaj (Rotsztajn) – seine Frau Sonia und sein Sohn Moniusz sowie seine zwei Gesellen, Abram Rocznaj und Mo-

niek Lederman. Sie begannen ein Versteck im Haus der Großmutter vorzubereiten. Die ganze Zeit über, in der sie sich bei Familie Krusiński versteckten, zogen die Gesellen über das Land und sammelten Schuhbestellungen. Das hat der Familie sehr geholfen. Vielleicht hatten die Gesellen auch Kontakte zu Untergrundorganisationen, Herr Krusiński ist sich darüber aber nicht sicher. Herr Krusiński erzählt auch von den Nachbarn, bei denen sich auch ein paar Juden versteckten. Eines Nachts kamen Partisa-

nen zu ihnen und erschossen alle Juden. Sie erklärten, dass sie damit die polnische Familie vor den Deutschen schützen wollten, denn die würden bei einem Verrat nicht nur die versteckten Juden, sondern auch die polnischen Helfer umbringen. Stefan Krusiński steht bis heute mit Moniusz in Kontakt. 1997 wurde Familie Krusiński die Medaille der „Gerechten unter den Völkern“ verliehen. Stefan Krusiński meint, sein Vater hätte sich sehr darüber gefreut.

E N G L I S H

Stefan Krusiński was born in 1928 in Uniszowice. Stefan was living in Uniszowice near Lublin with his parents and two brothers when the war broke out. He

was eleven years old that time. His parents, Jan and Antonina, had a farm near

R E L A C J E

the house of Stefan's grandmother, Feliksa Krusińska. In the Fall of 1940, friends from a neighboring village visited the house. They were

223

the shoemaker, Paweł Rocznej (Paweł Rotsztajn), his wife Sonia, their son Moniuś, and two of Paweł's apprentices: Abram Rocznej and Moniek Lederman. The Krusiński family prepared a hideout for them at the grandmother's house. During their stay with the Krusiński family, the two apprentices walked round the neighboring villages taking orders for shoes. The money they earned

helped them to survive. Stefan claims they might have had some association with the underground. Mr. Krusiński also recalls the story of his neighbors who helped a few people. One night, some guerrilla fighters came and killed the hiding Jews, claiming they were protecting the Polish family from Germans. If Nazis found any Jews, they killed both them and the Poles who helped

them. Stefan's mother's brother was killed in the Majdanek concentration camp for being in the Home Army. Stefan still keeps in touch with Moniuś, the Rocznej's child, who survived thanks to the Krusińskis. In 1997 the Krusiński family received the medal "The Righteous Among the Nations". Stefan claims that his father would have been very happy about of this distinction.



STEFAN KRUSIŃSKI



01

01

01

Dyplom.

Das Ehrendiplom.

The diploma.



Zydek Zofia, moje urodzenie to 1936 rok, 5 lipiec. Mieszkam w Uniszowicach pod Lublinem.

R O D Z I N A

Gospodarstwo rolne mieliśmy nie duże, nie małe. Później, jak mama została wdową, to było jej ciężko. My małe, mama młoda, mama było dużo młodsza od ojca – 15 lat i jeszcze dziecko w drodze, trzecie. Pamiętam, że ludzie mieli problemy z młodzieżą wtedy, bo Niemcy zabierali na roboty. Wiem z opowieści mamy, że najemcy zabierali na roboty młodzież, do Niemiec wywozili. Mama była plantatorką tytoniu. Niemcy mieli nad tym nadzór. Mama miała prawo dostać ileś tam młodzieży – oni mogli się zarejestrować, że pracują u mamy przy tytoniu. Później mama miała kłopot, bo wszyscy chcieli. To chroniło od wywózki.

W O J N A

Zapamiętałam wojnę, bo przecież miałam 3 lata. Szły samoloty, była trwoga między ludźmi, mama ubierała nas w zielone ubrania, mnie w zieloną, przezroczystą sukienkę, dokładnie pamiętam, a brata (Janek mój brat się nazywał) ubierała w zielone ubranko i mówiła: „Jak nalecą samoloty, to kładźcie się i uciekajcie w kartofle”. Strzelali z samolotów do ludzi. Czułam, że się źle dzieje, bo trzeba uciekać, trzeba się chować. Przedtem tego nie było. Później mój brat umarł na dyfteryt. To była jesień 1940 roku. Za późno zawieźli go do szpitala. I umarł. Ja też zachorowałam i mnie też zawieźli... Pamiętam dokładnie, że w ogóle nie płakałam o tego brata. Nie wiedziałam, co się stało. Rodzice płakali i pojechali, żeby jego zabrać jako trupa, a mnie zostawili w szpitalu. Poleżałam tam trochę. Nie umarłam oczywiście. Po Nowym Roku zaraz urodziła się moja siostra Helena, co jeszcze ją mam. To był 1941. Jeszcze tata żył do 1942, w październiku umarł. Dla mamy to była straszna tragedia.

[To były] ciężkie lata, dla mamy tym bardziej, że była dzieckiem urodzonym w mieście. Została osierocona, jak miała półtora roku. Takie to były czasy. Ojciec mamy podobno był bogaty. W Lublinie miał jakąś wytwórnię obuwia i sklepy. Dobrze się mu powodziło. Jak pierwsza żona umarła, bardzo młoda i bardzo ładna, ożenił się [ponownie], a ta druga kazała usunąć dzieci. Została oddana na wieś na służbę. Najpierw gęsi, później krowy musiała paść. Dla dziecka miastowego to była tragedia.

Mama, jak o tym opowiadała, płakała. Być może później dlatego chciała komuś pomóc w nieszczęściu. Rozumiała, co to strach i cierpienie.

Ż Y D Z I

Cawel oni się nazywali. Nie pamiętam [imion], tylko wiem, że Monius. Moniek, Monius się na niego wołało. A ich oboje to nie wiem, jak się nazywali. Nie miałam powiedziane, że oni się ukrywają. Miałam po-

wiedziane: „Zaniesiesz tam koszyczek. Tam pani otworzy i zabierze od ciebie, a ty nie będziesz wchodziła”.

Szłam z kilometr, przez łąkę, przez rzekę, później wąwóz był, górzysty teren.

Był tam piesek uwiązany mały. I kiedy ten piesek zaszczeakał, ta pani Żydówka uchylała okienko.

Pół szafasu było wkopane w ziemię, a przednia ściana [miała] drzwi i małe okienko. Przedtem mieszkała tam babcia Jakubowa, [która] później stamtąd się wyniosła do PGR-u, obok Motycza – tam dostała pracę przy dojeniu krów. Być może ona ustąpiła, żeby odstąpić to Żydom. Ale jak się skomunikowała, żeby oni się tam ukrywali, nie wiem. W tym mieszkaniu to my byliśmy z mamą może raz, może dwa. Już oni byli. Dlatego pamiętam, że Monius... Przecież inaczej bym go nie poznała. On miał kręcone czarne włosy i był fajny. Bawił się ze mną, a oni rozmawiali. On [Monius] może był wtajemniczony, dlatego go tam siedzą. Na pewno. Ale jak dziecko się zachowywał, wesoly. Ona chciała, żeby dziecko nie przeżywało jak oni. Ale jakby ich chcieli wybić, to przecież wszystkich by wybili. Blisko nie było [sąsiadów]. Ale to nie znaczy, że nie wiedzieli. Jakiś kontakt na pewno utrzymywali, co się dzieje na świecie. Przecież jak przyszło później wyzwolenie, wiedzieli. Nie wiem, czy ktoś [im jeszcze] pomagał.

Z I E M I A N K A

[Ziemianka] miała okno jedno do przodu i przy tym oknie były drzwi zaraz, i przy tych drzwiach był uwiązany piesek. Nie było żadnej sieni. Taka jamóra. Był jeszcze wyciąg

do palenia, komin jakiś. To była jedna izba, nieduża.

Później, jak już byłam dorosła, mama opowiadała, że na ścianie w tym mieszkaniu stała szafa od garneków, zniszczona. Za szafą mieli wykopaną w ziemi jamę. Jak piesek dawał znać, albo noc jak była, nagonka, oni do tej jamy schodzili, co by ich tam nikt nie wykrył. Za szafę nigdy nie zaglądałam.

Babcia Jakubowa im to odstąpiła. Inaczej by nie przeżyli. Mama mówiła, że jak oni wyszli stamtąd, to tej babci wynagrodzili. Ona później od razu poszła do miasta ze wsi. Mieszkanie w mieście z córką [miała]. Dobrze się im powodziło. Już nie doila krów. Na pewno coś jej tam dali.

Pani [wyglądała] i jak się okazywało, że to ja idę, że piesek na mnie szczeka, to otwierała drzwi i zabierała od mnie koszyk. Chwilę zaczekałam, ona wyjęła [jedzenie] i oddawała mi koszyk, a ja szłam do domu. Mówiła, żebym nigdzie się nie zatrzymywała.

Z mamą tam byłam. Wieczór. Ześmy szli z mamą po tej samej ścieżce w wąwozie. Nie chciał się nikt narażać. Jakby wybili, to wszystkich. A Majdanek to by czekał [na] moją mamę, jakby mnie złapali. Albo by mnie ubili. To było bardzo niebezpieczne, co mama robiła – małe dziecko posłała, [sama] się narażała. Jedzenie nosiło się często. Mleko, jajka, chleb mama piekła, razowy. Była specjalistką. Chleb jej tak wyrastał, że nieraz były problemy wyjąć [go] przez drzwiczki. A ja musiałam taszczyć ten chleb – nieraz ważył 7 kilo. Do tego jeszcze mleko i mąkę, może w małych ilościach, ale nosiłam, i słoninę.

R E L A C J E

Często chodziłam. A jaką mama wybierała porę, już też nie pamiętam. Raczej rano.

Długo, sporo [chodziłam]. Do samego wyzwolenia, do 9 maja.

To miejsce... Ja je mogę w nocy o północy pokazać. Ale budynku już tam nie ma. Syn babci Jakubowej rozebrał, jak babcia przeniosła się do Lublina.

P O W O J N I E

Mama powiedziała, że teraz do Moniusia jedziemy do Lublina, bo on już tu nie mieszka. I pojechaliśmy wozem. Do miasta przyjechaliśmy, żeby mi [ojciec Moniusia] wziął miarę na pantofelki. To była cała moja zapłata za noszenie jedzenia.

Szłam do komunii pierwszej. Wtedy na wsi bida taka była, że dzieci, moi rówieśnicy, szli boso. Mama mówiła, że idę też do komunii, że musi mi kupić pantofelki. Były bordowe i ładnie zapinane na paseczek, eleganckie, ze skóry gimzy. Długo je miałam. Później jeszcze siostra nosiła.

Jak myśmy już po wyzwoleniu przyjechali do Lublina, to ta pani Żydówka się bardzo cieszyła. Była już ładnie ubrana, miała włosy rozpuszczone, kręcone. I tak się cieszyła, wprost była w siódmym niebie i poleciała... To było moją najlepszą zapłatą – poleciała gdzieś na miasto i przyniosła cały półmisek lodów. Dla mnie te lody były [naj]więcej warte. Mówiła, że jeszcze może raz się spotkamy, żeby mama jeszcze raz... „bo już wyjeżdżamy do Palestyny”.

Pamiętam duży pokój z paroma oknami i pracownię,

gdzie ten pan klepał buty. Był szewcem. Tam było elegancko. Mieszkanie znajdowało się gdzieś [niedaleko] Ogrodu Saskiego. Może [na ulicy] Wieniawskiej. Dziecko mało było ze wsi brane. To wyjątek, że wzięli do miasta. To trudno się zorientować.

I pamiętam tą uradowaną panią. Najbardziej to, że ona była inna jak w tej ziemiance. I był Moniusz. On był całym ich życiem. Oni może chcieli się zachować przy życiu ze względu na to dziecko. Przecież było tak, że Żydzi oddawali dziecko, bo wiedzieli, że zginą. Chcieli, żeby dziecko przeżyło. Znałam taką opo-

wieść, że oddali dziecko, bo wiedzieli, że za chwilę zginą. W Uniszowicach. Ukrywali się. Rodziny były, co płatne, tzn. oni dużo płacili, złotem. Mój mąż opowiadał, od swojego ojca wiedział, że obiecali im przetrzymanie, oni dali im grube pieniądze, a [tamci] później zdradzili. Naród jest taki. Jak jest spokój, jak wojny nie ma, to jest jeszcze jako tako. Jakby jakieś poruszenie, to nie ma granic chytróść. Każdy przecież łasy na takie zarobki.

Ta pani to była jak nie ta sama osoba [co podczas wojny]. Może musiała się upodobnić do życia na wsi w razie czego. Choć ona

nie wychodziła, ale w razie jakby tam ktoś nietypowy zapukał i wszedł, ona nie mogła wyglądać jak Żydówka, ale w chustce, włosy ukryte. On [mąż], mniej jego pamiętam. A Moniusz też kręcone wałeczki. Na niego to było tylko spojrzeć – nikt by się nie pomylił, że to Żydek. Jednego jego mieli. Może później, jak wyjechali, mieli jeszcze dzieci. Cieszyła się, że jadą, że wyjeżdżają, że przeżyli. Mama umarła, jak miałam 22 lata. Nie było kontaktów z nimi po wojnie.

D E U T S C H

Zofia Żydek wurde 1936 in Uniszowice geboren. Sie wohnte während des Krieges allein mit ihrer Mutter und ihren zwei Geschwistern zusammen. Der Vater starb 1942. Sie halfen drei Juden, die Cawel hießen. Die Drei versteckten sich

in einer alten Hütte, in der es ein Loch in der Wand hinter einem Schrank gab. Zofia Żydek brachte ihnen Essen. Dank dieser Hilfe haben die Juden den Krieg überlebt.

Nach dem Krieg lebten sie in Lublin und später wanderten sie nach Israel aus und die

Familien hatten keinen Kontakt mehr. Zofia Żydek erzählt auch von einer polnischen Familie, die von Juden Geld für ihre Hilfe verlangte. Obwohl die Familie das Geld bekommen hatte, verriet sie die Juden später.

E N G L I S H

Zofia Żydek was born in 1936 in Uniszowice near Lublin. At the outbreak of the war, she was three years old. Her father died in 1942 and since then she was living with her mother and two siblings. Her family helped three Jews surnamed Cawel. Zofia would

take food prepared by her mother, to a derelict house where they hid in a burrow dug behind a wardrobe. After the war, this family lived for some time in Lublin and eventually

moved to Israel. They are no longer in touch. Zofia also remembers another Jewish family who lived in a neighboring village and paid a Polish family for shelter. These people took the money and then turned the Jews into the Nazis.

R E L A C J E



ZOFIA ŻYDEK



01



02



03

Zofia Żydek na tle miejsca, gdzie była ziemianka.
Zofia Żydek an dem Ort, wo sich das Erdloch befand.
Zofia Żydek against a background of the place in
which there was the dugout.

Widok z miejsca, gdzie stała ziemianka. Na horyzon-
cie w drzewach widać dachy zabudowań, w których
mieszkała rodzina Zofii Żydek przed wojną.

Der Blick von der Stelle des Erdlochs durch die
Senkung. Am Horizont ist das Dach des Hauses, in
dem die Familie Zofia Żydeks während des Krieges
wohnte zu sehen.

A view, from the place where there was the dugout.
On the horizon, in the trees, the roofs of the buildings
in which Zofia Żydek's family lived before the war
can be seen.

Zofia Żydek wskazuje wąwóz, którym chodziła
z jedzeniem dla ukrywających się Żydów.
Zofia Żydek zeigt den Weg in der Senkung, auf dem
sie als kleines Mädchen das Essen für versteckten
Juden brachte.

Zofia Żydek pointing at the ravine through which she
carried food for Jews.

RELACJE

ROK 1926

ZEMBORZYCE ZEMBORZYCE URODZENIA

JADWIGA MALISZEWSKA

Urodziłam się 5 sierpnia 1926 roku w Gródku. W 1976 roku [zmarła mama], 1977 ojciec.

Starszy brat Józef Drozdowski. Był w AK. Jego koledzy ginęli, on szczęśliwie przetrwał. Umarł dopiero jakieś 10 lat temu. Jego naczelnik, zwierzchnik czy komendant, za swoją działalność już po wyzwoleniu został rozstrzelany przez nasze polskie władze soc... bo nie ujawnił się.

Najstarsza siostra nazywała się Irena, [po mężu] Kuszyk. Była jeszcze Helena. I Ludwik. Już też nie żyje.

Moja rodzina od 1941 roku do końca okupacji i później do 1947 roku przechowywała, a później już zupełnie normalnie, oficjalnie, jawnie mieszkala z nami dziewczynka, Teresa, czyli Apolonia Szyper... Szyper nazywała się jej matka.

ŻYDÓWKA

Teresa znalazła się u nas w 1941 roku. Przy ulicy Koziej prowadził sklep z lustrami

i szkłem handlowiec, Żyd mieszkający od bardzo dawna w Polsce, urodzony w Polsce. Miał rodzinę – żonę i dwoje dzieci: córkę i starszego syna. Kiedy nastąpiła bardzo duża represja Niemców w stosunku do Żydów, rodzina ta także była zagrożona. Zaniepokojeni losem swoich dzieci rodzice... Muszę zaznaczyć, że dziewczynka, ośmioletnia, była nie najlepszego zdrowia. O nią szczególnie się bali. Wiedzieli, że dzieją się rzeczy niepojęte i jest duże zagrożenie dla całej rodziny. Wiedzieli, że ich to nie ominie. Mieli nadzieję, że to tylko kilka dni. I przez te kilka dni, jeżeli uda im się uniknąć tragedii, to może ocaleją. Pragnęli zrealizować swoje plany i ulokować dziewczynkę w miejscu, gdzie jest nadzieja, że przetrwa.

Stało się, że [handlarz] spotkał mojego ojca, którego wcześniej znał jako klienta. Widocznie wiedział coś więcej o ojcu. Ojciec był organistą w Zemborzycach – dalej od tego piekła, jakim był Lublin. I poprosił ojca o przechowanie, o przetrzymanie kilka dni jego córki Teresy, zabranie jej do siebie. Ojciec się bardzo wahał, bo już wiedział, ja-

kie represje stosują Niemcy w stosunku do wszystkich, którzy nawet rozmawiają, mają jakikolwiek kontakt z Żydami. [Tata w tym czasie] był już ojcem pięciorga dzieci.

Ojciec Teresy nazywał się Fajraizen. Bardzo prosił o... o zaopiek... o pomoc. Bardzo prosił. Ojciec uległ. Nie mógł odmówić zrozpaczonemu ojcu. Wziął dziecko na rower i tą dziewczynkę, Apolonię, przywiózł do rodziny, do Zemborzyc. Dla mamy mojej to była straszna niespodzianka. Jak się dowiedziała, że to dziecko żydowskie, była zatrwożona, przerażona. Muszę zaznaczyć, bo jestem wiekowa i z perspektywy czasu mogę swoich rodziców ocenić, że byli bardzo dobrzy i wrażliwi. Wrażliwi na krzywdę innych ludzi, a dzieci w szczególności. Więc mama uległa i rzeczywiście zaakceptowała, przyjęła to dziecko, ubrała, bo ona nic nie miała. Absolutnie nic. Decyzja nastąpiła w ciągu kilku minut. A jak sobie przypominam, rodzina Fajraizenów miała już zgłosić się do getta, w ciągu kilkunastu czy kilkudziesięciu

231

minut. Natychmiast. Więc to była sprawa niezmiernie pilna.

[Dziewczynka] została przywieziona, nakarmiona, zaakceptowana przez mamę. [Mama] pogodziła się z sytuacją, że to na kilka dni. Tymczasem okazało się, że rodzina dziewczynki za kilka dni podobno została wywieziona... Zgłosili się czy zabrali ich. Tego już dokładnie nie wiem. W każdym razie po kilku dniach kontakt został stracony. Zginęli. Rozstrzelani. Dla nas, dla rodziców to była niesamowita sytuacja. Co zrobić? Przecież ona nie wróci do rodziców. Trzeba było zorganizować dom i pogodzić się z sytuacją, że dziewczynka zostanie u nas. I została. Ja, moje rodzeństwo było starsze, ale nam też groziło wielkie niebezpieczeństwo. [Razem] organizowaliśmy zabezpieczenie nie tylko dla Teresy, ale i dla dzieci, dla nas. Brat mój był w organizacji tajnej, podziemnej, w AK. Czuwał nad bezpieczeństwem rodziny, nad bezpieczeństwem Zemborzyce w ogóle. Dawał nam znać, kiedy trzeba. Nie zawsze to się sprawdzało. Ale zawsze trzeba było być bardzo ostrożnym. Uciekaliśmy do skrytki w ogrodzie, w chaszczach, w podziemia po bardzo starym, osiemnastowiecznym chyba kościele, albo do lasu przez rzekę. Jeżeli była płytka, można było przejść bez zagrożenia, że się człowiek utopi. W domu zostawała tylko mama. Oczywiście dużo razy penetrowali nasz dom Niemcy. Dużo razy. Ale myślę, że Niemcy nie wiedzieli o Teresie, bo ona się nie pokazywała na zewnątrz. Nie wychodziła dalej poza dom i ogród. Domyślamy się, że szukali brata albo ojca. Złościli się, przeklinali, nawet karabinem wywalali garnki ze złości, że nie zastali nikogo, tylko jedną starszą kobietę, naszą mamę.

Zemborzyce są wsią bardzo rozrzuconą. Kilka wsi nosi nazwę Zemborzyce. U zaprzyjaźnionego rodzicom gospodarza w stodole przenocowaliśmy 4, 5 nocy, kiedy były głosy, że niebezpieczeństwo, że Niemcy coś szykują.

Jaką była dziewczynką? Przede wszystkim była śliczną dziewczyną, bardzo urodziwą. Miała ciemne włosy, falujące. Była bardzo taktowna, bardzo wrażliwa. Opowiadała, że już jak się Niemcy trzęśli, jak już robili tutaj porządek z ludźmi w ogóle, a z Żydami w szczególności, to często przechowywana była w lochach. Od Koziej podobno pod całym Starym Miastem są lochy, labirynty. Rodzice chronili ją bardziej niż chłopaka, bo chłopak dawał sobie radę. Traciła wzrok. Była krótkowzroczna. Myślę, że od przebywania w ciągłej ciemności. Uczyla się szybko. Była niesamowitą przylepką. Mamusia była chorowita, bo była otyła. Kręgosłup miała chory. Jak wychodziła po wodę, to [Teresa] już słyszała, wyskoczyła i mamie pomogła, wyręczała. Bardzo była wrażliwa. Nie kłóciła się nigdy, nawet wtedy, kiedy słyszała: „A Teresa to nie może? Tylko nas mama goni do jakichś robót”. [Zawsze wtedy] mówiła: „Ale ja mogę pomóc”.

Gdyby ona dostała się do jakichś ludzi. Wiemy, że Żydzi płacili straszne pieniądze, żeby swoje dziecko czy siebie uratować. Tutaj o tym mowy nie było. W ogóle to nie wchodziło w grę. Jakiegokolwiek korzyści ze strony rodziców. Nie wiem, dlaczego o tym mówię. Poza tym, po pierwsze, ona miała być tylko kilka dni, po drugie, jej rodzice zginęli. Właśnie

R E L A C J E

dlatego, że straciła rodziców, otoczyliśmy ją specjalną opieką. Już nie miała gdzie wrócić, bo ojciec... rodzice... nikt nie wierzył w taką straszną katastrofę, jaka się działa. Nikt nie wierzył. Bo rozum ludzki nie jest w stanie wyobrazić sobie, że człowiek mógł stworzyć takie piekło. Więc wszyscy wierzyli, że to kilka dni i sprawa się wyjaśni. Niemcy także obiecywali najrozmaitsze rzeczy. Masz się zgłosić, zarejestrować się w urzędzie. „Dla porządku. Żeby wam pracę dać. Żeby w czasie wojny zaplanować wyżywienie dla ludności”. Takimi kategoriami ludzi manili.

Wiedziała tylko rodzina, nikt więcej. Nikt nie mógł wiedzieć [że Teresa jest Żydówką]. Nikomu, ale to nikomu [nie wolno było powiedzieć], nawet [dalszej] rodzinie, powiedzmy ciotce, wujkowi. Może dzięki temu jakoś bez specjalnych ataków przetrwała. Później, po wyzwoleniu, już wiedzieli. Jak już nie było okresu, że człowiek straci życie, że niebezpieczeństwo dla całej rodziny. Najbliżsi sąsiedzi wiedzieli już wtedy.

Niewiele opowiadała. [Czasem] o wzajemnych relacjach w rodzinie, o świętach. Z [jej opowieści] wynikało, że rodzina była bardzo dobrze ułożona, kochająca swoje dzieci i siebie wzajemnie. Że w tej rodzinie był spokój, atmosfera miłości. Tak to wyglądało z opowiadania Teresy. Było nam żal, że ona w zasadzie tego wszystkiego była pozbawiona. Była świadoma, że jest obcym dzieckiem przygarniętym przez obcą rodzinę. Z tego powodu na pewno nie najlepiej się czuła.

Nie wiem, jak nazywał się brat [ani] jak nazywali się [jej] rodzice. Nazwisko Fajraizen. Opowiadała o macy, co dla mnie... Muszę powiedzieć, że wśród durnowatych dzieci funkcjonowała informacja, fama, że maca

musi być z krwi katolickiej... człowieka katolickiego. Atakowaliśmy ją: „Teresa, powiedz, przecież tak ludzie mówią, czy to tak było?”. Ona śmiała się: „Słuchajcie, przecież to są bzdury. Straszliwe, wrogie, nieprzyjemne plotki. Tak nie było”. A jak maca wyglądała, to już później nam wyjaśniła. Wyleczyłam się z takich bezsensownych informacji.

Ona nie stosowała się do tego, że to jest koszerne. Jadła wszystko, co jej smakowało. Była Wielkanoc, to siadała normalnie do stołu i wszystko jadła. Wigilia. U nas łamanie opłatkiem. „Teresa, to jest chleb, wiesz, taka wasza maca”. W święta do kościoła oczywiście nie chodziła. Nikt jej nie wysyłał, żeby... nie była ośrodkiem zainteresowania, że to dziecko jest jakieś, czyjeś, czarne, główka... w falach kręconych, więc... Zostawała w domu, czytała. Telewizji nie było, ale radio było. Szydełkowała. [A jak ksiądz przychodził po koledzie] wtedy była usuwana, żeby nie interesowała... żeby nie było rozmowy, nie było dociekania.

F O L K S D O J C Z

W Zemborzycach był także folksdojcz. Mieszkał niedaleko nas. K. Miał dwóch synów. Jeden był w żandarmerii niemieckiej, drugi, młodszy, chodził do szkoły Hitlerjugend. Ojciec, zresztą matka chyba też, bardzo wernie służył Niemcom. Naszego progu nigdy nie przestąpił, ale interesował się ludźmi. Podobno robił listę do aresztowań. Bo aresztowania w Zemborzycach były straszliwe. Wszyscy się go bali. Bardzo dużo zła narobił. Później został stracony przez jakieś ugrupowania konspiracyjne.

W dniu najazdu Niemców stracona została trzyosobowa rodzina pochodzenia żydowskiego. Blisko nas mieszkali. Zginął ojciec i dwóch synów. Na ulicy zostawili... Koleżanka, która pracowała ze mną w sklepie w Zemborzycach mówiła: „Jak szłam do sklepu w południe, to te ciała jeszcze drgały”.

W Y Z W O L E N I E

Wyzwolenie przyszło jak zbawienie, [nadzieja], że już będzie spokój, że będzie normalnie. Tymczasem po dwóch latach wyzwolenia... Oczywiście, Teresa sprawiała rodzicom kłopot o tyle, że nie miała dokumentów. Trzeba było przecież przygotować dziewczynę do szkoły. Ojciec poczynił starania. Na jakim etapie były, tego nie wiem. Teresa chodziła do szkoły podstawowej. Później miała nawet przyjaciółki. W tak małym środowisku ludzie mają do siebie zaufanie i znają się, więc Teresa chodziła jako wolny słuchacz. Bo jeszcze nie miała żadnych dokumentów. A ojciec ciągle obiecywał i miał nadzieję, że te dokumenty będą... [Mówiliśmy], że to jest rodzina ze wschodu. Tam spalone, zniszczone, trzeba szukać świadków, może gdzieś w archiwum... Liczył na zwłokę.

[Tuż po wyzwoleniu] brak dokumentów nie był dla nikogo niepokojem. To było uzasadnione. 80% [ludzi] nie miało dokumentów. [Poza tym] szkoła była niezorganizowana, [dzieci uczyły się] po chłopskich chałupach. Pewnego dnia przez ogród widzimy – idą milicja z opaskami biało-czerwonymi i dwóch

R E L A C J E

cywilnych. W sumie pięć osób. Idą prosto do nas. Rodzice świadomi byli niebezpieczeństwa. [Wiedzieli], że mogą po Teresę przyjść – były obwieszczenia, że kto wie o dziecku żydowskim, należy zgłaszać. Jeszcze jakieś nagrody obiecywali w tych obwieszczeniach. Rodzice uważali, że to ich nie dotyczy, że dziecka nie oddadzą, że nagrody żadnej nie potrzebują, mowy nie ma, żeby Teresę mogli zabrać. Tymczasem oni weszli do domu, zapytali... sprawdzili nazwisko. Teresa jakby czuła... chciała... wzięła wiadro i niby po wodę. Zagroził drogę: „Proszę teraz nie wychodzić”. To już wiadomo było, że coś będzie bardzo, bardzo niedobrego. Wyjaśnili, że Teresa to dziecko żydowskie, „zostało przez was uratowane, to się chwali, ale poniesie pan dużą karę, że dziecka nie zgłosił”. „Jaką karę? Za co karę?”. „Póki co, dziecko zabieramy. Komitet Żydowski robi porządek z rozproszonymi dziećmi, które pozostały”. Teresa strasznie rozpacziała. Rzuciła się rodzicom, ojcu szczególnie – cała rozmowa była z ojcem – na szyję: „Ratujcie mnie! Bardzo proszę, ratujcie mnie!”. Ojciec też płakał. Ale nie było mowy... nie było mowy. „Ubieraj się dziecko. Jedziesz z nami. Jedziesz do domu dziecka. Później poszukamy, odzukaemy i twoją rodzinę”.

Teresa nic o żadnej rodzinie nie wiedziała. Nie było żadnej rodziny. Ojciec prosił, żeby pozwolili odprowadzić ją, odwiedzić. Pozwolili. W Radomiu był pierwszy punkt zborny. Pojechał z nią, oczywiście pod eskortą, do Radomia. Tam w budynku przyszkolnym była już spora grupa, kilkanaścioro, może kilkadziesięcioro dzieci. Z ojcem kazali się pożegnać.

Nie pozwolili już dalej ani dłużej. W wielkim szoku Teresa została w Radomiu. W 1947 roku wyjechałam do Wrocławia, do męża. Jeszcze nie był wtedy mężem. Studiował na Politechnice. Był pionierem. Pierwszy odgruzowywał razem ze studentami, organizował i tworzył Politechnikę. Ja pracowałam wtedy w Domu Książki, w księgarni. Dopiero jak się urodziło pierwsze dziecko, mąż już studia skończył, wróciłam do Lublina, na swoje śmieci. I od tamtej pory już jestem tutaj. To był 1951 rok. Już Teresy nie widziałam. Tylko z opowiadania i później z korespondencji, bo ona do mnie pisała najczęściej. Może dlatego, że ja jej odpisywałam. Może dlatego też, że byliśmy najbardziej zaprzyjaźnieni. Najbardziej się się rozumiały... Najlepszymi koleżankami byłyśmy.

K O R E S P O N D E N C J A

Odezwała się po kilku latach dopiero. Było tak, jakby ktoś z domu odszedł na zawsze – żadnych informacji, nic. Ubył członek rodziny bardzo akceptowany. Czasami buntowaliśmy się. Mamusia polecała [coś zrobić], a [my] mówiliśmy: „A Teresa?”. „Nie Teresa, tylko ty masz zrobić”. Wszyscy uważaliśmy, że ona jest faworyzowana.

Pierwszy list przyszedł z Francji, z Paryża. Bardzo lakoniczny. Że jest w obozie przejściowym, podobno do Palestyny, że z całej Europy przywożą dzieci, że jest bardzo do-

brze, że są rozrywki, że odżywiają dobrze. W każdym razie, żadnej krzywdy. Smutny o tyle, że wyrwana została z domu i tęskni, i nie wie, co ją czeka. Więcej nie było żadnych listów. Dopiero ze Stanów Zjednoczonych. Też lakoniczny, niewyjaśniający specjalnie jej losu. Wiemy, że to dlatego, że te listy nie dochodziły do nas [bezpośrednio]. To były czasy, kiedy ktoś, kto miał kogokolwiek na Zachodzie, czy nawet pomyślał, że chciałby pojechać na Zachód, był bardzo represjonowany. Listy były kontrolowane, rozklejane. W rezultacie nie mieliśmy częstych kontaktów z Teresą. Pisała... że ciągle się uczy, że... mieszka, że płaci... za czynsz, że wyszła za mąż za Amerykanina, że jest chora, że chciałyby skończyć studia, być kosmetyczką, chciałyby zdążyć skończyć studia przed śmiercią, bo ma raka. Po długiej przerwie przyszedł list. Napisał jej mąż, że Teresa zmarła, a on spełnia jej wolę – informuje nas. Ponieważ [kiedy] opowiadała o swojej rodzinie, to właśnie o nas. [Wiedział], że w razie, jakby [coś się stało], ma powiadomić jedyną rodzinę, która jest w Polsce. I on to czyni. Moja córka napisała... Umieściła w liście wyrazy współczucia z powodu zgonu Teresy i poprosiła, że jeżeli będzie uważał za słuszne, żeby napisał coś więcej o Teresie, jak przebiegała choroba, jak przebiegała jej nauka, co osiągnęła. Ale on nie napisał.

[Wiem, że] starała się o jakieś odszkodowanie, o jakieś środki od władz chyba amerykańskich. Ale musiała udowodnić, że jest Żydówką. Prosiła nas o zaświadczenie. Za-

świadczenie poświadczone przez notariusza wysłał mój mąż jako świadek. Znał ją doskonale.

M E D A L

Był okres, że się na ten temat mówiło. Ktoś w telewizji opowiadał, jak to na strychu... Wielki bohater. A cóż to za bohaterstwo? A cóż to takiego? [Postanowiliśmy, że] napiszemy, że nasi rodzice też ukrywali dziecko żydowskie. Nie my, nie ja, tylko moi rodzice. Dlaczego oni cierpieli... to wszystko z serca robili. Robili nie dlatego, że myśleli o jakichś korzyściach, bo korzyści nie było żadnych. Robili to z własnych przekonań, bo to jest dziecko. To tak, jakby z naszym dzieckiem coś się działo. Dlaczego nie powiedzieć nikomu, że moi rodzice także byli bohaterami. A teraz przyjazdy... święta na Majdanku, papież w Auschwitz, uroczystości, publikacje. Czasami banalne, krótkotrwałe, że ktoś kromkę chleba dał. To jest bardzo dużo. U nas tych kromek chleba... Bunt wewnętrzny, że ludzie umieją to przekazać. Dlaczego ja mam nie przekazać czegoś, co mogą wykorzystać inni młodzi ludzie? Bo o tym młodzi ludzie nie wiedzą. Nie mają wyobraźni, co się działo z ich rówieśnikami. Teraz żyją konsumpcyjnie, wygodą.

I to cała historia w wielkim skrócie, bo to jest już ponad 60 lat, a każdy dzień miał właściwie swoją historię.

JADWIGA MALISZEWSKA

D E U T S C H

Jadwiga Maliszewska (geborene Drozdowska) wurde 1926 in Gródek geboren.

Während des Krieges wohnte Familie Drozdowski in Zemborzyce, in der Nähe von Lublin. Von 1941 an bis zum Kriegsende haben Drozdowskis ein jüdisches Mädchen, Apolonia Fajraizen, versteckt. Alle nannten

sie Teresa. Anfangs sollte sie nur wenige Tage bleiben, aber als klar wurde, dass ihre ganze Familie von den Deutschen ermordet worden war, entschloss sich Familie Drozdowski, ihr weiter zu helfen.

Nach dem Krieg lebte Teresa noch zwei Jahre lang bei Familie Drozdowski. Obwohl die Familie Teresa nicht wegschicken woll-

te, musste sie sie rechtmäßig nach Radom bringen. Später wanderte Teresa in den Westen aus. Einige Zeit blieb sie mit Familie Drozdowski in Briefkontakt. Über Teresas Tod wurde Familie Drozdowski von ihrem Ehemann informiert.

E N G L I S H

Jadwiga Maliszewska, née Drozdowska was born in 1926 in Gródek. During the war, her family lived in Zemborzyce near Lublin. Jadwiga recalls how her family was hiding a Jewish orphan Apolonia Fajraizen from 1941 till the end of the war. Mrs. Drozdowska's parents

called the girl Teresa. At first, they were planning to hide Apolonia only for a few days. After they found out that the Nazis had deported and killed the girl's parents, they decided to keep helping her. After the war, Teresa lived with the Drozdowski family for two more years and they wanted her to

stay with them. However, the authorities would not allow this, and the girl ended up in Radom, and then in the West. For some time they kept in touch. The Drozdowskis learned about Mrs. Fajraizen's death from her husband.





01



02

03

Teresa Szyper (urodzona jako Pola Fajrajzen),
Kansas City, USA, 1951.

Teresa Szyper (geboren als Pola Fajrajzen)
in Kansas City, USA, 1951.

Teresa Szyper, born as Pola Fajrajzen,
Kansas City, the United States, 1951.

Jeden z listów Teresy Szyper do Jadwigi
Maliszewskiej (Drozdowskiej), z 16 grudnia 1964.

Einer der Briefe von Teresa Szyper an Jadwiga
Maliszewska (geborene Drozdowska), vom 16.
Dezember 1964.

One of the letters from Teresa Szyper to Jadwiga
Maliszewska, December 16, 1964.

Leon Drozdowski, ojciec Jadwigi Maliszewskiej,
Lublin, ok. 1974–1975.

Leon Drozdowski, der Vater von Jadwiga
Maliszewska, in Lublin, ca. 1974.

Leon Drozdowski, the father of Jadwiga
Maliszewska, Lublin c.1974–1975.